U. I. C. C.
APR 24 1970
LIBRARY

7

TWÓRCZOŚĆ

LIPIEC 1951 ROK

NOTICE

THIS VOLUME IS INCOMPLETE

THE FOLLOWING ISSUES ARE NOT AVAILABLE:
NO. 8, 11 1951

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK

ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK VII ZESZYT 7

WARSZAWA LIPIEC 1951

Okładkę projektował Henryk Tomaszewski
Druk Zakłady Graficzne i Wydawnicze „Dom Słowa Polskiego", Warszawa
Zamówienie 953 nakład 7005 2-B-34808

Z pism wybranych

ANTEK ROSÓŁ

Wspomnienie

Śpij więc cicho, spokojnie! Brat twój tu na ziemi,
Wiecznie wierny przysiędze, w jasne pójdzie słońca,
Walczyć będzie do grobu z chmurami ciemnymi,
Tysiąc razy odparty, wstanie — aż do końca.

Śpi już spokojnie w mogile nasz druh nieodżałowany, nasz Antek Rosół! Car samowładny zamęczył go za to, że swą młodością, swą siłą i wiarą budził śpiących do życia, obojętnych zagrzewał do walki, ciemnych oświecał, w zwiątpiałych wlewał wiarę w lepszą przyszłość. Całą swą młodość, wszystkie swe siły i energię życiową poświęcił sprawie wyzwolenia ludu pracującego spod panowania ciemnoty, knuta carskiego i wyzysku kapitalistycznego, sprawie zdobycia lepszej przyszłości, w której nadejście niezachwianie wierzył, aż do ostatnich chwil swego krótkiego życia.

Za życia lubiany przez tych, którym niósł słowa prawdy, kochany przez wszystkich, którzy znali go bliżej, którzy z nim razem walczyli i cierpieli, opuścił to pole walki, żegnany głębokim żalem swych towarzyszy.

Ten 18-letni chłopak-robotnik, posiadając umysł nad wiek rozwinięty, bardzo wcześnie spostrzegł krzyczącą niesprawiedliwość obecnych stosunków społecznych i zrozumiał konieczność walki z nimi. Serce czułe na krzywdy ludu swego, wielki zasób energii, nie pozwoliły mu pozostawać biernym; rzucił się więc w wir walki. Jako robotnik i syn robotnika — a był proletariuszem z krwi i kości — nie posiadał żadnych tradycji ani pozostałości mniej lub więcej „szlacheckich", dlatego też zrozumiał, iż jedyną prawdziwie skuteczną drogą zdobycia lepszej przyszłości dla szerokich mas ludu jest międzynarodowa walka klasowa proletariatu z klasą wyzyskiwaczy i ciemiężycieli. Rozumiał, że gdzie jest wspólny wróg: kapitalizm i carat — powinna być i wspólna walka, bez różnicy narodowości, powinna być jedna armia robotnicza. Rozumiał, że i narodowościowy ucisk jest dla robotników jedną tylko z form ucisku klasowego.

Dlatego też, wszedłszy w życie organizacyjne, Antek Rosół występuje jako zdeklarowany socjaldemokrata.

Poznałem go po raz pierwszy we wrześniu 1899 roku w Warszawie. Spotkaliśmy się jako socjaldemokraci, by się zapoznać i naradzić nad tym, co robić. Trzeba było widzieć jego radość ogromną, gdy spotkał we mnie swego towarzysza: „Będziemy żyć jeszcze!" — mówił z zapałem — „Tylko trzeba się zabrać energicznie do roboty, a nie gnuśnieć bez pracy".

Zdziwiłem się ogromnie. Po wieloletniej przerwie byłem w Warszawie po raz pierwszy. Słyszałem, że jakoby po aresztach w r. 95 — 96 przestała tu egzystować organizacja socjaldemokratyczna, a tu raptem spotykam socjaldemokratę tak gorącego, pełnego otuchy i wiary. Wypowiedziałem mu to zdziwienie moje. Okazało się, że tradycje stare, idee zaszczepione robotnikom naszym przez Proletariat, przez Waryńskiego, przez Związek i Socjaldemokrację[1], żyły wśród robotników, pomimo braku odpowiedniej literatury; że tradycje te i idee walki międzynarodowej ustnie się przechowały i samorzutnie szerzyły się wśród masy pracującej, że ruch robotniczy nawet po 96 r. pozostawał międzynarodowy, socjaldemokratyczny, pomimo że PPS starała się narzucić robotnikom swe hasła nacjonalistyczne; że wielu robotników warszawskich już dalej nie może i nie chce pracować w organizacjach PPS, bo ta już wyraźnie odstępować poczęła od zasad międzynarodowego, robotniczego socjalizmu, przerabiając wszystkie broszury na swoje kopyto.

Antek pierwszy zrozumiał, że trzeba tu czynu, że krytykować tylko PPS, a nic nie robić, to za mało. Ruchliwa i wrażliwa dusza jego nie mogła się zgodzić z dotychczasowym stanem rzeczy. A stan ten był nader opłakany. Nie było silnej organizacji SD, która by mogła skupić rozproszone siły, nie było inteligencji, która szczerze chciałaby zabrać się do dzieła, nie było żadnej literatury socjaldemokratycznej, a siła wydawnicza PPS była stosunkowo duża. Aby wystąpić samodzielnie, aby wziąć się do dzieła trzeba było mieć ogromny zapas sił żywotnych i ideowych. Osiemnastoletni Antek znalazł w sobie te siły, pomimo iż nigdy jeszcze do żadnej organizacji nie należał. Zabrał się do roboty jak umiał. Zebrał młodych, wybitniejszych towarzyszy i zorganizował kółko samokształcenia, marząc o tym, że na legalnej i nielegalnej, polskiej i rosyjskiej literaturze wykształcą się na agitatorów i dadzą początek nowej Socjaldemokracji w Królestwie.

W tym to czasie przyjechałem do Warszawy i poznałem się z nim. Gorąco wzięliśmy się do roboty. Udało się nam dostać trochę książek stare wydawnictwa polskie: Sprawę Robotniczą, Protokół z I Zjazdu Robotniczego Socjaldemokracji Królestwa w 1894 r. itd. Zapoznaliśmy się wówczas sami bliżej z historią naszej partii i podjęliśmy szeroką agitację.

Antek na wszystko czas znalazł, sam się uczył całymi dniami, a wieczorami biegał z jednego zebrania na drugie, gorąco agitując za sprawą międzynarodowego socjalizmu. Dzięki tej niestrudzonej energii jego założyliśmy wkrótce w Warszawie trwałą już organizację. Robotnicy coraz bardziej garnęli się pod nasz sztandar. Pracy było huk. Dała się odczuwać potrzeba własnej literatury partyjnej, a tej nie mieliśmy wówczas. Inteligencja, teoretycznie sympatyzująca z nami, była ospała, nie chciała energicznie wziąć się do roboty, czekała. Musieliśmy więc sami napisać program nasz i odhektografować go, musieliśmy sami pro-

[1]) Chodzi tu o Związek Robotników Polskich, założony w r. 1889 i Socjaldemokrację Królestwa Polskiego, późniejszą SDKPiL.

wadzić kółka robotnicze, pisać odezwy i hektografować je, musieliśmy rak słowa drukowanego zastąpić pisanym i ustnym, zwoływać zebra- ia robotnicze, urządzić obchód rocznicy stracenia „Proletariatczyków". Antek na wszystko potrafił znaleźć czas, bo oddał się całkowicie prawie, nie szczędząc siebie.

I jego nie szczędzono. Ci, którym się nie podobało, że Partia Socjal- emokratyczna znowu się organizować zaczęła, że była tylko w letargu zaczęła się budzić z czasowego snu, rzucili się z całą wściekłością na Antka. Gdy na zarzuty i argumenty jego nie mieli czym odpowie- dzieć, wówczas wytykali mu młodość jego, mówiąc, że taki „smarkacz" nie ma prawa głosu „nawet w Szwajcarii". Masę przykrości z tego po- wodu znieść musiał, nie dbał o to jednak i nadal z całym zapałem pra- cował.

Nie przeczuwał, że areszt już wisiał mu nad głową. Starszy brat znaj- dował się w więzieniu, matka oczekiwała na wyrok za starą sprawę, ojciec dopiero przed rokiem powrócił z pięcioletniego wygnania do archangielskiej guberni. Antek ubóstwiał swych rodziców, im to zaw- dzięczał, że od maleństwa poznał i ukochał światło prawdy.

Pamiętam jedną scenę. Przyszedłem do mieszkania Rosołów, aby ra- zem z Antkiem iść na zebranie robotnicze. Rodzice jego siedzieli jacyś zasmuceni — może myśleli o swym starszym synu oddzielonym od nich wysokimi murami cytadeli i kratami celi więziennej. Gdy Antek miał już wyjść, spojrzeli na siebie z taką boleścią, jakby przeczuwali, że i to ukochane dziecko utracić mogą. Antek drgnął, zatrzymał się na chwilę, popatrzył na rodziców i szybko wyszedł. Rodzice nie zatrzy- mali go — zrozumieli, że gdzie toczy się walka, tam muszą być ofiary, czuli, że dla dobra swych braci należy poświęcić wszystko; poświęcili więc i tego syna.

W parę dni potem, w nocy z 4 na 5 lutego 1900 r., Antek został aresztowany w mieszkaniu rodziców. W ten sam dzień kazano matce jego wyjechać z Warszawy do Kowna pod nadzór policji na dwa lata.

I w więzieniu Antek ani na chwilę nie upadł na duchu. W X Pawi- lonie czas swój cały poświęcił nauce, korzystał z książek biblioteki, chociaż głód znosić musiał, jednakże zawsze był wesoły, śpiewał, bęb- nił po ścianie, prowadził z towarzyszami siedzącymi obok żywą dy- skusję, a nieraz miewał przykre starcia z żandarmami. Na przykład podczas widzenia z ojcem pomocnik naczelnika chciał zmusić go, by rozmawiał po rosyjsku. Antek nie zgodził się na to, zwymyślał po- mocnika, o potem wypędził go ze swej celi. Za karę pozbawiono go na pół roku „widzeń". Gdy w X Pawilonie Antek zbyt już żandarmom dokuczył, przewieźli go na Pawiak. Nie było tu już biblioteki, cela mała i ciemna, pościel na dzień zabierali z celi, jedzenie liche, a pie- niędzy Antek nie miał. Często świec nie było za co kupić i musiał ca- rymi wieczorami siedzieć po ciemku. Tam się dowiedział, że ojciec jego znowu aresztowany. Nadwyczaj wrażliwy organizm jego nie mógł znieść tylu fizycznych i moralnych katuszy. Zachorował — dostał gruź- licy płuc i nogi. Nie mogąc dłużej wytrzymać, zaczął Antek domagać się od naczelnika lepszych warunków.

W marcu 1901 r. został wreszcie przewieziony do Siedlec. Tutaj odetchnął nieco swobodniej, spotykał się z towarzyszami swymi, miał więcej spaceru. Ale choroba wciąż posuwała się naprzód. W Siedlcach było swobodniej, lecz jedzenie też złe, cela mała, ponura, z okienkiem malutkim. Lekarz więzienny zaopiniował, że chora noga Antka wymaga operacji. Dokonano jej, lecz tak po rzeźnicku, że po operacji nie było już prawie nadziei, że żyć będzie. W lipcu 1901 r. wypuszczono go wreszcie z więzienia jako umierającego i wysłano do matki do Kowna. Miał wówczas na sobie skórę tylko i kości. Puścili go, odebrawszy życie, aby pozbyć się kłopotu.

Lecz nawet podczas choroby Antek nie upadł na duchu. Zwykle marzył o tym, co robić będzie, jeżeli się wyleczy; — a „jeżeli umrę" — mawiał czasami — „no, to trudno". Nigdy dłużej nad tą myślą się nie zatrzymywał, a marzył o życiu, walce, wiedzy, nauce, o przyszłości.

Będąc już w Kownie pisywał do mnie, że tęskni za Warszawą, za szerszym życiem, że choroba go nie uwalnia i więzi okropnie.

Aż wreszcie zgasł 20 czerwca 1902 r. Aż do śmierci żył sprawą swą ukochaną, a ostatnie słowa jego były: „Niech żyje Socjaldemokratyczny Związek Robotniczy! Przekleństwo carskiemu rządowi!".

Czerwony Sztandar, nr 3 z 1903 r.

Astronom

Z LISTU DO SIOSTRY ALDONY

X Pawilon, 2 czerwca 1914 r.

Za pierwszą sprawę — za ucieczkę z Syberii już mnie osądzili przed trzema tygodniami. Dostałem oczekiwane 3 lata ciężkich robót. Oczekiwane — więc nie zrobiły na mnie przygnębiającego wrażenia, tym bardziej że z drugiej sprawy dostanę więcej (około 5 lat) i będzie mi się liczył w ogólności tylko surowszy wyrok — lecz już od dnia 12.V tj. od dnia pierwszej sprawy. W ten sposób — siedzę już teraz nie „na próżno", lecz odsiadują karę. Siedzę w X Pawilonie w dalszym ciągu — i siedzieć tu będę aż do drugiej sprawy, tj. liczę, że jakiś rok. A potem — zabiorą mnie stąd. Ale któż w moim położeniu nie snuje różowych myśli — że coś się odmieni i że wyjdę wcześniej? Zresztą, nie myślę o tych najbliższych moich latach — tak samo jak człowiek każdy choć wie, że go śmierć niechybna czeka — lecz nie myśli o tym i żyje tak, jakby miał wiecznie żyć, jakby ta chwila nigdy przyjść nie miała. Jest to prawo życia. A tymczasem miałem pewną rozrywkę, gdy poprzez siatkę w okienku karetki — klatki mojej, patrzyłem na ruch uliczny, słyszałem gwar życia miejskiego, widziałem wystawy sklepowe, widziałem sklep z trumnami, a niedaleko sklep z kwiatami z Riviery z głośnym szyldem B o r d i g h e r a. Bordighera — tam byłem. Nad Morzem Śródziemnym przy blasku księżyca pieszo szedłem z Bordi-

ghery przez granicę włosko-francuską do Monte-Carlo. Jak dziś widzę cę drogę i morze osrebrzone księżycem, wzgórza, palmy — wdycham zapach kwiatów i mimozą przepojone powietrze.

Minęło to wszystko. Ale było — było i jest w duszy. Jest tam tyle — i pieśni naszych lasów, i łąk naszych, i mgły nasze, i rosy o poranku, piaski nasze, i miłość nasza, i wiara, i smutki nasze, i całe życie późniejsze. Im piekło życia gorsze, tym głośniej, wyraźniej słyszę odwieczny hymn życia — piękna i szczęścia, i prawdy. Nie ma miejsca ani na żal, ani na nienawiść, ani na rozpacz. I życie — gdy nawet kajdany wlec trzeba — może być i jest radosne. Więc nie martw się i Ty...

Twój Feliks

Z PRZEMÓWIENIA NA II OGÓLNOROSYJSKIM ZJEŹDZIE RAD DELEGATÓW ROBOTNICZYCH I ŻOŁNIERSKICH [1])

26 października 1917 rok

Proletariat polski stał zawsze w jednym szeregu z proletariatem rosyjskim. Socjaldemokracja Polski i Litwy przyjmuje dekret [2]) z entuzjazmem.

Wiemy, że jedyną siłą mogącą wyzwolić świat jest proletariat walczący o socjalizm. Gdy socjalizm zatryumfuje, zgnieciony zostanie kapitalizm i zniesiony ucisk narodowy.

Ci wszyscy, w których imieniu złożono deklarację, kroczą w szeregach proletariatu i biedoty chłopskiej; wszyscy, którzy opuścili tę salę w owych dramatycznych chwilach — nie są przyjaciółmi, lecz wrogami rewolucji i proletariatu [3]). Apel ten nie znajdzie wśród nich oddźwięku, znajdzie go natomiast w sercach proletariatu wszystkich krajów. Wespół z takim sojusznikiem osiągniemy pokój.

Nie podnosimy sprawy oddzielenia się od rewolucyjnej Rosji. Zdołamy zawsze osiągnąć z nią porozumienie. Stanowić będziemy jedną braterską rodzinę narodów, nie znającą zatargów i waśni.

Z LISTU DO ZOFII DZIERŻYŃSKIEJ

Moskwa, 27 maj 1918 r.

...Jestem w ogniu walki — życie żołnierza, który nie ma wypoczynku, bo musi ratować dom nasz. Nie ma czasu myśleć o swoich i o sobie. Praca i walka straszna. Lecz serce me w tej walce pozostało żywe, to

[1]) Na II Ogólnorosyjskim Zjeździe Rad Delegatów Robotniczych i Żołnierskich Dzierżyński, który po wyjściu z więzienia pracował w szeregach partii bolszewickiej, występował z ramienia SDKPiL, jako członek jej instancji kierowniczych.

[2]) Mowa tu o dekrecie-deklaracji pokoju uchwalonym przez II Ogólnorosyjski Zjazd Rad Delegatów Robotniczych i Żołnierskich.

[3]) Dzierżyński ma tu na myśli mieńszewików, prawicowych eserowców i bundowców, którzy opuścili Zjazd, odmawiając udziału w jego obradach. Zjazd, jak wiadomo, obwieścił przejście całej władzy w ręce Rad.

samo, co dawniej. Cały czas — to jeden nieprzerwany czyn, by dotrzymać placu do końca... Otaczające nas koło wrogów opasuje nas coraz mocniej, coraz bliżej serca... Z każdym dniem trzeba chwytać się coraz straszniejszej broni. Dziś głód prawdziwy zajrzał już w oczy — i wyrósł wróg najstraszniejszy... Wysunięto mnie na posterunek w pierwszej linii i wola moja — walczyć i patrzeć otwartymi oczyma na całą grozę położenia i samemu być strasznym, by jak pies wierny rozszarpać złodzieja. Nie wychodzę prawie wcale z lokalu swego, tu pracuję, w kącie za parawanem mam łóżko.

Z LISTU DO ZOFII DZIERŻYŃSKIEJ

Moskwa, 29 sierpnia 1918 r.

W wiecznej gorączce nie mogę dziś skupić się, analizować i odpowiadać. Jesteśmy żołnierzami na posterunku. I żyję tym, co mam przed sobą — wymaga to bowiem całej uwagi i czujności, by zwyciężyć. Jest wola zwycięstwa i pomimo że strasznie rzadko można ujrzeć uśmiech na mej twarzy — jestem pewien zwycięstwa tej myśli i ruchu, w których trybach się znajduję.

A tutaj taniec życia i śmierci. Chwila naprawdę walki krwawej, wysiłków tytanicznych...

KOMUNIKAT PRZEWODNICZĄCEGO OGÓLNOROSYJSKIEJ KOMISJI NADZWYCZAJNEJ [1])

Wobec wykrycia spisku, który miał na celu wywołanie zbrojnego wystąpienia przeciwko władzy radzieckiej za pomocą eksplozji i uszkadzania torów kolejowych i wywoływania pożarów Ogólnorosyjska Komisja Nadzwyczajna uprzedza, że wszystkie tego rodzaju wystąpienia oraz agitacje będą tłumione z całą bezwzględnością.

W celu uchronienia od głodu Piotrogrodu i Moskwy, w celu uratowania setek i tysięcy niewinny ofiar Ogólnorosyjska Komisja Nadzwyczajna będzie zmuszona zastosować jak najsurowsze sankcje karne przeciw każdemu, kto będzie miał coś wspólnego z białogwardyjskimi wystąpieniami i próbami zbrojnego powstania.

Przewodniczący WCzK
F. Dzierżyński

Izwiestia, nr 71 z dn. 2 kwietnia 1919.

---

[1]) Powyższy komunikat został wydany w związku z telefonogramem Lenina zlecającego WCzK likwidowanie w jak najszybszym czasie usiłowań agentów Kołczaka i Denikina oraz „aliantów", zmierzających przy pomocy eksplozji, uszkadzania torów kolejowych i agitacji strajkowej do pozbawienia ludności Piotrogrodu oraz innych miejscowości — wody, żywności itd.

WSZYSCY NA POMOC DZIECIOM

Wezwanie Komisji [1]) W.C.I.K. do Spraw Polepszenia Bytu Dzieci.

Do wszystkich ludzi pracy ZSSR, do Komitetu Wykonawczego Międzynarodówki Komunistycznej, Międzynarodówki Związków Zawodowych, Komunistycznej Międzynarodówki Młodzieży, Międzynarodowej Organizacji Pomocy Robotniczej.

Towarzysze!

Nasza młoda republika robotnicza wyszła zwycięsko z okrutnej, krwawej walki z jej śmiertelnymi wrogami — wewnętrzną i zewnętrzną kontrrewolucją. Z nową siłą, nieznaną umierającemu światu burżuazji, zaczęło bić tętno robotniczego życia społecznego, zastukały warsztaty, zahuczały maszyny, spokojniej i swobodniej orzą pługi urodzajną ziemię.

Lecz to wielkie zwycięstwo lud pracujący osiągnął nie bez ofiar. Na organizmie kraju pozostały głębokie rany jako skutki tytanicznej walki, których ostateczne zaleczenie wymagać jeszcze będzie olbrzymich i długotrwałych wysiłków ze strony robotników i chłopów Rosji Radzieckiej. Taką raną jest niedostateczne jeszcze zabezpieczenie bytu dzieci w naszym kraju.

Pierwsza w świecie republika pracy otrzymała w spadku przeklęte dziedzictwo carskiego ustroju; wojna i głód tylko je pogłębiły, toteż mimo bohaterskich wysiłków władzy radzieckiej, aby zaopatrzyć dzieci we wszystkie niezbędne dobra materialne, aby zapewnić im wychowanie i ochronę życia i zdrowia, na terytorium Związku Republik Socjalistycznych pozostała jeszcze ogromna liczba osieroconych dzieci, nie mających ani dachu nad głową, ani opieki. Kilka milionów dzieci sierot czeka na natychmiastową realną pomoc.

Bezdomność dzieci, przyjmuje często najpotworniejsze, przerażające formy przestępczości i prostytucji, grożąc dorastającemu pokoleniu najcięższymi następstwami. Stan taki każe nam uderzyć na alarm.

Istniejące instytucje opieki nad dziećmi nie są w stanie objąć całej rzeszy bezdomnych dzieci, a na tworzenie nowych zakładów brak jest środków.

Co więcej: nawet istniejące instytucje, w których znajduje schronienie ponad milion osieroconych dzieci, są niedostatecznie zaopatrzone w to co najniezbędniejsze: dietetyczne odżywianie, bielizna, obuwie, sprzęt itd.

Oprócz rzesz dzieci bezdomnych istnieje wielka liczba potrzebujących pomocy dzieci, które mają wprawdzie rodziców lub krewnych, jednakże zrujnowanych materialnie przez wojnę (inwalidzi, uchodźcy wygnani przez wojnę i głód, bezrobotni); im również jest potrzebna szybka i realna pomoc.

---

[1]) W czerwcu 1921 r. z inicjatywy Dzierżyńskiego utworzona zostaje przy Ogólnorosyjskim Centralnym Komitecie Wykonawczym Rad specjalna komisja do Spraw Polepszenia Bytu Dzieci.

Ponadto dla wszystkich dzieci konieczna jest zorganizowana pomoc lekarska. Różne choroby epidemiczne sieją wśród nich śmierć. Śmiertelność wśród dzieci tak jak przed wojną jest i obecnie jeszcze ku naszemu wielkiemu żalowi zastraszająco wysoka a gdzieniegdzie wprost groźna. Nie wolno zamykać oczu na to niebezpieczeństwo grożące dzieciom. Musimy natychmiast, póki nie jest jeszcze za późno, wspólnymi siłami usunąć zło.

Zdając sobie sprawę z ciężkiego położenia olbrzymiej liczby dzieci i wszystkich groźnych następstw tego zjawiska, Komisja do Spraw Dzieci przy WCIK organizuje razem z Komisariatami Ludowymi Oświaty i Zdrowia, przy czynnym współudziale organizacji partyjnych i zawodowych „Tydzień Bezdomnego i Chorego Dziecka", który trwać będzie od 30 kwietnia do 6 maja br. Komisja zwraca się do wszystkich robotników i chłopów, do całego ludu pracującego Republiki Radzieckiej z gorącym wezwaniem o przyjście w tym czasie z pomocą dzieciom.

Udzielajcie wszelkiej pomocy bez względu na jej formy i rozmiary. Pamiętajcie, że tylko dzięki wspólnemu, zbiorowemu wysiłkowi szerokich mas robotniczo-chłopskich możemy wyjść z honorem z tej trudnej walki z klęską bezdomności dziecka.

Komisja WCIK zwraca się jednocześnie do Komitetu Wykonawczego Międzynarodówki Komunistycznej, do Międzynarodówki Związków Zawodowych, Komunistycznej Międzynarodówki Młodzieży i Międzynarodowej Organizacji Pomocy Robotniczej, aby podjęły się poinformowania naszych towarzyszy robotników i chłopów zagranicą o celach i zadaniach tej kampanii i skłoniły ich do wzięcia w niej udziału.

Komisja ma nadzieję, że masy pracujące zagranicą w odpowiedzi na ten apel przyjdą z pomocą materialno-finansową i pomogą jej w walce z klęską bezdomności dzieci w Rosji.

Komisja zwraca się także do wszystkich zagranicznych organizacji pomocy głodującym w Rosji z prośbą, aby spotęgowały w miarę możności swoje wysiłki w zakresie pomocy dzieciom.

Wszyscy na pomoc dzieciom!

Przewodniczący Komisji WCIK
do Spraw Polepszenia Bytu Dzieci
F. Dzierżyński

Izwiestia, nr 71 z dn. 31 marca 1923 r.

Z LISTU DO A. GULBINOWICZA [1])

Drogi Towarzyszu! Nieraz wspominając pierwsze swe kroki w życiu rewolucyjnym wspominam i Was...

...chciałbym Was prosić, czy nie znaleźlibyście czasu, aby napisać swe wspomnienia o pracy w Wilnie, o budzącym się ruchu proletariatu, i o naszej partyjnej pracy. Wspomnienia można by było wydrukować, co byłoby dla historii ruchu robotniczego bardzo pożądane. — Gdybyś-

[1]) List ten napisał Dzierżyński (w języku polskim) do A. Gulbinowicza — jednego z pierwszych działaczy Litewskiej Socjaldemokracji.

[illegible]

[illegible]

[illegible]

Tak jednak nie jest. Nasza partia bolszewicka była też kiedyś mała i słaba w porównaniu z siłą cara i jego Rosją, a jednak ta partia obaliła nie tylko cara i rosyjski kapitalizm, ale wstrząsnęła do gruntu całym światem kapitalistycznym.

Wasza praca w małym rejonie polskim może mieć ogromne znaczenie dla sprawy wyzwolenia proletariatu i włościaństwa w Polsce. Możecie już nie w słowach, a czynem dowieść, że bolszewickie hasło sojuszu proletariatu z włościaństwem nie jest frazesem i w swoim rejonie udowodnić to pod kierownictwem partii naszej. Wytępić biurokratyzm i łapownictwo — te pozostałości po kapitalizmie i carskich porządkach, nawiązać nierozerwalną nić pomiędzy robotnikiem-proletariuszem i większością włościan — średniakiem i biedotą — w walce o podniesienie poziomu życia kulturalnego i materialnego.

Ciężkie to zadanie, jesteśmy jeszcze strasznie biedni, ale idąc po tej drodze krok za krokiem, i nigdy nie zbaczając z niej, szybko osiągniemy cel. I ten żywy przykład Waszej pracy, rezultatów jej — będzie najlepiej przekonywał robotników i włościan w Polsce.

Wiecie z prasy, jakim ogromnie rewolucjonizującym czynnikiem stały się w Anglii i Niemczech sprawozdania delegacji robotniczych z ich podróży do Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich.

Opowiedziały one tylko prawdę, to, co widziały. Powinniście i Wy o tym pamiętać. Pracować tak, by można było zaprosić do Was delegację robotniczą i włościańską z Polski i by miała ona co opowiedzieć robotnikom i włościanom polskim. Znaczenie Wasze jest tym większe, że jesteście na pograniczu i że nawet bez delegacji tam, po tamtej stronie wiedzą, jak pracujecie.

A dla Polski, dla jej losów, jest decydująca sprawa sojuszu robotnika i włościanina pod kierownictwem Partii Komunistycznej. Podczas wojny imperialistycznej, gdybyśmy byli rozumieli wtedy te leninowskie nauki, być może losy Polski byłyby inne i mielibyśmy Polskę Socjalistyczną — wolną i niezależną od mocarstw kapitalistycznych, silną sojuszem ze Związkiem Republik Radzieckich. O tym powinniśmy pamiętać.

I druga sprawa jest nie mniej ważna. Sprawa narodowościowa. I w tej sprawie praca Wasza może mieć doniosłe znaczenie, i w tej dziedzinie należy iść drogami wytkniętymi przez Lenina.

Nikt inny tylko Lenin i bolszewicy, stanąwszy na czele Republiki Radzieckiej, proklamowali prawo każdego narodu do stanowienia o własnym losie aż do oderwania się. Tylko prawo zasadnicze (konstytucja) naszego Związku Republik Radzieckich głosi (w p. 4); że „każda z Republik Radzieckich ma prawo swobodnego opuszczenia Związku". Żadna inna konstytucja na świecie nie zawiera takiej wolności narodów, żadne państwo burżuazyjne nie ośmiela się głosić swym ludom prawa do oderwania się od państwa.

Już to samo powinno przekonać polski lud pracujący, że jeżeli sprawie wolności i niepodległości Polski może w przyszłości grozić niebez-

pieczeństwo, to nie ze strony państwa robotniczo-włościańskiego, które w konstytucji swej wcieliło zasadę wolności i braterstwa narodów. Organizując życie swego polskiego rejonu w Ukraińskiej Republice Radzieckiej tak, by współżycie różnych narodowości było harmonijne, bez wzajemnego ucisku i walk, oparte na braterstwie narodów i na swobodnym rozwoju każdej narodowości, dacie przykład, jak się rozwiązuje sprzeczności narodowościowe nie za pomocą kul, stryczków więzień, jak to się dzieje obecnie w państwach burżuazyjnych, lecz drogą sojuszu robotników i włościan.

Zasyłam Wam pozdrowienia serdeczne

Wasz F. Dzierżyński

Nowy Przegląd, nr 3(17) z marca 1926 r.

Hiszpania w walce

HISZPANIA BYŁA I BĘDZIE KRAJEM DEMOKRACJI

Dzień 14 kwietnia 1931 roku — to w dziejach Hiszpanii dzień pamiętny. Tego dnia w wyborach przeprowadzonych przez monarchię lud z entuzjazmem opowiedział się jednomyślnie za demokracją.

Republika 1931 r. otworzyła na oścież wrota naszego kraju ideom demokratycznym i wskazała ludowi hiszpańskiemu drogę do pokoju i postępu.

Powstanie młodej Republiki zaskoczyło międzynarodową reakcję, w oczach burżuazji bowiem Hiszpania była krajem chylącym się ku upadkowi, krajem pozbawionym sił żywotnych stanowiących łatwą zdobycz dla imperializmu.

W lipcu r. 1936 ten wrogi stosunek międzynarodowej reakcji do demokracji hiszpańskiej ujawnił się w całej pełni, wtedy to wojskowa klika faszystowska wszczęła rebelię przeciw rządowi republikańskiemu, a rządy krajów „demokratycznych" pod naciskiem sił reakcji nie tylko odmówiły pomocy Republice, lecz przestały wypełniać zaciągnięte wobec naszego państwa zobowiązania.

Pod pretekstem, że wojna, która rozdzierała nasz kraj, jest wyłącznie sprawą Hiszpanów — rządy te odmawiały pomocy ludowi hiszpańskiemu i jego legalnemu rządowi. I trzeba było dopiero najazdu na Europę hordy hitlerowskiej, aby stało się jasne, że gdyby lud hiszpański otrzymał pomoc, że gdyby siły demokratyczne zwyciężyły w tej wojnie, to narody uniknęłyby straszliwego rozlewu krwi, a Europa i świat cały nie stałyby się ofiarą faszystowskiej agresji. A jednak wielu jest takich, którzy zbyt szybko zapominają o naukach przeszłości, nawet tak niedawnej przeszłości, pełnej krwi, cierpienia i klęski.

W latach 1936 — 39 kraj nasz dzierżył wysoko sztandar demokracji. Bohaterski lud Hiszpanii bez wahania stanął do walki, pomimo przeważających sił wroga, mimo tragicznych warunków, w jakich walka się rozpoczęła.

Trzeba było bronić wolności — i lud hiszpański bronił jej. Trzeba było za wszelką cenę zagrodzić drogę faszyzmowi — i Republika hiszpańska poświęciła milion swoich najlepszych synów, którzy ofiarnie oddali życie w tragicznie nierównym boju.

Swoją bohaterską, trwającą prawie trzy lata, obroną Republiki lud hiszpański opóźnił przygotowania najazdu na inne narody i stworzył warunki, które mogłyby zażegnać wojnę, gdyby w Europie nie panowała ugodowa polityka monachijska, polityka zaprzedawania się faszyzmowi.

Wojna hiszpańska nie była — jak starali się ją niektórzy przedstawić—wewnętrzną sprawą Hiszpanów, nie była „jedną z wielu wojen domowych" — jak cynicznie twierdzili apostołowie tak zwanej „nieinterwencji" — była ona pierwszym etapem drugiej wojny światowej.

Wszelkie wątpliwości w tej mierze musiały rozproszyć wystąpienia Goeringa w Norymberdze. Wódz hitlerowski oświadczył niedwuznacznie, że Hiszpania była terenem manewrów armii hitlerowskiej, przygotowującej się do podboju Europy.

Kto popiera i podtrzymuje obecny reżym w Hiszpanii, scharakteryzowany w Poczdamie jako nieodrodny twór hitleryzmu, ten dopuszcza się potwornej niesprawiedliwości i przekreśla te wszystkie ideały, o jakie wiodły narody ostatnią, straszliwą wojnę.

I tutaj w pierwszym rzędzie Anglia wysunęła tysiące argumentów, które rzekomo nie pozwalały jej podjąć decydującej akcji przeciw frankizmowi.. Jakże łatwe do zdemaskowania były te wszystkie pretekste! Wśród rzekomych powodów usprawiedliwiających tolerowanie reżymu frankistowskiego najczęściej wysuwana jest obawa rozpętania nowej wojny domowej i sianie niezgody między Hiszpanami.

A tymczasem pomimo wszelkich wysiłków zmierzających do odgrodzenia murem milczenia hiszpańskiego ruchu oporu — wojna domowa w Hiszpanii trwa.

Stanowcza, nieugięta polityka Związku Radzieckiego, wiernego przyjaciela Hiszpanii Republikańskiej oraz sympatia wszystkich narodów solidaryzujących się z walką ludu hiszpańskiego stanowią najlepszą rękojmię, że machinacje zainteresowanych w podżeganiu do nowej wojny i popieraniu faszyzmu nie osiągną celu i lud nasz zdoła sobie wywalczyć upragnioną wolność.

Sprawa demokracji hiszpańskiej jest dziś podobnie jak w 1936 roku — sprawą pokoju świata i bezpieczeństwa międzynarodowego.

Dziś, dnia 14 kwietnia raz jeszcze dajemy wyraz naszemu zaufaniu do ludu Hiszpanii i naszej niezachwianej wierze w zwycięstwo demokracji; pozdrawiamy naszych bohaterskich partyzantów, wysoko wznoszących sztandar Republiki, pozdrawiamy wszystkich tych, którzy walczą w Hiszpanii przeciw reżymowi Franco. Głęboko przeświadczeni, że ostateczne zwycięstwo będzie nasze, wołamy do nich z głębi serca:

Do szybkiego zobaczenia, bracia!

(Nuestra Bandera Nr 6-1946. Artykuł poświęcony rocznicy powstania Republiki).

NOWY ETAP W WALCE NARODU HISZPAŃSKIEGO

Powszechny protest narodu katalońskiego, który, kierowany przez klasę robotniczą i jej Zjednoczoną Partię Socjalistyczną, wystąpił przeciwko reżymowi frankistowskiemu, nie jest zjawiskiem przypadkowym ani odosobnionym. Protest ten wywołały potworne warunki bytu, które stworzył narodowi reżym faszystowski. Protest ten jest wynikiem

ofiarnej pracy Zjednoczonej Socjalistycznej Partii Katalonii, która zdołała, mimo okrutnego terroru, obudzić w klasie robotniczej i w narodzie katalońskim świadomość konieczności czynnej walki przeciwko faszyzmowi.

Stolica Katalonii — Barcelona, jeden z największych ośrodków przemysłowych liczący dwa miliony ludności, czyni dzisiaj przygnębiające wrażenie. Dziesiątki tysięcy rodzin robotniczych gnieżdżą się w brudnych ruderach lub w ziemiankach, rozrzuconych wzdłuż twierdzy Montjuich i wokół stolicy.

Do nędzy, głodu i ruiny, na które frankizm skazał Katalonię i całą Hiszpanię, dodać należy okrutny ucisk narodowościowy. Katalończykom odmawia się wręcz prawa posługiwania się językiem ojczystym, likwiduje się wszystkie zdobycze narodowe ludności katalońskiej. Frankizm całą swą wściekłość skierował przeciwko Katalonii, usiłując zdławić ducha bojowego katalońskiej klasy robotniczej.

Ostatnie wydarzenia świadczą jednak, że Franco nie jest w stanie unicestwić rewolucyjnej świadomości i woli klasy robotniczej, zahartowanej w długiej, zaciekłej i bohaterskiej walce. Strajk powszechny w Katalonii dowiódł również, że anglo-amerykańskim podżegaczom wojennym nie będzie tak łatwo, jak sądzili i jak obiecywał im Franco, przekształcić Hiszpanów w mięso armatnie. Walka w Katalonii, która zrodziła się jako ruch przeciwko głodowi i drożyźnie, stała się jednocześnie walką przede wszystkim polityczną, wymierzoną przeciwko frankizmowi i jego amerykańskim protektorom.

* * *

W walce, która rozgorzała pod koniec lutego i w pierwszych dniach marca, Zjednoczona Socjalistyczna Partia Katalonii dowiodła, że jest prawdziwą partią klasy robotniczej. Stała ona na czele demonstracji, rozwijała ożywioną działalność agitacyjną wśród mas, kolportowała tysiące ulotek, nawołujących robotników do strajku powszechnego, wymierzonego przeciwko reżymowi frankistowskiemu.

Ten pierwszy etap walki zakończył się 5 marca, gdy rząd, zaniepokojony rozmachem protestu ludowego, przyrzekł nie podnosić opłat za przejazdy. Zwycięstwo to przekonało klasę robotniczą Barcelony o możliwości przejścia do zakrojonych na szerszą skalę i aktywniejszych działań przeciwko polityce głodu i nędzy, uprawianej przez reżym frankistowski. W fabrykach i zakładach przemysłowych hasło strajku powszechnego stawało się coraz bardziej popularne.

Rankiem 12 marca walka wznowiła się. Robotnicy porzucili fabryki, wystawili pikiety strajkowe i dużymi grupami udali się do śródmieścia, nawołując ludność Barcelony do udzielenia im poparcia. Na znak solidarności z robotnikami, na znak protestu przeciwko polityce frankizmu wielu przedsiębiorców zamknęło swe fabryki i sklepy. Pracownicy wielkich firm handlowych, urzędnicy i telefonistki przyłączyli się do strajku. Życie w mieście zamarło. Nie ukazały się nawet dzienniki falangistowskie, ponieważ robotnicy nie chcieli pracować. Ludność

arcelony zapełniła ulice. Odbyła się imponująca demonstracja pod asłami, które wyrażały protest narodu przeciwko drożyźnie oraz jego ądanie wypędzenia Amerykanów z Hiszpanii.

Klasa robotnicza i masy pracujące Katalonii, wyrażając uczucia ludu racującego i antyfaszystów całej Hiszpanii, zamanifestowały w obliczu łego świata swą nienawiść do frankizmu, swą wolę niepodporządkoania się dyktatowi imperializmu amerykańskiego, dyktatowi podegaczy wojennych.

Walka w Katalonii — to żywy wyraz protestu ludowego przeciwko enetracji amerykańskiej w Hiszpanii, przeciwko dążeniu imperialistów merykańskich do wykorzystania narodu hiszpańskiego jako mięsa rmatniego w swych agresywnych planach. Jednocześnie demonstracja była jawnym potępieniem kapitulanckiej pozycji przywódców prawiowo-socjalistycznych i anarchistycznych, którzy systematycznie negorali możliwość walki przeciwko frankizmowi i w ten sposób przyczyiali się do umocnienia reżymu frankistowskiego oraz nawiązania cisłych kontaktów między Franco a imperialistami amerykańskimi całą międzynarodową reakcją.

Walka klasy robotniczej i narodu Katalonii wykazała słuszność stanowiska komunistów, którzy zawsze twierdzili, że walka w Hiszpanii est możliwa i że nie ma innej drogi zlikwidowania frankizmu poza alką przeciwko reżymowi faszystowskiemu i jednością w tej walce szystkich antyfrankistów.

*
* *

W świetle wydarzeń katalońskich uwidocznia się jeszcze bardziej ała potworność ostatniej decyzji ONZ w sprawie uchylenia sankcji rzeciwko oprawcy narodu hiszpańskiego. Coraz wyraźniej zarysowuje ę przepaść między polityką rządów krajów, które głosowały za rzyjęciem w ONZ rezolucji profrankistowskiej, a nastrojami mas racujących tych krajów.

W tym samym czasie, gdy Franco wtrącał robotników Katalonii do ochów złowieszczej twierdzy Montjuich lub rozstrzeliwał ich, do Hiszpanii przybył, mianowany po decyzji ONZ, ambasador angielskiego ządu labourzystowskiego i wręczył Franco swe listy uwierzytelniające w atmosferze — jak zapewniają dzienniki angielskie i hiszpańskie — iezwykłej serdeczności". Jednocześnie socjalista Vincent Auriol — rezydent Republiki Francuskiej — przyjmował nowoupieczonego mbasadora frankistowskiego, oświadczając przy tej okazji, że „jest zczęśliwy, przyjmując go, gdyż nikt inny nie mógłby tak świetnie eprezentować Hiszpanii przy rządzie francuskim".

W przeciwieństwie do tej polityki współpracy prawicowych socjalitów z faszyzmem hiszpańskim, podyktowanej przez imperialistów JSA, masy pracujące i wszyscy uczciwi demokraci Anglii, Francji innych krajów wyrazili swą solidarność z Hiszpanią antyfrankistowką. Podobnie jak w roku 1936, z walką mas pracujących Hiszpanii

splata się ściśle dążenie narodów do obrony pokoju i demokracji, wzra sta ich solidarność z walczącym narodem Hiszpanii.

We Włoszech robotnicy bez różnicy przekonań politycznych zdecy dowanie wyrazili solidarność z walką narodu katalońskiego i zażądal aby rząd włoski zerwał stosunki dyplomatyczne z Hiszpanią frankis towską. Wspaniałą manifestacją internacjonalizmu proletariackiego jes między innymi wystąpienie robotników „Hispano-Olivetti", którz zażądali od administracji firmy ponownego przyjęcia do pracy w bar celońskim oddziale przedsiębiorstwa robotników zwolnionych za udzia w strajku.

Z uczuciem głębokiej wdzięczności dowiedzieli się antyfaszyści hisz pańscy i bojownicy katalońscy o braterskim pozdrowieniu, przesłanyn przez organizacje związkowe Chin Ludowych.

Dzisiaj, tak samo jak w roku 1936, słowa chorążego pokoju i nieza wisłości narodów, ukochanego towarzysza Stalina, że sprawa Hiszpan nie jest wewnętrzną sprawą Hiszpanów, lecz sprawą całej przodujące i postępowej ludzkości, rozbrzmiewają w sercach mas pracujących ca łego świata, wzywając je do solidarności z narodem hiszpańskim.

Możemy i powinniśmy wykorzystać doświadczenie wspaniałej walk w Katalonii, aby położyć kres rozbieżnościom i wrogości między różny mi partiami i organizacjami republikańskimi, aby stworzyć warunk jedności wszystkich sił antyfrankistowskich. Można i należy utworzy demokratyczny i republikański front narodowy, w którym wzięłyb udział, obok robotników i chłopów, drobnomieszczaństwo i burżuazj narodowa, występujące przeciwko frankizmowi i dążące do pokoj i demokracji w niepodległej i suwerennej Hiszpanii.

Uczucia sympatii i solidarności z narodem hiszpańskim, któr znalazły wyraz w oddźwięku, jaki walka klasy robotniczej i narod Katalonii wywołała na arenie międzynarodowej, stworzyły nowe wa runki walki przeciwko frankizmowi, które powinniśmy wykorzysta Polityka jedności sił demokratycznych, której partia komunistyczn broni, została zaaprobowana i zrealizowana przez masy kataloński w ich imponującej demonstracji protestacyjnej.

Międzynarodowe znaczenie wystąpienia narodu katalońskiego uzna nawet Franco. Obawiając się, że międzynarodowy ruch solidarnoś z narodem hiszpańskim zmusi imperialistów do zrezygnowania z wła czenia Hiszpanii do bloku atlantyckiego, Franco pośpiesznie oświad czył ambasadorowi amerykańskiemu, że gotów jest wszędzie wysła armię hiszpańską, jeśli tylko Amerykanie wyposażą ją w nowoczesn broń. Oświadczenie to jest potwierdzeniem rozpaczliwej sytuacji fran kizmu. Pokój jest dla Franco równoznaczny ze śmiercią. Franco licz tylko na wojnę, by utrzymać swój reżym ucisku i terroru. Wszystk to nakłada na naród hiszpański obowiązek spotęgowania walki w obroni pokoju, przeszkodzenia awanturnikom frankistowskim w doprowadze niu Hiszpanii do katastrofy.

(„O trwały pokój", fragmenty).

Dolores Ibarruri
(Passionaria)

Gorki we wspomnieniach współczesnych

...W marcu zaproszono mnie do stowarzyszenia pisarzy proletariackich: miało się tam odbyć spotkanie z Gorkim. W małym pokoiku przy ulicy Włoskiej zebrało się w milczącym oczekiwaniu dwanaście osób.

Gorki zatrzymał się przy wejściu, badając wspaniały rysunek wielkich wazonów chińskich, widocznie cennych dla gospodarzy. Na Gorkiego patrzono jak na surowego eksperta, od którego oceny zależy szczęście całego domu.

— Nic nie warte — rzekł bezlitośnie.

Ponury, o chorobliwym wyglądzie, kaszląc, podał wszystkim rękę, spoglądając spode łba na otaczających go ludzi.

— A pan tu skąd? — burknął do mnie.

Usiedliśmy dokoła stołu. Gorki czekał, czy kto przemówi. Ale wszyscy milczeli. Była godzina pierwsza, szarość nieba sączyła się do okien, gotowa w każdej chwili zamienić się w mokry śnieg. Cienie kładły się w pokoju, jak o zmierzchu.

Gorki miał ochotę na zwykłą rozmowę, ale zdawał sobie sprawę, że oczekują od niego przemówienia lub czegoś w rodzaju referatu. Wszyscy spoglądali na niego, jako na znakomitego prelegenta. Wobec tego przemówił.

Głos jego był suchy, słowa powolne, jak gdyby trudne do wypowiedzenia. Wypowiedziawszy krótkie zdanie, przyglądał mu się, czy jest trafne, a jeśli zyskało jego uznanie, powtarzał dwa — trzy ostatnie słowa.

— Musicie zrozumieć, że do proletariatu należy cała władza, że mu wiele dano i wiele też będzie się od niego wymagać. Bardzo wiele. Wy, pisarze proletariaccy, jesteście odpowiedzialni nie tylko wobec proletariatu lecz i wobec całego narodu. Odpowiedzialność wzrosła. Zjawiły się zadania nowe i niełatwe... Tak...

Gorki stopniowo wyprostowywał ramiona, jak przy robocie, która z początku wykonywana niechętnie, potem stopniowo wciąga robotnika.

— Wypadnie wam zwrócić się nie tylko do robotników. Chłopi również zgłaszają prawa do rewolucji. I słusznie, oni też mają w niej swój udział. Język wasz powinien być zrozumiały i dla chłopa. Jeżeli wasze utwory nie będą zrozumiałe, nie będzie ich po prostu słuchał.

— Tworzenie nowej kultury — to sprawa ogólnonarodowa. Należy się wyrzec podejścia wąskocechowego. Kulturę należy traktować integralnie. Nie wolno przypuszczać, że, podczas gdy Proletkult *) tworzy

*) „Proletkult" - „proletariacka kultura" — organizacja jednocząca w początkach Rewolucji Październikowej pisarzy proletariackich, poetów i działaczy kultury socjalistycznej. (Przyp. red.).

kulturę proletariatu, chłopstwo stoi na rozdrożu, nie wie, czy ma się do niej przyłączyć, czy zostać przy tej dawnej? Jak sądzicie? Uważam, że chłopstwo swymi rękami nie potrafi stworzyć nowej kultury. Proletkult mu nie pomoże, gdyż życie chłopa układało się inaczej niż życie proletariatu. Zupełnie inaczej...

Gorki zmrużył oczy, przenikając wzrokiem zasłonę nieba za oknem i jak gdyby ujrzawszy bardzo daleki krajobraz, jął go przenosić pociągnięciami pędzla do petersburskiej izby, szarej w ten słotny, wiosenny dzień.

Ujrzeliśmy niezliczone kliny pól. Wlokły się siwki, tnąc ziemię pługami i bronami. Stada kawek przelatywały ciężką chmurą z jednego klina na drugi, od oracza do oracza. Gdzieś nad jarem przycupnęła wioska. Długim szeregiem ciągną się izby, kryte poczerniałą strzechą. Po rozdeptanej i brudnej drodze konik ciągnie bronę, odwróconą zębami do góry. Wioska pozostała jak wymarła, ani żywej duszy. Stary i młody — w polu od świtu do nocy. A przyjdą mrozy, zawieje śniegiem — ludzie leżą w izbach na piecach. I znów martwa, bezludna wioska, pola pustynne...

— Inny świat — mówił Gorki — inna dusza. Wysunie człowiek nos za bramę, spojrzy na prawo, na lewo, przejdzie mimo kurnych chat, wyjdzie na pole. Droga zlewa się z niebem, nie ma oparcia dla oka, ni końca, ni brzegu. Pustka tych przestrzeni wysysa z człowieka wszystkie uczucia, zuboża duszę. Popatrzy człowiek — i znowu na piec. Jakież nurtują w nim wtedy pragnienia? Jakie myśli? Inny świat, towarzysze...

W bezruchu, z jakim słuchano Gorkiego, wyczuwało się nie tylko skupioną uwagę i mimowolne uwielbienie, ale też i nieustanny opór wewnętrzny słuchaczy. Na twarzach malował się kolejno zachwyt nad przemówieniem i lęk przed nim, to znów oba uczucia łącznie, jak gdyby ludzie oglądali coś pięknego, ale groźnego.

— Przekonanie, jakoby tylko proletariusz był twórcą sił duchowych, że on wyłącznie stanowi sól ziemi, takie przekonanie mesjanistyczne jest zgubne. Jak każdy mesjanizm. Tak. Należy szukać drogi do zjednoczenia z masą chłopską. W przeciwnym razie cóż z tego wyniknie? Wychowujecie odrębny proletariat miejski, a jednocześnie na wsi w najlepsze kwitnie zabobon. Nie trudno zrozumieć, jakie to wywoła następstwa.

Skończywszy mówić, Gorki czekał, czy nie będzie pytań. Długo wszyscy milczeli. Potem ktoś tam rzucił pytanie, nawiązujące do tego, o czym była mowa. Znów zaległa cisza. Gorki wstał i skłonił się, zmierzając ku wyjściu. Rzucili się, by go odprowadzić.

Po jego wyjściu wszyscy zebrani zaczęli dyskutować gorąco i bezładnie...

* * *

Znowu siedzi przy stale, osnuty mgłą dymu. Dotykając palcami przedmiotów, jakby stwierdzał ich obecność — niebieskiego ołówka, popielniczki, okularów, liniowanych arkuszy papieru — opowiada:

— Coraz częściej zdarza mi się mieć do czynienia z naszymi uczonymi. Zadziwiający ludzie. W rękawiczkach domowego wyrobu, nogi — owinięte w kołdry, siedzą, rozumie pan, u siebie w gabinecie, piszą. Jak gdyby lada chwila miała przyjść warta i sprawdzić, czy są na posterunku, czy nie... Wspinają się na niedostępne góry Uralu, gromadzą fantastyczne kolekcje drogich kamieni dla Akademii Nauk. Całymi miesiącami nie oglądają kęsa chleba. Powstaje pytanie: z czego żyją? Z polowania żyją — jak dzikusy, tak. I nie jest to, rozumie pan, Kalifornia ani gorączka złota. Nie mają ani grosza, ale nie uganiają się za osobistą korzyścią! Można się szczycić takimi ludźmi. Trzeba ratować naukę rosyjską... Żywności potrzeba, za każdą cenę... żywności... Przedtem, rozumie pan, nigdy czegoś podobnego nie miałem: bóle serca, nogi puchną... Brak fosforu... Cukru nie ma...

Urywa gwałtownie (znów mówił o sobie) i objaśnia pedagogicznie:

— Przy naszej pracy nerwowej — bez fosforu wprost istnieć nie podobna...

Ożywia się:

— Przed pańskim przyjściem był u mnie profesor Fersman. Dopiero co rozmawiał przez telefon z Leninem w sprawie komisji naprawy sytuacji profesorów. Lenin pomoże.

Znowu słyszę, jak mówi o Leninie. Ledwie dostrzegalną grą mimiczną, nagłym ruchem ramion, uśmiechając się łagodnie, powtarza rozmowę: Gorki — Lenin...

— Powinien pan bywać w kole młodych pisarzy — mówi, kiedy zabieram się do wyjścia. — Zwłaszcza radzę zaznajomić się z Aleksym Błokiem. Koniecznie należy to zrobić. Jest to... jest to...

Gorki milknie, szukając właściwego wyrazu, ale go nie znajduje. Niecierpliwie, prawie bezdźwięcznie bębni palcami po stole. Nagle wstaje i wyprostowawszy się — bardzo wysoki i chudy powoli przesuwa rękę wzdłuż całej postaci, od głowy do nóg.

— Człowiek... — wypowiada cicho i przez chwilę stoi nieporuszony.

Konstanty Fiedin
(„Gorki wśród nas")

Na jesieni 1930 r. zawinął do Neapolu nasz spalinowiec radziecki Abchazja z robotnikami-przodownikami, których za wydajną pracę premiowano wycieczką zagranicę. Przyjazd ten stał się wydarzeniem w monotonnym życiu naszej kolonii radzieckiej we Włoszech.

Wraz z Gorkim i jego synem, Maksymem, którzy w tym czasie mieszkali w Sorrento, udaliśmy się na powitanie robotników.

Aleksy Maksymowicz cieszył się jak dziecko z oczekiwanego spotkania. Od rana grupka nasza stała już na przystani, oczekując niecierpli-

wie przybycia statku. Na zawsze pozostała mi w pamięci wysoka postać Aleksego Maksymowicza i jego łagodny uśmiech w szarych oczach.

Wreszcie we mgle zatoki Neapolitańskiej ukazał się nasz spalinowiec. Na pokładzie setki naszych przodowników i przodownic. Słychać było trzaskanie fotoaparatu Maksyma Aleksiejewicza.

Aleksy Maksymowicz trzymając w ręce swój czarny szerokoskrzydły kapelusz zastygł w radosnym oczekiwaniu. Przodownicy zauważywszy naszą grupę z Gorkim na czele krzyknęli głośno: „Niech żyje Aleksy Maksymowicz Gorki! Niech żyje przedstawicielstwo radzieckie!"

Wreszcie po zakończeniu formalności jesteśmy na parowcu. Aleksy Maksymowicz ściska poszczególnych robotników, wśród których znajdują się jego dawni przyjaciele.

Zbieramy się w jadalni.

— Towarzysze — mówi Gorki drżącym ze wzruszenia głosem. — Patrząc na was, najlepszych synów naszej ojczyzny, odczuwam radość, jakiej jeszcze w życiu nie odczuwałem. W naszej wielkiej epoce cudów — tworzycie cuda. Jesteście bohaterami, ludźmi z plusem. — Wskutek wzruszenia Aleksy Maksymowicz nie może mówić.

Robotnicy otaczają ciasnym kołem Gorkiego. Jego stary przyjaciel z r. 1905, robotnik leningradzki, Sziłow, patrzy serdecznie na Aleksego Maksymowicza i rzuca mu się na szyję. Obaj snują wspomnienia o czasach dawno minionych, czasach Zwiastuna Burzy i Pieśni o sokole... Oczy obydwóch starców: wielkiego pisarza proletariackiego, Maksyma Gorkiego, i robotnika, przodownika leningradzkiego, Sziłowa, jaśnieją młodością.

Idziemy na górny pokład. Aleksy Maksymowicz prosi, aby zaśpiewano chórem. Trzysta piersi robotniczych odpowiada na tę prośbę potężnym zgranym chórem. Rozlewna melodia *Wniz po matuszkie, po Wołgie* płynie wzdłuż zatoki Neapolitańskiej pełnej bogatych willi, wspaniałych hoteli, gwarnych restauracji...

Na środek koła wychodzi niemłoda już tkaczka z Iwanow-Wozniesieńska. Intonując piosenkę ludową, przytupując lekko pomimo swej tuszy, a chór z zapałem podchwytuje refren.

Nadszedł wieczór rozstania. W jadalni drugiej klasy zbieramy się na pożegnalny wiec. Już za godzinę statek odpłynie z Neapolu.

Pokład pełen ludzi. Komsomolcy intonują wesołą pieśń. Statek za chwilę rusza. I znów stoimy — niewielka grupa obywateli radzieckich — na przystani... Podniesiono trap. Aleksy Maksymowicz nie spuszcza oczu z odjeżdżających, machając bez przerwy swym szerokoskrzydłowym kapeluszem. „Zwyciężymy, Sziłow!" — rozlega się głośny okrzyk Gorkiego. — „Zwyciężymy!" — dobiega energicznie ze statku. — Ostatni gwizd i spalinowiec odbija zwolna od brzegu.

A. Kurska
(„Gorki we Włoszech")

Rok 1920. Leningrad zwał się wtedy jeszcze Piotrogrodem. W dawnej sali Katarzyny Pałacu Taurydzkiego odbywał się właśnie II Kongres Kominternu.

Szpalerną podążają kolumny robotnicze. Purpurowe odblaski sztandarów — nad okratowaniem ogrodu. Cienisto tu i cicho. Muzyka to rozlega się, to cichnie, ogłuszając chwilami nagłym grzmotem bębnów i trąb.

Biała kolumnada odbija zieleń listowia stuletnich drzew. Na stopniach ganku stoi dwóch ludzi: Lenin i Gorki. Patrzę z dala z biciem serca na dwóch wielkich ludzi naszej epoki. Chwila ta pozostaje w pamięci jak migawkowe zdjęcie fotograficzne. Minęły lata, zamykam oczy i widzę w żywych, niewyblakłych barwach białą kolumnadę w ogrodzie Taurydzkim, Lenina i Gorkiego na stopniach ganku.

Zima tegoż roku.

Niewielki teatr piotrogrodzki w podziemiu przy dawnej ulicy Italiańskiej. Bodaj że pierwszy w kraju teatr satyry politycznej. Aktorów ogarnia niesłychane zdenerwowanie: w teatrze jest Gorki.

...Suchy, ościsty chleb, tzw. „przydział morski", leży na stole reżysera. Reżyser ten to — Konstanty Aleksandrowicz Mardżanow,*) jeden z najwspanialszych ludzi naszej sztuki.

Gorki spogląda na suchy chleb 1920 r., na zamróz występujący na ścianie nie ogrzewanego budynku. Spogląda na człowieka o siwiejących skroniach i młodych, roześmianych oczach. I nagle nachyla się w stronę Mardżanowa i przyciska go do piersi, przyciska mocno i tkliwie jak brata.

Bezmiernie ciężka i długa była ta zima czwartego roku rewolucji.

Zabite deskami witryny sklepów. Zamarznięte szyby w piotrogrodzkich mieszkaniach. Ranni i chorzy umierają w szpitalach z zimna i braku lekarstw.

Zaglądam do starych notatek i czytam:

...W zimie przyjechał Wells. Gorki witał go niezwykle uroczyście w Domu Sztuki. Udając się do Piotrogrodu, Wells przerywał blokadę państw kapitalistycznych: był neutralnym gościem w oblężonym mieście i kraju i świadkiem wojny narodu rosyjskiego z kontrrewolucją i interwencją.

Poeci i prozaicy wygłaszali wstrzemięźliwie mowy, pełne poczucia własnej godności.

Siedzieli obok siebie Gorki i Wells. Obaj prawie że nie mieli siwych włosów. Chwilami spoglądali uważnie na siebie. Byli radzi z tego spotkania. Choćby nie wiadomo ilu ludzi znajdowało się wokół, czuli się jak gdyby sami, w przyjacielskiej gawędzie duchowej.

---

*) Mardżanow (Kole Mardżaniszwili) — znaczy reżyser, którego imieniem nazwano państwowy teatr gruziński w Tbilisi. (Przyp. red.).

...Patrzymy w oczy autora N i e w i d z i a l n e g o c z ł o w i e k a Sądziliśmy, że wszystko rozumie.

Po dwóch latach w broszurze Wellsa R o s j a w e m g l e przeczytaliśmy pośród mnóstwa naiwnych uwag i poglądów zdumiewające odkrycie:

„Gorki ma tylko jeden garnitur" — pisał Wells.

Trzydziesty maja 1931 r. W mieszkaniu Gorkiego toczono gorące dysputy o literaturze... Kiedy wszystko zagmatwało się dokładnie, głos zabrał gospodarz. Z trudem opanowując wzruszenie, wypowiedział urywanym głosem kilka ostrych słów. „Nie kochacie literatury" — taki był ich sens, po czym wygłosił zdanie o „erotycznym" stosunku do literatury, które wielu bardzo zdziwiło. Gorki miał prawo tak mówić, bo sam kochał literaturę gorącą miłością. Nie lubił wyrazu „pisarz", zamiast tego mówił „literat".

...Literat o światowej sławie, pisarz starszego pokolenia, nie stronił od pracy organizacyjnej. Gorki poświęcał godziny, dni i miesiące na to, aby stworzyć taką atmosferę literacką, która by umożliwiła powstanie dobrych książek.

Pamiętam pewien piękny wieczór u Gorkiego, gorące dysputy o literaturze, krzyżowy ogień pytań i odpowiedzi, żarty, śmiech, a potem atmosfera spokojnego skupienia. W tej atmosferze toczyła się przyjacielska gawęda o znaczeniu literatury dla sprawy rewolucji. Wtedy właśnie towarzysz Stalin wypowiedział owe niepospolite słowa o budowniczych dusz ludzkich.

Widzę Stalina w drzwiach wiodących do biblioteki, z fajką w ręce tą samą fajką, o którą zapytał go Emil Ludwig spostrzegłszy, że Stalin jej nie ma.

Stał oparty o framugę, od czasu do czasu posuwając się o krok, lub pół kroku w stronę jadalni, żeby rzucić uwagę, wziąć udział w rozmowie, która trwała prawie całą noc. Przy stole siedział Gorki. W myśl cichej umowy — w pokoju on jeden tylko palił, inni palacze wychodzili do biblioteki, trzeba było bowiem oszczędzać chore płuca Gorkiego. Stalin stał również na progu biblioteki, ale nie przestawał śledzić biegu dyskusji literackiej. I nagle nieoczekiwanym argumentem dezorientował polemistę, który palnął głupstwo, albo popełnił pozornie nieznaczny błąd.

Stalin wiele mówił o zadaniach literatury, a słuchając go, Gorki spoglądał na nas radosnym, promiennym wzrokiem, jak gdyby wzywał by wspólnie z nim cieszyć się z tych słów, sprawiedliwych, głębokich i wzruszających. Trzeba było widzieć, z jaką czcią i serdecznym uczuciem spoglądał Stalin na Gorkiego, pierwszego wśród literatów radzieckich.

*

* *

W znajomym mi pokoju podmoskiewskiego domu, którego okna wychodziły na park, ujrzałem po raz pierwszy Romain Rollanda. Z ramion jego zwisało coś na kształt pasterskiego płaszcza. Biały, wysoki kołnierzyk podtrzymywał jego piękną głowę, noszącą piętno choroby. Cierpienia ciała hamowały, zda się, pracę myśli, ale myśl zwalczała chorobę, myśl zapalała w oczach Rollanda nie gasnący płomień.

Aleksy Maksymowicz starał się nie być ośrodkiem zainteresowania: stał z boku przy drzwiach i patrzył w milczeniu na ludzi rozmawiających z Rollandem. Jedni mówili długo i za wiele, inni wypadali z oficjalnego tonu, a Rolland rad był z tego pogwałcenia zbędnej ceremonialności przyjęcia. Wiedzieliśmy, że jest chory i nie oczekiwaliśmy odpowiedzi na nasze przemówienia powitalne. Ale Rolland powstał oparłszy ręce na stole zaczął mówić głosem stłumionym, pełnym wzruszenia, podniosłym stylem krasomówstwa galijskiego.

Potem rozmawiał z literatami znanymi mu z ich utworów i znowu słuchał ciągnących się jeszcze powitań.

Wezwano mnie do Aleksego Maksymowicza. Obok niego stał wysoki, siwy mężczyzna, o rumianej twarzy i poczciwych krótkowzrocznych oczach. Był to nasz gość, literat hiszpański, niedawno przybyły do Moskwy.

Od czasu moich Listów o Hiszpanii Aleksy Maksymowicz uważał mnie, do pewnego stopnia, za znawcę spraw hiszpańskich.

I teraz Gorki znów poprosił mnie nie tyle w charakterze tłumacza, ile raczej jako człowieka, orientującego się w wypadkach, jakie zaszły w Hiszpanii.

Literat hiszpański przebywał wówczas w Paryżu jako emigrant polityczny. Z Gorkim rozmawiał na krótko przed dojściem do władzy Frontu Ludowego, w przeddzień wyborów do Konstytuanty. Nastąpiła rozmowa — szybka, ale treściwa. Gość przeważnie odpowiadał na pytania.

— Kiedy przyjechał?

— Skąd?

— Czy był w Oviedo w czasie powstania górników?

— Jaki jest nastrój wśród mas?

— Jak pracuje Front Ludowy?

— Jakie dzienniki wychodzą w Paryżu? I jak docierają do Hiszpanii?

— Jak się czują rewolucjoniści hiszpańscy na emigracji w Paryżu?

Wzruszony gość starał się odpowiadać wedle możności krótko i wyczerpująco na sypiące się, jak grad, pytania Gorkiego. Zapytał mnie, czy można się zwrócić do Gorkiego z prośbą, aby napisał artykuł do gazetki konspiracyjnej wydawanej w Hiszpanii.

— Dobrze. Artykuł będzie. Niech mi przypomni przez telefon.

I żegnając się, Gorki po przyjacielsku ujął Hiszpana za łokieć ze słowami:

— Ale jednak zwyciężymy?

L. Nikulin

(„Życie jest działaniem")

Zakazano mu wysiłku fizycznego i szybkiego ruchu. Serce jego prze
ciążone jest i bez tego codzienną pracą. O godzinie piątej Aleksy Ma
ksymowicz idzie, nie śpiesząc się, do parku. Tam błądzi między sosna
mi, prosty, wychudły, barczysty, w szarej marynarce i pstrej krymce
jego zwisające wąsy są nastroszone.

Aleksy Maksymowicz chodzi z laseczką, coraz to kaszle, zbiera sęki
suchy chrust, nogą zgarnia szyszki i liście. W całym parku zebrał ta
kie pęki chrustu.

...Ciepły wieczór. Na klombach otwarły się i pachną białe kwiaty ty
toniu. Za rzeką Moskwą, na łąkach nie widać mgły. Aleksy Maksymo
wicz idzie z opuszczonymi wąsami, nie śpiesząc się, ku miejscu, gdzi
leżą zebrane kupki chrustu. Zapala ognisko. Stoi nachmurzony, pa
trzy, jak pełga płomień, iskry unoszą się do góry poprzez drżące listo
wie — w noc. Jego oczy — szaroniebieskie — mają wyraz wielkieg
zadowolenia.

Stojąc między czerwieniejącymi pniami, może wspomina owe odle
głe ogniska, które rozpalał czterdzieści lat temu, na brzegach Wołgi.
Te ogniska rozświeciły zarysy zbliżającej się zawieruchy rewolucyjnej
Od nich zatrzęsło się gniewnie odwieczne mieszczaństwo rosyjskie
przesiąkłe nocnymi upiorami. Ogniska te zbudziły drzemiące siły buntu
Iskry rozniosły się po całej nieogarnionej Rosji, przekroczyły kordo
ny, niepokojąc umysły przeczuciem wielkich wydarzeń, nieuniknionych
wstrząsów.

Jakże ważne jest zrozumieć, dlaczego się to wszystko stało. Dlaczeg
na schyłku wieku — pojawił się Gorki? Czemu nieznany nikomu współ
pracownik Gazety Samarskiej — Jechudił Chłamida — mający nie
długą, ale już bogatą przeszłość proletariusza, który nigdzie nie mógł
zagrzać miejsca, stał się w krótkim czasie władcą marzeń milionowych
mas? Imię jego rozbrzmiewa sławą w całym świecie.

Schyłek stulecia zaznaczył się wybitnym rozwojem kapitalizmu i jed
nocześnie proletariatu. Rosja poczuła nagle, że czarny mundur carsk
ściska ją i dławi.

Od rewolucji, od dziewięćset piątego roku dzieliła ją jeszcze dziesię
cioletnia droga. Trwała jeszcze epoka czechowska. Bohaterzy powieści
Czechowa, maskując swą nudę uśmiechami, marzyli bezradnie i deli
katnie o jakimś pięknym życiu, które z pewnością spadnie im kiedy
z nieba.

Życie dusiło się w mieszczańskim czadzie. Próby rewolucyjne naro
dów dawno już stłumiono. Wydawało się rzeczą niemożliwą, niezisz
czalną, zrzucić przytłaczające brzemię caratu. Ale tak się tylko wy
dawało. Musiał nieuchronnie przyjść ktoś i krzyknąć: „Zbudź się, czło
wieku, z przykrego snu!" Przyszedł Gorki z pierwszymi swoimi utwo
rami. Rozpalił nocą na stepie ognisko i stary Cygan, Makar Czudra, za
czął opowiadać o wielkiej miłości i wielkiej dumie. Z miasteczka prze

ąknietego zapachem postnych placków Gorki poprowadził czytelni- nad brzeg morza pod gorące słońce i pokazał ludzi wolnych i sil- rch, o bujnych namiętnościach.

Niesłusznie nazywają go niektórzy romantykiem. To nie romantyzm z szeroki rozmach człowieka, który widzi i czuje wspaniałą różnorod- ść i pełnokrwistość życia. Przypomnijmy sobie: początek pierwszej ciolatki przyjęto na Zachodzie — a gdzieniegdzie i u nas — jako mantyczną brednię. Bosiak z pierwszych opowieści Gorkiego, filozo- jący przy ognisku, że „człowiek — to brzmi dumnie", wydawał się mal nieprawdopodobny. Ale jeśli dziś pomówić z komsomolcem, ro- tnikiem z sowchozu tak samo na stepie, przy ognisku, powie on, że owiek rzeczywiście urósł w dumę i zaryzykował przebudowę całego iata. I nikt już nie nazwie tej nocnej gawędy — romantyką.

Czterdzieści lat temu Gorki przemówił nieznanym dotąd głosem — cnym i pewnym. Był to głos proletariusza, głos kultury, która przyj- ie za czterdzieści lat.

Powiedział to, co masy ludzkie pragnęły usłyszeć: „Człowiek — to zmi dumnie!" „Podnieś, człeku, głowę z grzęzawiska mieszczańskie- zamętu — znajdź w sobie nie gasnącą nigdy wolę twórczą".

Napisał pieśń o zwiastunie burzy i wolne jej tchnienie owiało czło- eka, który wnurzył głowę z błota. Przywołał człowieka do stepowego niska, aby w rozedrganym płomieniu odnalazł w sobie zuchwalstwo do szczętu zniweczył dławiące odrętwienie schyłkowej epoki.

Jego Bosiak to tylko chwilowe wyjście z burżuazyjno-mieszczańskie- miasta, z ciemnej, wyzyskiwanej wsi. Gorki jak gdyby wzywał na ste- e, przy ognisku do skupienia i obliczenia sił. Nie był, jak Lew Tołstoj, zeciwnikiem kultury i miasta. Prawdziwą kulturę cenił najbardziej świecie, ale między człowiekiem a kulturą stał mieszczanin Kosty- w o mętnych, złych oczach i wilczych szczękach i zagradzał swym strętnym pyskiem drogę ku wyżynom kultury bezklasowej. Gorki rzucił go precz.

Artystyczny urok Gorkiego polega na tym, że przemówił głosem idą- m z wnętrza życia, głosem autentycznego proletariusza, człowieka łów". Gorki nie rozkoszował się życiem, lecz kochał je tak, jak cha proletariusz swój ciężki wysiłek.

Stało się to, co nastąpić musiało: zaczęło się wielkie pielgrzymowanie roznieconych przez Gorkiego ognisk. Karty jego niezwykłych ksią- k odwracał wicher dwóch rewolucji. Teraz, ku światłu jego twór- ości zdąża proletariat całego świata, ci, dla których przed czterdziestu y rozpalił ogniska.

Kiedy patrzyłem, jak błądzi pośród sosen, zgarniając laseczką suche towie, myślałem sobie: jakże szlachetna, wzniosła i prawa musi być sza tego wielkiego człowieka i wielkiego artysty!

A. Tołstoj
(„Ognisko")

MAUZOLEUM DYMITROWA W SOFII

To mauzoleum nie tchnie śmiercią, ale walką,
Tchnie sprawiedliwą bitwą.
On nie umarł, lecz walcząc idzie w drogę dalszą,
Bo walka to Dymitrow!

W każdym mieście bułgarskim i w Dymitrowgradzie,
Który jest jego gwiazdą,
On wiecznie żywe serce na budowie kładzie,
Dbając o cegłę każdą.

Nie widziałem woskowej twarzy w sarkofagu.
On żywy był i bliski,
Jak wówczas, gdy po ogniach i dymach Reichstagu
Grzmiał na procesie lipskim.

Nie widziałem umarłych rąk, ni ust umarłych,
Ni żałobnego czoła.
Zdawało się, że znowu „drżyjcie, nędzne karły!" —
Do zbrodniarzy zawoła.

Zdawało się, że ręce ożyją, by walić
Pięściami w Domy Białe,
Usta — dla słów wysokich, co umiały palić,
Czoło — dla myśli śmiałej.

Syn Warszawy, od walki i pracy skrzydlatej,
Równej jasnym olbrzymom,
Na grobie Dymitrowa kładę polskie kwiaty,
Nasiąkłe krwią i dymem.

Sofia, 6.III.1951 r.

PŁOWDIW

Gdziekolwiek tu kilofem uderzysz w tę ziemię
Odezwie się znienacka
Rzymska i grecka przeszłość, która w pyle drzemie
I przeszłość tracka.

Widzisz ją w oczach dziewczyn i mówisz: Hellada
Powraca w ich spojrzeniu,
W profilach ich powraca i antycznie gada
W ich głosów brzmieniu.

Z góry całe miasteczko widzisz jak na dłoni:
Domki włażą na skały,
Na szczycie gór, jak siwy długi włos na skroni
Śnieg świeci biały.

A w dole — mieszanina barw i ras pstrokata:
Tam tłoczą się Bułgarzy,
Ormianie i Cyganie, cali w świateł kwiatach
I Turcy starzy.

W wąskiej uliczce stoi Greczynka wysmukła,
A w muzeum amfora
Stłuczona. Myślisz: „Młodą ta dziewczyna stłukła
Ją chyba wczoraj."

Tak, wczoraj, gdy Orfeusz kazał tańczyć skałom,
Oczarowanym każdą
Orfeuszowych pieśni nutą doskonałą,
Jak dźwięczną gwiazdą.

Przed domkiem Lamartina przystajesz jak wryty.
Tu pisał wiersze swoje...
O, raczej je pisały płowdiwskie błękity
I czyste zdroje!

Tu cerkiew albo meczet wystrzela w obłoki,
A tam kolumna grecka
Złamana czasem. Tu mieszają się epoki,
Jak we śnie dziecka.

Wieczór jest taki cichy, że w tej ciszy złotej,
Lekkiej jak lot minuty,
Możesz Dymitrowgradu usłyszeć tu młoty
I Nowej Huty.

fia, 22.III.1951 r.

Włodzimierz Słobodnik

POKOLENIE

XIII

W październiku 1942 roku po raz pierwszy ukazały się w poczekaniach dworcowych, a także i w przedsionkach niemieckich knajp i budeli wielkie, białe plakaty. Wydrukowano na nich olbrzymimi literami ostrzeżenie: *Achtung,* nieco mniejszymi: *Banditengebiet,* a niżej rozkaz *Gewehr greif und feuerbereit halten.* Cały rok następny miał potwierdzić słuszność dumnej nazwy „teren bandycki". Nazwę tę miasto zachowało do końca — do dnia, kiedy przestało istnieć.

Jeśliby ktoś zadał sobie bezpłodny trud wykreślenia krzywej nalenie represji, spostrzegłby, że wypiętrza się ona co rok wyniosły garbem w okresie późnej jesieni.

— Pod jesień, kiedy następuje doroczna śmierć natury, a świat staje się nagi, czarny i kanciasty, przychodzi smutek. Jesień to czas pod dla nas — Polaków. Intelekt nasz zatraca swą odporność zrodzoną z optymizmu wiosny, bujności lata i bogactwa okresu zbiorów. Nie mamy już czego oczekiwać, oczekuje się jedynie mroku i zimna, wtedy oni uderzają. Oni nie są zidiociali bez reszty. Ich filozofia i psychologia a także praktyka zbrodni nie pozostawia nic do życzenia — twierdził doktór Konstanty.

Ale Jurek, chociaż zgadzał się z jego hipotezą, usiłował ją wzbogacić o działanie przyczyn natury politycznej.

Powieszono wówczas pięćdziesięciu komunistów wzdłuż toru kolei obwodowej i nałożono na miasto kontrybucję. Była to pierwsza publiczna egzekucja masowa. Uderzyła w serca ludzi pierwsza, ołowiem leca się fala terroru, długotrwałego, potężniejącego bezustannie, aż do orgii jesienią 1943 i później w dobie powstania. Terroru, który gniótł mózgi żelazną łapą i kamieniem kładł się na duszy.

Jednocześnie ukazały się pierwsze czerwone obwieszczenia i szubienice w Markach i na Szczęśliwicach. Tam, gdzie nie postawiono szubienic, ciała skazanych wisiały jak czarne sople na poprzeczkach telegraficznych słupów.

Matki idące do miasta kładły dłonie na oczach swoich dzieci, ale one nie potrafiły odwrócić wzroku. Wiatr obracał ciała komunistów

owieszonych pomiędzy burą ziemią, a niebem mrocznym i nisko navisłym.

Grześ przyszedł rano do warsztatu rozdygotany. Z poświstem wciągał nozdrzami powietrze. Znali ten odruch jego koledzy od pijatyk awantur, był to niechybny znak, że zacznie bić. Milczał, a nagabywany przez Fijałkowskiego warknął: „Idź, przeleć się na Szczęśliwice, niechcę ci się gadać. Tu już nie ma co, bracie, tu już bodaj siekierą trzeba ich pokarać. Pożycz do soboty na ćwiartkę, wszystko mi z rąk leci."

Później prasnął pustą butelką w kąt i mówił patrząc tępo przed siebie: „Kruki na nich nie siadają. Kruki lubią wydłubać oczy, ale przechodzą górą. Kruk to jest chytry ptak, kiedy idziesz polem z pustymi rękoma na dziesięć kroków dopuści i ledwo później podskoczy kawałek, ale nieś bodaj patyk w ręku — on myśli — strzelba — i na sto kroków poderwie się. Nie siadają, górą idą, dołem chodzi Niemiec z karabinem... pilnuje."

*
* *

Po fajrancie do Rodaka przebierającego się w wyjściowe ubranie podszedł Jasio Krone i nie kołując przystąpił od razu do rzeczy.

— Ja wiem, Rodak, czego wy się na mnie boczycie, to za tamte łachy z *Winterhilfu*. Ja...

— Co? Przepraszać mnie będziesz?

— Nie. Tylko ja, rozumiesz, chciałbym przystąpić do was, znaczy do Gwardii Ludowej. Głupio to nawet dzisiaj mówić o tym, ale tamtych powiesili, a ja...

— A ciebie nie — ciesz się.

— O rany... z tobą zupełnie gadać nie można. Ja do ciebie jak do człowieka, a ty mi tamtych głupich paru szmat nie możesz zapomnieć.

— Mogę. Postaraj się o to. A w sprawie Gwardii — to nie ja ciebie będę przyjmował, ale przyjmie ciebie, stolarzu zafajdany, terminator Stacho albo Jurek. Do nich idź. Oni są bojowcami, ja jestem stary kiernik. Już się nawet na czerwony plakat nie nadaję.

*
* *

W owych czasach spotkania odbywały się na „giełdzie". „Giełdę" oznaczał odcinek ulicy Wolskiej, pomiędzy rogatkami przy placu Mierceleго a narożnikiem ulicy Młynarskiej.

Wiadomo było, że można tu spotkać wszystkich, nawiązać zerwan kontakt, otrzymać prasę, przekazać wiadomość.

W niedzielę przed południem, odświętnie wypucowani z przylepi nymi do twarzy w miejscach okaleczonych brzytwą strzępkami bibu przychodzili tu wszyscy prawie szeregowi gwardziści z Woli. Przech dzali się poważnie, strzelając na wszystkie strony badawczymi zer nięciami. Wydawało im się, że są niepoznawalni. Tymczasem najgłu szego agenta mogły zainteresować te grupki ludzi formujące się be ustannie w rozmaitym składzie i rozprawiające żywo. Jakoż zlikwid wano „giełdę" w czasach późniejszych, urągała bowiem wszelkiej kon spiracji. Niemniej jednak spełniła ona swoją rolę wówczas, kiedy bra kło lokali. Przyjemnie było policzyć się bodaj raz przy niedzieli.

Na „giełdzie" Stacho i Jurek spotkali Sekułę. Widzieli się po ra pierwszy od czasu nieudanej roboty.

— Uff — stęknął i usiadł z widoczną satysfakcją na ogrodowym składanym krzesełku w piwiarni u babci Katarzyny, gdzie wstąpili, ab przekąsić. — Chodzą wszyscy nastroszeni jak sowy. Rzadko przychod na „giełdę" i dobrze, że spotkaliśmy się. Ech, partyjniaki nasze, party niaki, mamuty to są nieruchawe a ostrożne, dobre chłopy ale tak ba dzo żonate i dzieciate. No co z wami, chłopaki moje, co z wami?

— Nic. Trybunę na warsztat dostarczamy. Rodak kazał agitowa powiada: sama organizacja to nic, ale na boki róbcie robotę. Taki F jałkowski, no wie pan, ten malutki, taki dokładny...

— Wiem, tylko wy już do mnie „pan" przestańcie mówić. Mów p naszemu Stasiek „wy", albo najlepiej trąćmy się piwkiem i na „ty" be dziemy.

— Tak... więc ten Fijałkowski jest niby nasz, ale on jest właśnie tak dzieciaty i żonaty, i nie ma co na niego liczyć. Po egzekucji przywarc waliśmy trochę.

— Zlękli się... No to wam coś opowiem i tak dowiecie się z „litera tury".

Mówił najpierw o tamtych akcjach poprzedzających powieszeni Snuł długie, pełne dygresji opowiadanie o nocach spędzonych nad pro dukowaniem min. „Skąd wziąć plastyk albo trotyl! Skąd wziąć ten tro tyl!"... wołał prawie na głos, w pamięci jego bowiem odżyły wszystki troski poprzedzające wykonanie planu akcji. Później wdał się w roz pamiętywanie szczegółów konstrukcji zapalnika do miny i od razu był widać, że są to wszystko rzeczy nowe, które wchłaniali z ciekawości

ochylali się nad schematycznym rysunkiem wykonanym przez Sekułę
a skrawku papieru. Stacho pytał: „jakto — plus, minus? Prąd to
rąd".

— No nic nie rozumiesz, bieguny jak w akumulatorze jeden prąd do-
atni drugi ujemny, to daje krótkie spięcie — iskrę, no... a od iskry
pala się tutaj — proch. Proch daje uderzenie i cześć — tłumaczył
urek.

— Tak... ale to jest ostatni krzyk mody. Próbowaliśmy inaczej. Wkła-
aliśmy w ładunek plastyku zapalnik od granatu ręcznego, do zawlecz-
przywiązywało się szpagat i jak nadjeżdżał pociąg ciągnęło się za
n sznurek. Ale to było złe, sznurek się zacinał. Więc wtedy wysadzi-
śmy te tory na kolei obwodowej i w innych miejscach wokół miasta.
le to nie było dobre. Niemcy zreperowali je bardzo szybko. To nie
ak trzeba. Trzeba blokować transport. Tor kolejowy blokuje wysa-
zony pociąg. A tak to raz dwa, zmienią podkłady i szyny, podsypią
emi i do widzenia — transport idzie dalej. Ale spróbuj pociąg usunąć,
ywalony pociąg — napocisz się i strata większa. Będziemy wywracać
ociągi, ale wtedy poprzestaliśmy na wysadzaniu torów. Później po-
iesili... i pewno myśleli, że to koniec, że my damy się postraszyć. Nas
aż rozstrzeliwali tysiącami...

Teraz Sekuła opowiedział rzeczy niewiarygodne.

— Jak to tak — w środku miasta — nasza robota — dziwili się.
afé Club, Mitropa, drukarnia Nowego Kuriera. Centrum miasta,
entrum niemieckiej dzielnicy. Dworzec Główny pełen urlopowa-
ych Niemców obwieszonych ukradzionymi przedmiotami, wlokących
sobą broń, obarczonych plecakami, które puszczają w szwach. Na
worcu bar Mitropa — *nur für Deutsche* — natłoczony, pełen odoru
iwska i tytoniu, zapchany Niemcami, z których jedni radowali się ja-
ąc na zachód, a drudzy byli markotni i bez bagażu — ci dążyli na
ront... I w tę kaszę, w te wszystkie niemieckie troski i radości sypnęły
wardyjskie granaty.

Café Club — elegancki burdel niemiecki, *nur für Deutsche*, kędzie-
wate dziewuchy w szarych mundurkach z wyobrażeniem pioruna na
kawie, odbijające sobie post tańcowania nakazany w ojczyźnie. Ofi-
erowie ze szramami na policzkach, przystrzyżeni na jeża, wesolutko
odpici. Mundury szare, czarne, brunatne. Mundury z trupimi czasz-
ami. W to rojowisko rozgrzanych cielsk, w to rykowisko niemieckich

nadludzi — granaty. Przez kilka dni przynajmniej nie będą tutaj pob
kiwały saksofony. Muszą zmyć plamy krwi, czarnej kawy i likierów
Muszą wysłać listy z czarną obwódką.

Niech wiedzą, że nie ma dla nich miejsca na ziemi, że będzie się ic
zabijać jak wszy w każdym zakamarku, że bezkarnie nie będą mo
dować.

Za ciasno zrobiło się w mrocznej norce babci Katarzyny. Wyszli n
ulicę. Szli obok siebie, milcząc, mrużąc oczy od światła. Znacie tak
niedzielne popołudnia pod koniec jesieni. Wierni wychodzą z kościo
łów po ostatniej mszy. W ciepłym ostatkiem ciepła powietrzu, miękki
jak wata, odświętnie, dźwięcznie brzmią głosy ludzkie, jakby doch
dziły zza wody. Dzieci dotykają językami kolorowych cukierków, pr
wadzą przed sobą wielkie motyle malowane kolorowo, motyle klaszcz
drewnianymi skrzydłami. Chciałoby się słyszeć pianie koguta i ech
wszystkich kościelnych dzwonów, ale dzwony zdjęto z wieżyc i zabra
no na złom.

XIV

Dziewczyna miała czarne włosy przykryte okrągłą czapeczką, ozd
bioną kiścią jedwabnych sznurków.

Jurek pomyślał: „ładna".

Stacho pomyślał: „co nam powie".

Widywał ją już poprzednio za czasów swoich wypraw na Koło, zna
ją i nazywali: „czarna Hanka", dla odróżnienia od drugiej „białej",
przychodziła na zebrania kółek młodzieżowych z maleńką córeczką.

Dziewczynie towarzyszył wysoki, barczysty mężczyzna o młodej tw
rzy pełnej charakteru. Przedstawił się jako „Zawisza".

„Zawisza", „Zawisza" — powtarzał w myśli Jurek — „zobaczym
coś ty za Zawisza." Nie miał zaufania do pseudonimów brzmiący
gromko a zamaszyście, bowiem ojciec, a może jeszcze bardziej dokt
Konstanty wdrożyli go do niedowiarstwa.

Krótka, nader plugawa ulica Staszica przerżnięta wzdłuż głębokir
rynsztokami, ulica szewców i trumniarzy, wystarczyła na omówien
wszystkich spraw. Niewiele ich było: tworzy się Związek Walki Mł
dych. Wszyscy młodzi gwardziści są jego członkami, pozostając nad
w szeregach organizacji gwardyjskiej. Młodzieżówka będzie miała sw
ich własnych dowódców, specjalnie wyznaczonych przez sztab Gward

ednym z nich jest „Zawisza". Na pożegnanie: „Czy dostajecie mło-
ieżową literaturę? Nie? No to zasłońcie mnie, towarzyszu „Bartek",
m wam nasze pismo".

„Hanka" wsunęła dłoń do torby i podała Stachowi zwitek bibulastych
rtek pachnących silnie świeżą, drukarską farbą.

— Zobaczymy się za trzy dni w tym samym miejscu. Do widzenia.
dziemy pracować razem. Do widzenia. — Uśmiechnęła się po przy-
cielsku, szeroko, oczyma, całą twarzą, nawet tym wisiorkiem u cza-
czki. Było w tym wiele serdecznego ciepła, ale mówiła na sposób
ojskowy, to znaczy, tyle ile trzeba.

— Oj, weźmie nas ona do galopu — utyskiwał na pół serio Jurek. —
kończą się dobre czasy kolportowania Trybuny, spotkań na giełdzie
całej tej żółwiej roboty. Pogimnastykujemy się, Stasiu, czuje moja
usza. „Młodzieży, ty nad poziomy wylatuj..." — dodał.

— Mnie to nie martwi — powiedział Stacho. — Mnie się ona podoba...
i czego się śmiejesz jak głupi... ja o poważnych rzeczach myślę. Mnie
wydaje, że nam właśnie potrzeba być razem ze wszystkimi młodymi
warzyszami, żebyśmy mieli młodych dowódców, młodych kierowni-
ów politycznych. Raźniej nam będzie jakoś... — powiedział Stacho
powtórzył to samo Jasiowi, Jasiowi Krone i Szermentowskiemu Jac-
owi, którzy oczekiwali w sodowiarni.

— Co to za świstki? — spytał Jasio. Odczytał Walka Młodych i od-
nął od siebie papier. Znowu bibuła i nic tylko bibuła, czy nie mówiła,
iedy dadzą broń? Ja tego czytać nie będę. Ja mam swój rozum. Ja
am dosyć tej propagandy. O dotąd — wodził palcem po gardle, cho-
aż Trybuny ani nie czytał, ani nie kolportował.

— Broń będzie. Jeszcze nie wiem dokładnie, gdzie chowają. Ale we
torek przyniosę do Jurka. — To powiedział nagle Szermentowski Ja-
ek, a wszyscy zamilkli. Twarz Jacka nie wyrażała żadnych uczuć ani
umy, ani troski. Komunikował wieść, po swojemu, wadliwie akcen-
ując słowa.

— Jakto? — Jasio łyknął ślinę i z półotwartymi ustami gapił się
drewniane oblicze Jacka. — Ty? Jak?

— Ukradnę.

— Jaka broń?

— Vis.

— Komu ukradniesz?

— Nie z magazynu Gwardii Ludowej, bo Gwardia nie ma zwyczaju
agazynowania broni.

Jasio uśmiechnął się kwaśno i powiedział „dobra". W umyśle jeg
powstał zapewne w tej chwili zamiar, który omal nie sprowadził na
nagłej a niespodziewanej śmierci.

— Zaczyna się wszystko jakoś dobrze układać. Zaczyna się nam, sta
ry, układać. — Jurek dawał wyraz swemu rozochoceniu, poklepuja
Stacha po łopatce.

*

* *

W istocie tak mogło to wszystko wyglądać. W wyobraźni widzie
mnożące się bezustannie sekcje bojowe młodych robotników, metalow
ców od Lilpopa z Dzwonkowej, od Gerlacha, robotników z tramwajó
i młodych kolejarzy. Młodych, sprawnych, pełnych dumnej odwagi, ża
rzących się entuzjazmem, przebiegających miasto niby kamienny la
rozsadzających wybuchami min i granatów spiżową pokrywę niemie
kiego terroru, nieuchwytnych jak mgła, a pewnych. Marzyli o tysięc
nych oddziałach czerwonych partyzantów, panujących we wszystkic
lasach, wsiach i miasteczkach, kontrolujących drogi i zamykających
barierą ognia wszelki ruch niemieckiego transportu. Marzyli o wyro
słych z ziemi i ziemi broniących partyzantach, czupurniastych, pół na
gich, obwieszonych bronią, śpiewających pieśni o zachodach słońc
na skraju lasów, w wioskach białych, stulonych pomiędzy kudłaty
mi wierzbami, gdzie żaden Niemiec nie przyjeżdżałby z rekwizycją, bo
jąc się śmierci.

Marzenia te, proste w swej treści, wydawały się zbyt śmiałe i dla
tego nadawali im miano marzeń, a nie dążeń.

— Marzycielu, marzycielu — mówił do Stacha Jurek. — Popatrz na
około. Naokoło jest strach. Każdy wytrzeszcza ślepia w głąb ulicy, cz
nie dostrzeże łańcucha żandarmów. I ty, i ja idziemy ulicą, a głowam
kręcimy, jakby były osadzone na obluzowanych gwintach. Czaisz si
pod murem, czekasz na moment, kiedy żandarm położy ci dłoń na ra
mieniu: *Ausweis bitte!* A jeśli nawet masz ten świstek, to patrzysz m
w twarz psim wzrokiem i myślisz: „a może mu się coś, bykowi, nie spo
doba". Łatwo jest marzyć...

— Trzeba marzyć o pięknych rzeczach, inaczej, ja myślę, sflacze
jesz. A co do czajenia się, to dobrze będzie, jak już pójdziemy sobi
z tego rogu, za długo się tutaj kręcimy a „Hanka", widać, nie przyjdzi

Nie przyszła już nigdy na żaden podpunkt — została zabita. Umarł
w szpitalu więziennym. Gestapowscy lekarze grzebali gumowymi łapa
mi w jej wnętrznościach, wyłuskiwali pociski. Ich koledzy celowali jej

ik zbyt dobrze, zbyt wściekle strzelali obawiając się, że dziewczyna nknie wśród krętych uliczek staromiejskiej dzielnicy. Ze zbytnią gą odetchnęli, skoro spostrzegli, że upadła czepiając się palcami kaiennych flizów ulicy Mostowej, ześlizgującej się w dół ku Wiśle. óźniej pragnęli przywrócić jej życie, aby zabijać bardziej dokładnie, y zabijać dłużej. Przeklinali tych, co zbyt pochopnie spaskudzili dłu- trwające i doprowadzone do pomyślnego rezultatu polowanie.

Chłopcy jeszcze nie wiedzieli. W dniu, kiedy „Hanka" nie przyszła podpunkt, Jacek przyniósł w kieszeni kurtki broń, położył na stole sposób niedbały i powiedział: — Macie, cieszcie się, ja już się naciełem. W certusie, bydlak, trzymał taki pistolet. W beczce z certusem. ły był utytłany w jakimś smalcu, lufa zapchana tłuszczem. Owinęli dziesięć szmat i papierów. Na dwadzieścia lat zakonserwowali. Właość jest to mojego szefa — akowca. Myślałem, po co pistolet ma nić. Zwędziłem mu i tyle. Takiego pistoletu każdy się zlęknie.

Była to piękna broń, lśniąca głęboką czernią oksydowania, bez skazy. is miał rasowy kształt, przypominał zwierzę dobrej krwi. Ciężki miarę, z wygodną, dobrą do dłoni rękojeścią w ebonitowych okładach misternie żłobkowanych. Z tyłu miał kurek, łatwo odwodzą- się przy pomocy kciuka. Za pociśnięciem spustu kurek spadał na licę, spadał z suchym metalicznym trzaskiem, jaki wydaje przy udeeniu dobra stal. Można było łatwo wyobrazić sobie łoskot strzału szarpnięcie pistoletem w tył i do góry. Vis obdarzony był przez konruktora niezawodnym mechanizmem zabezpieczającym i mimo swej omplikowanej konstrukcji był łatwy do rozbierania. Płaski, o proej sylwetce, miał i tę zaletę, że wetknięty za pasek od spodni przyleł dobrze do ciała, dawał się ukryć pod odzieżą. Ma koliber 9, a więc amunicję do niego nie było trudno; wszystkie pistolety będące w poadaniu Niemców miały ten sam kaliber: Parabellum, Mauzer szturowy, piętnastostrzałowy FN, Walther — chętnie noszony przez lotków, maszynowy pistolet MP używany przez dowódców drużyn pieoty i fizylierów. Amunicją 9-cio milimetrową obsługiwano pistolety aszynowe Bergman, Suomi a nawet angielskie Steny. Visa wychwalali ż grubo przed wojną Niemcy we wszystkich fachowych wydawnicvach. Opisy jego konstrukcji nie były pozbawione tonu rzeczowej robaty. Visy otrzymali wojskowi polscy dopiero w 39 roku. Konrukcja pistoletu stanowiła wojskową tajemnicę.

Jeden z ocalałych niedobitków, który nie został rzucony w 39 roku kupę szabel i karabinów rosnącą pod czujnym okiem niemieckich

żołnierzy, leżał na stole lśniąc metaliczną czernią w świetle karbid
wej lampy, prosząc smukłym, podanym do przodu kształtem, aby prz
puścić kulę przez jego gardziel.

Stacho podniósł się z krzesła, podszedł do stołu, chwycił rękojeść p
stoletu tak miłośnie, jak skrzypek ujmuje szyjkę drogocennego Str
divariusa, podniósł dobrą broń do góry i przycisnął do warg. Nie w
wołało to uśmiechów.

Być może, o tej samej godzinie „Hanka" umierała w pawiacki
szpitalu.

XV

Oto na uboczu cichy plac zwany Budlak. Panował tu zabytkowy be
ruch właściwy starym rynkom brukowanym sękatymi kamieniami, t
kim rynkom, gdzie sterczy żelazna pompa o fantazyjnie zawiniętej ręk
jeści. Spokój napłynął, kiedy raz na zawsze zlikwidowano tutaj targ
wisko warzywne. Badylarskie wozy na resorach wypełnione zielen
lub zwieńczone kolorową pianą kwiatów przywożonych na święto Z
duszek, wszystkie wozy omijały plac, toczyły się Górczewską i Les
nem ku Żelaznej Bramie. Szare, dobrze spatynowane kamienie, zmu
szałe płoty i zakurzone drzewa kasztanowe, pozostały same dla sieb
wokół kwadratowej przestrzeni bruku.

Ludzie idący do pracy, przekraczając żelazny próg bramy czynszow
go domu, zerkali kątem oka jak spłoszone konie na trupa mężczyzn
odzianego dostatnio.

Żandarm z *sonderdienstu*, trzymający wraz z dwoma policjantam
straż, pokrzykiwał. Przechodzili szybko, unosząc obraz ciała, leżące
bezwładnie jak garść gałganów, i głowy zasłoniętej strzępem papie

Został zabity w porze dnia bardzo wczesnej, kiedy z zajezdni rusza
pierwsze tramwaje jadąc szybko i lekko pustymi ulicami...

Na plac Budlak weszło trzech mężczyzn. Kroki ich terkotały głośn
Idąc wzdłuż rzędu kasztanowców zwolnili kroku i zamilkli.

— Czemu zwalniacie. Spóźnimy się — powiedział mężczyzna w g
bardinowym płaszczu.

— O, mamy jeszcze sporo czasu — odpowiedział starszy z towarz
szących mu. Starał się zdanie wypowiedzieć jak najnaturalniej i d
tego zabrzmiało fałszywie i matowo. Zląkł się, chrząknął.

— Chwileczkę... sznurowadło, powiedział trzeci, najmłodszy.

Pochylił się i przyklęknął na skraju chodnika. Tamci stanęli, sięgn
po papierosy. Człowiek w płaszczu był odwrócony plecami do popr

wiającego sznurowadło. Przypalał papierosa i zdziwił się, kiedy nagle n, który podawał mu ogień, objął go wpół i przycisnął do siebie z niewiedzią siłą. Człowiek w płaszczu już teraz wszystko zrozumiał i społ się nagle.

Młody człowiek poprawiający sznurowadło, odgiął się gwałtownie k sprężyna i z rozmachem uderzył. Zabrali dokumenty i broń, po ym starszy syknął: „uciekaj, nie patrz za siebie, za rogiem się spotamy".

Pojechali tramwajem na przedmieście.

Siedzieli do późnych godzin poobiednich w mieszkaniu pewnego rotnika. Gryźli powoli i łykali z trudem chleb. Młodego zmusił starszy wypicia szklaneczki samogonu. Wówczas chłopak zasnął, położywszy ę na kanapie ozdobionej pasem płótna, na którym wyhaftowano: „Dorej nocy."

Starszy siedział i przebiegał myślami wszystkie ogniwa zdrady, przyominał sobie adresy, ludzi, których znał lub mógł znać zabity. Podparł zoło dłonią i myślał, myślał pochylony nad stołem. Trzy dni temu pył: „zrobiłbyś coś takiego, Stasiek?" Tamten powiedział: „no, jeśli pozeba... tylko ja, rozumiesz „Smukły", jeszcze nigdy nikogo nożem nie wiem, jak uderzyć."

— Potrzeba. Nie można strzelać. Rano jest cisza. Pistolet może zawieść, a tu nie może być zawodu. Poza tym chodzi sporo patroli Górzewską. Łowią szmuglerów. Trzeba cicho.

Dużo trudu Sekuła poświęcił na to, aby tamtego podprowadzić, ustawić go w takim punkcie miasta, by wyrok można było w ogóle wyonać bez większego ryzyka, bez budzenia podejrzeń w umyśle konfienta. Była to praca pajęcza. Cieniutką siateczką otaczał tego „Wronę", tamten mógł w każdej chwili przerwać pajęczynkę nie wiedząc o jej stnieniu. Z mglistych przypuszczeń i przeczuć wyłoniła się na mgnienie oka możliwość wykonania akcji.

Stacho jest niepozorny, młodziutki — „Wrona" pomyśli „pętak" wyzbędzie się wszelkich obaw.

Stacho obudził się i począł wciągać drewniaki. Dokładnie i długo, byt dokładnie i długo owijał stopy nucami.

— Stasiu, ty mnie nie miej za złe, że ciebie do tej roboty wziąłem.

Stacho podniósł się, zbladł i szybko poszedł w kąt, ukrył się za zasłoną wiecistego perkalu. Słychać było, jak myje twarz, a potem tłumaczył:

— Zupełnie nie mogę pić wódki, odwykłem, nudzi mnie teraz. A co do ej roboty, to ty się, „Smukły", nie przejmuj. Ja myślę, że każdy z nas usi kiedyś zabić pierwszy raz. A czy tak, czy tak, to już nie ważne.

Zamyślił się i przecząc swoim słowom dodał.

— Ja myślę, po tym, to już nic gorszego mnie nie czeka. Przeszedłem najgorsze. — Siedział zasępiony, oglądał swoje dłonie, jak obce przedmioty. — Ale dlaczego kazałeś mi iść naprzód?

— Nie byłem pewien, czyś trafił w serce. Nie byłem tego pewien, a on nie mógł żadną miarą pozostać przy życiu. Nie byłem pewien... — Sekuła zamilkł na chwilę. — I wiesz co, Stasiu, już za to samo, że człowiek musi robić takie rzeczy można znienawidzić. Za to samo, że na do takich rzeczy zmuszają... Idź teraz do domu. Wieczorem przespacer uj się, ale nie sam, nie sam. I ani pary... nikomu, nigdy. Zobaczysz, że to będzie najtrudniejsze.

Sekuła pozostał czekając na powrót gospodarza. Myśli jego podobne były do chmury gorącego dymu. Lękał się, czy po pewnym czasie nie zobaczy w oczach Stacha suchego, zimnego blasku. Udrękę przynosiła mu myśl, że po pewnym czasie twarz chłopca skamienieje, wskazując, iż wszelka ludzkość stała mu się obca.

*

* *

Rżnęli Niemcy wysokopienne lasy na Podkarpaciu, walili wiekowe buki proste, zwięzłe, ciężkie jak żelazo. Uchodziły z poręb jelenie i party zanci.

Z drzewa robili nosze, tysiące noszy. Robili szybko nie susząc drzewa sączącego soki pod nożami maszyn. Noszy potrzeba było coraz więcej.

Po tych bukach spuszczonych w pośpiechu można było liczyć niemieckie trupy. Na wschodzie padał trup szybciej, niż drwal ciął siekierą.

Deski magazynowali na wielkim placu poza zabudowaniami fabryki Lilpopa. Ustawili całe miasto ze sztabli buczyny, sosny, dębiny. Berlgowie najęli furmanów i zwozili materiał. Trzeci Berg opił sprawę z niemieckimi zleceniodawcami: przymknęli jedno oko lub obydwa kiedy zażądał potrójnej ilości drzewa, i podsygnowali zamówienie.

— Pan, panie Jurku, będzie konwojował te transporty.

Konwojował.

W ciągu kilku dni Jurek przylgnął do furmanów — chłopaków wesołych, cwanych, podobnych z wyglądu do ich ciężkich, krępych koni. Dawali powozić. Zawieszony na lejcach, ze stopami wpartymi w deskę platformy, Jurek popędzając konie ryczał na całą ulicę Grenadierów „bujaj się, Fela!" i śmiał się szeroko rozdziawiając usta. Było to podobne do jazdy na zawrotnej karuzeli. Konie, biegnąc sapały równo w rytm

usa. Furmani doradzali: — Nie puszczaj pan, panie Jurku, trzymaj
an dobrze w lejcach.
Praca była lekka.
W ostatnim dniu zwózki, kiedy furman krzyknął: „Brama!" żądając
ypuszczenia transportu na ulicę, a Jurek powiewał pękiem koloro-
ych kwitów i przepustek w stronę wartownika, ze strażnicy *Werk-*
hutzu Lilpopa wyskoczył spaśny komendant. Dopinając mundur na
ersiach, w czym przeszkadzał mu wiszący u przegubu dłoni pejcz, wo-
ł: *halt* i *stój*.
Podszedł do platformy, rozkazał zejść i liczył deski dźgając palcem
wietrze, pomylił się, i począł odkreślać czerwoną kredą na sztorcach.
— Ile ma być?
— Sto dziewiętnaście.
— Jest sto dwadzieścia trzy. Tylki was świerzbią. Kto konwojent?
— Ja.
— Furmani zwalać deski. A ty chodź na wartownię.
Jurkowi wyschło w gardle. Strach obudził się w brzuchu i łachotał
iękkimi łapami.
— „Będą bić. A przecież furmani nie kradli, ponieważ byli dobrze
łacani, pomylił się komendant."
W wartowni śmierdzącej dziegciem siedziało na ławie kilku *volks-*
ijczów osowiałych, rozprażonych lenistwem. Poderwali się na widok
zywódcy. Minął ich i wepchnął Jurka do pokoiku, który sam zajmo-
ał. Później ryczał długo i nudnie, gęsto przeklinając. Wreszcie pod-
ósł nad głową pejcz i świstał nim łakomie w powietrzu.
Jurek nie uchylił się. Patrzył ponuro spod brwi w czerwone oczka
mendanta, lśniące od wódki. — „Nie uderzysz" — myślał. — „Jeśli
derzysz, zastrzelę. Wpakuję ci w ten świński łeb odżałowaną kulę naj-
lej za trzy dni."
Nie uderzył. Być może — posiadał jako zwierzę instynkt, który
trzega. Być może — oczekiwał gestu bojaźni, aby zadać pierwszy cios.
iał jednak do czynienia z człowiekiem uzbrojonym i wstrzymał
kę.

XVI

Wieczorem łapanek zazwyczaj nie było. Zachowywano pozór, że cho-
i o wyłapywanie w ciągu dnia nigdzie nie zatrudnionych spryciarzy
wagabundów pasożytujących na organizmie Wielkiej Rzeszy, której
nowie walczyli — dla Europy, jak głoszono w napisach zdobiących
ściany kamienic.

Wieczorem Jasio lubił wypuszczać się do centrum miasta. Chodz
po ulicach ledwo oświetlonych mgławym światłem latarni wojennyc
i kolorową poświatą witrażowych reklam wyciętych w zasłonach prze
ciwlotniczych: Café Żak, Café Marlena, Kawiarnia aktorów, „Śpiew
Wa-wa", „Złoty Ul", „Gra George Scott", „Dziś koncert", „Dziś flaki
Co krok w każdym domu ofiarowywano polską rozrywkę, polski
ciastka, kawę z polskiego jęczmienia, polskie kuplety na temat zdrady
miłości, samochodu, futra, powrotu i rozstania. Aktorzy obnosili swó
patriotyzm pomiędzy stolikami, na pytania spekulantów walutowych
gettowych szakali i zbandyciałych konspiratorów odpowiadali: „taki
czasy, takie czasy".

Jasio lubił spacerować, przypominać sobie wszystkie neony przedwo
jennego śródmieścia, wejść do knajpki, wypić, przekąsić przy barze
słuchać szumu panującego wewnątrz lokalu. Odetchnąć chwilę powie
trzem przesyconym zapachami kuchni, wódki, tytoniu. Nie miał pie
niędzy, co go mierziło i doprowadzało do łez prawie. „Idę — myślał -
i patrzę — leży portfel. A w portfelu — pięć tysięcy. No, powiedzmy -
mitygował się — tysiąc. Świnia jestem i bydlę. Ja podchorąży, c
robię? Kradnę jak sztubak siostrze pięćdziesiąt złotych z kasy skle
powej. Siostra handluje drewnianymi ćwiekami, dratwą, szewską smo
łą, woskiem, ma jakieś „brandzle", „kiedry", „futrówkę". Cholera...

Deptał powygryzane przez wojnę flizy chodników śródmieścia, kra
żył z pięściami wbitymi w kieszenie kurtki, przycinał płowy wąsi
zębami, nie mógł się pogodzić z losem.

Uznawał się za przeznaczonego do czynów wielkich i chociaż natur
poskąpiła mu postaci, czyniąc go mikrusowatym i białym jak maryno
wany śledź, duszę wlała weń szeroką. Widział siebie przelatującego
konno przez ucichłe w trwodze miasteczka, gnającego na ognistym ru
maku lub na pancernym samochodzie w otoczeniu drużyny straceńców
walczących nie tyle może za Ojczyznę, co z nieprzepartej miłości d
samej wojaczki.

Chciał mieć dużo pieniędzy, którymi by pomiatał, i kobiet, z któ
mi czyniłby to samo, mszcząc się za długie lata obojętności, niezrealizo
wanych flirtów, wychodkowych rozmyślań.

Cóż Niemcy, oni byli odskocznią, ruszyli wielki wiatr historii, któ
mógł wydąć żagle Jasiowego korabia. No a jeśli zginąć, to jako powi
szony przynajmniej za siódme żebro. A jeśli nie zginąć, to wjechać n
koniu depczącym kopytami pęki białych i czerwonych róż. Ale gdzie
koń?

Oto Jacek ukradł pistolet i nie chcą go dać nawet do ręki Jasiowi. owiadają: Przeszkoliliśmy się w rozbieraniu, czyszczeniu i celowaniu, aliśmy na dzielnicę — niech inni się szkolą. Jeśli będzie akcja — broń najdzie się. — Zatracą, zatracą na pewno. A jemu nie wierzą.

Zastanowił się chwilę i lojalnie przyznał: „mają rację". Jasio miał omysł co do tego pistoletu. Nazywał go „mój Vis". Trzeba do czasu rzymać uszy po sobie.

Rychlej jednak, niż przeczuwał, nadarzyła się okazja, podniesienia szu do góry. Znalazł się Aleksander zwany „Ali". Znalazł się podczas dnej z licznych wieczornych wędrówek po śródmieściu.

Jasio chodził, omijając patrole polowej żandarmerii złożone z tęgich nechtów ozdobionych ryngrafami wiszącymi na piersiach. Mijał żołaków wystających grupkami w pobliżu publicznych domów, młozieńców w powłóczystych marynarkach, młodzieńców w butach ofierskich, a także zwyczajnych ludzi. Minął też żebraka powtarzającego nonotonnie: „jestem głodny... jestem głodny..." Żebraka opartego plemi o murek pozostały z fasady wielkiej kamienicy, na której gruach bujnie rosły teraz zielska. Po czym, przeliczywszy pieniądze, Jaio wszedł do knajpki Hawana, dosiadł barowego stołka i poprosił wódkę „sztabową" z wermutem.

Patrzył po sali dobrze zatłoczonej. Kelnerzy gnąc się jak węże poniędzy plecami rozsiadłych szeroko gości balansowali tacami pełnymi laszek, patelniami pełnymi kotletów ze szmuglowanej świniny.

A zza pleców kelnera niosącego flaszkę miętówki wynurzył się „Ali". Podszedł do baru, przepchnął się obok oniemiałego Jasia i pytał barnana: „Panie starszy, gdzie tu można siusiu?

Potem zobaczył Jasia i krzyknął: — Uszczypnij mnie, jestem „na bańe" i wszystko mi się myli. Jasio!!! Cuda — niewida. Daj ryja, druhu o szabli! — Zapachniało wiśniówką.

— Ja nie mam forsy przy sobie — parował Jasio zaproszenia Aleksandra, ale czynił to niepewnie.

— Zniszczę cię za jeszcze jedno takie słowo... jak Boga kocham... zniszczę. Spokojna głowa... zerknij — tu odchylił połę marynarki. — Harmonia. Co? — Powiódł palcem po grzbietach nowych pięćsetek.

Wieczór zakończyła policyjna godzina.

Było pięknie. Muzyk podobny do śniętej ryby grał: Kwiaty polskie i Lekką kawalerię, nie żałując pedału, wszystko na ządanie Aleksandra. Była dziewczyna o lejących się wokół głowy jak vodospad włosach. Aleksander mówił: Irminko.

Kolega Aleksandra burknął coś nieartykułowanego jako swoje naz
wisko, a że pijany był absolutnie i na smutno, trzymał drugie dziewcz
za rękę i rzucał od czasu do czasu, patrząc na nią z pijackim tragizmem
słowo: „las"... po czym przez dobrą chwilę kręcił ponuro głową.

— Bo my, widzisz, za dwa tygodnie do lasu... do lasu — wyjaśnia
Aleksander. Po czym zaśpiewał: „na łów, na łów, na łowy do zielone
dąbrowy, towarzyszu mój".

— Jaki „towarzyszu"? Jaki „towarzyszu"? — dopytywał się Jasio.

— Nie nudź, chcesz, chodź z nami, kolego plutonowy podchorąży. Co

Zdołali się zmówić, zanim świat dookoła zamienił się w szklaną wate

*
* *

— Stalingrad nas zobowiązuje... pewność zwycięstwa... bezustann
wzmaganie aktywności w mieście i w polu... agitacja i czynny opór n
co dzień... Dlaczego mówimy „młodzież"?... Bezsensowność hasła „bro
do nogi" staje się dla każdego Polaka zrozumiała. Potrzebne nam s
kadry dobrych przywódców oddziałów bojowych, kierowników akcj
zbrojnych, ale to nie jest jedyny i ostateczny cel naszego działania.
szeroki front narodowy w walce o życie narodu, wolność narodow
i wyzwolenie społeczne. Wyzwolenie społeczne... to znaczy...

Dziewczyna wyrzucała z siebie zdania szybko, brzmiały one jak ha
sła. Starała się jednak o to, aby nie zabrnąć w frazeologię, w tłumacze
nie haseł hasłami, o co łatwo ludziom znającym prawdę, którzy, cho
umieją odpowiedzieć na każde: „dlaczego?", wyłączają samą możliwoś
usłyszenia takiego pytania.

Dzień był jeszcze pełny. W pokoju stał okrągły stół pokryty rów
niutkimi cegiełkami nalepek. Każda paczuszka ściśnięta była gumk
jakiej używają aptekarze umocowując receptę na buteleczce lekarstw
Nalepki uczyniono z gumowanej taśmy papierowej, produkowanej prze
39 rokiem w olbrzymich ilościach do zaklejania szyb przeciwko bom
bardowaniu. Pozbawiona kleju strona taśmy pokryta była nadrukiem
„Młodzieży do broni — las cię chroni." „Drugi front — chwytaj z
broń."

Drugie hasło było dobitniejsze, pierwsze zbakierowano jakoś na ko
rzyść rymu. Dwuwiersz łatwiej zapamiętać. Dobry dwuwiersz jest na
trętny jak osa.

Tu Jurkowi przypomniał się doktór Konstanty. „Czyżby i on?"

Z Powązek są dwaj delegaci: „Grzyb" i „Krawiec" oprócz nich siedzą na kanapie: Stacho i Jasio. Jasio siedzi „na baczność" nie opierając się plecami o wygodne, półkoliste oparcie. Twarz ma nieruchomą.

— Nasze dzisiejsze spotkanie ma na celu jedynie zapoznanie się wzajemne. Pracować będziemy razem i konieczny jest stały kontakt. Nasze zebrania aktywu będą się odbywały często. Indywidualnie omówię metody kontaktowania się z kierownikami sekcji, ponieważ nie potrzeba, by wszyscy je znali. Jako pierwszą zorganizowaną akcję w skali dzielnicy robimy nalepkowanie. Ta robota nie wymaga obstawy. Szczegóły omówione. Kierownicy sekcji po zebraniu podadzą ilość numerów Walki Młodych, taką ilość, jaką są w stanie rozkolportować systemem indywidualnym. Przewidujemy masowy kolportaż Walki Młodych. Należy już teraz pomyśleć o obchodzie rocznicy Pierwszego Maja. W tym roku Pierwszy Maja będziemy święcili uroczyście. A najważniejsza rzecz broń i lokale, lokale na zebrania i broń. Broń nam z nieba nie spadnie, kupić można, ale to nie zaspokoi potrzeb, można i trzeba zdobywać, to jest sposób najpewniejszy.

Na wargach Jasia, na wargach mięciutkich i omroczonych puszkiem płowego wąsa pojawił się grymasik ironii. Nie krył się z nim lecz przewnie, kurczy prawy policzek w diabolicznym uśmiechu.

Czuł się już teraz pewnie jako człowiek właściwy na właściwym miejscu, jako podoficer (z cenzusem) armii, rozporządzającej radiostacjami, zaopatrywanej z powierza w broń i pieniądze, dowodzonej przez tchowców. Tracił głupio czas na uczestnictwo w tym zebraniu, na które zaciągnął go niemal przemocą „Bartek". Tutaj wszystko się potwierdziło. Oczywiście papierkowa robota, oczywiście polityka sypiąca się wszystkimi dziurami jak sieczka ze sparciałego worka. Jasio zachował olimpijski spokój. Nie chandryczył się o broń i o docenienie jego wojowej wartości, jak czynił zwykle, kiedy miał do czynienia z kimś naczniejszym. To wszystko było już poza nim. Za dwa tygodnie wyjedzie do lasu z „Alim". Odjedzie daleko od sklepiku siostry, od brandzli kiedrów, a także od tej gromady papierem wojujących pętaków, z którymi zetknął go idiotyczny splot zdarzeń, sypiących się w tych czasach jak z rogu obfitości.

Stacho myślał o zdobywaniu broni. Postanowił zaprzęgnąć do tej roboty Jasia i chłopaków w najbliższym tygodniu. Jurek kopcił leniwie „machorkowego" i patrząc na czarny żużel rosnący na czubku papierosa zastanawiał się nad tym, jak łatwo, uśmiechająca się zatroskanym uśmiechem, łączniczka z partii wymawia zdania o zdobywaniu broni i dezarowaniu lokali na zebrania. Mówi się łatwo „zdobyć broń" a oznacza

to, że kilku ludzi będzie szło ulicami miasta z mizernym pistoletem
pazuchą, aby gdzieś, skoro zdarzy się szczęśliwy zbieg okoliczno
przystrzelić żołnierza lub policjanta. Mówi się „daj lokal" a oznac
to — „pozbądź się swej lubej otoczki konspiracyjnej. Wyleź ze swe
kokonu. Daj się poznać kilku ludziom, o których nic nie wiesz i wi
dzieć nie powinieneś. Wystarczy, aby jeden z tych ludzi okazał s
zdrajcą lub słabeuszem, a będziesz unicestwiony."

„Poker" — myślał Jurek — „zupełny poker. Każdy stara się jak na
dłużej zataić swe karty, aż wreszcie ktoś się decyduje. Ja nie bę
pierwszy."

Stacho zabrał paczki dla całej sekcji. Rozeszli się mówiąc słowo: „wo
ność" na pożegnanie.

— Dziewczyny nasze, cholera... dobrzy ludzie, co? Podobają się wa
co? — dopytywał Stacho tak natarczywie, jakby handlował ty
ludźmi.

— Mnie najwięcej cieszy, że nie jesteśmy sami na tej Woli.
myślę, że jest jeszcze więcej sekcji, tylko złączone są w inne ogniw
Zresztą najwyższy czas, aby robota nabrała jakiegoś rytmu. Po śmie
ci „Hanki" błąkaliśmy się jak pijane dzieci we mgle. Ciągle jakaś prz
szkoda. Coraz to zrywa się nasza niteczka, którą przywiązaliśmy
do Gwardii i do ZWM. Jak ja się mogę czuć, kiedy ciągle mnie się gu
jak chustkę od nosa — gderał Jurek. — Bodaj te nalepki. Niech
wiem, że jak rozlepię, powiedzmy trzydzieści haseł, to ktoś m
o to zapyta.

— Trzydzieści nie rozlepisz, bo ci nie starczy śliny — przygadał z b
ku Jasio. Bezpośrednio potem wygarnął wszystko. Że żadnej umo
nie zawierał. Znalazł swoich starych kolegów. Jego godności uwłac
kiedy się go traktuje jako rozlepiacza plakatów i rozwieszacza sztan
rów. Ma tego wszystkiego dosyć, a ponieważ uprzedzał, iż w polity
bawić się nie będzie, uznaje, że ma rozwiązane ręce. Pozostaje do
łatwienia sprawa pistoletu.

— Jakiego?

— Visa, co go ukradł Szermentowski z magazynu armii, której
Jasio, jest żołnierzem. Pistolet ma być zwrócony na jego ręce.

Ponieważ roześmiali się i Stacho, i Jurek, Jasio popadł w fanfaro
dę. Nie dopuści do tak oczywistej grandy. Świństwo woła o pomstę
nieba.

Był dostatecznie wrażliwy, aby wyczuć, że tamci dwaj zamykają
i twardnieją coraz bardziej. Zmienił ton. Mówił o pistolecie z żarliw
ścią odrzuconego kochanka, który błaga rywala o rzeczy nie do spełn

ia. Wił się. Obszczekiwał obydwu jak pies wystawiający dzika. Na ko-
zki wypełzły mu wypieki. Uszy jego zapłonęły.
— Szkoda gadać.
— A więc to tak. Znajdę sposób na was.
Wtedy Stacho zatrzymał go i dobitnie wycedził.
— Nie strasz, straszku, nie strasz, bo się w portki zes... Idź już do
snej cholery i nie przeszkadzaj, ty gnido — dodał tonem człowieka
użonego.
Jaś nie odczepił się zbyt łatwo. Stał się namolny, nudził i groził, na-
odził Jasia Krone w jego mieszkaniu. Wyczekiwał przed fabryką,
pał za poły marynarek. Sytuacja stała się groźna. „Jemu ten pistolet
trzebny jest dla zadawania szyku. Jeśli jedzie do lasu, po co mu pi-
olet? Partyzantowi potrzebny jest automat albo, jeszcze lepiej, długi
rabin." — „On ma zupełnego chysia. I to jest niebezpieczne." — twier-
ił Stacho, a w głowie jego rodziła się myśl, której uparcie nie chciał
adać formy wykończonej, formy postanowienia. „To byłaby dintojra,
zysta dintojra" — przekonywał samego siebie w chwilach, kiedy los
sia był nieomal przypieczętowany.
— Rozważ — namawiał Jurek. — On zna nasze adresy i nazwiska
awdziwe. Może podać wyczerpujący rysopis na każde zawołanie. Jest
a nas wściekły. Jeśli go przykaraulą — żegnaj, miły świecie. Sypnie
samej wściekłości. Gdyby zrobić takie profilaktyczne, małe „cyk".
— Zrobiłbyś? — pytał Stacho, a twarz jego tężała w takich razach
ak żelazny odlew. Kręcili głowami.
— Pomyśl. On oderwał się od nas — przekonywał Jurek. — My nic
ie wiemy o nim. Mogą go aresztować w każdej chwili i nikt z nas
tym się nie dowie. Nikt nas nie zawiadomi. Jesteśmy bezbronni.
— Skąd pewien jesteś, że sypnie. Może nie sypnie.
— On jest biały i taki miękki jak twaróg, on zgrywa wielkiego bo-
owca, ponieważ serce jego jest tak maleńkie i tak trzepotliwe jak sko-
ronek. Ludzie prawdziwi nie mówią wiele o sobie. Ja nie jestem pe-
ien. Ja sądzę, że on na sam widok gestapowskiego bykowca rozleje
ę. Napytaliśmy sobie biedy.
Przy tym wszystkim dzielnica żądała sprawozdań z nalepkowania.
ały się strumienie „literatury" do kolportowania. Szło na całą parę
zkolenie bojowe na wszystkich rodzajach broni krótkiej i na wszystkich
ostępnych rodzajach granatów ręcznych. Tempo roboty było wręcz
ariackie, wobec poprzedniego leniwego czajenia się. Być może, dlate-
o sprawę Jasia odsuwano na plan dalszy, starając się o niej na co dzień
ie pamiętać.

Na tydzień przedtem, zanim zniknął w lasach Podkarpacia, gdzie ar
sławy, ani blizny nie sądzone mu było zdobyć, przyszedł z propozycj
kompromisową. Przy pomocy chłopców Jasio rozbroi Niemca — pist
let zdobyty zabierze dla siebie. Odetchnęli. W niedzielę zapolowali. Tra
fił się w bocznej uliczce pancerniak SS-man z pięknym Parabellun
Jurek poprosił go o ogień sztywną, gimnazjalną niemczyzną. Jasio Kro
ne i Jasio minęli Niemca i teraz Jurek ssąc ogieniek śmierdzący ber
zyną, rozżarzając zbyt dokładnie koniuszek papierosa nad zapalniczk
czekał na okrzyk: *„Hände hoch!"*. Nie nastąpił żaden okrzyk. Jurek po
dziękował i podążając za obydwoma Jasiami ostrożnie wsunąwszy rękę
w kieszeń opuścił uniesiony kurek Visa.

Odebrał później Jasiowi nagan pożyczony od „Doroty" i poklepuja
ostentacyjnie partyzanta po ramieniu mówił:

— Życzę ci podobnych przewag w lesie. Tam za podobne spraw
po prostu rozwalają. W języku wojskowej prokuratury to się nazyw
„tchórzostwo w obliczu nieprzyjaciela". Ty mnie nie blaguj, ty się n
nie tłumacz. Ja ci tego szkopa wystawiłem jak najlepszy pies. I sytuac
psychologiczna jak złoto. Pomyśl — Niemiec był zdenerwowany, kied
zobaczył, że zbliża się do niego wartkim krokiem młody człowiek, a
młody człowiek nie strzela, młody człowiek uśmiecha się i prosi o ogie
po prostu o ogień. Pancerniak się rozprężył wewnętrznie. I wtedy t
z tyłu przystawiasz mu do nerek fuzyjkę. Efekt murowany. Daliśm
ci szanse, a pozostał jedynie żal.

— Ech ty kowboju, kowboju kopany... — dogadywał Jasio Kron
szczerząc wielkie zęby w pyzatej twarzy. Wylewał wodę z butelki o
piwa — swej maczugi. Była już niepotrzebna.

XVII

— Więc poznajcie się. To jest towarzysz „Kazik", a to „Bartek" i „J
rek" kierownicy tej sekcji, co to już wiesz... No to ja idę i życzę wa
owocnych obrad.

„Kazik" nosił wyszarzałą jesionkę i podobnie niepozorny kapelus
Szczupłą jego twarz zastygłą jakby od bezustannego wewnętrzne
napięcia nawiedzał dziwny skurcz. Wydawało się, jakby dławił ziew
nie. Mówił niewiele i dopiero w mieszkaniu Jasia Krone roztajał tr
chę. Prosił o informację dotyczącą powstania sekcji i roboty, jaką pr
wadzono do tej pory.

— A jak wy myślicie? — pytał i wskazywał palcem niby nauczyci
na Szermentowskiego Jacka. Słuchał wypowiedzi.

— Zgadzacie się z kolegą? — pytał Jasia Krone, który teraz nazywał „Sękaty".

— A dlaczego wydaje się wam, że on przesadza z tym waszym brakiem aktywności?...

„Aj chytry, aj, jaki chytry" — zachwycał się Jurek.

„Kazik" wysypał jak z rękawa szereg najnowszych wiadomości radiowych, scharakteryzował sytuację na frontach i znów począł zadawać pytania zaczynające się od: „jak myślicie?..."

„Jak myślicie?" — powtarzał i stało się jasne, iż sam najbardziej miłuje znaleźć odpowiedź na to pytanie. Wydobył nagle jak prestigitator pistolet, przezornie go rozładował i puścił w obieg: „niech każdy weźmie i złoży". Śledził za ruchami dłoni i palców z równą dociekliwością jak uprzednio za biegiem myśli. Pożegnał się krótko i umówił z Stacha na podpunkt. Kazał przyjść z bronią.

Zachował dla chłopców zawsze bezwzględną surowość. Nigdy go nie widzieli innym. Jego sucha twarz nigdy nie zatracała wyrazu stężałego napięcia, którego nie łamał nawet tik. Nikt z chłopców w tamtych czasach nie dowiedział się, jak gorąca lawa miłości i nienawiści kipi we wnątrz tego człowieka, jak czułą duszę kryje chropawa skorupa surowości. W pełni znali go jedynie nieliczni towarzysze, najbliżsi, najlepsi. Opowiadał mi pewien żołnierz Armii Czerwonej, że spędził trzy lata w jednej ziemiance, w jednym okopie, przy jednym ognisku ramię w ramię w marszu i w natarciu z pewnym oficerem z Leningradu. Dopiero w dniu zakończenia wojny dowiedział się, że „lejtienant" Gleb Romanowicz jest artystą, że ma żonę i dziecko, że pracuje w Trietiakowskiej Galerii i że tęskni za Tycjanem i Rubensem.

Niektóre owady zasuszają się, skoro przyjdzie im żyć w nieprzychylnych warunkach, odradzają się później po latach nieraz.

Bywało, że ludzie tamtymi czasy zatrzaskiwali się w milczeniu przezwiewając je niby najcięższą zbroję. Skazywali na uschnięcie niepotrzebne, nieprzydatne części swej duszy i gdy tego dokonali, na twarzach ich pojawiał się uśmiech.

— Masz uczynić z twoich trzech chłopców świadomych, dobrych żołnierzy i działaczy ruchu. Pojmujesz, jaka odpowiedzialność? I tej odpowiedzialności nikt z ciebie nie zdejmie. Przeciwnie. Jutro będziesz, być może, odpowiadał za dwudziestu ludzi, za miesiąc, za całą młodzieżówkę na dzielnicy.

„Kazik" szedł obok Stacha i mówiąc zazierał mu w oczy.

— Robimy dziś *Werkszutza*. Jeśli się uda, do waszego Visa dojdzie jeszcze szturmowy Mauzer. Pokażę ci, jak należy postępować. Przyje-

dzie do was tęgi dowódca i poprowadzi was do pierwszych poważny akcji. Wykoleisz pierwszy pociąg. Później wysadzisz most. Późn zorganizujesz sam trudną robotę wraz z przeprowadzeniem wywia i wszelką pracą przygotowawczą. Później będziesz dowodził plutone później kompanią... Na razie sam słuchasz referatów i czytasz nas literaturę, później potrzeba będzie, abyś ty otwierał ludziom oczy, ab sam stał się agitatorem... Jeśli przy tym wszystkim będziesz myś o tym, że jutro możesz połknąć kulę, nie dojdziesz do niczego, zagm twasz się, zaczniesz czynić ustępstwa na rachunek domniemanej śm rci, odpadniesz od ruchu. Mnie o tobie wspominał „Smukły". Ty m sisz się uczyć. Czy myślisz, że po wojnie otrzymasz rentę i będzie doił swoją przeszłość niby krowę leżąc beztrosko pod jej wymienie Musisz myśleć o czasach powojennych sam i mówić o nich swoim dziom stale. Po wojnie nie wystarczy mieć czyste sumienie.

Stacho szedł w milczeniu zamyślony nad przyszłością. „Kazik" r sunął przed nim mgły zalegające nad wielką rzeką czasu. Rosły co szerzej niby kręgi na wodzie skrzące się horyzonty.

Minęli szczęśliwie żandarmską sztrajfę. Spod żelaznych okapów oc niających oczy strzeliły w ich stronę świdrowate zerknięcia. W taki wypadkach czuło się dotkliwie swoje plecy. Być może dowódcę patr omamił zgrzebny, workowaty drelich Stacha i jego mizerna kurtecz a także szary wygląd „Kazika". Okupacyjne „amen" — *„Hände hoc* — nie zabrzmiało. Natomiast usłyszał to *Werkschutz* w portierni bryki pomp. Związali go jak barana telefonicznym kablem i pozostaw na podłodze kantorku, którego żelazne drzwi zatrzasnęli na głucho.

Było to bogate popołudnie.

*
* *

W mieszkaniu „Doroty" zebrali się, aby omówić dokładnie ak pierwszomajową. Nie mogła to być robota na jeden dzień. Przeciwn dotychczasowa praktyka masowych kolportaży prasy partyjnej i m dzieżowej dowodziła, że powtarzanie, bezustanne powtarzanie kolp tażu w różnych punktach miasta, rozrzucanie ulotek i pism w dziel cach robotniczych, przed bramami fabryk w porze fajrantu na zat czonych przystankach tramwajowych prowadzi do celu. Ciągłe ws wanie prasy w skrzynki do listów, w szpary drzwi, nachalne szpil wanie miasta słowami zawierającymi prawdę — to dopiero daje pro gandowy efekt. „Wie się o sprawie, mówi się o nas" — stwierdzano

godniach intensywnego kolportażu. Miasto chłonęło drukowane kartki
gdyby tylko one miały agitować, byłaby cała praca prawie tyle warta,
trud człowieka usiłującego płomieniem z gazety ruszyć parowóz. Agi-
wał front wschodni, agitowały nazwy miast rosyjskich coraz bliż-
ych. Agitowała cała Armia Czerwona: „marynarze i lotnicy, żołnie-
e piechoty i wojsk pancernych, oficerowie, „starszyna" i szeregow-
" — jak mówiło radio moskiewskie powtarzając komunikaty i roz-
zy dzienne. Agitował cały naród radziecki.
Agitowali także Niemcy stawiając przed oczyma skończony model
szystowskiego państwa i faszystowskiego człowieka. Model wspaniale
kończony w szczegółach.
Pierwszy Maja miał być obchodzony godnie.
Wchodzili do ciasnej kuchenki ciasnego mieszkanka w jednym z blo-
w osiedla robotniczego na Kole, w którym zamieszkali urzędnicy
jedynie ci z robotników, których stałe zarobki były ze wszech miar
gwarantowane. Mijało się izbę pełną szumu. Matka „Doroty" prze-
ekała pościel. Krochmalone płaty białego materiału fruwały w mrocz-
m pokoju, zalegały stół, na którym obok stosu bielizny czerniał pro-
kąt kaszty drukarskiej ze składem nowego numeru „Walki". Połowa
ołu lśniła bielą, połowa głębokim, czarnym połyskiem tłustej farby
ukarskiej. Kontrast ten przyniósł Jurkowi chwilę kontemplacji, jako
naturę miał skłonną po temu. Kontemplował zetknięcie się rzeczy
dziennych z niecodziennymi.
Zapadł zmierzch. Za oknem, na piaszczystym polu pomiędzy bloka-
a plantem kolejowym chłopcy okręcali dookoła głów uwiązane na
ıtach dziurawe puszki pełne rozżarzonych węgielków. Pole pokryte
ło złotymi kręgami.
— Oni tak co dzień kręcą te ogniki — mówiła „Dorota". — Nie wia-
mo po co.
— Żegnają dzień — powiedział Jurek. „Dorota" popatrzyła nań z na-
wsłem. Od dłuższego czasu nie mogła sprecyzować swojego sądu o nim.
czątkowo rzecz wydawała się prosta. Kiedy brała pistolet na szkole
e wsunął jej broń szorstko do ręki i warknął: „nabity, zabezpieczony.
razie czego odciągnij kurek i wal." Ubrany był zwyczajnie, na
odniach zakrzepły brązowe łzy kleju. Na nogach drewniaki. Robot-
k. Kiedy jednak potem, na zebraniach począł wypowiadać swoje myśli
zdaniach okrągłych jak bilardowe kule i tak samo śliskich, pomyśla-
— dziwny robotnik.
Pomyślała „dziwny", aby nie pomyśleć „podejrzany". Dozorca
osiedlu nad drzwiami stróżówek wisiały tabliczki „gospodarz blo-

ku", co świadczyło o subtelności uczuć gospodarzy właściwych) chlaj
nął żelazną furtą i odciął dom od świata.

Zanim ostatni płomyczek świecy utonął w rozgrzanej stearynie, zd
łali omówić sprawy uroczystości pierwszomajowej. Planowano kolpo
taż, masówki, a w samym dniu Pierwszego Maja wieszanie sztandaró
na drutach przewodów tramwajowych. Zawiesić nie trudno, zdejm
wać trzeba przy pomocy specjalnego wozu z wieżyczką. Później znó
kolportaż. Akcja miała potęgować się, a po dniu święta wygasać sto
niowo. Kilka grup szturmowych „Gwardii" przygotowywało akc
zbrojne. Wszystko zostało omówione, rozdzielono robotę. Wieszanie
sztandarów miał zająć się „Marcin" ze swymi chłopcami z Powąze
Oglądano go z dumą i podziwem. On jeden przejął od swego ojca umi
jętność sporządzania specjalnych „żabek", umożliwiających wciągnięc
sztandaru na druty trakcji elektrycznej.

Rozmowa dopalała się. Fosforowe wskazówki zegarka tykającego
cho obok spodka ze stearyną wskazywały godzinę pierwszą. Czas z
ciążył.

„Grażyna" otworzyła okno i do izby wtargnęły wszystkie noc
dźwięki miasta, czyste dźwięki, nie przywiązane do przedmiotów. B
czały daleko i zawodząco sygnały pociągów, zgrzytał gdzieś roboczy w
tramwajowy siejąc niebieskie iskry. Łomotał butami przechodząc p
oknem żołnierz niemiecki powracający do koszar *Luftwaffe*. Głęboki
aksamitnym głosem śpiewał ludową piosenkę o spokojnej, prostej m
lodii, a zwrotkę każdą kończył pięknie brzmiącym trelem. Słow
piosenki były niezrozumiałe, gwarowe zapewne. Jurek uchwycił jedyn
Liebe — wieczne słowo. — Śpiewa o miłości — powiedział. — Jak cz
wiek — mruknął ktoś z mroku.

Noc w mieście obcym i wrogim, w mieście zjeżonym jak wielki k
mienny kot na chwilę absolutnego osamotnienia wydobywała sent
mentalnego człowieczka spod munduru i z wypucowanych saperek.

Piosenka zamilkła, żołnierz przyśpieszył kroku, szybciej i głośn
zgrzytnęły na flizach chodnika gwoździe jego butów. Do koszar
było daleko.

„Grażyna" przymknęła okno.

— Nie kopćcie już — prosiła.

Po prawdzie nie było już co. „Marcin" skręcił z niedopałków grube
„dula" w gazecie i puścił go w obieg niby fajkę, którą niegdyś palo
na znak braterstwa.

Wtedy zaczęła się najważniejsza część zebrania. Ktoś rozpocz
a później wszyscy cichymi głosami nucili pieśni, mówiące o robotnic

ılce poczynając od Kajdaniarskiego Mazura, poprzez pieśni układane więzieniach sanacji, brzmiące jak rymowane przemówienia wiecowe, później znane nielicznym spośród obecnych piosenki Czerwonoarstów.

Dan prikaz jemu na „zapad"... ciągnął cichutko Stacho, a wtórowała „Dorota".

Później „Dorota" mówiła fragmenty poematu o Komunie Paryskiej. cytowała bez deklamatorskich ozdobników, ale za to szczerze. „Gerale Galifé..." — szydził jej głos z wielką zaciekłością.

„Mówi zbyt emfatycznie — myślał Jurek. — Chciałoby się to yszeć mówione bardziej godnie".

Nad ranem przyszedł sen. Spali pokotem, tak jak śpią ludzie na orcach w dobie ewakuacji.

Wyszli, skoro dozorca odemknął furtkę i cofnął się do mieszkania apiąc pantoflami pod narzuconym na grzbiet kożuchem.

W oczach mieli piasek niedospanej nocy. Była to bogata noc.

*

* * *

Siedzieli w krzakach na cmentarzu prawosławnym, w dołku wymoonym zeszłorocznymi liśćmi. Grali bez przekonania w sześćdziesiąt ść, aby usprawiedliwić swoją obecność w tym miejscu. Gałęzie spęczały wyraźnie, zapowiadając rozwijanie się pączków.

Przyszedł „Pietrek" wypowiedział hasło, w kieszeni jego płaszcza wił Nowy Kurier Warszawski (co było także umówione) złożony tak, widać było jedynie początkowe sylaby dwóch ostatnich słów tytułu, tworzyło razem wielce nieprzyzwoite określenie.

Przysiadł się i zagadał wesoło.

— Aha, to ty jesteś „Bartek". Dobrze. A więc mam zaszczyt przedwić się wam jako wasz zwierzchni dowódca. Chciałbym bardzo, móc ym później swoim dzieciom opowiadać z dumą. Ale to już od was eży i myślę, że nie zawiedziecie moich oczekiwań. Oczywiście nie trzebujecie mi mówić, że wasza wartość bojowa jest... no powiedzmy, ba. Nie macie żadnego doświadczenia. Zawód żołnierza jest taki jak dy inny, zdobycie umiejętności jest kwestią czasu no i zamiłowania. naszym wypadku nawet brak zamiłowania zastępuje zwyczajna nieczność. Lepszy z was będzie ten, co ma więcej odwagi. Potrafi poczuć łachotania w brzuchu, kiedy zbliża się decydujący moment,

potrafi zachować sprawność umysłu, umiejętność podjęcia decyz
w każdej sytuacji, choćby wydawała się beznadziejna... Zresztą taki
sytuacji nie ma. Wymieńcie wasze pseudonimy. Jak się nazwaliście
Pseudonimy będą obowiązywać. O konieczności zmiany pseudonim
zostaniecie powiadomieni. Zaczniemy od ciebie łaskawco — wskaz
Szermentowskiego Jacka, który do chwili obecnej nic nie wymyślił.

— Niechaj będzie „Łaskawca" — powiedział cichutko Jacek. — „S
katy"... „Jurek"... „Bartek" — „Pietrek" zapisywał twardym ołówkie
na bibułce papierosowej.

— Tak. Nie będę tu z wami przelewał z pustego w próżne. Broń m
cie. Wiem. Vis i Mauzer. Trzeba, aby ta broń jak najszybciej prz
mówiła. Jak przetrzymujecie pistolety? Żadnej wilgoci, żadna piwni
czy coś takiego. Gestapo najczęściej szuka broni w piwnicach. Jak
owczy pęd z tymi piwnicami. Nie żałować oliwy. To nie znaczy, że p
stolet ma pływać w tłuszczu jak faworek. Dbać zwłaszcza o lufę. Jeś
nosicie w kieszeni, kieszeń wytrzepać z paprochów. Po strzelaniu prz
ciągnąć lufę, aby była jak lustro, nasycić oliwą, następnego dnia znó
przeczyścić i leciutko zawazelinować. Przed akcją wytrzeć cały tłusz
do sucha. Partyzant — to nie znaczy kłusownik. Nasza broń zbyt dro
kosztuje.

Przechylił głowę na bok i wędrował wzrokiem od twarzy do twarz
Kiedy mówił, kołysał lekko ciałem obejmując podgięte kolano dłoń

— W przyszłym tygodniu będziemy robili „kolejówkę". Walka z tra
sportem — naczelne zadanie. Walczymy. Przed kilkoma dniami n
wyszła nam akcja. Banszuc zatrzymał chłopców z miną, wyszli na t
ja obstawiałem. Musiałem zabić banszuca i jego psa. Zabraliśmy aut
mat Bergman i lunetę. Ten idiota nosił morską lunetę z czasów ch
ba... Kolumba.

— To był „Garbus"? — spytał Stacho, ponieważ w warsztacie sz
roko komentowano wypadek.

— Tak „Garbus". Pięciuset szmuglerów modliło się za moje zdrowie
śmiał się „Pietrek". — Tak, kontakt mamy przez „Sękatego", znam je
adres. Nie, adresu nie znam, ale pamiętam na oko. Starajcie się nie p
miętać nazw ulic i numerów domów. Pamiętajcie na oko, tak będz
bezpieczniej. Mnie łapiecie zawsze przez „Aleksandrę" albo przez „Sm
kłego", o ile spotkacie go przypadkowo, a sprawa będzie pilna.

Popatrzył jeszcze raz uporczywie na chłopców, lustrując od stóp
głów. Wzrok jego zatrzymał się na stopach Stacha, obutych w wyk
szlawione drewniaki przydziałowe.

— Nie masz butów?

— Nie mam.

— Wstań no i przejdź kilka kroków.

Stacho wykonał polecenie.

— Nie, bracie kochany. To na nic. To nie jest obuwie dla partyzanta. k ty w tym pobiegniesz, jak ty w tym zeskoczysz, jak ty w tym przejiesz przez ogrodzenie? To na nic. Masz biedę, co?

— Nie przelewa się.

— Ja ci się postaram o buty. Który numer?

Na swojej bibułce dopisał przy imieniu „Bartek" cyferkę.

Szli polami w stronę pętli tramwajowej ślizgając się na rozmiękłej nie badylarskich poletek. Szli szparko wymachując rękoma, łowiąc wartymi ustami tęgi wiatr z południa. Wiało wiosną po polach. Pachało wilgotną ziemią i zgniłą wonią rozkiszonych buraczanych liści ubiegłego sezonu. Pochylony nad inspektem ogrodnik wrzasnął coś, protestując przeciwko łażeniu po jego zagonach. Jasio Krone wylał jego stronę całą kadź soczystych powiedzeń. Rozpierała go w widoczsposób nieokreślona zadziorność. Chciałby bić się z całym światem.

— Ty, czemu się wygłupiasz i bez potrzeby obrażasz człowieka? — Pietrek" przystanął i zatrzymał dłonią Jasia. — Człowieka pracy. Nago człowieka. Głupi jesteś, bracie, ot co. Kazałbym ci natychmiast dejść do niego i przeprosić, ale wiem, że jeśli podejdziesz — to doniesz po łbie motyką, co ci się słusznie należy. Panuj, bracie, nad bą. Nie skikaj tak. Wielki wyrosłeś, mocny wyrosłeś i co dalej?

Pożegnali się przy pętli. „Pietrek" zacisnął szczelniej poły swego brentowego płaszcza i odszedł przytrzymując dłonią kapelusz. Wiatr zmagał się pod wieczór, pędząc bure kłaki chmur poza krańce nieba.

— Wiosna, chłopaki, wiosna, jak Boga kocham — krzyknął Stacho klepnął się rękoma po bokach, ptasim ruchem.

Oto przyszedł dowódca i nasycił ich przemożnym pragnieniem działania.

To był bogaty, szczęśliwy dzień.

XVIII

— Słyszycie, Żydki zaczęły wojnę. Uj... wojnę zaczęły z Niemcami.

Przyszedł Słupecki, majster, i ogłosił nowinę usiłując nadać słoom akcent żydowskich przekupniów. Jurka aż skręciło. Zerknął na ajstra spojrzeniem, które zapowiada cios pięścią i warknął:

— Nie potrzebujesz się pan, panie Słupecki, wygłupiać z tego po wodu.

Plecy pochylone nad warsztatami odgięły się. Patrzyli oniemieli. P raz pierwszy w historii fabryki wydarzyło się, że nie wyzwolony cze ladnik pouczył majstra. Słychać było jedynie monotonny jazgot maszy za ścianą, żaden hebel nie świsnął, żaden młotek nie stuknął.

— Tak, w tym nie ma wiele do śmiechu, ja myślę... — zagadał nagl zbyt szybko Fijałkowski pracujący przy sąsiednim warsztacie.

Posypały się pytania. Mówiono naraz ze wszystkich stron. Majste zamilkł, zgarbił ramiona obciągnięte szarym dreliszkiem kitla i odszed bez słowa do maszynowni.

— On ci nie daruje tego — powiedział później Fijałkowski. — Przy gadałeś głupiemu bykowi, a on jest zawzięty.

— Mam go w d... — stwierdził Jurek. — Rozumiesz Fijałkowsk przez cały czas to bydlę gęga: „oj, Żydzi, oj, dają się rżnąć, a niech ic cholera weźmie, gdyby tak na nas przyszło. Oj, Żydzi, co to za parszy wy naród, aż obrzydzenie bierze. Dobrze, że Niemcy za nas porządek z nimi zrobili." Rozumiesz Fijałkowski: teraz Żydzi powstali, a on drw z tego, drwi. Jego już nikt człowieczeństwa nie nauczy. Takich byn rżnął i solił. Woziłbym w klatce, cholera, z napisem „proszę mi naszcza w mordę".

Fijałkowski przytaknął ruchem głowy, a na jego maleńką twarz wy płynął uśmiech. Wyobraził sobie bowiem Słupeckiego za żelaznymi pre tami. Świsnął spustem po kancie deski, zatrzymał hebel i szepnął po chylając się w stronę Stacha.

— Jak tylko wyjdzie numer Trybuny z powstaniem w getcie, przy nieś, nie zapomnij. Ciekaw jestem, co wasi napiszą. A swoją drogą pa trzaj: Żydy dzielne. No cóż, nie mają innego wyjścia i tak idą na my dło. Ale, mój Boże, to się tak prosto mówi: nie mają innego wyjścia Zagniotą człowieka czasami tak, że powie „już mi wszystko jedno, a je śli nie będę wierzgał, to może jakoś się wywinę, może lepiej uda że mnie nie ma".

Przewrócił deskę drugim kantem do góry, ściął wiór wijący się ja pukiel złotych włosów kobiecych i cofając hebel dodał:

— Łatwo powiedzieć: „nie ma innej rady", ale nie każdy zaraz potem rzuci granat. Ja sam nie wiem, jakbym zrobił. Nie wiem... Dlateg zdejmuję czapkę i kłaniam się.

Tu Fijałkowski rzeczywiście zdjął z łysiny przepoconą krymkę fi cową i ukłonił się północnej ścianie warsztatu.

Za tą ścianą, za szeregiem domów, za czternastoma ulicami rozcią-
ło się getto, wstrząsane drgawkami pierwszych eksplozji. Spalono
erwsze czołgi niemieckie, co z rumorem wetknęły swe ryje za mur.
ur stał się dla Niemców nieprzekraczalny.

*
* *

Małe getto nie zostało rzucone w ogień powstania. Niemcy odcięli
całkowicie od ogarniętej pożogą dzielnicy. Panował tu cmentarny
pokój i cisza, w której dudniły ostro kroki patrolujących żandarmów
rzmiały wielkim echem pojedyncze strzały karabinowe. Ludzie zam-
knięci w domach oczekiwali, aby droga na rampę dworca gdańskiego,
ana droga wiodąca wzdłuż ulic Smutnej i Pokornej została otwarta.
raz zamykał ją ogień. Oczekiwano. Dawid siedział w mieszkaniu bra-
Zylber przy ulicy Ciepłej i nie chciał pozostać bezczynny. Już po
erwszych dwu dniach stało się zrozumiałe, że nie ma sensu dłużej
czekiwać Enocha. Enoch miał przynieść broń, to znaczy kilka grana-
w własnej roboty i pistolet. W kącie przedpokoju za drzwiami stały
tej pory litrowe, samozapalne butelki wypełnione żółtą benzyną.
acia Zylber obchodzili te butelki skrzętnym łukiem. Nie zdejmowali
noc swych oficerskich butów, na wszelki wypadek przygotowali sobie
oły. Nikt zresztą nie zdejmował ubrania. Dawid nie mógł zasnąć
wet na moment. Uchylał drzwi wiodące na klatkę schodową skoro
yszał czyjekolwiek kroki: „Tym razem to na pewno Enoch".

— Enoch. Enoch... może to być także Ukrainiec. Trzeba być cicho.
e należy czynić bez potrzeby hałasu. Mogą pomyśleć wtedy, że mie-
kanie jest wyludnione... — klarował starszy brat - muzyk.

Obydwaj po dwu dniach przeklęli chwilę, kiedy powiedzieli Ginie:
ak". Teraz nie było już rady, w przedpokoju stały fatalne butelki,
órych pilnował Dawid, tak jakby były wypełnione złotym piaskiem,
nie żółtą benzyną.

Trzeciego dnia Gina powtarzała jeszcze: „Enoch przyjdzie" — na Da-
dowe: „Już pewno nie przyjdzie nasz Enoch. Czyżby o nas zapom-
ał?" Powtarzała bez wiary, ponieważ nad „dużym gettem" unosił się
ocian" i zrzucał zapalające bomby, widziała go ukryta za kominem.
ychać było poprzez szum miasta, poprzez zgrzytanie tramwajów i ło-
ot żelaznych kół suchy, zachłystujący się warkot karabinów maszy-
wych. Wspaniała i huczna była rezurekcja w tegoroczne święto
elkiejnocy.

Czwartego dnia powiedziała: „nie ma sensu dłużej czekać“ i zesz
w głąb kanału. Obiecała powrócić nazajutrz.

Dawid pochylony nad włazem długo spoglądał w głąb. Głowę odchy
liła do tyłu patrząc na Dawida, patrząc na jego czarną sylwetkę. Cze
piała się żelaznych klamer, schodziła coraz niżej. Jej blada, siejąc
perłowy blask twarz topniała w mroku coraz bardziej. Dawid zasun
okrągłą klapę włazu. Opadła z metalicznym szczękiem, „jak wieko“ –
pomyślał i natychmiast zapragnął iść za nią, choć nigdy przedtem ni
był w stanie przezwyciężyć odrazy, jaką napawała go czarna, cuchnąc
gardziel kanału.

Nie można było zabrać ze sobą czterdziestu samozapalnych litro
wych butelek z benzyną. Jutro Gina powróci, przyprowadzi ze sob
Jankla i Stefana. Zabiorą butelki i pójdą na tamtą stronę. Być moż
że przyprowadzi ze sobą oddział bojowy, zorganizują punkt oporu, o
nisko walki, od którego zapłoną inne utajone w małym getcie. Ta
mówiła, kiedy owiązywała ciasno wokół nóg nogawki spodni pożycz
nych od młodszego brata Zylber — dentysty. Miał czekać trzy dn
Czekał. Nie przyszła. Obraz jej twarzy, niknącej powoli w czarnej ja
mie miał pozostać ostatnim, a później jedynym jej wizerunkiem, ja
umiał odtworzyć w swojej pamięci.

Wtedy Dawid począł szukać kompasu. Biegał w biały dzień po wszy
stkich piętrach. Nawiedzał sąsiednie domy narażając się na postrzał prz
przebieganiu ulicy. Chwytał nieznanych sobie ludzi za poły ubrań.

— Kompas? Czy nie ma pan przypadkiem kompasu?

Wzruszali ramionami. Niektórzy sądzili, iż zwariował nader ciek
wie. Byli tak skamieniali, że żaden głos z zewnątrz nie dochodził niem
do ich świadomości. Zadawali sobie natrętne pytanie: „co będzie?“ Z
dawali je sobie za każdym oddechem. Głowy były próżne jak wnętr
olbrzymich dzwonów rozbrzmiewające gromowym echem jednostajny
uderzeń: pytania i jedynej na nie odpowiedzi.

— Kompas? Czy nie ma pani kompasu w rzeczach pozostawiony
przez syna?

— Mam pamiątki po synu. Dwa miesiące temu wykryli go szmalcow
nicy. Mówił do mnie: „mamo ja mam dobrą twarz“. „Jóźku, nie za d
brą...“ mówiłam. Ja doskonale znałam jego twarz...

Wysłuchał tysięcznej z opowieści słyszanych co dnia. Niecierpliw
się. Gotów był błagać albo terroryzować. Było mu wszystko jedno. Kom
pas musi zdobyć za wszelką cenę.

— Kompas, wie pani, jest podobny do zegarka, takie okrągłe, mi
dziane pudełeczko z szybką, pod szybką jest wskazówka zaostrzo

obie strony. Ruchoma. Ona wskazuje nie cyfry, lecz litery N.O.S. W. — Litera N znaczy Nord — północ. Wskazówka odwraca się zawsze północy.

Nareszcie grzebała w ceratowym woreczku. Wydobyła wraz z kilkoma fotografiami wiele drobnych przedmiotów. Między nimi był kompas.

Zeszedł do kanału tej samej nocy. Pogrążył się po piersi w czarnej duchnącej wodzie, której nie widział zresztą w mroku gęstym jak smoła. Poszedł kanałem, macając niby ślepiec oślizgłą ścianę. Później szła konieczność sprawdzenia kierunku. Kompas niósł w czapce, aby mu szkiełko nie dostała się woda. Wydobył kompas z czapki, chwycił zbyt mocno palcami pokrytymi warstwą śliskiego błota. Gładko spolerowana miedź wysunęła się z dłoni. Cichutko chlupnęła szemrząca wokół piersi woda.

Długo szukał nurkując, grzebał palcami w tłustym szlamie zalegającym dno. Zdjął obuwie i starał się palcami nóg wymacać drogocenny przedmiot. Skowyczał z rozpaczy i bił się pięścią w czoło: „żeby też sznurku nie uwiązać, co za idiota".

Po godzinie, a może i więcej czasu minęło, doszedł do wniosku, że zelkie poszukiwania będą bezowocne. Kompas zakopał najwidoczniej mule kanałowym grzebiąc rozpaczliwie palcami rąk i nóg.

Oparł się o ścianę i długo ważył decyzję. Poszedł drogą powrotną. witał krążek jaśniejszej czerni nad głową jak dom rodzinny. Przez wór, z którego sam zdjął przed kilkoma godzinami klapę, płynął ożywczy strumień świeżego powietrza.

Kiedy otworzył drzwi mieszkania braci Zylber, zastał ich obydwu chylonych nad zlewem. Wylewali benzynę z ostatnich butelek. Strasznie jest pomyśleć, że benzyna wlana przez nich do kanału zmieszała się z płonącą naftą, którą pompowali w trzewia miasta uznojeni w wiosennym słońcu, młodzi SS-mani Jürgena Stroopa.

XIX

Akcja pierwszomajowa wybuchła ostatnim pięknym fejerwerkiem niedzielę. Jurek, „Dorota" i „Halina" oraz „Grzyb" z Powązek krążyli południu na trasie Nowy Świat — Krakowskie Przedmieście — Stawka. Chłopcy stanowili obstawę, dziewczęta rozrzucały pliki ulotek, dając przed rzuceniem wachlarzowaty kształt paczkom, podobnie czynią to z serwetkami. W ten sposób przygotowany plik rozsypywał się w powietrzu. Poszczególne kartki spadały ruchem jesiennych

liści. Gdyby rzucić paczkę byle jak, pacnęłaby o ziemię twardo jak c
gła, bez należytego efektu, bez pożytku. Seansy popołudniowe w kina
na Nowym Świecie kończyły się nie o jednej porze, dzięki temu obs
pali ulotkami kilka gromad ludzkich opuszczających sale kinowe.

Ludzie wychodząc na jaskrawe światło dnia, mrugali oczyma, n
widzieli dobrze, a mimo to ktoś chwycił „Dorotę" za rękę. Nie wiadom
kto to był: tajniak czy entuzjasta. Powiedział szybko: „Proszę pan
Proszę pani..." i pozostał z rozdziawionymi ustami. Poczuł bowiem r
żebrach naraz z dwu stron nieprzyjemny, twardy ucisk i usłyszał „z
staw"...

Najwięcej śmiechu było, kiedy pod gotyckim, cienistym portale
katedry obsypali ulotkami parę nowożeńców, orszak ślubny i spory tłu
gapiów.

— Podobno sypie się ziarno na głowy nowożeńcom — mówiła „D
rota".

— Jest taka przypowieść o słowach - ziarnach — zastanawiał się J
rek, ulegając nałogowi komentowania.

Włożyli w akcję pierwszomajowej propagandy wiele serca, poniew
pragnęli w ten sposób zrekompensować swoją bezczynność wobec p
wstania żydowskiego. W akcji bezpośredniej pomocy powstańcom br
ły udział jedynie nieliczne „spec-grupy" gwardyjskie. Rozniesiono gr
natami gniazdo niemieckiego karabinu maszynowego. Dzielono się br
nią, której było zawsze o wiele za mało, która miała cenę krwi.

Zebranie sprawozdawcze odbyło się gdzieś na śródmieściu w mies
kaniu najmłodszego chyba zetwuemowca — „Wacka". Mieszkał w c
brzymim domu podobnym do karawanseraju o licznych podwórkac
Mieszkał w jednym z ostatnich podwórek, w takim, gdzie na parter
lub w suterenach mieszczą się warsztaty szewców i krawców, rzemieś
ników chodzących w spodniach wysiedziałych i spadających z brzuch

Na środku podwórka, na trawniku wysoko wzniesionym niby pod
szka, umieszczono odpustowy wizerunek Madonny. Ludzie po godzin
policyjnej palili świeczki i nadmiernie przeciągając samogłoski śpiewa

Zanim miasto usnęło, gdyby dobrze się wsłuchać, doszłyby do twy
uszu modlitewne zawodzenia snujące się ponad dachami. Miasto sk
wyczało przed snem, ponieważ wraz z przypływem nocy nadchod
wzmożony strach przed śmiercią i gładził wszystkie serca zamsz
wą łapą.

O chłopcu, który dał lokal, „Halina" opowiadała cuda. Warszaws
Gawroche, zna każdy kamień w Warszawie, cwany aż do genialnoś
Ubiegłej niedzieli z dachu domu na skrzyżowaniu Marszałkowsk

alej Jerozolimskich, rozrzucił pięć kilo ulotek pierwszomajowych. Taki łopak! Stacho mruczał: „no, no" i następnej niedzieli zwerbował nieenionego „Wacka" do rozbrajanki. Pojechali do lasku za Babicami, óry stał się publicznym, wielkim lasem dzięki blisko położonym korom *Luftwaffe* i parkowi pancerniaków.

* *

Gdyby kobieta nie krzyczała jak głupia, obeszłoby się bez strzelany.

— Zrobił się czerwony jak burak i powoli przewrócił się na bok, lcami drapał trawę. — Jasio Krone rozczapierzył palce i zginał je rmicznie. — „Wacek" go zastrzelił. — Ledwo uciekliśmy.

Pistolet zabrał „Wacek", ponieważ słuszne było, aby jemu przypadł udziale. Jasio odbył bojowy chrzest. Wielką jego twarz pokryły rueńce. Wymachiwał ciężkimi rękoma opowiadając o zdarzeniu, mioł się, powtarzał po wielekroć ruchy postrzelonego żołnierza. Opisyał dokładnie wygląd kobiety, jaka była gruba i biała. Kładł się na roim łóżku i wierzgając w powietrzu nogami ryczał dyszkantem naadując jej głos i zachowanie się.

Przeżył tę sprawę dotkliwie, zbyt dotkliwie. Przez długie miesiące ikał uczestnictwa w zbrojnych akcjach, odpowiadając na rozkazy ernym oporem. Kiedy mówiono przy nim o wyczynach, nie omieszkał rącić swej opowieści o babickim lesie. Wysłuchiwali tego ze znuceniem początkowo, a później nie taili obrzydzenia.

— Jest taka anegdotka — powiedział Stacho patrząc Jasiowi prosto brązowe małe oczka. — Koń orał przez cały dzień ciężką ziemię. Poraca o zmierzchu do stajni i ledwo wlecze nogi. Spienił się cały, pod odkowy nabiło się gliny. Na końskim nosie siedzi mucha. Przelatuje omar i pyta „co słychać" — „Nic takiego" — powiada mucha — oraliśmy".

Jasio odwrócił wzrok i cicho bąknął:

— Co chcecie. Dałem mieszkanie na punkt kolportażowy. Przechouję broń naszej grupy. Porobiłem skrytki takie, że sam diabeł nie ajdzie w razie czego. Stolarskie skrytki porobiłem. Zegarmistrzowska ożna powiedzieć robota. No co ja mogę... Powinniście mi dać odetchnąć. już niedługo zapomnę o tamtym Niemcu. Już niedługo... Czego wy cecie ode mnie, do cholery? — ryknął nagle. — Umowę podpisałem y co?

Zagalopował się. Stacho podniósł ostrzegawczo dłoń do góry. Jasio patrzył nań szklanymi, niewidzącymi oczyma i syknął.

— Ja mam to wszystko w d... Niemców, całą tę wojnę, was wszys
kich. Ja nienawidzę tego, ja nie chcę zabijać. We mnie się flaki prz
wracają, kiedy sobie przypomnę, jak tamten skrobał trawę palcam
Mnie się żyć odechciewa z tym wszystkim.

— On i my wszyscy bijemy się tylko o swoje — mówił Stacho, kied
wyszli od Jasia i spacerowali wzdłuż rzędu latarń gazowych, z kt
rych zaledwie co trzecia snuła słabe światło na bruk ulicy Karolkowe

— Bijemy się o nasze sprawy. Nikt od nas więcej niczego nie chc
Nikt nie ma prawa niczego więcej od nas żądać, bo nie zgodzimy si
Dla przyjemności się nie bijemy, czy tej tam sławy... My jesteśmy l
dzie biedni. Biedny człowiek umie dobrze liczyć, musi stale kalkul
wać, inaczej zginie. Wiemy, jakie życie jest warte śmierci. Wiemy,
co warto położyć głowę. Ja myślę, że Jasio powinien to zrozumieć,
powinien umieć bić się o swoje. Jest przecież robotnikiem. Nie?

Jurek kręcił głową z powątpiewaniem.

— Upraszczasz — mówił — upraszczasz.

Szermentowski słuchał. Mówił niewiele, ponieważ odczuwał stra
przed ostatecznym sformułowaniem myśli. Jeśli zaczął mówić o prze
miocie jakimś czy sprawie, gniótł rzecz, miętosił, omawiał z różny
stron, gmatwał się w końcu w kłębowisku słów, które motał naoko
siebie i milkł zrozpaczony. Kiedy mu pomagano, kończąc zdanie p
taniem: „czy to miałeś na myśli?“ kręcił głową. Później, zmęczony, g
dził się na pierwszą z brzegu insynuację. Był szóstym synem w rodz
nie. Kiedy przyszedł na świat, ojciec jego miał już pięćdziesiąt czt
ry lata.

— Matko — mówił. — Nie udał mi się ostatni chleb. Popatrz na n
szego Jacka. Mruk niewydarzony. Wyskrobek. Matko, źle z nami, st
rzejemy się, widać to wyraźnie. Twoja dzieża do luftu i moje mieszad

— Ale i tak, jeśli Jasio kiedy wpadnie, to ja z domu uciekać nie b
dę, znaczy, ukrywać się nie będę. Ja myślę, że on nie sypnie — bąk
Jacek. — Nie wyda nas. Chociaż nic nie wiadomo, znaczy, nie moż
mieć pewności. Jurek dobrze mówi, że człowiek nie jest prosty i jedn
kowy. Weźmy takie drzewo, a inaczej deskę dębową. Głupi powie: d
ska dębowa. Kawałek drzewa. Powiedzmy, krzesło można wykroić. A
ty się znasz, stolarz jesteś i widzisz, tu sęczek i tu sęczek, a tu po brz
gu paskudna biel, a tu dalej drzewo zawiłe, a inaczej, zakrętas się zr
bił z włókien, a tu jeszcze odłamek granatu utkwił, a tu jeszcze na
murszał kawałek. I powiadasz: całe krzesło nie wyjdzie, tylko najw

j dwie nogi, no jeszcze dwie cargi, a na drugie dwie nogi i na blacik. na oparcie, i na jeszcze dwie cargi potrzebna druga deska. Ale on ci e uwierzy, pomyśli, że chcesz oszwabić. Powinni być specjaliści od dzi, żeby było wiadomo, kto na co się nadaje, dokąd wytrzymuje... e i Stacho mówi słusznie, znaczy, można się przemóc i coraz bardziej bie samego wyciskać.. Człowiek, rzecz żywa, rozrasta się, zmienia , a deska, to deska, wycięli z kloca i taka jest, jak jest, możesz wściec , a jej nic nie przybędzie. Ale też i człowiek ma granice wytrzymaci, znaczy — pęknie... jeśli przeholujesz.

— O to... to właśnie — gorliwie przytaknął Jurek. Nie można raszczać.

— A później jeszcze — ciągnął rozpędzony na dobre Jacek — on zyknął o umowie, znaczy, że nie podpisywał... fakt. Jakie my mamy awo wymagać od niego?... Kto nam dał taką władzę?... Dawniej król ł pomazany, znaczy, miał władzę od Boga. Wierzyli, nie wierzyli — jowali dla niego, bo inaczej krewa, batami zasiekli, a my, co my amy za władzę?... Skąd ona się wzięła?... Pytanie... co? Ale jeśli dobrolnie on się zgłosił, znaczy, bracie, ciągnij dalej, a on na przykład nie że, no zdycha w uprzęży, okazuje się słabowity, co wtedy?

— Jacuś, daj spokój — poprosił Stacho. — Daj, bracie miły, spokój, zaczynasz gadać na okrągło i do niczego już nie dojdziesz. Narobicie mi mętliku w głowie.

Każda z jego myśli zakończona była teraz znakiem zapytania. Najrsze było to, że wyczuwał, iż nie są wyprane z sensu apele Jurka do e upraszczania i że w gadaninie Jacka tkwią ziarna prawdy.

— Człowiek się zmienia, człowiek się rozrasta — powtarzał idąc esznem do Górczewskiej, w swoje strony. Na czym on się rozrasta? dzie są te drożdże? Skąd się rodzi pancerna siła komunardów, tozarzyszy z Hiszpanii — stalingradczyków?

„Miłość do człowieka" — przypomniał sobie Stacho słowa „Smukłe". — Umiłowanie wolności. Wolność staje się cenna, ponieważ zdobya się ją trudno. Ale, aby walczyć dla jakiejś sprawy z oddaniem, zeba ją cenić, nade wszystko miłować. Znów wychodzi na okrągło, naczy, że na początku musi być idea, do której ludzie zapłoną miłością. Zaraz, a więc jeśli idea to: „na początku było słowo... — twierdził siądz katecheta. „Rany boskie, a tom się domyślał" — postękiwał tacho nieomal na głos. Głowa mu płonęła. Przewracał rozgrzaną poszkę chłodniejszą stroną do twarzy. Leżał i słuchał miarowego tykaia budzika, nie mogąc zasnąć.

Zegar ciurkał natarczywie jak świerszcz, szyderczym głosem. Prz
dusił go poduszeczką i zasypiając myślał: czy też „Smukły" będzie s
bardzo śmiał, skoro usłyszy o kłopotach.

Nie śmiał się, lecz mówił o tym, jak rodziły się idee, a najwięc
mówił o tym, jak powstała idea komunizmu — idea sprawiedliweg
życia, którego szczęśliwości, być może nie będą odczuwać ludzie żyjąc
w tym ustroju, szczęście stanie się bowiem chlebem powszednim. P
padł w marzenia, mówił o olbrzymich oceanach wiedzy, drzemiącyc
poza ludzką świadomością, o sięganiu po gwiazdy, o pięknym, długi
życiu człowieka, który nie zazna nigdy bólu i chodzić będzie po zie
nie dręczonej żelazem i ogniem. „Chcesz może gwiazdki z nieba" -
mówiła moja matka, kiedy prosiłem o kopiejkę na rogala — prz
pominał sobie „Smukły".

Później poradził książki do przeczytania. To są trudne rzeczy -
mówił — filozoficzne i gdybym nie siedział w jednej celi z dwoma t
warzyszami mądrzejszymi ode mnie, kto wie, czy pojąłbym te spraw
Ale myślę, że walczyć bym nie przestał, nawet gdybym nie zrozumi
tego, co zrozumiałem. Uczyli się ludzie wtedy być może nie bard
metodycznie, ale za to gorliwie. Jeden był taki towarzysz — chłop z L
belszczyzny—dostał z wolności list i powiada: „matka pisze, że sprzeda
środek produkcji i przyśle nam środki spożycia." Pisała, że sprzeda
kurę i dokupiła jaj na wałówkę. Tak... tak, mój drogi. To nieźle,
rozmawiacie na takie tematy, to nieźle. Powinniście jednak pomag
sobie nawzajem, człowieka nie należy pozostawiać samego. Nie ma n
gorszego, niż samotność. Nie jesteśmy wojskiem najemnym, nie poz
stawiamy naszych ludzi na brzegu drogi, aby zdechli, skoro siły i
nie dopisują. Janka dopilnujcie, to nie jest taki zły chłop, chociaż wte
kradł te łachy z *Winterhilfu*. Podeprzyjcie go.

* * *

„Wacek", kiedy zdobył własny pistolet, stał się pyszny. Zebrał je
cze kilku podobnych sobie „cwaniaków", którzy nie taili swego podziw
dla dowódcy i chodzili z rękoma w kieszeni, z papierosem przyklejony
do wargi. Gotowi byli oczywiście na wszystko, albowiem rozpocz
się dla nich wielka gra w „złodziei i policjantów". „Halina" kwoktała n
nimi jak troskliwa kura. Ponieważ popijali i to tęgo, organizując ni
wiadomymi sposobami pieniądze na bimber, martwiła się i namawia
do poprawy, wpadała we wściekłość w wypadkach recydywy. Milcze
pociągali nosami.

Skąd brała siły do pracy nad chłopcami i czas potrzebny na to — t nie wie. Mieszkanie jej było znane wszystkim, bezustannie prze-wał przez nie potok ludzi. Przychodzili po prasę, po kontakty, zwa-i tutaj brzemiona swoich konspiracyjnych kłopotów. Nocowali tutaj dzie spaleni, nocowali rosyjscy jeńcy wojenni zbiegli z obozów, ludzie warzach białych i miękkich jak korzeń grzyba, o dłoniach jak po-chy, nabrzmiałych odmrożeniami. Oczekiwali u „Haliny" na przerzut lasu. Kręciła się w tym młynie, zaaferowana, łatając bezustannie cy się czas. Chciała wszystkiemu zaradzić. Patrzyli jak biega, tupiąc y myszka po swoim pokoju.

— Bazar jest u ciebie — mówili; ale cóż z tego, kiedy lokali i tak o ciągle za mało.

— Spalisz się — mówili, ale jak długo można trzymać człowieka zbie-go z obozu na ławce w parku?

— To niemożliwe, żeby o n i nie dostrzegli — mówili, ale prasa siała iść na miasto pod groźbą dezaktualizacji.

Tej nocy powstał zupełny galimatias. Zwieziono transport prasy, tuż ed godziną policyjną. A kiedy już bramę zamknięto i „Halina" za-ła się do przygotowywania paczek dla kolporterów, rozległo się bramie długie nachalne dzwonienie. Okazało się, że to „Wacek" ednym ze swych podwładnych. Byli mocno pijani i śliniąc się prze-szali bełkotliwie za najście. Wracali z Jelonek, myśleli, że zdążą... cili się ze sobą wrzeszcząc na całe gardło. Położyła ich na kanapie postanowiła rozmówić się z „Wackiem" definitywnie. Wyjęła chłopcu tolet zza paska od spodni i schowała pod poduszkę fotela. Fotel był kółkach. Przesiadywała na nim jej babka, staruszka podobna do hniętego strączka fasoli, żyjąca jeszcze wprawdzie, ale już nie na n świecie. O drugiej w nocy „Halina" usnęła z głową opartą na zkach bibulastego papieru pachnącego farbą drukarską. Włosy jej howały ten zapach jeszcze przez cały następny dzień.

* * *

— Panowie mi pomogą, nieprawdaż — mówiła najpiękniejszą niem-zną babka, kiedy gestapowiec przytoczył ją na fotelu do drzwiczek ochodu. Być może, że skoro ujrzała naokoło siebie tyle mundurów knie skrojonych i wyszytych srebrnym szutażem epoletów i srebrne pie główki na kołnierzach, być może, iż przypomniał jej się wtedy

stary, piękny Wiedeń Franza Józefa, kawalkady, bale młodości. „I
nowie mi pomogą“ — powiedziała wykonując dłonią gest pełen n
kłamanego wdzięku.

— Pomogą... pomogą — myślała „Halina“ patrząc tępo na szary m
celi.

Gestapowiec dźwignął staruszkę z fotela i podtrzymał, kiedy unos
zlekka spódnicę wchodziła pod dach karoserii w kolorze „feldgra
Twarz jego znaczona maleńką blizną (był to młody, przystojny mężc
zna) pozostała nieruchoma.

„Halina“ otulała włosami twarz, one zachowały bowiem zapach fa
drukarskiej z numerów Trybuny Wolności, Głosu Warszawy, Gwar
sty i Walki Młodych.

Tej nocy powieziono ją na badanie.

W pokoju siedzieli obydwaj chłopcy, tuląc swe prawe ręce tak,
się tuli dzieci. Wystarczyło, aby godzinę wisieli uwiązani za wie
palce prawych dłoni.

Błagali ją ze łzami w oczach: „Halina — powiedz, mów... Oni i
wszystko wiedzą.“ Klęczeli przed nią, łkając. Lecz ona zdawała so
doskonale sprawę z tego, że wiedzą tylko tyle, ile dowiedzieli się
ludzi słabych lub kupionych. Dlatego ciało jej sczerniało rychło od u
rzeń i odchodziło strzępami od kości. Czas przestał istnieć.

Chłopców zastrzelono, skoro minął tydzień. Okazało się, że kła
i zmyślają bzdury, aby uniknąć bólu. Wobec kamiennego milcze
dziewczyny, konfrontacje stały się zbyteczne. Raz tylko odezwała
„Prosiłam was — nie pijcie“. Żyła jeszcze trzy miesiące. Żyła — z
wielkie słowo lub zbyt małe.

— *Hausmeister nehmen Sie das weg* — wrzasnął gestapowiec, ki
umieścił już staruszkę w samochodzie, wskazywał palcem na fotel.
zorca sterczący w bramie nieruchomo jak kołek, zmartwiały ze stra
zgiął się w pas ukłonem pańszczyźnianego chłopa. Wyszedł na ul
tak jak stał — w gaciach, i odtoczył fotel do bramy.

Mrugnął na „Dorotę“ chytrze, kiedy przyszła się czegoś dowiedz
Pogmerał w szufladzie komody i wsunął jej w dłoń pistolet.

— To zostało — powiedział. — Wiedziałem, że ktoś przyjdzie.
ma tak teraz, że człowieka zabrali i koniec — woda spokojna. Wiedz
łem, że musi ktoś przyjść. Ale niech już panienka idzie sobie. Ja
nię wiem, nic nie było. Spokojną woda.

Bohdan Czesz

(Dalszy ciąg nastąpi)

BIAŁA RÓŻA

„...Była ze szczepu kobiet rosyjskich, o których pieśń powiada: „W biedzie ducha nie traci — wytrzyma, konia w biegu zatrzyma, na karku ma zawsze głowę i w ogień skoczyć gotowa..."
Mikołaj Leskow Samodum

Rano w wagonie kobiety opowiadają sobie niekiedy, co się której ło. Jeśli jest czas, nim nastąpi wyjazd samochodami na wieś. Ale ykle czas się znajdzie, bo kobiety wstają zawsze pierwsze. Żeby umyć, zanim mężczyźni zaczną marudzić z goleniem, żeby sobie przeprać albo pocerować delegatom skarpetki, jeśli któremu się darły.

Więc jednej śniły się wzgórza wśród wielkiego pustkowia. Nigdzie około ani żywej duszy. Jakoś jej straszno. Rozgląda się i spostrzega trawie gniazdo. W gnieździe siedzi na jajach ptak. Podobny do opatwy, kiedy jednak wstanie, widać, że nóżki ma dłuższe niż kuatwa. Obok gniazda widzi kobieta drugie gniazdo i trzecie, i dzieste, setki gniazd. Schyla się. Chce zabrać trochę jajek. Ale kiedy łada je do kieszeni, ze skorup wylęgają się pisklęta. Kobieta myśli:

— Nie mogę przecież tego robić...

pisklęta z powrotem kładzie do gniazda.

dzie dalej i coraz bardziej się boi, coraz jej markotniej. Nagle wye jej się, że zapłakało dziecko w kołysce. I tak się budzi.

Niewesoły to sen i taki jakiś dziwny. Próbują go sobie tłumaczyć. te pisklęta — to na pewno dzieci, a gniazdo — dom.

Ów sen miała któraś z delegatek już dawno. W drodze z Warszawy Moskwy. Jeszcze wtedy wyraźnie tkwiło w pamięci pożegnanie swoimi. Jeszcze wtedy serce gniótł nieokreślony lęk przed pierwszą życiu tak daleką podróżą, przed czymś nieznanym, co gorąco chce poznać, ale czego się też trochę obawia.

eraz, gdy tygodnie biegną tak prędko, jakby po każdym wtorku ła już od razu niedziela, gdy coraz więcej poniedziałków pozostaje nimi, sny nie są już mgliste, niejasne, trochę przerażające.

Śni się zwyczajnie, wyraźnie jak na jawie, podwórze, grusza p ganku, mąż i dzieci. Najczęściej chwila powrotu. Że się przyjeżd Wszyscy wychodzą przed dom, witają, dopytują się jeden przez d giego.

Po przebudzeniu powieki pieką. No cóż, to nie żaden wstyd — sknota za swoją wsią, za domem, a już najbardziej za dziećmi. Wc nie wiedziały kobiety, że można tak tęsknić. Bo przecież nieraz os się krzyknie na syna, na córkę, nieraz się narzeka na utrapienie z dz ciarami. Że kto ich nie ma, u tego w domu święty spokój. A te rano czasem tak jakoś smutno, że westchnąć nawet trudno. Jed drugiej w oczy nie patrzy. Każda by nie wiem co dała, żeby choć pr minutkę mieć te swoje łobuzy przy sobie.

Wcale im ta tęsknota do niczego nie jest potrzebna. Przecież pr szkadza. Przecież każda delegatka jest dumna, że to ją właśnie w brali. Każda się cieszy z całego serca, że tu przyjechała, że jest, wszy ko może zobaczyć na własne oczy, innym opowiedzieć, wspomi przez całe życie. Gdyby przyszło co do czego, żadna by się nie zam niła za nic na świecie z drugą, taką, która została we wsi.

A jednak za dziećmi tak markotno, tak markotno. Nie rozstaw się z nimi nigdy dotychczas. Niektóre zostawiły w domu niemowl Są takie, które odstawiły je od piersi, żeby tylko móc jechać. Po dziły sobie, jak mogły najlepiej. Jedna uprosiła matkę, żeby prow działa gospodarstwo przez cały czas, gdy jej nie będzie. Teściowa lestyny Szeligowskiej ofiarowała się doglądać wszystkiego. Dz Stanisławy Wolskiej, wdowy, gotują sobie same i same oporządz inwentarz. Sąsiadka obiecała, że od czasu do czasu do nich zaj Najstarsza, Nastusia, ma przecież już 14 lat.

Więc właściwie wszystko w porządku, ale jakże tego i owego rozważać w myślach, nawet przez sen się nie niepokoić. Może Ja jeszcze ciągle kaszle po kokluszu? Może Baśka nie potrafi sobie rady z rachunkami w szkole, a nie ma jej kto pomóc w odrabia lekcji? Może mama zapomina parzyć mężowi tę herbatę z ziół na matyzm? Może Cesia nie potrafi karmić świniaka i jeszcze go czy struje?

Na pytanie zamiast listów odpowiada kabała. Listów oczywiście nie dostaje. Skąd listy? Na jaki adres mieliby pisać bliscy, skoro legaci codziennie są gdzie indziej. Przenoszą się w obwodzie odes z kołchozu do kołchozu, z rejonu do rejonu.

Tamci swoi, w kraju, przynajmniej otrzymują wiadomości. Wy się im kartki z pozdrowieniami, listy. A prócz tego na pewno czy

gazetach. Że grupa chłopów polskich przybyła do obwodu odeskiego, iedziła taki a taki sowchoz, taki a taki instytut, w takim a takim onie. I na pewno od razu szukają na mapie. Przynajmniej tyle edzą.

A kobiety delegatki? Choćby w kabale — lekarstwo na ich tęsknotę. zbyt to mądre, ale zawsze pociesza. Karty wiedzą, co mają mówić. początku podróży, nim jeszcze pociąg wjechał na Ukrainę, jeszcze ty czasem zapowiadały wiadomość od „bruneta urzędowego" albo „blondynem cywilnym" zapoznanie. Lub ostrzegały przed czarną odstępną pikową damą i wróżyły „małe pieniądze", list w drodze, anę, której nikt się nie spodziewa.

Teraz stawiane sobie wzajemnie kabały opowiadają tylko to, co najkawsze. Czy dzieci zdrowe? Co mąż robi? Czy deszcz nie popsuł siaosów? Czy zdąży się przed żniwami naprawić dach stodoły?

Nie co dzień i tylko wczesnym rankiem można się wypytywać kart. przez cały dzień trwa zwiedzanie. Wieczór wraca się późno i jeze „za świeżej pamięci" długo uzupełnia notatki, przepisuje na sto to, co się w pośpiechu nagryzmoliło byle jak. Dwa przedziały mowane w wagonie przez kobiety wyglądają wtedy jak szkoła. zystkie piszą i jeszcze się między sobą przepytują. Żeby nie robić ypadkiem omyłek.

Bo kobiety są w notowaniu dokładniejsze od mężczyzn i w ogóle cej mają do roboty. Mężczyzna zapisze, ile żyto dało z hektara, albo wygląda zdawanie pracy przez traktorzystę brygadierowi, lub jak rowadza się system płodozmianu trawopolnego Wiliamsa. Jeszcze prosi o podanie norm indywidualnego żywienia bydła, dokładnie, bno pasze treściwe, osobno objętościowe. Jeszcze zapyta, czym zimie dożywiają pszczoły. I to mu wystarczy.

Kobieta inaczej. Oczywiście musi zapisać każdą usłyszaną informa- Ale oprócz tego różne własne spostrzeżenia. Więc na przykład tak: chociaż to był zwykły dzień pracy, nie żadne święto i do tego lki gorąc, wszyscy w podwórzu i w polu byli porządnie obuci, a nie o, drewniaków wcale nie zauważyłam ani trepów, tak jak u nas y gospodarstwie, każde buty były na skórzanej podeszwie, grubej, dnie zrobione. Ja się zapytałam jednego starszego mężczyznę, czy takich porządnych butów nie szkoda do roboty, a on mi odpowieał, że nie szkoda, bo jak się te buty zedrą, kupi sobie drugie i jeze powiedział do mnie tak: przecież u nas butów jest dosyć dla dego...

Druga kobieta notuje w innym kołchozie:

...na moje pytanie, czy oni tutaj mają gdzieś kościół w pobliżu, chłopak dał odpowiedź, że tak, jest, cerkiew jest oddalona o trzy ki metry, więc się dalej wypytywałam, czy on chodzi do tej cerkwi. Mó że osobiście nie chodzi, ani jego ojciec też nie chodzi, a matka cho w każdą niedzielę i każdy, kto tylko ma chęć, a jeśli starszym ludzi trudno iść, albo deszcz, albo zaspy, to z kołchozu im dają furę, że sobie wygodnie pojechali...

Jeszcze inna delegatka pisze:

...ja muszę nadmienić, że to nieprawda i prawdziwy fałsz, co u niektórzy opowiadali, że oni tu mają jedną kuchnię na cały kołch Tak mógł mówić tylko wróg, albo ktoś całkiem bez rozumu. Stwierd łam, że tu każda rodzina ma kuchnię, nawet dwie. Jedną zimę w domu, a w lecie, jak jest gorąco, gotują na dworze przed mem, na piecu z rurą wylepionym gliną i pod daszkiem, żeby nie padało do garnków. Nawet chleb w nim można upiec i nikomu w mu nie dokucza od tej kuchni upał ani muchy, co się zlatują p jedzeniu...

Któraś zanotowała:

...więc ona wcale bez zapytania z naszej strony otworzyła sz w pokoju, która była pełna sukienek. Myśmy z koleżanką z cieka ści liczyły i naliczyłyśmy dziewięć sukienek i dwie spódniczki, raz jedenaście sztuk. Z tego pięć sukienek było perkalowych, bardzo ł nych, w różne kwiaty albo desenie i cztery były na zimę, ciepłe, z pe nością dwie do roboty, dwie na lepsze. Myśmy się krępowały tak wszystkiego wtrącać, ale jedna sukienka specjalnie mi się bardzo po bała, koloru bordo, uszyta z baskiną. Myśmy z koleżanką nic wt nie powiedziały, ale obie myśmy sobie pomyślały, że jaka kobieta u na wsi i do tego z dwoma dzieciami, a mąż zginął na wojnie, m sobie pozwolić, żeby mieć tyle sukienek? A ona pracuje, dziec nic nie brakuje i jeszcze ją stać, żeby się porządnie ubrać...

Czyż nie trzeba wiele skrupulatności, wiele wytrwałości i dob woli, aby to wszystko zapisać! Toteż mężczyźni często chrapią dawno w najlepsze, gdy kobiety jeszcze temperują ołówki, jeszcze leszczą kartkami.

W kołchozach, gdy się już niby kończy pracowity dzień, po zamk ciu zebrania, po powrocie z pól i obejścia znużeni mężczyźni pogad leniwie przed domem, gdzie podany zostanie za chwilę posiłek.

Kobiety wtedy skupiają się w gromadę, szepczą między sobą i za gdzieś razem wyruszają. Idzie najstarsza ze wszystkich, i dlatego p

ana mamą, a jednak najweselsza, Jadwiga Włoszek — pomocnica
zedszkola w Grudyni Wielkiej koło Koźla na Śląsku, Celestyna Sze-
owska — z zupełnie dziecinną buzią, choć matka dwojga dzieci,
eronika Jabłońska — przodownica pracy w spółdzielni produkcyjnej
d Biłgorajem, szczupła, smagła, rezolutna, Waleria Gajosz — brą-
wooka, powolna w mowie gospodyni spod Legnicy, Stanisława Wol-
a — ta, którą złe życie nauczyło świadomości.

Idą wszystkie zobaczyć żłobek, przedszkole, kołchozowy dom poro-
wy.

Ze wszystkich żłobków najbardziej podobał im się ten w kołchozie
ienia Chruszczowa (rejon odeski). Żłobek składał się z czterech sal.
ły to dwie sypialnie, jadalnia i obszerna sala do zabaw. Dzieci nali-
ły w żłobku trzydzieścioro pięcioro. Pomieściłoby się ich nawet sześć-
esięcioro. Było czysto, jasno i wesoło. Bardzo się zdziwiły, gdy usły-
ły, że kołchoźnicy nie są z tego żłobka zadowoleni. W ramach Planu
cioletniego wybudują inny, większy i nowocześniej urządzony.

Dowiedziały się kobiety, jakie są opłaty w żłobku za dziecko. Odpo-
edziano im, że pięć do sześciu rubli m i e s i ę c z n i e. A jeśli dzie-
o niedomaga, potrzebuje osobnej opieki, płaci się za nie osiem rubli.

Zaraz porównały w swoich zeszytach, jaka w tym kołchozie d n i ó w-
a o b r a c h u n k o w a. Okazało się, że w roku 1949 wyniosła sześć
ół rubla w gotówce, prócz zboża, jarzyn, winogron.

I jeszcze jedno zanotowały:

...w tym żłobku, jak byłyśmy, zdarzył się taki wypadek. Do jednej
ewczynki, latek około dwa i pół, przyszedł w odwiedziny ojciec. On
urat był w pracy gdzieś blisko i tak sobie widocznie zajrzał, ażeby
aczyć, jakie jest powodzenie jego córeczki.

Dziecko przybiegło, pocałowało swego tatusia, chwilę tak sobie ze
ą postali, a potem ojciec się zabrał i odszedł, prawdopodobnie się
ieszył z powrotem do swojej roboty. Naszą uwagę zwróciło to,
dziecko takie malutkie nawet się nie skrzywiło, jak ojciec odchodził,
ale nie płakało, tylko spokojnie poszło się bawić z innymi dziećmi.
tego jest wniosek taki, że dzieciom jest w żłobku bardzo dobrze, bo
yby im było źle, ta dziewczynka by płakała za tatusiem i nie chciała
niego odstąpić, kiedy już szedł. A u nas jeszcze takie głosy się
fiają na wsi nieuświadomione, że jak kobieta daje dziecko do żłobka,
ono już jak nie jej, niczyje, pomieszają z innymi dziećmi i już ani
tki, ani ojca nie rozpoznaje. To jest fałszywa i szkodliwa propa-
nda...

Z wszystkich przedszkoli najbardziej podobało się kobietom-deleg
kom przedszkole w sowchozie Druga Pięciolatka (rejon Pierwomajsk
Już dawno wszyscy delegaci poszli dalej do pasieki przez łąki p
rzaste od gęsich skrzydeł. A kobiet ciągle nie można było wyciągn
z parterowego, podłużnego domu, oplecionego ciasno pędami dzikie
wina. Przecież każde mniejsze dziecko miało się ochotę wziąć koniecz
na ręce i poszukać na jego buzi podobieństwa do własnego. A je
nawet któreś nie było zupełnie podobne, to jednak żal wypuszcz
z ramion ten kształt znajomy i jakże bliski sercu.

Starsze dzieci zaimponowały kobietom swoją grzecznością, zachw
ciły humorem, swobodą. Żadnych grymasów, żadnych dąsów czy k
jaźni wobec tylu ludzi, przecież zupełnie nieznajomych, przecież n
wiących między sobą tak, że nic zrozumieć nie można. Dzieci serde
nie pozdrowiły gości, śmiało odpowiadały na pytania i same pytały
o dzieci polskie. Jakimi bawią się zabawkami, czy takimi samy
jak nasze? Ile lat trzeba mieć w Polsce, żeby zostać pionierem? A p
tem rudy chłopiec z białymi rzęsami (wyglądał na niczego sobie za
jakę) poprosił ze śmiertelnie uroczystą miną, żeby w imieniu prz
szkoła sowchozu Druga Pięciolatka pozdrowić dzieci polskie. Pot
milczał chwilę zastanawiając się widocznie i dodał głosem mniej
pewnym, że może dobrze by było, gdyby goście sobie zapisali o ty
pozdrowieniach. Bo oczywiście mają dużo rzeczy do zapamięta
i potem mogłoby się pomieszać, od których to dzieci i skąd.

Ze wszystkich domów porodowych najbardziej podobał się kob
tom-delegatkom ten we wsi Romanowa Bałka (rejon Pierwomajs
w kołchozie Druga Pięciolatka.

Zanim weszły, włożono im wykrochmalone, śnieżno-białe fartuc
Dom był pusty, bo właśnie poprzedniego dnia opuściły go dwie k
choźnice ze swoimi niemowlętami urodzonymi tutaj. Ale regulam
antyseptyki nie dopuszcza, aby na ubraniach przedostawały się
wnętrza jakiekolwiek bakterie.

Oprowadzali delegatki lekarz i dwie młode akuszerki. Obie sk
czyły trzyletnie kursy położnictwa.

Dom składał się z gabinetu przyjęć, dwóch sal dla położnic, izola
i sali porodowej.

Gdyby każdą salę przykrywał hermetycznie zamknięty klosz ze szk
nie mogłoby w niej być czyściej i bardziej lśniąco. Chociaż tutaj pr
chodzą na świat w bólach, krwi i radości wszystkie dzieci kołcho

nociaż tutaj wykonuje się różne zabiegi, przyrządza lekarstwa, kąpie
armi noworodki, przygotowuje jedzenie dla matek, czyści narzędzia.
żadne z tych zajęć nie jest czynnością, którą by można wykonywać
nieskazitelnie białych rękawiczkach.

W Polsce, na wsi, mówi się często o kobiecie mającej wkrótce uro-
ić, że „będzie chorować na dziecko". Ponuro brzmi to określenie
darzenia, które w życiu kobiety powinno być najnaturalniejszą
rawą na świecie. Jeszcze u nas niestety wiele kobiet wiejskich, za-
ast zwyczajnie rodzić dzieci, właśnie na nie „choruje". Albo nawet
miera na dziecko". Nierzadko nowy człowiek zjawia się na świecie
ród pierzyn niepranych przez lata, wyszarpywany niezbyt czystymi
kami babek, które nawet, jeśli coś niecoś o prawach higieny słyszały,
uważają je za głupie wymysły.

Niemało noworodków umiera zarażonych tężcem, niemało pozostaje
zez całe życie kalekami. Matka ma prawo do pozostania w łóżku
sto jedynie wtedy, kiedy zaniemoże na poporodowe komplikacje.
śli czuje się jako tako, nie pozwala sobie na odpoczynek, ale zaraz
biera się z powrotem do pracy.

Z początku dziwiły się delegatki, że kobiety wsi radzieckiej wyglą-
ją tak młodo:

...ona jest w moich latach, a wygląda jak dziewczyna — pokazywały
bie jedna drugiej — chociaż od pracy się nie wykręca, to u nich nie
zwyczaju, a dzieciaka ma jednego więcej niż ja, o, tę dziewuszkę...

Potem, gdy poznały domy porodowe, przestały się dziwić. Po prostu
zumiały, jak to się dzieje.

Rodzenie dzieci nie niszczy, nie wyczerpuje nadmiernie.

Kobieta ciężarna dostaje trzymiesięczny urlop. Może przestać pra-
wać na dwa miesiące przed porodem, a pójść do pracy miesiąc po
rodzie. Może zwolnić się miesiąc przed rozwiązaniem i potem dwa
esiące odpoczywać. Decyzja zależy od jej woli, od stanu jej zdro-
a. Urlop jej jest płatny. Kobieta za wszystkie dni nieobecności otrzy-
uje swoją przeciętną dniówkę obrachunkową Jeśli czuje się na tyle
brze, że skraca swój urlop i idzie do pracy, odbiera wtedy płacę
podwójną, urlopową i normalną.

Gdy wraca do pracy, dziecko oddaje do żłobka na cały dzień. Wie,
jest pod dobrą opieką i absolutnie nic złego mu nie zagraża. Kobieta
oże pracować spokojnie, pracować wydajnie, bo myśli jej nie za-
uwa lęk. Z serca radzieckiej matki zostało zdjęte brzemię najcięższe,
epokój wspólny wszystkim kobietom świata: okrutny strach o dziecko.

Kobiety karmiące przerywają w regularnych odstępach czasu swe zajęcia, żeby wrócić do dziecka. Jeśli pracują na polach lub ferma bardziej odległych, kołchoz daje im samochody, by nie męczyły się ic pieszo.

...tutaj przekonałyśmy się, że nareszcie może tak być, że dziecko jest dla matki ciężarem, a znowu matka jest dla dziecka dobra, n obraża go, ani nie jest niesprawiedliwa, bo dziecko jej nie dokucza, przeszkadza. Przez to nawet jest więcej szczęścia w życiu rodzinny i ja to będę wszędzie mówić... — pisała Weronika Jabłońska w k chozie Druga Pięciolatka. I rzeczywiście powtarzała to często i do d dnia zapewne powtarza w swym Tarnogrodzie.

Druga Pięciolatka szczególniej utrwaliła się w pamięci naszych d legatek. Twierdziły, że kołchoz spodobał im się od samego początk Od chwili gdy ze wzgórza przed wjazdem do kołchozowej wsi rac sfrunęła, niż zbiegła, gromada kobiet z wiązkami ładnie ułożony kwiatów w dłoniach.

— W dowód braterstwa, daję wam bukiet — wymawiała każda w raźnie, a delegatki obejmowały je i całowały w oba policzki.

I kołacz ofiarowany delegacji mógłby dostać pierwszą nagrodę każdej wystawie sztuki cukierniczej. Nie kołacz to był, ale wiel róża o płatkach zręcznie wymodelowanych z ciasta i polukrowany na biało.

Zdaniem delegatów — kołacz jak kołacz. Owszem bardzo ładn owszem pierwszy raz widzą taki i na pewno jest smaczny.

Z delegatkami inaczej. Obejrzały placek z westchnieniem zna czyń, nie bez zazdrości, i wyciągnęły wniosek, niby wróżbę ze sł kich płatków.

— W tym kołchozie kobiety mają dużo do powiedzenia. W tym k chozie kobiety umieją rządzić.

Skąd ta konkluzja? To już zagadka spostrzegawczości i intui niewieściej. Bo przecież w każdym ze zwiedzanych kołchozów kobi polskie podziwiały kobiety radzieckie. Stwierdziły, że prawa posiad równe z mężczyznami, a przywilejów więcej. Słyszały, jak pierw rozpoczynały heroiczną odbudowę. Widziały, jak wspaniałe osiąg wyniki w pracy. I każdy ze zwiedzanych kołchozów szczycił się swo przodownicami.

Tajemnym więc sposobem musiały odkryć nasze delegatki, tak razu, z kształtu lukrowanej róży, że w Drugiej Pięciolatce kobiety z mują kierownicze stanowiska. Że zwiększają wydajność pól i organiz pracę ludzi.

Kołchoz powstał we wsi Romanowa Bałka w roku 1929. Złożyło się niego 220 gospodarstw. Na czele kołchozu stoi przewodniczący, rdakow.

Jak wszystkie kołchozy zwiedzane przez delegatów i jak tysiące nych na Ukrainie Druga Pięciolatka rozwijała się do wojny dobrze. cie tutaj płynęło spokojnie i coraz, coraz dostatniej.

Jak we wszystkich zwiedzanych przez delegatów kołchozach i w tycach innych na Ukrainie pracowicie pielęgnowany dobrobyt Drugiej Pięciolatki legł w gruzach w czasie hitlerowskiej napaści.

Zostało kilka połamanych wozów i parę żniwiarek bez kół, bez dyszli. 280 koni uchowało się 40.

Jak wszystkie kołchozy zwiedzane przez delegatów i jak tysiące nych na Ukrainie Druga Pięciolatka zaczęła odbudowywać się w tempie szybkim niewiarygodnie. Ale niewiarygodnie tylko dla kogoś, kto zna Związku Radzieckiego. Ci co znają, nauczyli się, że tutaj niearygodność rychło staje się prawie zwykłą rzeczywistością.

W roku 1945, w pierwszym roku radosnego zwycięstwa i dramacznego bilansu strat, kołchoz ze swoich 2 336 ha ziemi zdołał obrobić ledwie 900 ha. Z jednego hektara pszenicy zdołał otrzymać tylko 1 kwintala, z jednego ha buraków 120 kwintali, z jednego ha słoczника 5,8 kwintala. Ale i to już było sukcesem. Ziemia przecież ła wyjałowiona okrutnie, inwentarz zrabowany, maszyn brakło.

Przekazali państwu niedużo, choć starali się jak najwięcej. Wiedzieli brze, że zniszczony kraj potrzebuje chleba i cukru, oleju i mięsa. dali 3 091 kwintali pszenicy, 744 kwintali słonecznika, 4 210 kwintali buraków.

Mieli wtedy zaledwie 90 sztuk bydła rogatego, 23 owce, 8 świń, 0 sztuk drobiu, 19 uli.

Dochód ogólny kołchozu wyniósł 143 tysiące 300 rubli. Za jeden pradzień policzyli sobie członkowie kolektywu po 700 gramów pszenicy.

Minęły trzy lata. Trzydzieści sześć miesięcy po prostu już nie znoju, e boju. Walki o każdą morgę pola wydartą ugorom, o każde drzewo sadzie, o źrebaka i o rój pszczeli, żeby się żaden nie zmarnował.

Po tych trzech latach ziemia rodziła już podwójnie. Pięć razy wzrósł chód kołchozu, świnie i drób rozmnożyły się w setki.

W roku 1949 dochód ogólny kołchozu wyniósł 667 tysięcy rubli.

Mieli już wtedy 132 konie, 322 sztuki bydła, 282 świnie, 183 owce, 715 sztuk drobiu, 63 ule, 136 królików.

Państwu mogli oddać więcej. Przekazali 12 686 kwintali zboża, 1 12 kwintale słonecznika, 11 788 kwintali buraków.

Z jednego hektara pszenicy zasianej na 800 ha zdołali otrzymać prz ciętnie 13,8 kwintali. Z hektara buraków zebranych z 55 hektaró średnio 236 kwintali. Z hektara słonecznika na zebranych sto hekt rów przeciętnie 13,6 kwintala.

Chociaż to było więcej, niż dwukrotny zbiór przed trzema laty, ko choźnicy uważali, że jeszcze mało, mało, mało.

W czerwcu 1950 roku mogą już powiedzieć z całą odpowiedzialn ścią, że na 500 z 756 hektarów zasianych pszenicą zbiorą średnio kwintali z ha. Kukurydzy będą mieli 48 kwintali z ha.

Skąd kołchoźnicy nabrali tej pewności? Pewności nabrali nie tyl kołchoźnicy, ale nabiera jej każdy, kto spojrzy na kłosy od ziar pękate, od ziarna ciężkie i twarde.

Kołchoźnicy wiedzieli wcześniej. Kiedy dobrze obrabiali ziem i hojnie wzmacniali ją nawozami. Sztuczne sypali na nią spod chmu z samolotów, niby deszcz przyszłego urodzaju. Dla pszenicy jeszcze n zasianej dawali 1,8 kwintala na hektar. Dla buraków 4,5 kwinta na hektar.

Nawozy naturalne wozili w pole ciężarówkami. Wiele setek ra musiały obrócić tam i z powrotem. Wywieźli 1 286 ton nawozów.

Jak tłumaczą kołchoźnicy Drugiej Pięciolatki ponowny tak pręd rozwój swego gospodarstwa? Tłumaczą krótko, skromnie: planowo i dobra organizacja.

A cóż to ma wspólnego z kobietami? Owszem, ma bardzo du Głównym agronomem kołchozu jest kobieta. Wśród ośmiu brygad rów są dwie kobiety. Wszystkie więc trzy należą do kierownict kołchozu.

Kierownictwo składa się z przewodniczącego, agronoma, księgowe pomocnika księgowego, kancelisty-rachmistrza, magazyniera, podw rzowego i brygadierów.

Co roku przed dniem 1 stycznia zarząd układa projekt planu pra dla kołchozu. Pomaga mu w tym władza radziecka. Ogólne wytycz planu przysłane są z rejonowego wydziału rolnego, aby kierun gospodarki poszczególnych kołchozów nie był sprzeczny, ale żeby uzupełniał. Zarząd przystosowuje wytyczne do potrzeb i możliwo kołchozu a następnie projekt planu przedstawia na ogólnym zebran Zostaje przez nie omówiony, uchwalony od razu lub skrytykowa i poprawiony.

Podobnie władza radziecka pomaga w ustalaniu norm pracy. Kołoz otrzymuje ich wykaz, a następnie omawia i dostosowuje normy swoich warunków.

Zarząd kołchozu wybierany jest co dwa lata. Sprawozdanie składa rok. Bilans kasowy i remanent przeprowadza się również co rok, misja rewizyjna przeprowadza kontrolę co kwartał.

Ustalanie planu, sprawozdanie, wybór zarządu — to wielkie dni chozu. Dni, w których członkowie decydują, jaki będzie następny k, przewidują plon, organizują swoje życie na wiele miesięcy naprzód.

Ale równie ważne są pozornie zwykłe, małe dni kołchozu, a zwłaszcza wieczory. W nich tkwi siła gospodarstwa kolektywnego. Bo codziennie wieczorem, c o d z i e n n i e, zbiera się zarząd, brygadierzy aktyw kołchoźników, aby omówić wykonaną tego dnia robotę i ustalić plan na jutro.

Ktoś, kto nie orientuje się w pracy polskich spółdzielni produkcyjnych, może nie zwróciłby nawet uwagi na tę pozornie pospolitą informację. Dopiero zdziwiłby się spostrzegłszy, jak zelektryzowała ona naszych delegatów z zespołów spółdzielczych.

Było to w sali kołchozowego Domu Kultury. Jeden zapytał się od zu tak głośno, że aż prawie niegrzecznie:

— Jak to, to wy co dzień?

Dwaj inni z ostatniego rzędu ławek przesiedli się do pierwszego. oś chrząknął z niedowierzaniem, a potem wielu jakoś się zawstyiło. Musiał widocznie każdy sobie przypomnieć, jak to bywa u niego. k trudno nieraz członków spółdzielni zebrać raz na miesiąc, raz na va tygodnie. Jak odkłada się zebranie z dnia na dzień, bo jeden urat ma do roboty coś, czego za nic w świecie nie chce odłożyć na tro, a drugi zmęczony, trzeci wybiera się w „gości", czwartego by bolą.

A oni tutaj co dzień. Co dzień każdy znajdzie czas. To się nazywa aca! To się nazywają wyniki pracy!

Każda brygada w kołchozie ma swój osobny, drobiazgowo ustalony an. Brygada dzieli się na cztery ogniwa. Każde po dziewięć do dzieęciu osób. Poszczególne ogniwa otrzymują uprawy, ale za całość odwiada cała brygada.

Brygad w Drugiej Pięciolatce jest osiem. Polowych mają cztery. Do ażdej należy 460 ha. Piąta brygada przygotowuje paszę na 298 hektach. Szósta brygada pracuje w sadzie i w ogrodzie na 38 ha. Siódmej

powierzone są roboty leśno-melioracyjne i jedwabnictwo. Pod jej opie znajduje się 13 ha. Ósma to brygada budowlana.

Ta pracuje tak, że dosłownie wióry lecą. W ubiegłym roku 12 budżetu kołchozu przeznaczono na budowę. W tym roku 20% dochc inwestowane zostaje na nowowznoszące się mury i kładzione na ni dachy.

Brygada budowlana ma pewną swoją ambicję. Dzięki tej ambicji sp cjalny młyn elektryczny miele w kołchozie kukurydzę na paszę. G gospodarstwo posiada ponad 300 sztuk bydła, ludzie dobrze potra ocenić, ile taki młyn odejmuje ich rękom roboty.

Dzięki owej ambicji brygady budowlanej kołchoz posiada całkov cie zelektryfikowaną stolarnię. Bo ambicja ta polega na dążeniu, a jak najracjonalniej wykorzystać elektryczność w kołchozie. Tak, że żyć było łatwiej, jaśniej, prościej.

Delegaci długo oglądają młyn elektryczny. Jakby go chcieli r kręcić do ostatniej śrubki, zapamiętać i zmontować z powrotem.

Delegatki ciągnie w inną stronę. Ku podłużnemu bydynkowi o m rach głęboko wciśniętych w ziemię. Kształtem przypomina oranżer ale nie ma oszklonego dachu. Ta niepozornie wyglądająca ni to c plarnia, ni to piwnica przynosi kołchozowi roczny dochód w wy kości 200 tys. rubli.

Tak zapisał sobie Władysław Senderak przewodniczący spółdzie produkcyjnej Przełom, pod Wojniczem w woj. krakowskim.

Samą liczbę podkreślił. Była dla niego ważna.

200 tys. rubli dają Drugiej Pięciolatce gąsiennice. Są ich set Białawe, miękkie, obrzydliwe, pełzają jakby senne po zielonych liścia U wejścia do budynku gromada kobiet, zasiadła w kręgu na stołe kach, obrywa niestrudzenie z większych gałęzi mniejsze, wyrówn je w pęki, odrzuca zeschłe liście. Gąsiennice konsumują widocz swoją strawę równie prędko, jak przygotowuje ją brygada kobie

Czas jest gorący, od roboty ręce płoną. Za dwa dni zaczną się „rod Trzeba raz po raz rozkładać na półkach, blisko jedna nad drugą us wionych, liście morwy gąsiennicom na żer.

Robaki mają po trzy miesiące. Za dwa dni najedzone znieruchomi i zaczną snuć z siebie cieniutką nić. Będą się w ten puch obwi i obwijać, aż znikną w delikatnych wnętrzach maluteńkich gniazd Zamiast tłustych stworzeń zostaną na gałęziach wydłużone niby ciorki kłębki o jaskrawej, jasnożółtej barwie. Z tych poczwarek wylęgną się nigdy motyle. Zostaną sparzone gorącą wodą. Kobi

wijać będą z kokonów z powrotem nici. Jedwabne nici. Każda kulka
e większa od gołębiego jaja da 1 200 do 1 500 metrów nici.
I tę liczbę zapisał Senderak. Pedantycznie obejrzał każdy szczegół
ądzeń budynku, wcale na pałac nie wyglądającego, a jednak ma-
ego wartość pałacu. Opiekunki jedwabników wypytał dokładnie
ch pracę. Ofiarowany kokon owinął w liście morwy i pieczołowicie
ował do kieszonki.
Z pewnością przyszła hodowla jedwabników w spółdzielni produk-
nej Przełom niejedno urządzenie zawdzięczać będzie hodowli Dru-
ej Pięciolatce.
Wieczorem w kołchozie były na cześć gości tańce i właśnie trochę
powodu nich zdarzyła się Jadwidze Włoszek ta przygoda. Bo Włosz-
wą do tańca nie ciągnęło. Nawet przyglądać się nie miała zbytniej
noty. Po upalnym dniu mrok, niedawno zapadły, wydawał się jeszcze
żaru ciężki. Niejednemu z delegatów szumiało w głowie po wielu
niach wybornej wieczerzy i po niejednym kieliszku. Więc tym żwa-
ej sunęli w kręgu tańczących.
Ale Włoszkowa była zmęczona. Chętnie dała się zaprosić przez ko-
ety ukraińskie do którejś z chat. Jak się tam między sobą porozu-
ewały — trudno powiedzieć. Jadwiga Włoszek nie umiała wiele po
syjsku. Ale zawsze się jakoś dogadały, jak to kobiety z kobietami.
Naprzód na pewno było oglądanie mieszkania. Do tego nie potrzeba
żo mówić, tylko dobrze patrzeć i na migi się czasem o coś zapytać.
że się podoba, jedna drugiej od razu wyczyta z twarzy.
Potem był poczęstunek. Do tego też nie potrzeba dużo mówić. Tylko
ważnie próbować i na migi czasem o coś zapytać. A że smakuje,
na drugiej od razu wyczyta z twarzy.
No a w końcu mówić też nie było trzeba, bo można było śpiewać.
pewnością zaczęły od tych pieśni, które umiały wszystkie. Mogły
śpiewać razem i Włoszkowa, i ukraińskie gospodynie. Dalej nuciły
ż po kolei, raz ona, Włoszkowa, raz tamte. Od najnowszych piose-
k — do dawnych, prawie zapomnianych. Milkły na chwilę. Wyda-
ało się, że już chyba wszystko, co na ludową melodię, zostało tutaj
yśpiewane. Ale nie. Już znowu mocny alt kołchoźnicy albo wątły
szkant przewodniczącej Gminnej Spółdzielni Samopomocy Chłop-
iej podejmował nową nutę:

— Najniżej jaskółki nad wodą latają
najbardziej chłopacy blondyny kochają.
Gdybym ja tylko miał blondynę za żonę,

nie zamieniłbym ją z królem na koronę.
Bo choć korona jest ze złota odlana,
każda blondyna jest na żonę zesłana...

Włoszkowa ma wprawdzie włosy krucze. Nie o sobie śpiewała starą piosenkę. Ale widocznie musiała pokazywać gestami i te jaskó nad wodą i te cudze, złote warkocze i koronę, tak że wszystkie zrozumiały.

Jak długo trwał ów turniej śpiewaczy — nie wiadomo. W każdy razie dłużej, niż się wydawało kobietom.

Bo kiedy Włoszkowa z żalem ogarnęła się do odejścia i odprow dzana przez gospodynie dotarła przed Dom Kultury, centralny pl kołchozu był pusty.

Orkiestra grała niezmordowanie, po trawie kręcili się w kółko t chę już senni kołchoźnicy, ale samochodów wycieczki polskiej ani ślad

— Pojechali?!!!

— Musieli pojechać.

— Zostawili mnie, zapomnieli!

Włoszkowa aż przysiadła na ławce ze zgrozy. Pociągnęła raz nose pociągnęła drugi i już od razu płakała rzewnymi łzami. Ze zmartw nia i ze wstydu. Bo co teraz będzie? Jak ich dogonić? Kto wie, gd są, a przecież dziś w nocy zaraz po powrocie z kołchozu miał być odja w zupełnie inny rejon. I najgorsze, że nikogo tutaj nie można win Włoszkowa sama sobie winna. Przecież było mówione tyle razy, że każdy siebie pilnował. Jest ciemno, trudno wszystkich za każdy razem liczyć jak małe dzieci. Ogląda się jeden za drugim, ale w tłu można kogoś pominąć. Co ma teraz zrobić nieszczęśliwa?

Nieszczęście okazało się mniejsze niż lament delegatki z Grudy Kołchoźnice prędko zakrzątnęły się za samochodem. Zaraz na och nika zgłosił się szofer i Włoszkowa została odwieziona z paradą stację kolejową. Jeszcze zanim wyschła jej chustka od łez wilgot Zdążyła przed odjazdem całej grupy.

Ale potem, jeśli którykolwiek z delegatów żartował z przygo Włoszkowej, odpowiadała hardo: „Że nie ma złego, co by na do nie wyszło". Teraz będzie miała argument z własnego doświadczen Specjalnie dla tych, którzy jeszcze do dziś dnia wygadują w Pols że kto pojedzie do Związku Radzieckiego, jest pilnowany na każd kroku. A naprawdę jak jest? Nikt nikogo nie pilnuje, najlepszy wód, że się łatwo zgubić, jak ktoś na siebie nie uważa i potem sa kłopoty.

Niejedna Jadwiga Włoszek znalazła w kołchozie nowy argument. Reszta delegatek w nowych tutaj umocniła się także wnioskach. Na nat kobiet. Że jest je w czym naśladować. I dzieci wychowują, jak zystkie inne, i gospodarstwo prowadzą, i pracują.

Nie spotkać tam kobiety, jak u nas na wsi się trafia i to często, takiej nie wyjmie głowy z piekarnika za żadne skarby. Bo się boi.

Tam, jeśli kobiecie się zdarza pojechać na jakiś kurs, wybierze się ałą chęcią, zaszczycona, bez obawy. W domu tak sobie wszystko ży, że może jej nie być i kilka miesięcy, wszystko pójdzie jak w ze-ku, regularnie. Nowoczesna kobieta, przykładowa.

Nie tak jak...

zdaje się, że chyba właśnie w związku z tymi obserwacjami mniej było odtąd mowy między kobietami w wędrującym wagonie kropnych snach i o kartach, co wróżą same pomyślne sprawy.

Maria Jarochowska

Grecka poezja wolności

W chwili nasilającej się z miesiąca na miesiąc, z tygodnia na tydzień wa
o pokój na świecie, kiedy my w Polsce mamy możność prowadzić ją „W
tami pokoju", wzmożoną pracą nad odbudową naszego kraju, nad reali
cją Planu Sześcioletniego wiodącego nas ku socjalizmowi — w tej sa
chwili w innych krajach toczy się ta sama walka okrutnie i krwawo,
ciągając za sobą tysiące ofiar.

Niemal od roku czytamy codziennie, pełni podziwu i współczucia dla
padniętych zdradziecko Koreańczyków i pełni nienawiści do barbarzyńsk
imperialistów, komunikaty wojenne z pola walki na Korei.

Od sześciu lat dochodzą nas wstrząsające wiadomości z Grecji. Nie za
sze może uświadamiamy sobie, że w tym kraju krwawa walka o woln
i demokrację toczy się już od lat jedenastu. Że postępowa, światła cz
narodu greckiego znajduje się w jarzmie okupacji jedenaście lat! Że zm
nili się tylko okupanci: po włoskich faszystach, niemieckich nazistach po
wili się angielscy i amerykańscy imperialiści.

W 1950 r. ukazała się we Francji i w Związku Radzieckim książka
K r w i ą S e r c a, gdzie znajdujemy zbiór wstrząsających dokument
męki, ofiary i zaciekłej walki prowadzonej w Grecji przeciw faszyzm
i imperializmowi. W szeregach bohaterskich bojowników spotykamy prz
stawicieli wszystkich zawodów: robotnika, chłopa, nauczyciela, studen
żołnierza i oficera, poetę. Wszyscy ożywieni jednym duchem męstwa, ofi
ności i miłości do współtowarzyszy, wszyscy spragnieni wolności, sprawie
wości, nowego jasnego życia dla greckiego narodu.

Podajemy tu trzy fragmenty z tej książki: parę stron pamiętnika o pr
biegu głodówki podjętej przez więźniów na znak protestu i solidarn
w walce o los skazańców, krótki życiorys i ostatni list 24-letniego po
greckiego, wreszcie wiersze jego oraz innego skazańca-poety.

Wszystkie te dokumenty i utwory pisane były na skrawkach papieru
puszek konserwowych i przekazywane z narażeniem życia poza mury gr
kich kaźni. Są one świadectwem tego samego porywu patriotyzmu i męst
jakimi były czyny bojowników wojen perskich i czasów Byrona.

Stefan Flukowsk

TRWAMY W WALCE!

Pamięci dwudziestu trzech towarzy
z Averof straconych 4 maja 1948.

4 Maja. Przez całą noc śpiewy napełniały męstwem serca uwięzion
towarzyszy pełnych oczekiwania nadejścia wielkiej chwili. Dniało, gdy
prowadzono ich na egzekucję. W górze, na szczytach Hymettu, powiew
radosne sztandary nowego dnia. Nasze głośniki przesyłają skazańcom ost
nie „Żegnaj", śpiewają pean na cześć ich wspaniałego zwycięstwa.

ięzienie żyje ich tchnieniem. W chwili zbiórki na pomostach do „żałob- marszu" oczy towarzyszy żarzą się. Wkrótce taniec Z a l o n g o*) rnie w swój wir całe więzienie. Zimne mury twierdzy rozbrzmiewają zystą pieśnią bojową.

ieczór. Głośniki nasze podają bez przerwy: „Ogłasza się głodówkę na nieokreślony, aż do zaprzestania masakry!"

maja. Godziny szybują w milczeniu nad dobrowolnie podjętą ofiarą. ogodnej ciszy nieugiętego postanowienia, powziętego przez wszystkich omyślnie, słyszysz uderzenia swego serca i wiesz, że w tej chwili sie- set serc twoich towarzyszy walki bije tym samym rytmem.

ieczorem nadlatuje wiadomość z żeńskiego oddziału... Wyprowadzają ety na stracenie! W porywie nienawiści do katów ręce dziko zaciskają na okiennych kratach. Całe więzienie rozbrzmiewa licznymi głosami, kiem bólu wywołanego tą nową zbrodnią. Noc upływa powoli. W mroku łyski oczu. Gorąca łza rozpala policzek, łza żalu za odchodzącymi boha- ami.

maja. Na szarym grzbiecie Parnasu różowe błyski zapowiadają nowy ń. Zza kraty klatki służącej do przyjmowania odwiedzających dochodzą mione głosy. Więzienie odpowiada zgodnym chórem: „Żegnajcie matecz- które stąd odchodzicie, żegnajcie mateczki, żegnajcie!"

zlitosny głód targa trzewiami każdego z nas. Od nękających męczarni ie wreszcie wyczerpane ciało.

rawcy na próżno starają się złamać ducha, unicestwić nas lękiem przed rcią. A my... my witamy ją powiewając naszymi sztandarami jak prze- ednią nowych świtów. Rozwijają się one w nieubłaganej barwie i pie- ją swym ognistym językiem ropiejące ciało starego świata pogrążo- w plugastwie i zbrodni.

maja. Wszystkie oczy zwrócone na redutę ofiary. Ateny otrzymują peł- wały wieść: „Trwają w głodówce już cztery dni." Świat śledzi z zapar- oddechem ten wstrząsający dramat idei okutej w łańcuchy. Dziś pierw- wypadki krwioplucia. Izba chorych zamienia się w niezłomną skałę. Na eracach bezsilnie opadłe ciała, targa nimi głód. Lecz oblicza pełne jasno- Chwilami nawet pojawia się na bezkrwistych wargach słaby uśmiech. niki nasze wołają: „TRWAMY!"

maja. Czas płynie wolno. Cisza przyczajona usiadła na grzebiecie re- . A głośniki nasze krzyczą: „TRWAMY!"

ły naród żyje rytmem naszego tętna. Kaci, co stoją nad nami, obezwład- i strachem myślą o swej bezsilności. Wściekły ich sadyzm doszedł do

---

*) Przed przeszło wiekiem kobiety greckie otoczone na górze Zalongo przez tu- ich janczarów, przenosząc śmierć nad niewolę i hańbę, rzucały się po kolei ały w morze. Przed śmiercią wykonywały taniec, nazwany potem na pamiątkę wydarzenia „Zalongo" — który miał wyrażać ich męstwo i nieugiętą postawę. nie Zalongo jest tańcem partyzantów, więźniów politycznych, skazańców, onywanym w obliczu śmierci.

szczytu. Odmawiają wyschniętym wargom wyczerpanych towarzyszy na odrobiny cytrynowego soku. Ciała jak szkielety oddają molochowi gł ostatnią kroplę swojej krwi. Bohaterowie umierają, sami wybrali sc śmierć. A głośniki nasze huczą: „TRWAMY!"

Umrzemy wedle naszego rozumienia. Ale nasza śmierć będzie jeszcze je kulą w pierś faszyzmu. Umrzemy. Ale nasza zagłada wybije godzinę d nastą dla ludu.

10 maja. Jak smukłe świece na wiecznym ołtarzu prawdy spalają się woli nasi bohaterowie. A głośniki nasze krzyczą: „TRWAMY!"

(Urywek z dziennika skazanego na śmierć

C. JANNOPOLUS

Aktywny członek demokratycznej organizacji młodzieżowej — EP Mężnie walczył z faszystami włoskimi i niemieckimi. Potem wstąpił ELAS (Organizacji Bojowników o Wolność i Demokrację), gdzie otrzy stopień kapitana. Ojca jego zesłano za działalność do obozu koncentra nego we Włoszech.

Cóż tu powiedzieć o aktywności pełnej dynamizmu, o bujnej rad życia, jakie kryły się w tym wątłym ciele?! Że cały oddał się walce? O warzyszach swoich myślał nawet w ostatnią noc przed egzekucją, już w śmierci, i stamtąd zdołał im przesłać swój list i ostatni wiersz.

Stracony w dniu 6 maja 1948.

Bracia moi z EPON!

Wznoście wysoko sztandar walki! Niech żyje Wolność! Umierc przeświadczeni, że w szeregach naszych nie znajdą się kapitula Nieposkromiona młodzież pójdzie naprzód!

Niech żyje WOLNOŚĆ!

Niech żyje DEMOKRATYCZNA ARMIA!

Niech żyje GRECKI NARÓD!

Niech żyją UDRĘCZENI PO WIĘZIENIACH BOJOWNICY!

EPIGRAMAT

Kiedy nas płomień pochłonął
Wraz wszystkie bóle zagasły
Bo każdy śmiercią własną
Śmierć pokonał.

O Grecjo! Brzaskiem niebo dnieje
I zapowiedzią w krąg goreje.
Niechaj przepadnie nocy cień!
Królową naszą — młody dzień,

Królem — lutego słońce:
Czerwienią jasną swych promieni
Z młodością splotło się gorące —
I uścisk w uścisk się przemienił.

Młodzieńcy idą w góry rojem,
Tam, gdzie brzmi pieśń, gdzie dyszy bojem.
Z koźlęciem w śniegach dzikich gór
Przyjaźni się robotnik młody,
Tam się rozlega gromów wtór
I dudnią tańca korowody.

W szeregach młodych wolność kroczy,
I krwi przelanej błogosławi,
Błyskawicami są jej oczy
Bo do zwycięstwa ich prowadzi.

23 luty 1948

W CELI ŚMIERCI

Zwycięstwo, o bracia moi,
Jeśliby nawet ostatnia godzina
Zbliżyła się ku nam
Na naszej drodze rozwartej na oścież,
Zwycięstwo, moi bracia, będzie nasze,
Gdy przezwyciężyć zdołamy strach,
Zwyciężyć samą śmierć.

Z krańca po kraniec Grecji
Toczy się gromu głos,
Zwycięski braci głos.
Powiewają naszym sztandarem.

Jeżeli wołam o karabin,
To... aby strzałem ozwał się w mej pieśni.

W ciągu całej tej nocy,
W mojej celi plugawej,
Towarzysze i ja
Czekaliśmy śmierci.
A ona z nami wraz stała przy każdym z nas.

Pomoc nam niosą wolności oczy płomienne,
My i ona dziś jedno...
Oto moje marzenie.

NOCE

O, jakże zapomnieć taką noc...
Ciemności zstąpiły na ziemię
Jak wilków całe stado,
By wyć na śmierć
I nas zmusić do wycia
Ze strachu przed śmiercią.

Mówiły sobie:
„Może Otchłań tym razem
Przerazi Niezwalczonych..."

Ale z pomroką spadły
Gwiazdy z nieba na ziemię
Ustroić dzieci nasze
Wieńcami i kwiatami.

Proste, przejrzyste cienie
Na niewyraźnym jeszcze
Zorzy zarysie,
Bohaterów cienie.

A za nimi cień
Bardziej mroczny niż noc —
Odpędzona przez nich: ...śmierć...

I oto słowa przerwały milczenie —
Burzy zwiastuna...
Ze zgłosek powstały imiona,
Ożywiły jaśniejsze już cienie.
A śmierć lękając się zostać sama z umarłymi
Przywiodła noc.

Ni dzieci nasze, ani ich mogiły
Nie dają się skryć,
Życie zachowało im kąt
W samym sercu wieczności.

Życie powierzyło im swój sztandar,
A orzeł poniósł go wysoko
I ku niebu się z nim wzbił,
Gdzie ołtarze ostatecznej ofiary...
Wówczas niebiosa się rozwarły
Jak owoc granatu dojrzały
W dzień Nowego Roku,
I wszystkie gwiazdy się rozpierzchły
Na jasnych progach nieśmiertelności.

A my... My zawieszeni u krat więziennych,
Skrzydła dusz naszych rozpostarliśmy,
Światłem wolności oślepieni
Ręce wyciągnięte w uniesieniu,
By zbierać gwiazdy
Ześlizgujące się na nasze dzieci.

A był to ostatni pocałunek,
Braterski pocałunek serca całego w płomieniu.

Prysnął nam iskrą w twarze
A wówczas szaleństwa ogień,
Tańczący ogień wspomnień
Nienawiść świętą w nas zażegł...
...Nie zapomnimy tej nocy nigdy, przenigdy.

2 kwietnia 1948

OSTATNIA PIEŚŃ

Ranka godzina wczesna brzaskiem nas pozdrawia:
Koguta głos złowieszczo z mroku gdzieś wytryska!
W sercu już jaśniej i noc pośpiesznie się odprawia.
Widnokrąg jeszcze ciemny, lecz chwila świtu bliska.
Tylko jutrzenka blada nam, bracia, przeznaczona,
Ócz naszych nie ucieszy słońca promień poranny.

Słuchajcie... Trąbki to głos, gdzieś w dali dźwięczy,
Poranny trąbki głos dobywa się z ziemi łona.
Do walki cię wyzywa, wzywa na stół ofiarny.
Bije godzina:
Budzi się serce, rozum, budzi się wszystko we mnie,
Jestem dziki i czuły, płonę i rzucam się w ogień.
Jednoczę się z życiem najgłębiej.

Po raz ostatni piliśmy wino, dobre i mocne wino,
Jak konie co krew chłeptają w strumieniach
I dumne do bitwy stają.
Skrzydła u serc nam rosną i naprzód się rzucamy,
Wydając głośny okrzyk, straszliwe wyzwanie śmierci,
Okrzyk jak ryk huraganu,
Krzyk, co otacza całą naszą ziemię.

Naprzód! Więc, naprzód! Bracia, wesoło
Wstępujcie wszyscy w taneczne koło!
Córy Zalonga

Ten tan wiodły pierwsze,
Było to dawno, lecz ja słyszę jeszcze
Lekkie ich kroki,
Echo ich pląsu wciąż jeszcze się błąka.
Młodości leć, w niebo nas nieś,
Bo tu na ziemi nikt nigdy nie widział
Tak ogromnego nieba.

Ach! my już nie słabi, my nie ułomni!
Nikt z nas nie czuje, by jego serce
Zacieśniało się,
Nikt się nie ugiął, nikt z nas nie stchórzył.
Czoło do góry!
Wzrokiem mierzymy bastiony śmierci,
Po prostu je burzymy.

Kiedy nas płomień pochłonął,
Wraz wszystkie bóle zagasły,
Bo każdy śmiercią własną
Śmierć pokonał.

F. ASTERIS
Więzień Eginy skazany na śmierć

EPIGRAMAT

23 więźniom Ave

Cześć wam, orły więzione, gwiazdy skute łańcuchem!
Wam dane jest zapalać waszych serc płomieniem
Nieśmiertelną pochodnię,
Młodą, nieporównaną pochodnię wolności
W niebiosach człowieka.

Wasze to, pełne chwały przeznaczenie.

EPIGRAMAT

17 straconym z Egi

Pozdrawiam was, błękitu orły,
Wolności wieńce —
Was, pierwszych spośród partyzantów,
Ostatni złoty promień gwiazd —
Was, co przez czasy,
Przez rzeki krwi

Dorównaliście męstwem
Wszystkim Kolokotronisom *).

Dzwony wolności,
Zgiełki zemsty,
Z jednej chwili
Zakrzykną w lata:

Zorza już czeka, by ukazać
Zmierzch życia — nas,
Siedemnaście zmierzchów w kajdanach.

TRYPTYK POLEGŁYM BOJOWNIKOM

W księdze narodów, której nie masz końca,
Historii dnie
Będą przewracać kartę po karcie.
Pod stalowymi palcami postępu
Na każdej stronie, Bracia, Towarzysze,
Zamiast pieczęci będą serca wasze
We krwi skąpane,
Wasze serca rozdarte przez faszystów.

Kropla po kropli opróżnia się serce,
Tak odmierzają zegary piaskowe
Sprawiedliwości chwile najwznioślejsze.
Tak ziarnem po ziarnie
Przesuwa się przez życia palce
Świetlisty różaniec rozwoju,
O, Bracia i Towarzysze.
Aż wreszcie ludzkość dąży w pokoju
Ku słońcu, naszemu słońcu.

Krąg za kręgiem
Fale oceanu przyszłości
Przybierają wszerz i rosną.
Zwieńczone pianą,
Któregoś dnia nieskończonego,
Zostały zmącone kamieniem, co wstrząsnął
Wód nieruchomość,
Bracia, o Towarzysze.

To wasze martwe serce
W kawałki poszarpane
Przez bestie faszystowskie.

---

*) Teodor Kolokotronis (1770—1843) jeden z najwybitniejszych działaczy grec- ruchu narodowo-wyzwoleńczego w XIX wieku.

ŚWIĘTO MAJOWE

O, Pierwszy Maj, radości młode!
Święto szaleństwa krwi tętniącej w polu!
Bywajcie, o bracia, bywajcie!
Serca jak sztandar w górę!

Nie rzucimy waszego tamburynu.
Będziemy go trzymać pięściami,
Naszych głośników głosami,
Niesytym głodem naszym.

Poszliście święcić maj, przyszliście na święto pochodem,
Patrzy zazdrosna śmierć, patrzy na was ze złością.
Odchodzi od was precz z lęku przed korowodem,
Ogłuszyliście ją waszych pieśni młodością.

Uderzcie bandyci, rabusie, wilki, co pożerają!
Jak granit nasza pierś, jeśli go ciosać chcecie,
Poszczerbią się wasze miecze, stawy wam popękają.

Bo na złocistych górach rozbłysła jutrzenka jasna.

O, Pierwszy Maj, radości młode, święto szaleństwa krwi
Tętniącej w polu. Bywajcie, o bracia, bywajcie!

przełożył **Stefan Flukowski**

Edward Dembowski jako krytyk i historyk literatury*)

Pionierska praca Dembowskiego, pierwsza krytyczna historia literatury polskiej, Piśmiennictwo polskie w zarysie, pomyślała jako pewnego rodzaju kompromis. Kompromis między zamierzeniami autora a intencjami wydawcy. Wydawca, N. Kamiński, znany poza tym działacz społeczny na terenie Poznańskiego, reprezentując tym wypadku interesy większości swych odbiorców, liberalnej szlachty, chciał dać czytelnikom zwięzły podręcznik historii literatury polskiej, nie odbiegający swym charakterem od dotychczasowych dzieł tego rodzaju, które były prawie wszystkie w samej rzeczy bibliografiami polskiej literatury, rozszerzonymi o krótkie życiorysy wybitniejszych autorów. Dembowski natomiast pragnął stworzyć zarys historii literatury polskiej, ujętej w sposób nowy, krytyczny, pragnął dać „organiczny, myślowy rozwój literatury“ [1]), oparty na założeniach rewolucyjno-demokratycznej estetyki, jaką sobie w ciągu lat wypracował. Ustępstwo Dembowskiego miało polegać na włączeniu do zarysu rozwoju literatury polskiej, w myśl życzeń wydawcy i odbiorców, również szernej bibliografii dzieł, które zdaniem autora nie miały większego wpływu na samą istotę literatury polskiej. Ustępstwa były jednak tylko pozorne. Dembowski zbyt wiele wyniósł doświadczeń z walki z cenzurą Paskiewiczowską i Minutolego, by nie mógł i w tym wydziale przełamać cenzury gustów szlachty i jej tradycyjnych, wstecznych nawyków. W istocie bowiem dołączona do książki biliografia rzeczy mało ważnych nie zaciążyła na całości. Czytelnicy ówcześni dowiedziawszy do ręki Dembowskiego Piśmiennictwo polskie w zarysie musieli chcąc nie chcąc zatrzymywać się również przy tych ustępach, które niosły duży ładunek rewolucyjny i skłaniały do przemyślenia i odrzucenia starych reakcyjnych poglądów. Dembowski nie ukrywał zresztą przed czytelnikami swych intencji. „Nie opuściłem — pisze w przedmowie — bibliografii i wyliczaniu dzieł poświęcam nieraz obszerniejsze ucharakteryzowanie utworów ważniejszych, niżtego, że pismo czysto rozumujące, jakie byłoby najwłaściwszym obrazem literatury, mało kto wziąłby do ręki; przy przezieraniu zaś tego ma opartego na bibliografii, niejeden czytelnik zwróci uwagę swoją na rzeczywistą piśmienności istotę“ [2]). W ten sposób Dembowski umie posługiwać się swoją bronią i naciera nawet wówczas, gdy na pozór czyni ustępstwa ze swych zasad.

*) Rozdział z monografii o Dembowskim przygotowywanej dla Instytutu Badań Literackich. Rozdział ten poprzedza dwa inne: Poglądy filozoficzne i społeczno-polityczne E. Dembowskiego oraz Dembowski jako teoretyk literatury.

[1]) E. Dembowski, Piśmiennictwo polskie w zarysie, Poznań 1845, str. V.

[2]) Tamże, str. VI.

W chwili, gdy zaczął pracę nad Piśmiennictwem polski
w zarysie (połowa roku 1844), Dembowski przezwyciężył już w sob
bezwzględny podziw dla Hegla. Zachowując rewolucyjne, racjonal
jądro jego filozofii, metodę dialektyczną, odrzuca wnioski Hegla, doch
dzi do przekonania, że heglizm „cierpi zło społeczne istniejące, a prz
to nie zostaje doprowadzonym do swych ostatecznych wypadków"
Nie stając się konsekwentnym feuerbachistą, Dembowski pochwa
równocześnie krytykę Hegla dokonaną przez Feuerbacha. A
z drugiej strony, choć głosi nawrót do materialistów francuski
XVIII wieku, nie przechodzi jeszcze zdecydowanie na pozycje materi
lizmu. Pozostaje idealistą, wciąż wierzy za Heglem, że rozum ludz
jest główną siłą napędową historii, trwa przy Heglowskiej tożsamoś
bytu i myśli, oraz przecenia wpływ czynnika moralnego na rozw
społeczny. Chociaż wie, że „warunki społeczne określają duchowe ż
cie każdej epoki, że ich wpływem jest oznaczenie stosunków prawny
i politycznych w narodzie, są instytucje i ich rozwijanie się, kieru
i rozległość oświaty"[4]), to jednak z drugiej strony przekonany jest
Heglem, że „życie społeczne uoznacznione jest... życiem umysłowy
narodu, stopniem rozwoju, który naród osiągnął w umysłowości, w w
robieniu pojmowania wolności"[5]). W sumie więc mamy połączenie ni
konsekwentnego materializmu dialektycznego i praktycznego materi
lizmu historycznego z idealistycznym pojmowaniem dziejów, połącz
nie, które moglibyśmy nazwać za Dembowskim eklektyzmem, gdyb
to pojęcie nie było przez niego tak znienawidzone, a które za Enge
sem nazwiemy niedojrzałą teorią odpowiadającą niedojrzałości pr
dukcji kapitalistycznej, niedojrzałym stosunkom klasowym[6]).

Nie mielibyśmy jednak jasnego i pełnego obrazu światopogląd
Dembowskiego w chwili, gdy pisał swoją literaturę, gdybyśmy n
uwzględnili jeszcze całego szeregu innych czynników. Rozwijając swo
rewolucyjną dialektykę Dembowski doszedł do przekonania, że proc
postępowego rozwoju życia społecznego jest wieczny i nieograniczon
„Owszem — powiada — postęp jest prawem, jest życiem wszystkieg
cokolwiek jest"[7]). To jedno. Po drugie, należy wziąć pod uwagę be
kompromisowy rewolucjonizm, który mu w dużym stopniu pomag
w słusznej ocenie zjawisk, mimo że nie widział klasowych korze
myśli ludzkiej. Po trzecie, w chwili gdy Dembowski pisał swoją hist
rię literatury, światopogląd jego rozwijał się konsekwentnie w kieru
ku dialektycznego materializmu, choć on jeszcze u niego dostatecznie n
okrzepł. I w końcu, nie uznawał rozbieżności między myślą i czyne
Tylko ta myśl była dla niego słuszna, była prawdziwa, która staje s
dźwignią postępu społecznego.[8])

---

[3]) E. Dembowski, Kilka myśli o eklektyzmie. Rok 1843, t. IV, str. 3.
[4]) E. Dembowski, Piśmiennictwo polskie w zarysie, str. 2.
[5]) Tamże, str. 2—3.
[6]) Por. Fryderyk Engels, Anty-Dühring, Książka, Warszawa, 1948, str. 3
[7]) E. Dembowski, Kilka myśli o eklektyzmie. Rok 1843, t. IV, str. 1.
[8]) E. Dembowski, O dramacie w dzisiejszym piśmiennictwie polskim. R
1843, t. VI, str. 3.

Dopiero po uwzględnieniu wszystkich tych momentów zrozumiemy, czego światopogląd Dembowskiego jest rewolucyjny, mimo że tkwił obsłonkach idealistycznych, zrozumiemy również, skąd się biorą dne oceny Dembowskiego mimo rewolucyjnego światopoglądu.

Nie umiejąc jeszcze wyjść w tym czasie poza heglowską koncepcję samości bytu i myśli widzi Dembowski w dziejach rozwoju społecznego pewną rozwijającą się ideę. Jest nią dla niego, jeśli chodzi o naród polski, idea wolności, idea demokracji.

Rozwój społeczny narodu polskiego, jego historia — to dzieje realizacji idei wolności, dla Dembowskiego identycznej z ideą sprawiedliwości społecznej, ideą demokracji. Rozwój narodu polskiego szedł, według Dembowskiego, w kierunku stopniowego obejmowania wolnością coraz szerszych warstw narodu. Z początku wolność ogarniała tylko jedną warstwę, szlachtę, doprowadziwszy w XVI wieku do republiki szlacheckiej, by później drogą rewolucji objąć także lud. Literatura, która jest z kolei odbiciem warunków społecznych, powinna być obrazem walki o rozszerzenie idei wolności na lud, powinna być obrazem głębszego postępu w kierunku powszechnej demokracji, w kierunku bezwzględnej sprawiedliwości społecznej, w kierunku równości. Literatura, która przejawia dążność do wolności, a więc miłość do ludu, jest postępowa, literatura, która tej dążności nie przejawia, która w dodatku dążność tę zwalcza, jest wsteczna.

Zasadnicza cecha, jaka odróżnia dzieło Dembowskiego od historii literatury polskiej pisanych przez jego poprzedników — jeśli w ogóle o poprzednikach można mówić, bo w samej rzeczy można obok książki Dembowskiego postawić zaledwie Historię literatury polskiej Wiszniewskiego, wszystkie inne, Bentkowski, Jocher, Łukaszewicz, to w istocie raczej bibliografie — to ścisłe łączenie dziejów literatury z dziejami narodu. W Historii literatury Wiszniewskiego ahistoryzm dochodzi do takiego absurdu, że autor odróżnia dwa rodzaje historii, tę, która wywiera wpływ na literaturę i jakąś drugą, która z literaturą nie ma nic wspólnego. „Czytelnik zechce pamiętać — określa Wiszniewski w przypisku — że tu wszędzie polityczne również jak religijne wypadki uważane są tylko pod względem ich wpływu pośredniego na literaturę; bo w historii może by się w innym okazały świetle“[9]). Dembowski, jakkolwiek nie dostrzega, że podstawę politycznego i umysłowego rozwoju każdej epoki stanowi produkcja ekonomiczna i wynikający z niej ustrój społeczny, i że historia ludzkości jest historią walk klasowych, widzi jednak w historii narodu polskiego ciągłe ścieranie się interesów kościoła i państwa, sprzecznych interesów szlachty i ludu, króla i szlachty i dlatego dzieje literatury w każdym okresie rozpoczyna od obszernego wprowadzającego wstępu, którego zadaniem jest wykazanie wzajemnego związku między rozwojem społeczeństwa i rozwojem literatury, wzajemnego, bo według

[9]) Michał Wiszniewski, Historia literatury polskiej, t. VII, str. 3.

Dembowskiego stosunki społeczne wywierają przemożny wpływ n literaturę i z kolei literatura wpływa na rozwój stosunków społecznych

Wstępy te, będące główną cechą charakterystyczną Piśmienni ctwa, zaczynają się od charakterystyki ogólnej — „znamię ogólne tak się to nazywa u Dembowskiego — będącej wykładnią całego okresu „Znamię ogólne" — to obraz wcielania się idei w żywocie społecznym to obraz fazy, jaką w danym okresie przechodzi idea wolności czy narodowości, bo narodowość to według Dembowskiego nie nawrót d starożytności słowiańskiej, jak u Mochnackiego, ale „stanowisko poj mowania wolności". „Znamię ogólne" epoki to stan walki demokrac z monarchizmem i feudalizmem.

Za „znamieniem ogólnym" idzie we wstępach charakterystyka języka danej epoki. Nie jest to dowolność, podyktowana kaprysem. Porządek ten znowu jest uwarunkowany całością koncepcji. Język jest według Dembowskiego najważniejszym odbiciem ogólnego „ducha epoki". Je żeli bieg dziejów jest procesem realizowania wolności, procesem wy zwalania się narodowości oryginalnej, niczym nieskażonej, to języ jest bezpośrednim przejawem tego procesu. Jest on, zdaniem Dem bowskiego, rezultatem ścierania się narodowego języka z językam napływowymi, idącymi w parze z napływową kulturą i napływowym ideami, obcymi narodowości polskiej. Cały proces walki języka narc dowego z językami napływowymi towarzyszy równolegle procesow walki narodowości, a więc, jak wiemy, idei wolności, z ideami obcym narodowości polskiej. Takimi na przykład jak despotyzm, feudalizr czy monarchizm, które to pojęcie obejmuje zresztą u Dembowskieg i feudalizm, i despotyzm. W chwili gdy zwycięża idea narodowości, t znaczy demokracji nad monarchizmem i feudalizmem, zwycięża rów nież język polski nad językiem łacińskim i francuskim, które w ciąg wieków przytłaczały „dziarski i męski" swoisty język polski.

Dembowski popełnia tu, rzecz prosta, błąd, który wynika z jego idea listycznych założeń. Jędrność języka polskiego w epoce Mickiewicza a więc w epoce zwycięstwa języka „absolutnego", narodowego na językami obcymi przypisuje on nawrotowi do języka pierwotneg „dziarskiego i mocnego", który istniał przed najazdem języka łaciń skiego czy francuskiego. To samo błędne założenie, które każe mu wy łącznie w historii narodu polskiego widzieć ucieleśnienie idei wolnoś i demokracji, nie pozwala mu dostrzec faktu, że dzięki językowi ła cińskiemu i francuskiemu język polski wzbogacił się. Stalin, mówia o krzyżowaniu się z językiem rosyjskim w toku historycznego rozwoj szeregu języków innych narodów, zwraca uwagę, że w wyniku zwycię stwa nad innymi językami „słownictwo języka rosyjskiego uzupełni się przy tym, czerpiąc ze słownictwa innych języków, ale to nie tylk nie osłabiło, lecz przeciwnie, wzbogaciło i wzmocniło język rosyjski" [10]

Po określeniu „znamienia ogólnego" epoki i po charakterystyce języ ka jako zewnętrznego odbicia jej ducha, Dembowski daje we wstępac obraz stosunków politycznych i oświaty. Oceny te składają się razer

[10]) J. Stalin, W sprawie marksizmu w językoznawstwie, Książka i Wiedz Warszawa 1950, str. 30.

niepełny co prawda, ale zwięzły obraz stosunków społecznych i po-
alają literaturę danej epoki umiejscowić w czasie. Przestaje ona
, jak u poprzedników Dembowskiego czy nawet następców, czymś
adczasowym, oderwanym od życia. Literatura staje się u Dembow-
ego częścią składową epoki, w której powstaje, jest odbiciem nie
o ludzi, którzy ją tworzą, ale całego społeczeństwa.
Historyzm Dembowskiego nie jest konsekwentny. Nie rozumie on
ktury formacji kapitalistycznej, ale rozumie i widzi historyczny,
ejściowy charakter poprzednich formacji. Pokazuje literaturę w jej
stawaniu, widzi związek każdej fazy literatury z poprzednimi
stępnymi, widzi w przeszłości zarodek przyszłości, ujawnia sprzecz-
ci prowadzące do upadku starego i narodzenia się nowego. Nie za-
ala się opisywaniem literatury jak Wiszniewski, ale stara się ją
aśnić. Rozpatruje literaturę w ciągłym związku ze zjawiskami spo-
nymi i w związku z rozwojem historycznym. Wyjaśnia historyczną
każdego pisarza, znaczenie jego twórczości w walce o wyzwolenie
, w walce o demokrację.
embowski zdawał sobie całkowicie sprawę z pionierskiego cha-
teru swojej pracy i z tego, jaka powinna być historia literatury.
niając Historię literatury polskiej Wiszniewskiego
ierdza: „Kto nie jest na równi z czasem, mógł nam czarowny pod
lędem stylu, śliczny obraz historii literatury podać, tak jak podał
zniewski, ale nie samą historię literatury, bo na skreślenie jej
ba pojmować literaturę jako rozwijanie się idei wolności w naro-
, a do takiego pojęcia nie wzbił się Wiszniewski; owszem pozostał
im z dala, bo w dziele ledwie zwrot ku przeszłości polskiej spot-
".[11])

ównież próba periodyzacji dokonana przez Dembowskiego w Piś-
ennictwie nie jest przypadkowa jak u jego poprzedników, ale
le związana z jego poglądami na rolę i zadanie literatury. Piśmien-
wo polskie dzieli na trzy epoki. Pierwsza obejmuje najdawniejsze
ytki języka i pieśni, pomniki Polski przedchrześcijańskiej do roku
0. Druga, której daje ogólną nazwę okresu oświaty łacińskiej w Pol-
obejmuje wielki szmat czasu od 1000 r. do roku 1820, łącznie
teraturą czasów stanisławowskich, choć ta pozostaje pod wpływem
ratury francuskiej. Trzecia epoka, od roku 1820, nazwana przez
nbowskiego krótko okresem rodzimości literatury, sięga do roku
4, roku, w którym książkę pisał.
poki, zaczynając od drugiej, dzieli Dembowski na podokresy.
epoce drugiej odróżnia cztery podokresy. Pierwszy od 1000 r. do
1500 nazywa okresem wznoszenia się i wyrabiania piśmienności.
dokres drugi, od roku 1500 do r. 1600 — to czasy świetności lite-
ury. W podokresie trzecim, od r . 1600 do 1770 widzi „znędznienie
ratury i jej zupełną czczość". Podokres czwarty i ostatni drugiej
ki — to czasy naśladownictwa francuskiego klasycyzmu.

[11]) E. Dembowski, Sprawozdanie z piśmienności polskiej w ciągu 1843 roku.
1844.

W epoce trzeciej przemiany zachodzą znacznie szybciej i dlate na krótkiej przestrzeni czasu między 1820 r. a 1844 r., a więc w prz ciągu dwudziestu czterech lat Dembowski dostrzega aż trzy podokres Pierwszy — „budzenie się poezji narodowej" — obejmuje la 1820—1825. Drugi — „Mickiewicz i przezeń wzniesiony duch pols do samodzielności" — lata 1825—1830. Podokres trzeci — od 1830 1844 — to lata wyrabiania się myśli narodowej we wszystkich kieru kach i „rozpoczęcia życia samodzielnego, umysłowego w Polsce".

Ta periodyzacja, która nawet zwolennikom Dembowskiego wydawa się dziwaczna, nosi wszelkie znamiona genialności. Dembows doskonale wyczuwa momenty rozkwitu literatury i jej upadku. N ma w tym podziale na epoki i podokresy nic sztucznego. Periodyzac ta została, zresztą z pewnymi drobnymi tylko modyfikacjami, przyję przez późniejszych historyków literatury, mimo że każdy rok wzb gacał później znajomość literatury o nowe fakty, o których nie wi dział Dembowski. Rewolucyjno-demokratyczne kryteria Dembowski go okazały się świetnym kompasem w gąszczu nie tkniętej przed ni dziedziny.

* * *

Zobaczmy z kolei, jak Dembowski ocenia poszczególne okresy li ratury polskiej i ich sztandarowych pisarzy. Najwięcej o metod Dembowskiego mówi nam dokonana przez niego ocena literatury wi ku XVI. Główną cechą jej jest według Dembowskiego to, że miło narodu, patriotyzm, ogranicza się tylko do samej szlachty. Współczes widzą naród tylko w szlachcie. Demokracja szlachecka osiąga sw szczyt i stąd biorą się blaski i nędze literatury XVI wieku. Jęz polski osiąga wprawdzie pod wpływem języka łacińskiego i literatu łacińskiej pewną ogładę, ale naśladownictwo to, szkodliwe jak każ inne, odebrało mu dawną „dziarskość i rzeźkość". Ducha narodowe język ten oddać nie potrafił, bo „pożyczonym obrazem nie oddasz d cha narodowego". Stąd się bierze, powiada Dembowski, przewaga liry i poezji dydaktycznej w literaturze owych czasów.

Typowym przykładem literatury wieku XVI jest poezja Kochano skiego. Dembowski przyznaje, że Kochanowski nadał językowi wiel giętkość i tym samym postawił go na równi z innymi językami eu pejskimi, ale zwraca uwagę na fakt, że jego wzorowanie się na obcy wywarło nawet wpływ na wybór tematów. Dembowski nie nazy wprawdzie rzeczy po imieniu, ale wyraźnie ma żal do poety, że zl usilnie ulegając wpływom literatury łacińskiej czy greckiej, nie um trafić do ludu polskiego, nie potrafił znaleźć formy, w której by m opisać życie ludu, po prostu dlatego, że nie znalazł w swoich wzora odpowiedniego przykładu.[12])

[12]) Nie stawiając kropki nad „i" Dembowski formułuje tutaj zasadę mar stowsko-leninowskiej teorii literatury, że nawet wybór tematu pozostaje w ścis związku z ideologią pisarza.

Mimo tych zasadniczych zastrzeżeń Dembowski ma duże zrozumie- dla wielkich osiągnięć poezji Kochanowskiego. Jakkolwiek — ierdza Dembowski — śpiewa głównie „ku czci Boga i ku rozrywce yjaciół", jakkolwiek nie zajmuje się sprawami narodu, to jednak ętno ducha narodowego nie znika z poezji jego". Ponadto ceni Dem- vski w Kochanowskim prostotę i szczerość uczucia.

Z poszczególnych utworów Kochanowskiego Dembowski najwięcej iorów artystycznych upatruje w Pieśniach, Trenach i Od- awie posłów greckich. W Trenach podziwia rzewność, wość i prawdę uczucia, która przemawia z taką siłą, że łamie stężałe my, w jakich Kochanowski opisuje ból po stracie córki. W Odpra- e posłów greckich dostrzega siłę wyrażenia, wielką potoczy- ść dialogu i zdolność kreślenia charakterów. W szczególności zaś i w Odprawie biały wiersz użyty przez Kochanowskiego. Co cej uważa, że należałoby biały wiersz Odprawy poddać dokład- analizie, a wówczas mógłby on stać się cennym skarbem dla tryki polskiej. Fraszkom Dembowski przyznaje wiele dowcipu, nie dostrzega ich wartości jako artystycznego wyrazu epoki. W su- — po stronie niedomagań brak należytego pogłębienia, zamknięty g zainteresowań, zbytnia dworskość i uleganie obcym wzorom. Ale to — szczerość i żywość uczuć, ich prawda, wielkie bogactwo form sługi położone na polu ukształcenia języka. Jeśli wziąć pod uwagę, w dwadzieścia lat po Balladach i romansach Mickiewi- Dembowski miał bardzo mało materiału porównawczego, to należy yznać, że mimo zbyt rygorystycznej, chciałoby się nawet powie- eć sekciarskiej, partyjności, z jaką Dembowski traktuje swój temat, rafił on zdobyć się na właściwą ocenę Kochanowskiego i dobrze dzić go w historii literatury polskiej, zbliżając się w swojej ocenie tej, którąśmy sobie wyrobili dziś, po latach studiów, mając do pozycji prawdziwie naukową metodę marksistowską, której Dem- vski nie posiadał.

Z tych samych pozycji antyformalistycznych ocenia Dembowski rów- ż twórczość Szymonowicza. W utworach jego dostrzega wiele ogłady dzięku, ale brak mu w nich „mocy". Za mało w nich ducha rodzi- go, i dlatego nie może się przyłączyć do głosów uwielbienia, jakie monowicz wywoływał w dobie stanisławowskiej.

W odróżnieniu od poezji lirycznej „złotego wieku", dla której nie że w sobie wykrzesać zachwytu, mimo że widzi jej wielkie osiąg- cia, Dembowski bardzo ceni poezję obyczajową XVI wieku. Liryka ych czasów, wzorowana na literaturze łacińskiej czy greckiej, odry- ła pisarzy od narodu, kierowała ich wyłącznie do opisywania su- ktywnych uczuć albo więziła w ciasnym kole naśladownictwa. Tym- sem poezja obyczajowa poruszała sprawy aktualne, przemawiała pośrednio do współczesnych, krytykowała ustrój społeczny i poli- czny, pobudzając tym samym umysły do szukania nowych dróg. Za jważniejszych przedstawicieli poezji obyczajowej Dembowski uważa

Reja i Klonowicza. W poezji obyczajowej Reja znajduje odbicie P
ski szlacheckiej, ale również pierwsze znamiona jej upadku. W Re
Polska szlachecka znalazła swego pierwszego doskonałego malarza,
również pierwszego krytyka. A sam fakt, że znalazł się krytyk sz
chetczyzny, jest dla Dembowskiego dowodem, że społeczeństwo p
skie znajdowało się na drodze do znalezienia lepszego ustroju. „
wznosi — powiada — stronę narodowości u Reja, czyni ją wybitni
szą niż w Kochanowskim, Grochowskim i innych. Rej mówi zaws
o Polsce, czy ją wymienia lub nie, a chociaż nie z zachwyceniem wie
cza, lecz z powagą badacza i dziarskością poczciwego szlachcica ws
mina ojczyznę, mówi o niej z miłością szczerą, wielką, bo któż by m
mieć ojczyznę na myśli, a nie wyrażać ku niej na swój spos
miłości".[13])

W poezji obyczajowej Klonowicza Dembowski dostrzega przeczu
potrzeby rozszerzenia demokracji szlacheckiej na lud. Poezja Klonow
cza „zdaje się być pierwszym uderzeniem polskiego serca, pojmujące
naród już nie jako kastę, lecz jako całość ludu, uderzeniem wrzący
namiętnym".[14]) Główne cechy twórczości Klonowicza — uwydatnio
zwłaszcza we Flisie, mniej już w Worku Judaszów —
zwrot do ludu „szczery z zamiłowaniem", nienawiść do księży i n
chęć do szlachty. Cechy te czynią z Klonowicza centralną postać w li
raturze XVI wieku. Zwłaszcza zwrot do ludu sprawia, że poezja je
stanowi epokę. Mimo to Dembowski spostrzega niedomagania tw
czości Klonowicza. Przyznaje, że język jego nie jest gładki, wi
w nim zwrotów szorstkich, chropowatych, że plastyczność jego ob
zów nie jest doskonała, ale za to obrazy te nie są pożyczone, jak u
nych, ale za to wiele w nich siły, wiele wyrażeń jędrnych, rodzimy
ludowych. Klonowicz — przypomina Dembowski — prześladowa
przez duchowieństwo katolickie, umarł z głodu, a chropowatość je
języka sprawiła, że został przez potomnych zapomniany. Potomn
nie dojrzała w nim „tej wyższej idei, która go nad wszystkich poet
wieku XVI wznosi i między nimi pierwsze nadaje mu miejsce". B
ten należy, zdaniem Dembowskiego, bezwarunkowo naprawić.

Z prozaików XVI wieku Dembowski najwyżej ceni Górnickiego.
zywa go jednym z najznakomitszych prozaików polskich. „Proza jego
powiada — pozostanie zawsze wzorem równie pięknego, obrazow
i wybitnego oddania przedmiotów jak głębokiego zapatrywania się
nie" [15]). Górnicki widział złe strony społeczeństwa szlacheckiego, i
choć nie widział dróg prowadzących do naprawy zła — był jak
swój czas postępowy. Inaczej ma się rzecz ze Skargą, który wprawd
również krytykował społeczeństwo szlacheckie, ale czynił to nie z
zycji postępowych, lecz dlatego, że „sprzyja równie świeckiemu
kościelnemu absolutyzmowi".

---

[13]) E. Dembowski, Piśmiennictwo polskie w zarysie, str. 97—98.
[14]) Tamże, str. 100.
[15]) Tamże, str. 132.

ziwić musi zapał, z jakim Dembowski mówi o Orzechowskim. Roz-
rując literaturę jako człowiek walki i widząc w niej narzędzie
ki, Dembowski ceni w Orzechowskim gwałtowność jego polemik.
eczny polemista, kruszący przez całe życie kopie z wyższym ducho-
eństwem, przesłonił Dembowskiemu obraz warchoła i pieniacza szla-
ckiego, występującego w rzeczywistości jako adwokat własnych,
zawsze czystych spraw. Nie oznacza to jednak, że Dembowski nie
ział wcale wad Orzechowskiego. Przeciwnie, jawnie drwi sobie
u i n c u n x a Orzechowskiego, odsłania wsteczny morał tego dzieła,
nuje słaby charakter samego autora.

ziwić w końcu musi chłód, z jakim Dembowski mówi o Modrzew-
n. Przyznaje mu wielkie zasługi, mówi o jego postępowych dąże-
ch, a zwłaszcza podziwia żarliwość jego walki z klerem i oddaje hołd
rgii, z jaką zwalczał niesprawiedliwość ówczesnego prawa, uznają-
o inną karę za zabójstwo dla szlachty, a inną dla chłopa. Poprzez
ochwały przewija się w ocenie Dembowskiego żal do Modrzewskie-
o to, że pisał po łacinie. Z tej samej przyczyny nie zatrzymuje się
ej przy poezji Janickiego, mimo że ten jako chłop z urodzenia nie
mu obojętny.

Ocena wieku siedemnastego, a raczej literatury od 1600 r. do
r. — bo te lata obejmuje ustalony przez Dembowskiego podokres
ci — wypada, jak się tego należało spodziewać, negatywnie. Ten
es nazywa Dembowski „epoką znędznienia literatury i jej zupeł-
czczości". Jest to epoka wyłącznego panowania jezuitów i zwyrod-
nia demokracji szlacheckiej. Szlachta — powiada Dembowski, za-
st rozszerzać wolność na inne warstwy narodu, zaczyna ją ścieśniać.

pisarzy tego okresu Dembowski ceni wyłącznie Paska. Podziwia
wność i szczerość jego opisów, podkreśla obrazowość języka i jego
tyczność. „Całość — powiada o P a m i ę t n i k a c h — równie pod
lędem dziejowym jak pod względem poetycznym jest wyższą nad
elkie pochwały i prawdziwie nieocenioną" [16]). Obojętnie przechodzi
nbowski obok poezji Morsztyna, Kochowskiego, Twardowskiego,
awet Wacława Potockiego. Obok utworów tego ostatniego prawdo-
obnie z tej przyczyny, że nie znał większości jego dzieł, między
ymi W o j n y C h o c i m s k i e j. Za to jest Dembowski pełen
nwytu dla mieszczańskiego dramatu obyczajowego owych czasów.
zi nie zwracać uwagi na jego nieokrzesaną formę, przyznaje, że
znać w nim głębokiej myśli, ale każe podziwiać plastyczność wy-
dzanych postaci, żywość i ostrość dialogów, wierny obraz obycza-
. „Dramat obyczajowy — powiada — ma w sobie coś bardzo wiel-
go, bo jest zupełną krytyką na społeczeństwo".[17])

eśli ocena tego okresu wypada w Z a r y s i e na ogół bardzo trafnie,
nowu z kolei dziwić musi chłód, z jakim Dembowski mówi o Ko-
skim. Przyznaje wprawdzie, że Konarski stworzył niektórymi pis-

[16]) Tamże, str. 225.
[17]) Tamże, str. 215.

mami „epokę w oświacie narodu polskiego", wyraża się z zapa
o De emendandis eloquentiae vitiis, które, jak powi
„wyrugowało stanowczo z kraju napuszony panegiryzm", ale nie m
Konarskiemu wybaczyć, że dziełem swym O skutecznym
sposobie, wpajał w naród „wyobrażenia monarchiczne", któ
przesiąkł we Francji.

Fakt niedoceniania wielkiej roli Konarskiego jest tak charakt
styczny dla poglądów Dembowskiego, że warto się przy tym zat
mać. Wiemy, co przyświecało Konarskiemu, gdy pod wpływem
sunków francuskich snuł plany o wzmocnieniu władzy królews
w Polsce. Chciał ukrócenia samowoli magnackiej, chciał silnej
dzy, która by oscylując między stanem szlacheckim i stanem trze
jak we Francji, doprowadziła do wzmocnienia Polski, do uchroni
jej przed grożącym niechybnie upadkiem. Prawda, że Konarski
widział niektórych rzeczy. Przede wszystkim tego, że jeśli absolut
francuski był jeszcze stosunkowo postępowy za Ludwika XIV w
równaniu z poprzednim ustrojem stanowym, to stał się już zdecy
wanie reakcyjny za Ludwika XV i Ludwika XVI. Jeżeli za Luc
ka XIV absolutyzm otaczał jeszcze opieką burżuazję i ułatwiał jej
wój, to za jego następców był przeszkodą na drodze jej rozwoju. O
łomiony tym, co we Francji znajdowało się już na drodze do upa
zamyślał o władzy absolutnej w Polsce. Nie dostrzegał dalej, zre
nie mógł tego zrozumieć, że w Polsce, mocno opóźnionej w rozv
kapitalistycznym, brak rozwiniętej warstwy, w której silna wł
mogłaby szukać oparcia dla złamania samowoli magnackiej. Ko
skiemu nie przychodzi na myśl, że można by naruszyć podstawy ust
feudalnego. Nie widział jeszcze tej drogi, na którą tak śmiało wst
Kołłątaj i Staszic, nie widzi możliwości walki o ocalenie Polsk
drodze antyfeudalnej. Wszystkie te luki w systemie politycznym
narskiego nie zmniejszają jednak jego roli, nie osłabiają w nic
faktu, że usilnie myślał nad skutecznym sposobem wyprowadzenia
ski — znajdującej się między trzema wielkimi państwami, które
dza absolutna doprowadziła do znacznego rozwoju — z katastrof
sytuacji. W zasadzie więc „wyobrażenia monarchiczne" Konarsk
były w istocie swej postępowe, jakkolwiek spóźnione o przynajm
sto lat.

Dembowski natomiast pozostając wciąż jeszcze pod wpływem
lizmu Hegla, a częściowo pod wpływem historycznych koncepcji
wela o swoistym rozwoju Polski jako republiki szlachecko-demo
tycznej, uważał, że dzieje Polski powinny się rozwijać od demok
szlacheckiej do demokracji „ludowej", a raczej ogólnonarodowej, w
czego wszelki „monarchizm" uznawał za krok wstecz. Jeśli w dod
zważyć, że absolutyzm był dla niego uosobieniem Świętego Przy
rza, a więc trzech zaborców, to nie będzie nas dziwić, że nie pot
w pełni docenić Konarskiego.

Już samo nazwanie okresu stanisławowskiego „epoką naśladowni
francuskiego klasycyzmu" mówi nam wiele o tym, jak go oceni
bowski. „Od strojów do poezji, od jadła aż do religii i filozofii, ws

i we wszystkim naśladowanym a raczej małpowanym było z dwo-
wa francuskiego".[18]) Co się złożyło na ten sumaryczny, stronniczy
rok? Przede wszystkim fakt, że upadek Polski nie znalazł w litera-
re stanisławowskiej żadnego odbicia. Nie znajduje w niej ani żalu
powodu walącej się w gruzy państwowości polskiej, ani dostrzegania
rej Polski rodzącej się na rozwalinach dawnej. „Z jednej strony —
e — słychać bolesny jęk wydobywający się z rozdartej piersi upa-
jącego w letarg narodu, a tuż obok słychać madrygały upudrowa-
h, szczęśliwych rymopisów dworu Stanisława Poniatowskiego. Upadł
szcie wspaniały trup Polski szlacheckiej, a pisarze ani pomyślą
im, ani wiedzą, że zeń nowa wykwita Polska — Polska nie jednej
y, lecz całego ludu. Oni sobie spokojnie dowcipkują i piszą jesz-
przez lat dwadzieścia, jak gdyby nic nigdy nie zaszło. Nie ma za-
ne okropniejszego widoku jak widok śmierci Polski szlacheckiej, nie
ego, aby żal mógł zmurszały porządek rzeczy po sobie obudzić, lecz
ak jej upadek spółczesnych nie natchnął poważną myślą i burzą
ją przeciągnął ponad ich sercami, a nie ugodził w nie, że prawie nie
działy o skonaniu bytu politycznego Polski i nie zapytał żaden ze
czesnych, jest że to śmierć narodu chromego, przeżytego porządku
zy?" [19]) Jedyny jasny punkt w dziejach stanisławowskich mroków,
stytucja 3-go Maja, razi go swoją połowicznością, która znalazła
dzy innymi odbicie we wprowadzeniu dziedziczności tronu.
zy znaczy to, że Dembowski zupełnie nie dostrzegał obozu reform
stępu? Owszem, dostrzegał, ale nie doceniał. Nie rozumiał przede
ystkim jednego, że już Oświecenie dało w zarodku pojęcie naro-
ości, że Brodziński, Mickiewicz, Mochnacki tkwili korzeniami
Oświeceniu, że grunt pod ich wyobrażenia o języku narodowym
arodowej literaturze był przygotowany przez Kołłątaja, Staszica
ezierskiego. Z pisarzy politycznych doby stanisławowskiej Dem-
vski oddaje hołd Kołłątajowi, który jako działacz i pisarz sta-
jego zdaniem, wyżej od wszystkich innych. „Miłość gorąca na-
u i ojczyzny, gruntowność nauki, raźność i dziarskość w wyraża-
i oddaniu przedmiotu charakteryzują go. Tak jak w życiu poli-
znym do stronnictwa najgoręcej pragnących dobra ojczyzny nale-
tak w piśmie umiał na swój czas postępowo myśli uzasadniać, wy-
dzić i rozwijać".[20]) Obok Kołłątaja stawia Dembowski Staszica, któ-
o uznaje również za najbardziej postępowego na owe czasy myśli-
a i pisarza. Za największą zasługę poczytuje Staszicowi, że żąda
ności ludu. Zasługę tę przyznaje zresztą większości publicystów
nisławowskich. Jakkolwiek mało uczyniono w tym względzie —
mbowski ma znów na myśli Konstytucję 3-go Maja, która lud zosta-
a w niewoli — sam fakt, że myślano o niedoli ludu i sposobach zapo-
żenia jej zasługuje już na uznanie.
eśli Dembowski zdołał wykrzesać z siebie trochę entuzjazmu dla
ratury politycznej doby stanisławowskiej, to jednak trudno mu się

[18]) Tamże, str. 292.
[19]) Tamże, str. 325.
[20]) Tamże, str. 313.

zdobyć na wyrazy uznania dla twórczości poetyckiej. Krasickiemu pr
znaje tylko dowcip, ale i ten go razi wobec smutnej ówczesnej rzec
wistości polskiej. Satyry są płytkie, nie krytykują podstaw ustr
nie pogłębiają zagadnień, tylko chwytają powierzchowne pryw
Bajki nie są bez zalet, ale dzieciom zamiast patriotyzmu mogą
szczepić starczą roztropność. W Panu Podstolim i Doświa
czyńskim widzi kilka trafnych miejsc i nic ponadto. Wad ustr
społecznego Krasicki w nich nie dostrzega ani ich nie rusza.

Jeśli chodzi o pozostałych pisarzy doby stanisławowskiej, to u K
pińskiego i Kniaźnina razi go sentymentalizm i sztuczność, u Tre
beckiego „dworackość". Tylko Zofiówka Trembeckiego ma pew
walory literackie ze względu na piękny język. Wyjątek czyni De
bowski dla Bogusławskiego, którego nazywa twórcą sceny polsk
Z utworów jego ceni Krakowiaków i Górali, Spazm
modne, Henryka IV na łowach. Przyznaje mu wiele zna
mości sceny, poza tym poczytuje za zasługę, że przyswajał teatrowi p
skiemu nie tylko dramaty francuskie, ale również angielskie, n
mieckie i włoskie.

Tak się przedstawia mniej więcej bilans literatury doby stanis
wowskiej według oceny Dembowskiego. Jest ona, rzecz prosta, n
sprawiedliwa, nawet jeśli wziąć pod uwagę powody, dla których De
bowski tak niemiłosiernie się z nią obszedł. Jest ona co najmniej
bieżna i powierzchowna. Odnosi się wrażenie, jak gdyby autor śpie
się i szybko chciał przeskoczyć ten okres, aby prędzej dojść do
epoki, która dała Polsce literaturę prawdziwie narodową, już nie
śladowaną, ale rodzimą. Literaturę, która potrafiła dotrzymać kr
życiu i jak w zwierciadle dać obraz wszystkich wielkich przem

* * *

Trzecią epokę, epokę narodowej literatury polskiej, epokę, w któ
„wyrabiają się" pojęcia polityczne i „miłość ludu w narodzie", De
bowski dzieli na trzy podokresy. Pierwszy obejmuje lata od 1820—1
i jest okresem budzenia się poezji narodowej. Drugi obejmujący
od 1825—1830 jest okresem samodzielności poezji narodowej. Tr
od 1830 do chwili napisania Piśmiennictwa jest okresem „wy
bienia pojęć politycznych i miłości ludu w narodzie".

Głównymi przedstawicielami pierwszego okresu są Brodziński i M
czewski, w których poezji Dembowski dostrzega „tęskne budzenie
uczucia narodowego", będące wyrazem smutku po stracie ojczyz
Nutę tę wyczuwa u Brodzińskiego nie w Wiesławie, któremu
przypisuje większej wartości, ale w jego drobnych wierszach. Pona
poczytuje Brodzińskiemu za zasługę, że w swoich pismach o litera
rze zwraca uwagę na konieczność otrząśnięcia się z naśladownic
klasycyzmu. Krótko mówiąc, Brodziński pierwszy przygotował gr
pod przemianę pojęć o poezji i sam ku tej przemianie uczynił pierw
krok. Maria Malczewskiego natomiast, jakkolwiek zachowuje jes
częściowo ogładę klasyczną, oznacza już całkowity zwrot do rze

zimych — „była pierwszym przejawem w nowszych czasach wy-
alającego się do samodzielności ducha polskiego i pozostaje jednym
najpiękniejszych utworów poetycznych naszego piśmiennictwa".[21])
ymizmu Marii Dembowski nam nie tłumaczy, chyba że za wy-
naczenie przyjmiemy stwierdzenie, że jest smutna jak stepy ukra-
kie i nieszczęśliwa jak lud ukraiński. Dembowski uważa widocznie,
wytłumaczeniem jest samo umiejscowienie Malczewskiego w okresie
nego, nieokreślonego budzenia się uczucia narodowego.
tej przyczyny prawdopodobnie Dembowski przenosi Mickiewicza
podokresu drugiego, mimo że Oda do młodości, którą uważa
najpełniejszy obok Konrada Wallenroda wyraz narodowej
zji, powstała znacznie wcześniej niż Maria Malczewskiego. Ten
ematyzm, sprzeczny z zasadami dialektyki, to znowu skutek tego,
Dembowski nie zdołał się całkowicie wyswobodzić z idealistycznej
rupy systematów Hegla.
Ogólnego znamienia podokresu drugiego, epoki „samodzielności poezji
odowej", każe Dembowski szukać w poezji Mickiewicza. Mówi ona
całą epokę. Największą zasługą Mickiewicza jest, że pojął potrzeby
ążenia swoich czasów, wyraził te dążenia z wielkim uczuciem, zdo-
przez to wstrząsnąć całym narodem, stworzył nową literaturę i dał
ez to początek nowemu życiu Polski. Poezja Mickiewicza jest dla
mbowskiego najlepszym sprawdzianem przekonania o roli twórczej
arza, przekonania, że pisarz może przetwarzać swoją poezją życie
łeczne. Precyzując bliżej stwierdzenie, że Mickiewicz zrozumiał dą-
ia czasu, podkreśla, że w każdym jego utworze przebija się patrio-
m i pragnienie „zdobycia samodzielnego bytu narodowego". Prawda,
w utworach wydanych przed 1830 rokiem Mickiewicz nie określa
ej, jaka ma być Polska niepodległa, ale samo wyrażenie miłości
zyzny, nawet w formie nieokreślonej, nadaje poezji jego piętno
odzielności, co z kolei znajduje wyraz w samodzielnej nowej for-
zrzucającej z siebie całkowicie więzy formułek klasycyzmu. Pod-
ślenie tego faktu dowodzi, jak trafnie Dembowski rozumiał dia-
tyczną konieczność jedności treści i formy.
Rozpatrując szczegółowo podokres drugi, „epokę samodzielności
zji polskiej" dostrzega w nim tylko trzech pisarzy znamiennych
tych kilku lat, Mickiewicza, Mochnackiego i Lelewela. Pozostali
albo miernymi naśladowcami poezji Mickiewicza, albo tkwią wciąż
zasach, kiedy uczucie narodowe nie było jeszcze rozbudzone.
Z utworów Mickiewicza napisanych do roku 1830, bo tylko te lata
patruje, Dembowski najwyżej stawia Odę do młodości
Konrada Wallenroda. W utworach tych „miłość najwyższa
zyzny, wrząca, uniesiona, wypowiedziana jest wprost i stanowi tych
ch olbrzymich tworów osnowę. Przez nie też Mickiewicz stworzył
wą piśmienność w Polsce, przez nie przewodniczył narodowi na torze
stępu" [22]). Kierując się w swej ocenie głównie społeczną funkcją

[21]) Tamże, str. 331.
[22]) Tamże, str. 337.

poezji widzi w Balladach tylko subiektywne uczucie, w Son
tach krymskich i Farysie przejawy indywidualizm
w Grażynie epicki obraz przeszłości, a w Dziadach „ro
marzoną do najwyższego uniesienia indywidualną miłość". Warszta
poetyckiego Mickiewicza Dembowski nie analizuje, ponieważ, jak p
wiada, nie forma, lecz idea tylko może wstrząsnąć narodem, i dlate
mówi to, co o osiągnięciach artystycznych Mickiewicza powiedzi
inni, że dokonały przełomu w pojęciach estetycznych narodu. Z poz
stałych poetów wymienia Dembowski Odyńca, Korsaka, Chodźkę i W
wickiego, żadnemu z nich nie przypisuje jednak talentu. Nie podzie
również upodobania, jakie współcześni znajdowali w utworach Fredr
Nie znajduje w nich ani wyższej idei, ani dowcipu, ani pogłębiony
charakterów. Charakterystyczna jest zmiana, jaka dokonała się u Den
bowskiego od okresu warszawskiego, w ocenie Jana Nepomucena K
mińskiego. Gdy przedtem widział w Kamińskim bodajże genialne
poetę, obecnie stwierdza, że wyraża się ciemno i że forma jego poz
stawia wiele do życzenia. Goszczyńskiego, Zaleskiego, Korzeniowski
go i innych przesuwa Dembowski do następnego okresu.

Mochnackiego, jako krytyka literackiego stawia Dembowski tuż ob
Mickiewicza. Tak jak Mickiewicz dokonał przełomu literackie
w dziedzinie poezji, tak Mochnacki utorował drogę narodowości w kr
tyce. Zarzuca mu tylko, że przez narodowość rozumie obraz przesz
ści, a nie poglądy na istotę wolności. [23])

Niezdecydowana i pełna niedopowiedzeń jest charakterystyka Le
wela jako pisarza. Lelewel wydał wprawdzie wiele dzieł historyczny
w których poddał przeszłość krytycznej, trafnej ocenie, wprawdzie
w nich wyraz swoim przekonaniom republikańskim, lecz Dembow
bierze mu za złe, że przekonań swych nie głosi jasno i otwarcie, ty
jakoś marginesowo, przez co nie osiągnął większego wpływu na wsp
czesność. Nie ulega wątpliwości, że na ocenę działalności pisarskiej L
lewela duży wpływ miał krytyczny sąd Dembowskiego o działalno
Lelewela — polityka.

Trzeci podokres — to już nie tylko lata twórczości narodowej,
tylko głoszenie konieczności samodzielnego bytu państwowego
Polski, ale „epoka wyrobienia pojęć politycznych i miłości ludu w
rodzie". Nie tylko hasło Polski niepodległej, ale precyzowanie, ja
ma być Polska. Dembowski widzi w tym okresie obejmującym 13
(od 1830—1843), dwie fazy przedzielone między sobą rokiem 1838
Do roku 1838 ogniskiem wszystkich uczuć i myśli są Dziady (dr
deńskie) Mickiewicza. Tak jak przed 1830 rokiem młodzież ani
chwilę nie rozstawała się z Odą do młodości i Konrade
Wallenrodem tak teraz sztandarem jej stały się Dziady.
roku 1838 wpływy Mickiewicza działającego na młodzież równole

[23]) Patrz bliżej rozdział poprzedni.

[24]) Dembowski nie precyzuje, dlaczego granicą ma być rok 1838. Gdyby w
wchodził Manifest Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, to w takim r
przesunąłby datę o dwa lata. Prawdopodobnie chodzi mu raczej o rok, w któ
zaczął się w Polsce rozwijać wpływ Hegla.

:tą obok Lamennais'ego i Saint Simona ustępują wpływom „szla-
nych pism myślicieli polskich", którzy „ideę ojczystą podźwignęli,
bili i podali pełną, żywotną krajowi". Przed 1838 rokiem było roz-
enie religijne połączone z „najżywszą miłością ludu", (Mickiewicz,
t Simon, Lamennais), po tym roku panuje wyłącznie myśl spo-
a, której rozwinięciem stały się wyrobione pojęcia polityczne. Tak
Dembowski nie określa bliżej, dlaczego granicą między dwoma
sami ma być rok 1838, tak jak nie precyzuje dokładnie ze względu
enzurę, że „pojęcia polityczne", o których mówi, to poglądy rewo-
no-demokratyczne [25]), tak samo nie podaje, kim mają być owi
chetni myśliciele polscy", „mistrzowie młodszych pokoleń narodu".
ulega jednak wątpliwości, że głównie ma na myśli Henryka Ka-
skiego, autora nie wydrukowanych jeszcze zresztą P r a w d ż y-
n y c h, i siebie oraz publicystów Towarzystwa Demokratycznego.
mbowski nie zamyka zresztą oczu na fakt, że obok nurtu postę-
go w literaturze drugiej fazy daje się zauważyć drugi nurt, wstecz-
Obok literatury przenikniętej poglądami społecznymi, rewolucyj-
emokratycznymi, widzi literaturę bezideowej „beletrystyki", lite-
rę schorzałą. Obok pism głoszących radykalne hasła emancypacji
dostrzega pisma, które głoszą, że można zdobyć „wolność i oświa-
a ludu za pomocą propagowania haseł lepszego nawożenia i zakła-
a fabryk cukru". Obok pisarzy, dla których narodowość oznacza
ść do ludu, widzi pisarzy, dla których narodowość jest jałowym
baniem się w przeszłości. Ale właśnie w tej walce sprzeczności
i Dembowski zaród i zwycięstwo myśli narodowej, myśli demo-
cznej. Dla dialektyka Dembowskiego jasną jest bowiem rzeczą,
żda nowa myśl postępowa rodzi opór, ale ostateczny wynik walki
już z góry przesądzony.

poezji trzeciego podokresu Dembowski znowu pierwsze miejsce
znaje Mickiewiczowi. Jest to w twórczości Mickiewicza okres
adów, P a n a T a d e u s z a, K s i ą g narodu i K u r
literatury s ł o w i a ń s k i e j. Poezje Mickiewicza po roku
— stwierdza Dembowski — znamionuje forma raczej epicka,
gająca znakomitą plastyczność obrazów. Miejsce dawnego płomien-
natchnienia zajęło raczej rozmarzenie religijne. Za to proza
olwiek przepojona mistycyzmem, jest „jędrną i pełną wielkich
dowych, lubo nie nowych i nie pierwotwórczych pomysłów".[26])
ok Mickiewicza stawia Dembowski, omal że na równi z nim,
ińskiego. Druga niespodzianka po sądzie o Oświeceniu polskim.
o że tam pisarzy obozu reform i postępu autor nie doceniał, a tu-
Krasińskiego wyraźnie przecenia. Aby to zrozumieć, musimy wziąć
uwagę trzy momenty. Po pierwsze, Krasiński był autorem dwóch

Nie jest zresztą wykluczone, że to nie była autocenzura, ale cenzura wy-
cy. Należy pamiętać, że wydawca P i ś m i e n n i c t w a P o l s k i e g o
a r y s i e, N. Kamiński, drukował książkę wówczas, gdy Dembowski znaj-
ł się poza granicami zaboru pruskiego. Podczas krótkotrwałych pobytów
oznańskiem, pobytów zresztą zakonspirowanych, Dembowski nie mógł mieć
ego wpływu na ostateczne oblicze książki.
E. Dembowski, Piśmiennictwo polskie w zarysie, str. 359—360.

dramatów, a Dembowski, jak wiemy, uważał dramat za najwyż
i najdoskonalszy szczebel twórczości.[27]) Po drugie, wszystkie pra
utwory Krasińskiego były nasycone zagadnieniami społecznymi,
Dembowski uważał za główne zadanie wszelkiej twórczości. I po t
cie — Krasiński pierwszy w Polsce konsekwentnie rozwijał w po
systematy Hegla. Dembowski mimo że dostrzegł, iż Hegel „cierpi
społeczne i istniejące", nie widział reakcyjnego ostrza utworów K
sińskiego. Kokieteryjne przekomarzanie się z oficjalną nauką Koś
ła, po którym miało przyjść związanie się Krasińskiego na śmierć i
cie z Watykanem, z jego świecką polityką nawet, Dembowski bierz
próbę rewolucyjnego przeobrażenia religii. Jego teleologizm heglov
bierze za ideologię postępu, a w zwycięstwie Galilejczyka w spo
między hr. Henrykiem a Pankracym widzi „zwycięstwo ludowych
sad". Nie ma chyba potrzeby podkreślać, jak dalece na tym entu
stycznym sądzie o Krasińskim zaważył w końcu młody wiek au
i brak dostatecznego doświadczenia. Gdyby dożył ideologicznego sp
między hrabią Krasińskim a Słowackim, zmieniłby niewątpliwie s
sąd o autorze Przedświtu.

Sąd Dembowskiego o Słowackim wypadł raczej surowy. Przyzn
jego poezji wiele piękna, stwierdza, że stworzył najpiękniejsze obr
schyla kolano przed wielką wyobraźnią poety, ale w ostatecznej oc
nie oddala się od powszechnego sądu spółczesnych o Słowackim. Bo
pierwsze fantazja jest zbyt wybujała i burzy zwartość utworów,
drugie, Słowacki sam podważa szczerość uczuć wyrażonych w sw
dziełach przez autoironię. Dlatego „najwyższe piękności" u Słowac
go nie czynią wrażenia, „nie trafiają do serca powszechności". Od
się to zarówno do Balladyny i Lilli Wenedy, jak i
Anhellego. I po tej surowej ocenie przychodzi dość paradoksa
zamknięcie: „Słowacki jednak miał wielkie zadanie w poezji polskie
wykazać: że dziś dla poezji nie wystarcza ż
ne indywidualne uczucie, że jej dziedzi
być może tylko dziedzina społeczno-po
tyczna; zestrzeleniem najwyższych piękności poezji indywidua
w swych tworach i zdeptaniem onychże wykazaniem ich czczości, s
nił to swoje zadanie Słowacki" [28]). Trudno przypuścić, by Słowacki
zbudowany miejscem, jakie mu Dembowski wyznaczył w literat
polskiej. My również przyjmujemy ten sąd z wielkim zastrzeżen
Błąd Dembowskiego polegał na tym, że autoironię romantyczną
wackiego traktował nie jako jedną z figur poetyckich, ale jako w
poglądów poety. Cenny natomiast pozostanie dla nas wniosek D
bowskiego, jego *conditio sine qua non*, że „nie uczucia indywidual
ale „dziedzina społeczno-polityczna" powinna być przedmiotem utw
literackiego.

Z pomniejszych romantyków Dembowski najwyżej stawia Goszc
skiego, a z jego utworów Zamek Kaniowski i Króla Z

[27]) Patrz rozdział Dembowski jako teoretyk literat
[28]) Dembowski, Piśmiennictwo polskie w zarysie, str. 361.

ska, którego nazywa jedną z najlepszych powieści polskich. Poe-
Zaleskiego przemawia do niego liryzmem i piękną formą, ale razi go
iej mistycyzm. W Pismach Wincentego Pola urzeka go prostota,
żość myśli i wyrażeń oraz ich pokrewieństwo z pieśnią ludową.
zje Berwińskiego odznaczają się, zdaniem Dembowskiego, „prze-
ną, samodzielnie wyrobioną formą" i postępową ideologią; zastrze-
a ma tylko co do Don Juana, który trąci zbyteczną ironią.
embowski odnosił się z największą niechęcią do tak zwanej bele-
tyki. Widział w niej rzeczy czcze, służące do zabicia czasu, a nie
ozwinięcia ducha narodowego.[29]) Mimo to docenia wartość arty-
zną niektórych utworów z tej gałęzi literatury, która w czasach
nbowskiego zaczęła dopiero stawiać pierwsze kroki. Do najlep-
h zalicza Magnuszewskiego, Czajkowskiego, Kraszewskiego, Ele-
ę Sztyrmer (Ludwika Sztyrmera) i Aleksandra Dunin-Borkowskie-
ako autora Parafiańszczyzny.
agnuszewskiego stawia na pierwszym miejscu ze względu na wiel-
rysów, jaką znajduje zarówno w jego dramatach jak i powieściach.
kają go w nich „olbrzymie zarysy przeszłości", dobre uchwycenie
akterów i plastyczne obrazy. Pozostali powieściopisarze, jakkol-
nie odmawia im talentu, odpychają go swymi poglądami, często
cznymi, albo tym, że „nie wnoszą żadnej idei wyższej". Michał
kowski, autor powieści kozackich, przy całej świeżości swego ta-
u i obrazach pełnych siły, nie umie jednak pojąć, jak wielkie
ięte jest powołanie pisarza, i często zamiast sprawie postępu służy
wie ciemnoty, zamiast tego, by zwalczać przesądy, stara się o ich
ymanie. Podobnie ma się rzecz z Kraszewskim. „Bez wątpienia
zo wielki talent, ale zmarnowany na rzucaniu się do wszystkich
dmiotów i na niezwykłym pośpiechu pisania, przez co stało się, że
jednego dobrze napisanego i wyższą myślą ożywionego nie zostawił
oru" [30]). Dembowski przyznaje niektórym powieściom Kraszew-
go trafne uchwycenie rysów obyczajowych, głównie udają mu się
aci komiczne, ale całość jest bez głębszej myśli. W ogóle jest Kra-
vski „pisarzem nie mającym żadnej barwy, żadnego dążenia, i dla-
mimo nadzwykłej okwitości pióra... i mimo to, że jest powszechnie
dzo czytanym i lubionym, pozostaje bez stanowczego wpływu na
ającą publiczność" [31]). Eleonora Sztyrmer (Ludwik Sztyrmer) zaś
azała niezwykłą głębokość pojmowania charakterów i odkreślania
olbrzymimi rysami przy chorobliwej i rozdziwaczonej fantazji" [32]).
eżeli Dembowski u wyżej wymienionych pisarzy potrafił znaleźć
cze jakie takie pozytywne momenty, mimo ich ideowej bezbarw-
ci i indyferentyzmu politycznego, to zupełnie negatywnie odnosi
do twórczości powieściopisarskiej Michała Grabowskiego, Henryka
wuskiego i innych, którzy jawnie głosili w swych pismach apoteozę
checkiej przeszłości, feudalizmu i ustroju pańszczyźnianego, by

) Bliżej na ten temat patrz rozdział „Dembowski jako teoretyk literatury".
) Dembowski, Piśmiennictwo polskie w zarysie, str. 372.
) Tamże, str. 374.
) Tamże, str. 375.

w rezultacie sprzeniewierzyć się nie tylko idei postępu, ale równ
narodowi. Według Dembowskiego zresztą jedno szło zawsze w pa
z drugim.

Od beletrystyki przechodzi Dembowski do tak zwanej „prozy um
jętnej", do której zalicza filozofię, publicystykę, jednym słowem ws
stko, co nie jest twórczością wybitnie artystyczną. Oceniając dorol
głównych myślicieli swoich czasów Dembowski wyraźnie odgradza
od heglistów polskich, jak Trentowski i Cieszkowski, których auto
tetowi poddawał się w okresie Przeglądu Naukowego, wó
czas gdy sam jeszcze uważał Hegla za alfę i omegę wszelkiej filozo
Systemowi filozoficznemu Trentowskiego odmawia wszelkiej warto
tym bardziej że autor Chowanny w konsekwencji wypowiada
za monarchią konstytucyjną, za upośledzeniem kobiet i wychowani
dzieci w ramach panującego ustroju. Cieszkowskiemu nie może
baczyć, że rozwijając swój system filozoficzny dochodzi do tych sam
wniosków politycznych co Hegel, to znaczy do zachowania ustroju
nowego, do apoteozowania arystokracji, do przeciwstawiania się ws
kim radykalnym reformom społecznym. Sąd o Karolu Libelcie
dość ciepły, ale widać, że Dembowski między wierszami ukrywa jak
zastrzeżenia, z którymi nie chciałby na kartkach Piśmiennict
wyjechać na plac. Nie ulega wątpliwości, że na ocenę twórczości
belta wpływ miały powiązania polityczne z Komitetem Poznańsk
Autor nie chce sobie krępować rąk przez wyrażanie sądu o człowie
z którym, jak wiedział, trzeba będzie tak czy inaczej ścierać się
arenie politycznej. Z pisarzy politycznych Dembowski najbardziej
publicystów wywodzących się z emigracyjnego Towarzystwa De
kratycznego Polskiego. Z uznaniem wyraża się o ich działalności
sarskiej, która zdaniem jego, przyczyniła się w dużej mierze do
winięcia i utrwalenia zdrowych pojęć politycznych, to znaczy, po
powych, demokratycznych.

Dembowski zamyka swoje Piśmiennictwo króciutką sy
zą, w której dochodzi do wniosku, że literatura polska rozwijała
w kierunku, w którym szedł cały rozwój narodu polskiego, w kieru
uświadomienia sobie swego posłannictwa — „miłości całego naro
w kierunku jak najszerzej pojętej demokracji. Cel, który literat
wskazała narodowi, jest zarazem środkiem do jego spełnienia. P
wskazanie narodowi celu literatura umożliwiła mu jego realiza
Przez walkę o przeniesienie idei demokracji w życie, przez walkę p
ciw systemowi stanowemu, przeciw ustrojowi feudalno - pańszc
nianemu, przeciw Świętemu Przymierzu, będącemu ostoją feud
zmu, a więc przez walkę o wyzwolenie narodowe i społeczne. Zas
literatury polskiej jest, że ideę „miłości całego narodu" światu o
wiła. Nie stało się to przypadkiem. Nie mieszać tej misji — zastrz
się Dembowski między wierszami — z cierpiętniczym mesjanizm
pleniącym się na emigracji. Ideę „miłości całego narodu" litera
polska mogła objawić światu dlatego, że naród polski był do tego
destynowany. Przez to, że walcząc o wolność z trzema zaborcami
nął w poprzek głównej ostoi feudalizmu. Co nie znaczy jednak

izacja idei „miłości całego narodu" jest zadaniem wyłącznie na-
u polskiego. Nie, idea ta wyznacza drogę rozwojową całej ludzko-
a drogą tą jest „wolne, świadome ziszczenie jedni społeczeńskiej" —
ej nieokreślonego społeczeństwa komunistycznego. Droga ta pro-
zi przez „pojęcie Boga w społeczeństwie, pojęcie wiecznego życia
wieka jako życia w historii, pojęcie stosunku człowieka do Boga
stosunku jednostki do społeczeństwa, czyli pojęcie religii w poli-
, przejście pierwszej w ostatnią, pojęcie kultu w sztuce, to jest
poteozowaniu wszystkiego, co piękne, czyli ludzkie, wreszcie po-
rozwiązania się filozofii w życie" [33]).

* * *

cenę Piśmiennictwa polskiego w zarysie należy
ąć od analizy syntezy danej przez autora w zakończeniu dzieła. Nie
ino zauważyć, że Dembowski, jakkolwiek w tym czasie odnosił się
krytycznie do Heglowskiego systemu filozoficznego, nie zdołał się
cze wyzwolić od pojęć i przesądów idealistycznych spekulacji. Prze-
się wprawdzie przez idealistyczną skorupę systemu heglowskiego
tarł do racjonalnego jądra dialektyki heglowskiej, ale nie odrzucił
owicie skorupy. Wlokła się jeszcze za nim do końca życia i powo-
ała, że jego metoda dialektyczna często jest identyczna z Heglow-
Rzeczywistość jest dla niego tylko zewnętrznym przejawem idei.
wój narodu polskiego w kierunku demokracji przez rewolucję
arną jest dla niego ucieleśnieniem idei nie wykrytej w rzeczywi-
ci, przeniesionej do głowy i przetworzonej w niej [34]), ale z góry
nstruowanej. Idei tej na imię — „miłość całego narodu".
en błąd Dembowskiego, mimo że rewolucjonizm pomaga mu często
ajdywać słuszną drogę wśród bezdroży idealizmu, nie mógł nie od-
się na książce. Dembowski nie dostrzega klasowych korzeni sy-
nów filozoficznych, przecenia znaczenie czynnika moralnego w ro-
ju społeczeństwa. Literatura według niego kształtuje rzeczywi-
ć nie w tym sensie, w jakim rozumiał Stalin, mówiąc o pisarzach
inżynierach ludzkich dusz. Literatura, według Dembowskiego,
rzy społeczeństwo, kieruje jego rozwojem. Ten błąd, jeśli może
bezpośrednio, to jednak w dalszej konsekwencji, wiedzie do prze-
iania Krasińskiego i Mochnackiego, oraz do niedoceniania pisarzy
viecenia, ten błąd pociąga za sobą, że Dembowski nawet wów-
s, gdy trafnie ocenia znaczenie Mickiewicza, to jednak stawia jego
na niewłaściwej płaszczyźnie.
Pomimo tych błędów niesposób nie dostrzec wielkości dzieła doko-
nego przez Dembowskiego w Piśmiennictwie, zwłaszcza
i zważyć, że pisząc je liczył zaledwie dwadzieścia dwa lata, że pisał
w warunkach wyjątkowo nie sprzyjających pracy umysłowej, mia-

[33]) Tamże, sr. 400.
[34]) Porównaj Karol Marks: Z posłowia do drugiego niemieckiego wydania
pitału, Karol Marks: Dzieła wybrane, t. I., Książka, str. 351.

nowicie w zakładzie dla umysłowo chorych w Owińskach, gdzie
trzymywał towarzystwa chorej żonie, i w końcu, że napisał je w pr
ciągu kilku miesięcy bez dostępu do bibliotek, na podstawie uprzed
poczynionych luźnych notatek.

W przeciwieństwie do Feuerbacha, który sprowadza istotę religii
abstrakcyjnej istoty ludzkiej, Dembowski dostrzega, że istota lud
nie jest żadną abstrakcją, ale całokształtem stosunków społecznych
Ze zrozumienia tego faktu płynie historyzm estetyki Dembowskie
historyzm jego Piśmiennictwa. Historyzm Dembowskiego —
pierwszy pionierski rys jego historii literatury. Przestaje ona być
u poprzedników jego bibliografią czy przedmiotem badań filologi
nych. Dembowski pokazuje literaturę polską w rozwoju. Nie ogran
się do rejestrowania zjawisk literackich, ani też do ich opisywania,
to czyniono przed nim i przez długi czas również po nim, ale stara
je wyjaśnić. Nie zawsze próby są udane, czasem utopizm ogran
mu horyzont i ocena wypada niesłusznie, ale już sam fakt kons
wentnego objaśniania każdego zjawiska przynosi mu chlubę.

Drugim momentem pionierskim Piśmiennictwa Dembowsk
go jest jego partyjność. Partyjność, będąca rezultatem ścisłego zw
zania się Dembowskiego z ruchem narodowo-wyzwoleńczym w j
najbardziej radykalnej i postępowej formie, pozwalała mu ogarn
szerokie horyzonty. Czasem, co prawda, partyjność ta znowu z w
utopizmu zacieśnia się, czyni go sekciarzem, nie pozwala mu dostr
wielkości Frycza-Modrzewskiego tylko dlatego, że ten pisał
łacinie, ale z drugiej strony ta właśnie partyjność każe mu wyznac
literaturze funkcję społeczną i otworzyć przed nią wspaniałe ho
zonty, każe mu zwalczać subiektywizm i indywidualizm, opiewa
przeszłości, talentyzm i sztukę dla sztuki. Partyjność sprawia, że De
bowski w sądach swych jest konsekwentnie pryncypialny, nie ko
się przed żadnym autorytetem i nie waha się krytykować mistycyz
Mickiewicza, mimo że samego poetę uważa za twórcę epoki w lite
turze.

Oto czynniki, które sprawiają, że Dembowskiego Piśmie
nictwo polskie w zarysie jest mimo niedomagań pierw
krytyczną historią literatury polskiej. Ale też czynniki te spraw
że mieszczańscy historycy literatury przemilczeli Piśmiennict
i nie poszli drogą Dembowskiego. Nie ustępując swoim kolegom,
storykom, przemilczeli jego dorobek, a tam, gdzie raczyli o nim ws
mnieć, traktują go co najmniej jak dziwaka. Nadrobimy to dzisiaj
gając do naszej wspaniałej postępowej spuścizny kulturalnej, w któ
Piśmiennictwo polskie w zarysie Dembowskiego z
muje ważne miejsce. Pierwsza historia literatury polskiej w Pol
Ludowej nawiąże bez wątpienia do pionierskiego dzieła wielkiego k
tyka — demokraty.

Leon Przemsk

---

[35]) Porównaj Karol Marks: Tezy o Feuerbachu. Karol Marks: Dzieła wybr
t. I., Książka, str. 428—429.

Z poezji satyrycznej Heinego

ALMANSOR:
Słyszeliśmy, że straszny kat, Ximenes,
w Grenadzie kazał wzniecić stos na rynku
i rzucił w ogień — głos mi kona w krtani —
koranu święte księgi!

HASSAN:
Lecz to był
Początek tylko, bo gdzie książki palą,
tam będą w końcu palić także ludzi.
Heine: (Almansor)

nia 10 maja 1933 hitlerowcy wzniecili w Berlinie stos na placu
ry i rzucili w ogień książki Heinego. I książki Henryka Manna,
sama, Hasenclevera, Brechta, Tucholskyego, Bechera — niebez-
ne książki żywych i umarłych rewolucjonistów. „Lecz to był po-
ek tylko."
alono książki Heinego i wymazano nazwisko poety z podręczników
ologii. Ale nie zdołano wytępić jego pieśni, które prawie od stu
ozbrzmiewały po całych Niemczech. Śpiewali je, bywało, także hi-
wcy, nie wiedząc, kto jest ich twórcą. Szczególnie balladę o Lore-
Przed tą właśnie Loreley musiały władze skapitulować, zbyt
rozpowszechniona i zrośnięta z ludem. Loreley została z musu
na i przywrócona do łask: znalazła się z powrotem w wypisach
nych — z adnotacją „Autor nieznany" lub zgoła „Pieśń ludowa"
tych dwóch dumnych słowach mieści się cała klęska hitlerow-
ı cenzorów.
roku 1933 z dymem spalonej Księgi pieśni uleciał Heine
migrację. Na drugą emigrację.
pierwszą wyjechał dobrowolnie, w roku 1831. Emigrował z kra-
o nie chciał emigrować z czasu; to znaczy: nie chciał poprzestać na
enkach o miłości, na słowach o uczuciu wiecznym. Musiał pisać
de wszystkim o tym, co niesie dzień dzisiejszy:

Nie gruchaj jak Werter blady,
co o Lotach tylko śni.
Oto biją dziejów dzwony.
O nich śpiewaj! Lud spragniony
słów jak miecze, słów jak szpady.
(Tendencja)

k ciemno i ciasno było wtedy w Niemczech i jak poeta dusił się
j ciemnocie, pokazały nam Niemcy, Alarm, Wiadomo-
z kraju, Nie bójcie się, Anno 1829, Cesarz
n i inne utwory Heinego. Najgorzej działo się u Prusaków.
ch, jak pisze Heine: „zdewociałych rycerzyków z przepastnym żo-

łądkiem i dużą gębą, i z kijem kapralskim, który Prusak wpierw m
w święconej wodzie, zanim uderzy. Nie spodobało mi się to filozofic
chrześcijańskie żołnierstwo, ta mieszanina cienkiego piwa, kłam
i piasku. Odrażające, z gruntu odrażające były dla mnie te Prusy,
wne, obłudne, świętoszkowate Prusy — ów Tartuffe wśród narodów

Gdy w pierwszych dniach sierpnia 1830, podczas kuracji na wy
Helgoland, przeczytał Heine wiadomość o rewolucji w Paryżu, po
go entuzjazm. „Jeden z tych żywiołowych, zawiniętych w papier g
towy, promieni słonecznych wleciał mi do mózgu i wszystkie
myśli stanęły w ogniu... Nawet biedni tubylcy szaleją z radości,
ciaż pojmują te wypadki tylko instynktownie. Rybak, który prze
wiał mnie wczoraj na piaszczystą wysepkę, na miejsce kąpieli, po
dział do mnie ze śmiechem: — Biedota zwyciężyła!"

Mylił się rybak, bo w rewolucji lipcowej biedota nie zwyciężyła
Heine marzył i pałał: „Wiem teraz znów, czego chcę, co mam i m
uczynić... Jestem synem rewolucji i chwytam znów za broń, k
matka pobłogosławiła swym zaklęciem... Dajcie mi lirę, bym zaśpi
pieśń bojową... Słowa jak płomienne gwiazdy, które lecą z góry,
ląc pałace i oświetlając chaty. Słowa jak błyszczące dzidy, które
pędzą aż do siódmego nieba i uderzą w nabożnych hipokrytów, c
kradli się do miejsca przenajświętszego... Jestem cały radością i
wem, mieczem i płomieniem!"

Heine wyjeżdża do Paryża. Dobrowolnie emigruje z ojczyzny.
dezerteruje z frontu?

Przed Heinem emigrował dobrowolnie August Platen. Bo „mo
czy cenzor okaleczał mu pieśni i rozrywał jego harmonie". Bo p
„skazany został na milczenie". Bo „nie chciał być adorowany p
naród lokajów". Tak pisał sam Platen. Ale w rzeczywistości ten p
czoch pogniewał się na swych rodaków za to, że nie dość owacy
przyjmowali jego zimne, wypolerowane, jałowe sonety i tercyny.
den cenzor nie miał powodu pastwić się nad wierszami Platena,
go nie zmuszał do milczenia, nie groziły mu represje i banicja.

Inny pisarz, Börne, wyjechał w roku 1830 do Paryża, może n
szczerze porwany rewolucją lipcową. Ale jego radykalizowanie
niezbyt groźne. — „Mętny, małostkowy i niedorzeczny" — tak
o nim Marks, który zresztą w sporze Heinego z Börnem stanął po
nie pierwszego. I Börnemu nie groziły prześladowania za to, co
sał przed emigracją, ani za to, co napisał na obczyźnie.

Inaczej sprawa miała się z Heinem. W październiku 1843 emig
przyjeżdża na kilka tygodni do Hamburga; wizyta odbyła się
przeszkód. Ale gdy Heine po roku wraca znów, musi czym pre
uciekać do Paryża, „zaniepokojony ostrzeżeniem z góry", jak pisz
Marksa w jedynym liście, który się zachował (z dnia 21 wrz
1844). Co prawda w Niemczech ukazywały się jego książki, ale
zmaltretowane przez cenzurę! W Prusach dzieła Heinego są zaka
nawet „na pniu": nawet te nie napisane jeszcze. Na terenie Prus
poety stanąć nie może, bo listy gończe kursują i rozkaz aresztow

ka od dawna. A kiedy pewien Berlińczyk w gronie przyjaciół ak się rychło okazać miało, nie tylko przyjaciół!) zarecytował a c z y Heinego, skazany został na dwa lata twierdzy. Więc wyjeżjąc w roku 1831 z kraju, Heine przeczuł, co go czeka. Wkrótce grozi mu emigracja przymusowa i los, który spotkał Büchnera, Sauerna, Herwegha, Püttmanna, Freiligratha, Weertha i jeszcze wielu rzy niemieckich owych czasów. I wielu pisarzy niemieckich po u 1933.

ie mógł przebywać w Niemczech satyryk polityczny o uczciwoi odwadze Heinego. Jego zdeklarowany wróg, Börne, musiał mu rznać, że „jest uczciwy z natury", że „nie potrafiłby być obłudnym et przez pięć minut, nawet na przestrzeni dwudziestu wierszy; nie afiłby kłamać nawet przez dobę, nawet na przestrzeni pół arku— i gdyby nagrodą była bodajże korona królweska, nie może się zec ani uśmiechu, ani drwiny, ani dowcipu."

pił z króla Ludwika Bawarskiego, grafomana i mecenasa tandetn malarzy. Z pruskiego króla Fryderyka Wilhelma, tęgiego opoja s a r z C h i n). Z wszystkich podejrzanych świętości niemieckich. etolerancji wyznaniowej i fanatyzmu religijnego, jak w D y s p u gdzie obie strony dostają równo i sprawiedliwie odmierzone cięgi. emieckiego dyletantyzmu rewolucyjnego, z kokieteryjnej radykali i tchórzem podszytej „postępowości" pewnych literatów.

korespondencjach do jednego z pism augsburskich krytykował i jadowicie to, co mu się u Francuzów nie podobało. Zaatakował niera Guizot, zarzucił mu, że sam niby taki purytanin, a toleruje vym gabinecie łapownictwo i korupcję — że jest jak westalka, co adzi zamtuz. (Korespondencja z 6 maja 1843).

n nieprzejednany pamflecista nie oszczędzał nawet samego siebie sto kpił ze swych przywar, słabostek, pomyłek, błędów i z tych nieu kompromisów, które (tak mu się przynajmniej wydawało) miał umieniu. Kpił z goryczą samotnika, emigranta, wyrwanego z ojczydo której stale wracała jego troska:

Kiedy mi myśl o Niemczech do głowy
przychodzi nocą, o śnie nie ma mowy...
(M y ś l i n o c n e)

racja strof Heinego, ich urzekający, porywający rytm, nieomylne ich rymów, ich p o e z j a czyniły broń poety niebezpieczną jak nie hartowany, gibki, zgrabny floret. To nie była wierszowana pustyka, moi kochani koledzy, ale najczystsza poezja. I w dużej miewłaśnie dzięki tej poezji wiersze satyryczne Heinego, wiersze powane przez bieżące wypadki, nie straciły rumieńców, są świeie i czytelne jeszcze dziś — i bądźmy szczerzy: te satyry są nam ze niż jego liryki, z których zdążyło już zwiędnąć bardzo wiele. ry Heinego powinny wyperswadować współczesnemu poecie, że sz „okolicznościowy", wiersz związany z wypadkami dnia dzizego, nie koniecznie musi być skazany na krótki żywot.

Gdy Heine dzisiaj wraca w tryumfie z emigracji do swej ojczyz
gdy w nowej Niemieckiej Republice Demokratycznej wychodzą zn
jego pisma, a pod balladą o Loreley, pod pieśnią istotnie ludową, fi
ruje znów jego nazwisko, przypomnijmy sobie *credo* poety, pis
w Paryżu, w drugim roku wygnania:

„Kiedy osiągniemy to, że szerokie masy zrozumieją dziesiejszą r
czywistość, wtedy narody nie pozwolą, by pismaki przekupione pr
arystokrację podżegały ich do nienawiści i wojny. Wtedy dojdzie
skutku wielki pakt ludów, święte przymierze narodów. Wtedy
będziemy musieli, wzajemną nieufnością powodowani, żywić stał
armii złożonych z wielu setek tysięcy morderców. Wtedy ich mie
i konie zużyjemy do orki. Wtedy zdobędziemy pokój i dobrobyt, i w
ność. Tej działalności poświęcam swoje życie; to jest mój urząd. N
nawiść moich wrogów jest rękojmią, że ten urząd pełniłem do tej p
wiernie i rzetelnie. Okażę się zawsze godnym tej nienawiści!" (Z prz
mowy do Stosunków francuskich. 1832)

Pełnił swój urząd wiernie i rzetelnie do końca życia, nawet w d
gich latach choroby i przygnębienia, trawiony cierpieniem i tęskn
do ojczyzny. I takie słowa mógł przekazać potomnym:

„Czy chwalicie moje pieśni, czy je ganicie, to mnie mało obcho
Ale połóżcie mi miecz na trumnie, bo byłem dobrym żołnierzem w w
nie o wyzwolenie ludzkości."

Artur Marya Swinarsk

ANNO 1829

By mi się dobrze, swobodnie marło,
dajcie mi ziemi szeroki szmat!
Byle nie tu! Bo ściska mi gardło
ten ciasny kramarski świat.

Smacznie się u nich pije i jada.
Świnia w chlewie — to szczęścia ich wzór.
Ich dobre serce — jak worek dziada:
takie puste i tyle ma dziur.

Cygaro w gębie i łapy w kieszeni.
Wygodne łóżko, wykwintny wikt,
więc wyśmienicie działa trawienie...
Tylko że ich nie trawi nikt!

Mają wonności z całego świata
w swych sklepach. Ale (chcesz, to się gorsz)
na nic tych perfum gama bogata,
bo dusza im śmierdzi jak zdechły dorsz.

Żebyż wymyślne, pyszne zbrodnie
krwią znaczyły żywota ich bieg!
Nie — oni błogo, oni wygodnie
realizują cnotę jak czek.

Obłoki! z wami w drogę się puszczę...
Weźcie mnie, nieście! Na Czarny Ląd,
do dżungli, stepów, pustyni i puszczy
— byle uciekać, uciekać stąd!

Weźcie mnie z sobą! Pędzą i basta...
Ależ ma nosa wędrowna brać,
bo ledwo poczuła zapaszek miasta,
nagle w popłochu zaczęła wiać.

przełożyła **Magdalena Samozwaniec**

POETA FIRDUSI

1

Ludzie złoci! Srebrni ludzie!
Kiedy mówi łyk o sztuce,
ma na myśli sztukę srebra,
srebro dźwięczy z gęby łyka.

Ale sztuka w ustach księcia,
w ustach szacha jest ze złota;
bowiem tylko sztuki złota
szach przyjmuje, szach rozdaje.

W taki sposób rozumują
ludzie prawi; w taki sposób
rozumował więc Firdusi,
piewca boskiej Księgi Królów.

Ów poemat bohaterski
pisać jął na rozkaz szacha.
I obiecał szach: „Zapłacę
za twój każdy wiersz po sztuce."

Siedemnaście razy róża
rozkwitała, opadała;
siedemnaście razy słowik
sławił różę i zamilkał —

a w tym czasie, dniem i nocą,
siedział wieszcz przy krosnach myśli,

bez wytchnienia tkając dywan
poematu przeolbrzymi.

W ten kobierzec pięknie wmotał
dawne sprawy Farsystanu,
klechdy królów i legendy
swej ojczyzny wsnuł poeta,

bohaterów ludziom miłych,
boje mężów i przygody,
gusła magów i demonów,
w arabeskach kwiatów z baśni —

Wszystko kwitło, wszystko żyło
barwą jasną i ognistą,
rozświetlone światłem z nieba,
świętym światłem zórz Iranu,

czystym, bożym prapożarem,
który pałał w sercu wieszcza
jak ostatni chram z płomieni —
wbrew kapłanom i koranom.

A gdy skończył wieszcz poemat,
dwakroć sto tysięcy wierszy,
posłał gońca z rękopisem
do swojego protektora. —

Działo się to w mieście Gasna,
działo się to w miejskiej łaźni —
bo tam dwaj posłańcy szacha
odnaleźli Firdusiego.

Każdy dźwigał pełen worek,
dar królewski za poemat;
każdy ukląkł, każdy złożył
ciężki wór u stóp poety.

Gdy poeta rozpruł worki
szybko, by widokiem złota
wygłodniałe sycić oczy,
ujrzał i uwierzyć nie mógł:

sine srebro, sztuki srebra,
może dwakroć sto tysięcy,
taka była to nagroda —
gorzko zaśmiał się poeta.

Gorzko śmiejąc się poeta
skarb podzielił na trzy równe
części i każdemu z posłów
podarował za fatygę

jedną trzecią srebrnych monet.
Resztę słudze łaziebnemu,
który był zgotował kąpiel,
ofiarował jako bakszysz.

Potem wziął swój kij wędrowny
i porzucił miasto Gasna;
nim wyruszył w drogę, z butów
strzepnął pył przed bramą miasta.

2

„Gdyby spisał się jak cham,
gdyby dane słowo złamał,
gdyby był po prostu kłamał —
kłamże sobie, chamie, kłam!

Ale jak wybaczyć to,
że mnie zwiódł podstępną mową,
kładąc sens podwójny w słowo,
i półsłówek giętkich grę?

W każdy calu wielki pan,
taki pyszny, taki godny,
taki, rzekłbyś, niezawodny —
a szalbierczo wyknuł plan.

Mowa słodka niczym miód,
oczy jasne niczym słońce,
samą prawdą pałające —
a oszukał mnie i zwiódł."

3

Mahomet smaczne śniadanie zjadł,
więc piękny szachowi wydaje się świat.

W cieniu drzew na poduszkach leży.
Fontanny plusk taki chłodny i świeży.

Stoją dworzanie w pokornym ukłonie;
faworyt Ansari jest w ich gronie.

Z waz marmurowych pysznie pała
kwiatów pąsowych pożoga cała.

Wachlują się palmy i chwieją jak szereg
gibkich i pełnych gracji tancerek.

Gaj cyprysowy ani drgnie
w śnie niebotycznym, w mrocznym śnie.

Wtem się do wtóru lutni odzywa
pieśń łagodna, pieśń osobliwa.

Szacha podrywa magia słów.
„Czyje to słowa? Ansari, mów!"

Ansari odrzekł na pytanie:
„Tę pieśń napisał Firdusi, panie."

Szach zmieszany. „A jak się tam wiedzie
naszemu wieszczowi?" „Żyje w biedzie.

Wszystkiego posiada kawałek ogrodu
w rodzinnym Thus — i przymiera z głodu."

Mahomet milczał i dumał długo
i rzekł: „Ansari, mój wierny sługo,

czym prędzej trzeba naprawić zło!
Wybierz wielbłądów i mułów po sto,

a na zwierzęta załaduj obficie
wszystko, co ludziom umila życie:

kosztowne szaty i drogie przedmioty,
załaduj skarbiec srebrny i złoty,

drobiazgi zgrabne, filigranowe,
z rzadkiego drzewa i kości słoniowej,

puchary i czary cyzelowane,
lamparcie skóry pstro centkowane,

tkanin irańskich wybór bogaty,
kobierce, szale i barwne brokaty,

aby zacnego ucieszyć męża, —
czapraki i dużo świetnego oręża,

potrawy przednie i przednie napoje,
pełne garnce, czubate słoje,

ciasta, łakocie, owoce i miód —
a żeby mi tego było w bród!

Wybierz rumaków tuzin cały,
rasy arabskiej, szybkich jak strzały,

i niewolników czarnych pół kopy —
a żeby mi to były tęgie chłopy!

Ansari, zabierz te dary mnogie
i nie mieszkając ruszaj w drogę

do Thus: niech przyjmie to wielki poeta
wraz z pozdrowieniem od Mahometa."

Ansari wypełnił rozkaz pana.
Za trzy dni cała karawana

wiezie skarb, — za niego byś mógł
kupić z dziesięć tysięcy włók!

Ruszyli w drogę; na samym przedzie
z czerwoną chorągwią Ansari jedzie.

Dotrą do Thus, nim tydzień minie.
Miasto leży w uroczej dolinie.

Przez bramę zachodnią rozwrzeszczana
wjeżdża do miasta karawana.

Dudnią bębny i ryczą rogi.
Cieszą się ludzie, bo koniec drogi.

„La Illa Il Allah!" — modlitwa wita
miasto. Stukają o bruk kopyta.

A bramą wschodnią w tej samej godzinie
pochód żałobny z miasta płynie:

ubodzy ludzie w łachmanach i boso,
zmarłego poetę do grobu niosą.

przełożył **Artur Marya Swinarski**

ŁĄTKA

Łątka tańcuje nad falą;
w skrzydełkach opale się palą,
migocą i złocą się nieustannie
na pannie wodnej, na modnej pannie.

Niejeden żuk traci głowę,
gdy widzi te pląsy zmysłowe,
stanika błękitną emalię,
tudzież wysmukłą talię.

Niejeden żuczek jak głupi lata
i leciałby za nią na koniec świata;
androny mruczą żucze chóry
i obiecują jej złote góry.

Śmieje się łątka niecnota:
„Na co mi góry ze złota?
Lecz który ma dobre serce,
niech ognia przyniesie, choć po iskierce.

Kucharka zaszła mi w ciążę;
polewki uwarzyć nie zdążę,
bo ogień na kominie zgasł.
Kto da mi ognia? Który z was? Który z was?"

Perfidnie rzekła to łątka
i w mig poleciały żuczątka.
Lecą za lasy, za góry i rzeki,
w kraj nieznany, daleki.

Patrzą, a tam w pawilonie
światełko świecy płonie;
myślą żuczęta: to tu! to tu!
i pędzą do światła co tchu.

Żarłoczny wyrywa je płomień
z miłosnych oszołomień:
palą się żucze serduszka,
palą skrzydełka u brzuszka.

Biada takiemu, który nie zginie,
lecz traci skrzydła! W obcej krainie
łazi po ziemi brzydkie żuczysko,
smrodliwym robakom na pośmiewisko.

Bo cała socjeta, co tam się zebrała,
to emigracji najgorsza zakała.
Byle karaluch bździ u twych drzwi,
a byle pluskwa mówi ci „ty".

Skoroś już raz w ich fetorek wpadł,
trudno! traktują cię za pan brat —
jak na ten temat lamentował
poeta P i e k ł a — bo też emigrował.

Ojczyznę wspominam i błogie chwile,
gdy miałem jeszcze skrzydła motyle,
gdy niosła mnie wiotkich tonów muzyka
od słonecznika do słonecznika,

gdy piłem słodycz z kielichów różanych
i miałem przyjaciół dobrze wychowanych,
na przykład pawika, co z szarmu słynie,
i świerszcza, artystę na wiolinie...

Teraz me biedne skrzydła spalone
i już w ojczystą nie wrócę stronę.
Jestem jak robak, co wolno, ścicha
gnije w obcym łajnie i zdycha.

Ach, odżałować dzisiaj nie mogę,
że łątka zwodnicza przebiegła mi drogę
z tą talią jak modra emalia...
Cóż za fałszywa kanalia!

przełożył **Artur Marya Swinarski**

ADAM PIERWSZY

Przysławszy zbrojnego w ognisty miecz
żandarma niebieskiego,
bezprawnie i srogo wydzierasz mi raj,
którego anioły strzegą.

Zabieram swą żonę i ruszam precz,
zdobywać nowe włości.
Ale nie zmienisz faktu, żem jadł
z owocu wiadomości.

I tego nie zmienisz, żem odkrył sens
twojej nicości i blagi,
choćbyś z uporem przez grom i śmierć
dodawał sobie powagi.

Boże! jak strasznie żałosne jest twe
consilium abeundi!
Dopieroż to raban na cały nasz świat,
a to ci *lumen mundi!*

Już tam mnie raju nie będzie brak,
wszystko to dla mnie plewa;
bo zresztą, właściwie to żaden raj,
gdzie są zakazane drzewa.

Ja pełnych swobód domagam się!
Najmniejsze ograniczenie
przerabia mi najwspanialszy raj
na piekło i więzienie.

przełożył **Robert Stiller**

DO POLITYCZNEGO POETY

Twa pieśń, jak Tyrteusza śpiew
natchniony przez heroje.
Aleś epokę obrał źle
i audytorium swoje.

Poklasku ci nie szczędzi tłum,
i hołd ci niesie korny:
— Jak śmiały myśli twojej lot,
jakie mistrzostwo formy!

Za zdrowie twe spełniono już
niejeden wina puchar.
Niejedna twa bitewna pieśń
z pijackiej wrzawy bucha.

Bo fagas wolność sławi rad
po karczmach rycząc w nocy:
pomaga trawić taka pieśń,
dodaje trunkom mocy.

przełożyli **Antoni Marianowicz, Tadeusz Polanows**

NIEMCY

Opowieść zimowa

Dwa fragmenty

*

* *

Tłucze się bryczka poprzez las
Wtem nagle trzasnęło koło.
Pośrodku nocy stoimy więc
i wcale nie jest wesoło.

Pocztylion pobiegł do wioski wnet,
by pomoc sprowadzić pierwszą,
a ja zostałem w lesie sam.
Otacza mnie wycie zewsząd.

To wygłodniałych wilków głos
słychać namiętny i dziki.
Oczy ich w mroku jarzą się
jak nieruchome ogniki.

Wiedzą już, bestie, że przybył gość;
to dla mnie ten splendor cały,
ten iluminowany las
i tęskne wokół chorały.

Widzę wyraźnie. To na mą cześć
specjalna serenada!
A więc z szacunkiem podnoszę się
i wilkom tak odpowiadam:

„O bracia wilki! Jakżem rad
przebywać tu w waszym gronie,
gdzie tyle serc szlachetnych w krąg
miłością ku mnie płonie.

Zapewniam was, że w chwili tej
wzruszony jestem ogromnie
i że już nigdy nie będę mógł
spotkania tego zapomnieć.

Za ufność chcę podziękować wam,
którą mnie zawsze darzycie
i której nieraz pośród burz
dowiedliście mi niezbicie.

O bracia wilki! Zmylić was
nie zdołał ów wymysł marny,
jakobym zdradził wilczy ród
po to, by przystać do psiarni.

Że mam — odstępca — zostać wnet
hofratem w stadzie owiec —
dla takich oszczerstw szkoda słów,
zbyteczna wszelka odpowiedź.

Barani kożuch, którym wdział
od chłodu mnie ochrania.
Wcale nie znaczy ubiór ten,
że wzrusza mnie przyszłość barania.

Anim ja owca, ani pies,
ni hofrat, co smyczę trzyma —
zostałem wilkiem, po dziś dzień
wilcze mam serce i kły mam.

Jam wilk i będę zawsze już
z wilkami wył, tak jak one.
Więc liczcie na mnie i brońcie się,
a Bóg was weźmie w obronę."

przełożył **Antoni Marianowicz**

*
* *

A co mnie dalej spotkało w tę noc
zimową? Myślę, że na to
kiedyś odpowiem — ale nie dziś.
Czekajmy, aż będzie lato.

Dziś generacja obłudy już
rozkłada się, Bogu chwała!
I znika powoli w mogile, bo
sama na śmierć się załgała.

Lecz rośnie nowy, swobodny ród
bez maski i zmaz, więc nie wam,
ale tym wolnym i jasnym łbom
wszystko do reszty wyśpiewam.

Że tyle w poecie godności, wie
młodzież, i tyle ciepła;
przy jego słonecznym sercu chce
grzać się, by nie zakrzepła.

Serce mi pała miłością jak świt;
jak płomień jest czyste i prawe.
A liry mojej siedem strun
Gracje stroiły łaskawe.

Po wielkim ojcu lirę mam,
bo gram w tej samej tonacji,
w której Arystofanes grał,
kochanek Kamen i Gracji.

To on na tej lirze wybrzdąkał hymn
ku sławie Paistetera,
jak bogom podkrada ofiarny dym,
aż Olimp go królem obiera.

Finale „Ptaków" wzięła mnie chęć
skopiować w poprzednim rozdziale;
z komedyj ojca właśnie tę
najbardziej kocham i chwalę.

I „Żaby" świetne. Jedna ze scen
berlińskich tę sztukę zagrała,
by się rozerwał pruski król —
i stała się rzecz niebywała:

polubił król komedię, — a więc
miewa klasyczne gusty,
choć jego ojciec współczesnych żab
uwielbiał rechot pusty.

Polubił król komedię. Lecz,
gdy chodziłby jeszcze po świecie,
wybrać się do dzisiejszych Prus,
odradzałbym poecie.

Arystofana dzisiejszą pieśń
aplaus powitałby słaby,

inny by przy nim tańcował chór:
żandarmy, nie Ptaki i Żaby.

Przyszedłby rozkaz: niechaj tłum
wygwizda poetę, nie chwali;
i listy gończe za nim w ślad
po kraju by rozesłali.

Mój królu! Życzliwą radę dam,
życzliwie przyjmij i ty ją:
zmarłych poetów czcij, ile chcesz,
lecz szanuj mi tych, co żyją!

Nie warto zadzierać z nami, bo wiedz!
pochodnie mamy, sztylety
groźniejsze niż Jowisza grom.
(Sam Jowisz, to wymysł poety...)

Czy będzie to jakiś nowy bóg,
Olimpu banda stara,
czy nawet Jehowa — kpij sobie z nich.
Lecz od poety wara!

Co prawda mszczą się okrutnie za grzech
bogowie nieśmiertelni;
a piece w piekle, to nie żart:
tam smażą cię jak na patelni.

Lecz święci, bywa, nie raz i nie dwa
grzeszników wymodlą z piekła;
niejedna, gdy w puszce zadzwonił grosz,
duszyczka diabłom uciekła.

A kiedy Chrystus u kresu dni
rozwali piekielne wrota,
choć będzie srogi sprawował sąd —
da nogę niejeden niecnota.

Ale są piekła, gdzie już nikt
amnestii nie udziela;
na nic modlitwy, i nie ma sił
absolvo Zbawiciela.

Ty przecież piekło Dantego znasz,
tę zgrozą broczące tercety?
Z nich nie wybawi żaden bóg,
gdy skazał cię wyrok poety.

Żaden Zbawiciel nie zmaże, co pieśń
ognistym językiem orzekła.
Uważaj! bo wtrącimy cię
na dno takiego piekła!

przełożył **Artur Marya Swinarski**

ANTONI RĄCZASZEK

Żyrardów ziemski

Żyrardów...

Zapewne wszyscy przypominamy sobie tragiczną wymowę tego słowa.

Sprawa Żyrardowskich Zakładów Przemysłowych stała się największą aferą kapitalistyczną w drugim dziesięcioleciu Polski międzywojennej i urosła do znaczenia klasycznego symbolu, wyrażającego stosunek obcego kapitału do kraju przezeń eksploatowanego.

Przypomnijmy ją w najogólniejszych zarysach.

Francuz Boussac, wielkiego kalibru grasant międzynarodowego kapitału skupia w swych rękach większość akcyj fabryk żyrardowskich. Obsadza dyrekcję fabryk swoimi kreaturami, które są posłusznymi wykonawcami jego polityki. Polityka ta zmierza do osiągnięcia jak największych doraźnych zysków, do bezwzględnego wyeksploatowania przedsiębiorstwa w najkrótszym czasie.

Dzieje się to między innymi przez (charakteryzujemy w najogólniejszych skrótach):

1) nieodnawianie maszyn i urządzeń fabrycznych w dostatecznej mierze, co prowadzi do stopniowej dewastacji zakładów i obniża ich wartość;

2) obniżanie zarobków robotniczych poniżej minimum egzystencji. W Polsce panuje wówczas bezrobocie — podaż rąk do pracy jest znaczna. W tych warunkach stosunek kreatur Boussaca do robotnika i pracownika umysłowego nabiera wszystkich jaskrawych cech osławionej polityki „kolonialnej". Postawę dyrekcji charakteryzuje całkowite zapoznawanie materialnych, społecznych i kulturalnych potrzeb robotników.

Terror wywierany przez ciągłą groźbę utraty pracy wyciąga z robotnika — niedostatecznie odżywionego, źle od nego, bez środków na zaspokojenie trzeb kulturalnych — maksymalną dajność pracy. Okazywana przez dy cję i jej ludzi bezwzględność, wro i pogarda dla robotników stwarza mosferę nieznośną, pełną rozdrażni i groźnych napięć. Praca w fabryce je się męką i przekleństwem — ale u ta jej, bezrobocie, jest jeszcze cz gorszym. Atmosfera ta wyładowuje wreszcie w strzałach rewolwerow b. prezydenta miasta, oddanych do rektora fabryki, Francuza.

Proces o zabójstwo odsłania wre przed społeczeństwem całą grozę poł nia, w jakie obcy, bezwzględnie żer cy kapitał wtrąca nasz rodzimy ś pracy. Sprawa wchodzi na łamy p krajowej i zagranicznej i przez dłu czas roznamiętnia opinię publi Zważmy jak czuł się robotnik „ carstwowej, suwerennej" Polski, straszliwie bezbronny wobec becz go, jaskrawego, bezlitosnego, a je cześnie bezkarnego wyzysku;

3) uprawianie polityki finansowe ciągania wielkich, rzekomo niez nych, a faktycznie niepotrzebnych i cyjnych kredytów na cele obro w zagranicznych bankach, należą do tegoż samego Boussaca. Kredy są oczywiście bardzo drogie, w zwi z czym zakłady wykazują straty, opłacają państwu podatku dochod go, nie wypłacają reszcie akcjonar (byli nimi głównie, w 40 procen drobni posiadacze krajowi) żad dywidend.

Oszukani akcjonariusze rozpoczy kampanię prasową, sprawa przez szy czas nie schodzi ze szpalt gaz

sac jest zmuszony do pewnych
stw. Historia pertraktacyj z tym
tem — to cała epopeja. Grasu-
bezkarnie opryszek pozostaje zre-
od opieką swej ambasady, która
nokrotnie interweniuje. Osiągnię-
ych warunkach kompromis nie za-
a dużej części zainteresowanych.
va jest niechętnie komentowana,
prasy ocenia ją krytycznie. Dusz-
przykra atmosfera tej sprawy do-
adza do samobójstwa współdzia-
go w osiągnięciu porozumienia
nego adwokata, znanego i zasłużo-
działacza.

to wespół z naszym kapitałem
grasancki kapitał zagraniczny
aszym kraju. Wyzyskiwał bez-
dnie świat pracy, łamał i niszczył
ktery, a czasem i życie poszczegól-
jednostek.

ardów urósł do znaczenia tragicz-
symbolu...

ypominamy tę sprawę po to, aby
rdzić, że mieliśmy w Polsce przed-
niowej aferę rodzimą, dorówn-
amtej — mieliśmy ją na odcinku
kim. Dotyczyła ona chłopów, bar-
jeszcze niż robotnik bezbronnych,
e zorganizowanych, rozproszonych
żej przestrzeni.

awa przedstawiała się tak...

oku 1933 lub 1934 jako wojewódz-
pektor samorządowy w Białymsto-
yjechałem na okresową lustrację
darki powiatowego związku samo-
wego w Wołkowysku.

ed każdym wyjazdem w teren —
owiat nie był mi jeszcze znany —
nawałem się dokładnie z dostępny-
teriałami opisowymi dotyczącymi
tu, z jego geografią, przeglądałem
notowałem ważniejsze informacje
steczkach i osiedlach.

ałem się następnie zawsze zoba-
osobiście zbadać ciekawsze osie-
a terenie powiatu, zakłady prze-
we itp.

Wtedy to widziałem cementownię w Rosi, wygasłą, martwą, bo tak postanowił syndykat, który dla utrzymania wysokich cen cementu ograniczył jego produkcję, zamknął kilka cementowni, a ich właścicielom płacił milionowe sumy za przestój. To zaś, że kraj dla celów odbudowy potrzebował wielokrotnie więcej taniego cementu, że rzesze robotnicze musiały opuszczać zakłady pracy, traciły zarobek i staczały się w nędzę— nikogo nie obchodziło. Wystygła, martwa cementownia w Rosi, na tej zaniedbanej ziemi ubogich chat robiła tragiczne wrażenie, krzyczała o krzywdzie wyrządzanej ludziom i ziemi.

W czasie takich inspekcyj niejednokrotnie konstatowałem zjawiska z zupełnie innych dziedzin życia niż praca samorządowa, zjawiska, które często w sposób zaskakujący odsłaniały nieoczekiwane aspekty społeczne ówczesnego życia, obnażały wady systemu rządowego, a jakże często — tragiczne skutki tych wad.

Zakończywszy inspekcję gospodarki wydziału powiatowego, wyjechałem na inspekcję gminy wiejskiej. Wybrałem Łysków, do którego w towarzystwie powiatowego inspektora samorządowego dobrnęliśmy z trudem samochodem, po piaszczystych traktach, biegnących wśród lasów i ubogich pól. W czasie zebrania w urzędzie gminnym przed domem zebrała się spora gromada ludzi i powstało zamieszanie. Pracownicy gminni starali się zbagatelizować to wyjaśniając, że chłopi — dowiedziawszy się, że przybył delegat z województwa — pragną przedłożyć swoje sprawy, ale — dodawali — w ogóle nie mają oni racji i szkoda czasu na konferencję. Wyszedłem do ludzi i poprosiłem ich do izby gminnej. Rozpoczęła się chaotyczna, nieporadna, nieprawdopodobna opowieść o krzywdzie, jaką wyrządza im Wileński Bank Ziemski. Dobywali z zanadrzy i pokazywali zawiadomienia

i wezwania banku — jawne dowody nieszczęścia, jakie na nich spadło.

Treść pism wstępnych, które zaczęli otrzymywać od banku w latach 1930 i 1931, była następująca (odtwarzam z pamięci, może więc wkraść się tu pewna nieścisłość szczegółów):

„Na podstawie dekretu Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia . . . o likwidacji mienia byłych rosyjskich osób prawnych (Dziennik Ustaw Nr . . . poz. . . .) oraz na podstawie . . . artykułu rozporządzenia wykonawczego do powyższego dekretu (Dziennik Ustaw . . . . poz. . . . .) tudzież na zasadzie art art. . . . umowy zawarte pomiędzy Komisją Likwidacyjną przy Ministerstwie Skarbu a Wileńskim Bankiem Ziemskim z dnia . . . oraz na zasadzie wpisu u starszego notariusza w . . . obciążającego majątek Święcica długiem w Kijowskim Banku Ziemskim, winien jest Pan jako nabywca działki gruntu z wyżej wspomnianego majątku Wileńskiemu Bankowi Ziemskiemu kwotę zł . . . Spłatę kwoty powyższej rozkłada się Panu na lat 66 i pół, w ratach półrocznych z oprocentowaniem 5%.

Bieg rat liczy się od 1.VII.1926 roku. W obecnej przeto chwili zalega Pan 11 rat, i tyle to a tyle kosztów ubocznych i odsetek za zwłokę w spłacie, które należy wpłacić gotówką do kasy Banku w terminie . . . pod rygorem wystawienia gospodarki Pana na licytację."

Jak wyglądała sprawa? Chłopi — częściowo osadnicy przybyli z płockiego i sierpeckiego powiatu, reszta zaś miejscowi, zarówno Polacy jak i Białorusini — nabyli w 1924 roku od właściciela majątek ziemski Święcica i rozparcelowali go między siebie... Likwidując uprzednio swe dawne gospodarstwa zapłacili za ziemię pełną jej ówczesną wartość rynkową i na nowonabytym większym obszarze ziemi musieli o
wa wznosić chaty, zabudowania g
darskie, sadzić drzewa i sady, k
studnie, układać drogi.

Przy zakupie ziemi od właściciel
piero w kancelarii u notariusza d
dzieli się (co w czasie wstępnych
traktacji przed nimi zatajono) z
odczytywanego im aktu kupna-spr
ży, że przejmują na siebie ciążąc
tym majątku dług wobec Kijows
Banku Ziemskiego na sumę kilku
sięciu tysięcy rubli. Chłopi zaskocz
zaprotestowali. Wtedy wyjaśnio
elokwentnie, że przecież bank te
istnieje, został on przez władze so
kie w Rosji zlikwidowany i nikt
o zapłatę tego długu nie może wys
i nie wystąpi. Niemniej jednak
obciążający nabywany majątek
długiem istnieje i wpisu tego sk
nie można, bo do skreślenia go pot
na jest zgoda wierzyciela to jest B
Kijowskiego, a banku tego nie ma
gdy już nie będzie. Wpis ten ma
charakter formalny, bez znaczenia
po upływie iluś tam lat wygaśnie

Chłopi akt podpisali.

Po jakimś czasie zjawili się n
polach „jacyś panowie" i z
zbierać w gminie informacje,
i ile ziemi nabył z dawnego ma
Święcica. W r. 1930, 1931 i nastę
zaczęli otrzymywać pisma o treści
żej przytoczonej, że ziemia ich jes
dłużona w Wileńskim Banku
skim, który przejął dawną wier
ność Kijowskiego Banku Ziems
że ten dług wynosi kilkaset złoty
1 ha, że należy raty zaległe na
miast zapłacić gotówką, że naliczo
im ogromne odsetki za zwłokę,
razie niezapłacenia rat zaległych
minie wystawi się ich gospodarst
licytację. Rok 1930 i 1931: spade
artykułów rolnych i ostry kryzys
nictwie. Chłopi nie zdążyli jeszcz
wet zbudować studzien, jeżdżą p

gospodarstwa do odległego o ki-
źródła, do chat zagląda nędza,
agle spada na nich zawiadomie-
zędowe, obwarowane paragrafa-
ziemia ich, za którą zapłacili
wartość rynkową — obdłużona
takiej wysokości, że w ł a-
w i e t r z e b a j ą n a
o k u p i ć, płacić co pół ro-
ążliwe raty i tak przez 66 i pół

wiście prawie nikt nie miał pie-
na spłatę ra., więc gospodar-
stały przez Wileński Bank Ziem-
ystawione na licytację. Kilka
sprzedano, a właścicieli eksmito-
Tym, których gospodarstwa nie
nabyte na licytacji, naliczono
tytułu ogromne koszta i bank
je do ogólnego zadłużenia, któ-
ustannie wzrasta. Jeden z rolni-
. miał wezwanie (nabył niewiel-
ałkę na uzupełnienie gospodar-
stwierdzające, że zadłużenie jego
u powyższych rat wynosi około
tych. Zaciągnął po długich sta-
, po parokrotnych wyjazdach do
pożyczkę w KKO w Wołkowy-
sumie 100 złotych. Przy wypła-
yczki potrącono mu odsetki oraz
sowy wkład. Otrzymał niespeł-
złotych. Wysłał je do Wileńskie-
ku Ziemskiego, skąd po paru ty-
ch otrzymał zawiadomienie, że
ze bank otrzymał, policzył z nich
ych kosztów za ogłoszenie o wy-
niu na licytację, część zaległych
, ale że r a t y i r e s z t ę
e t e k r o l n i k n a d a l
w i n i e n, a o d s e t k i
y c h r a t r o s n ą.
zano mi działkę porzuconą
aczy przez chłopa, który zorien-
szy się, że nie poradzi ratom,
ół się do swej rodziny w Płockie.
rze porastały już dwuletnie sa-
ki brzóz.

Natychmiast po powrocie zająłem się szczegółowym zbadaniem sprawy. Oto co ustaliłem.

W kilkanaście miesięcy po przewrocie majowym 1926 r. rząd sanacyjny na podstawie udzielonych mu przez sejm pełnomocnictw wydał zagadkowo nazwany „dekret o likwidacji mienia byłych rosyjskich osób prawnych". Dekret ten dotyczył wierzytelności byłych rosyjskich banków ziemskich, działających do wybuchu pierwszej wojny światowej również i na terenach ziem wschodnich Polski międzywojennej. Banki te były instytucjami długoterminowego kredytu, udzielanego większej własności ziemskiej. Z kredytów tych korzystali chętnie ziemianie polscy. Równie chętnie ziemianie posiadający kapitały lokowali je w listach zastawnych tych banków.

Na podstawie wspomnianego dekretu (wydanego w 8 lat po wojnie światowej!) i odpowiedniego rozporządzenia wykonawczego — działająca do tych spraw przy Ministerstwie Skarbu Komisja Likwidacyjna wezwała wszystkich posiadaczy listów zastawnych b. rosyjskich banków ziemskich (kijowskiego, żytomierskiego, połtawskiego, moskiewskiego itd.) do ich zgłoszenia w Komisji w określonym terminie. Dobyli tedy ziemianie kresowi leżące w schowkach bezwartościowe dotąd papiery, które oto z łaski dekretu miały się zamienić na gotówkę i zarejestrowali w Komisji. Podobno (wiadomości tej nie udało mi się źródłowo sprawdzić) przemyciła wówczas i zgłosiła również pewną ilość tych listów garść spekulantów z Ukrainy i Białorusi Radzieckiej, gdzie w okresie rewolucyjnych zamieszek nabywali całe pakiety tych papierów za bochenek chleba, bądź miarkę kaszy.

Równocześnie Komisja Likwidacyjna przeprowadziła dokładny spis majątków ziemskich, położonych w grani-

cach państwa w czterech województwach wschodnich i w części województwa białostockiego (powiaty grodzieński, sokólski, wołkowyski, bielsko-podlaski i białostocki), obciążonych długami w tych bankach. Komisja porównała następnie globalną kwotę zgłoszonych listów zastawnych z globalną kwotą ustalonych zadłużeń, wyprowadzając — obowiązujący następnie w rozliczeniu wobec posiadaczy listów zastawnych z jednej strony, a wobec dłużników b. rosyjskich banków ziemskich z drugiej — kurs w złotych za 1 rubla listów zastawnych i długu.

Następnie Komisja na zasadzie odpowiedniej umowy zawartej z Wileńskim Bankiem Ziemskim zbyła tę całą wierzytelność b. rosyjskich banków ziemskich, zabezpieczoną na majątkach, temuż bankowi za umówioną kwotę. Bank wpłacił tę kwotę Komisji Likwidacyjnej III serią własnych listów zastawnych, a zatem nabył tę wierzytelność za koszt, równy kosztom druku papierów. Komisja Likwidacyjna listy zastawne Wileńskiego Banku Ziemskiego wydała jako wartość zamienną właścicielom zgłoszonych listów zastawnych b. rosyjskich banków ziemskich. W ten oto sposób Komisja zakończyła swą pracę. Ziemianie i inni posiadacze listów zastawnych b. rosyjskich banków mogli teraz obcinać kupony od otrzymanych listów Wileńskiego Banku i podejmować procenty, bądź też sprzedać te listy na giełdzie. Na widownię wszedł Wileński Bank Ziemski, rozpoczynając osobliwe dzieło egzekwowania długów nie istniejących, dawno zlikwidowanych przez państwo radzieckie, zapomnianych już instytucji bankowych.

W umowie, zawartej pomiędzy Komisją Likwidacyjną a Wileńskim Bankiem Ziemskim przewidziane zostały warunki, na jakich odbywać się będzie egzekwowanie z majątków długó
rosyjskich banków ziemskich.

Umowa ta przewidziała między i
mi, że okres umorzenia długu rozk
się na 66,5 lat z oprocentowa
5 proc. Termin rozpoczęcia spłaty
umowa ustaliła na 1.VII.1926 roku
procentowanie rat zaległych (bez w
du na to, że o terminie spłaty nie
dłużnik powiadomiony w swoim
sie) według stopy dyskontowej
ków państwowych, a była ona w la
1926—1929 bardzo wysoka. Umow
staliła wysokość całego szeregu
bankowych i kosztów administra
nych i odsetek związanych ze ści
niem i egzekucją tych wierzyteln
Umowa ustaliła również, że spłaty
ległych rat i procentów zaległych
tek i kosztów administracyjnych
bocznych nie wolno dokonywać lis
zastawnymi Wileńskiego Banku Z
skiego, które natomiast będą przez
leński Bank przyjmowane według
tości nominalnej tylko jako zapłata
my rat bieżących i to jedynie w cz
dotyczącej spłaty kapitału a nie
centów. Umowa przewidywała p
dłużnika do przedterminowej s
długu i w tym wypadku mógł dłu
spłacić dług listami zastawnymi W
skiego Banku Ziemskiego, obliczo
według ich wartości nominalnej.

Warunki spłaty uwzględniały
ment zasadniczy, że dłużnikami są
ściciele wielkich majątków, ale n
dla nich były niesłychanie uciąż
Ziemianin jednak, którego ojciec
też on sam zaciągał kiedyś k
w rosyjskim banku — był z for
tego kredytu obeznany. Inwes
swego czasu ten kredyt w swój
tek, rozumiał, że wymagane ob
spłaty pewnych sum na rzecz pos
czy listów zastawnych tamtych ba
nie są pozbawione pewnej słusz
Jeśli chodziło o ustalenie osoby

kwoty zadłużenia itd. — to spra-
gdy majątek był w posiadaniu
ego właściciela (bądź nowego, ale
go właściciela), nie wymagała
wlekłych formalności i właścicie-
anie szybko (zanim jeszcze zale-
aty rosły) otrzymali odnośne za-
omienia i wezwania od Wileńskie-
anku Ziemskiego w sprawie za-
nowego, skonwertowanego dłu-
Ziemianie łatwiej mogli sobie ra-
i wybierać najkorzystniejszy spo-
spłaty długu.

omiast jeśli chodzi o chłopów, na-
ów drobnych odcinków ziemi
parcelowanych majątków, to pro-
a ustalenia nazwisk nabywców,
enia ilości nabytej przez nich zie-
obliczenie przypadających na po-
gólne działki kwot zadłużenia by-
iążliwa i długa. Wileński Bank
ął specjalnych urzędników (byli
głównie zbankrutowani ziemia-
którym przydzielił po jednym
po dwa rozparcelowane majątki do
owania. Ludzie ci swoje pensje po-
ali swobodnie z kwot kosztów ad-
tracyjnych, opłat bankowych i
nych, ściąganych bezwzględnie
itośnie z ubogich chłopów.

umowie zawarty był na przykład
is, że tytułem kosztów za ogłosze-
wystawieniu majątku na licytację
razie nieuiszczenia raty bieżącej)
będzie bank 75 złotych. Przy ra-
ółrocznej, wynoszącej dla dużego
ku kilka tysięcy złotych, koszt
czywiście jak i inne koszty admi-
cyjne nie był specjalnie rażący,
niej uciążliwy.

ii jednak taki majątek ziemski był
k np. Święcica — w posiadaniu
hłopów i wszyscy oni nie zapłacili
terminie, co było zjawiskiem na-
nym; to ogłoszenie o wystawieniu
cytację obejmowało automatycznie
tkie gospodarstwa, za co bank
każdemu z osobna po 75 złotych.

A więc za to jedno ogłoszenie 106 chłopów obciążono kwotą 7.950 złotych (i dopisano ją do kwoty ogólnego zadłużenia), zatem kwotą często przerastającą znacznie samą wysokość raty, przypadającej od całego majątku; a nierzadko fakt taki powtarzał się w roku dwukrotnie. Wileński Bank Ziemski dobrze „zarabiał" na tej transakcji, zawartej z Komisją Likwidacyjną odnośnie długów b. rosyjskich banków ziemskich.

Warto poświęcić chwilę uwagi zanalizowaniu tych osobliwych warunków spłaty długu przez chłopów wobec Wileńskiego Banku. A więc półroczna rata amortyzacyjna od 1.000 zł długu wynosiła około 30 zł wraz z oprocentowaniem, roczna rata 60 zł. W okresie umorzenia, tj. w ciągu 66,5 lat za 1.000 zł długu musiał dłużnik zapłacić 3.900 zł, nie licząc kosztów administracyjnych, ubocznych, odsetek karnych od zaległych rat itp., a zatem kwotę poczwórną; w praktyce zaś — grubo więcej.

Oto ramy zasadnicze, a teraz rozważmy sprawę bardziej szczegółowo.

Kursy giełdowe listów zastawnych Wileńskiego Banku Ziemskiego wynosiły niedługo po ich wydaniu 28 do 30 złotych za 100. Zatem obiegowa, konkretna, rynkowa wartość wierzytelności-zadłużenia wynosiła 280—300 zł za 1.000 zł. Jak ustaliłem, były wypadki, kiedy zadłużenie chłopa wobec banku z omawianego tytułu sięgało tysiąca złotych na 1 ha, a więc np. kwoty 5.000 zł. od pięciohektarowej gospodarki, nabytej z obdłużonego majątku.

Gdyby chłop w momencie powstania zadłużenia miał do dyspozycji gotówkę, mógłby spłacić przedterminowo całe zadłużenie wynoszące 5.000 zł, nabywając na jego pokrycie listy zastawne na giełdzie za sumę 1.400—1.500 zł. W praktyce jednak było to niemożliwe.

A więc w chwili, gdy zawiadomiono chłopa o zadłużeniu (lata 1930, 1931),

ciążącym na jego gospodarstwie — za które kiedyś zapłacił pełną rynkową wartość ziemi — był on już winien 10—11 rat zaległych, bo bieg rat liczono od 1 lipca 1926 roku. Dowiadywał się, że od tego długu winien jest już 11 rat w kwocie 1.660 złotych oraz kilkaset złotych odsetek od zaległości i kosztów. Razem zaległość taka wynieść mogła ponad 2.000 zł. W dalszym ciągu dowiadywał się, że całą tę sumę zaległości musi zapłacić gotówką a nie listami (przypominamy ciągle: za dług, którego wartość rynkowa w momencie osobliwych jego narodzin z łaski dekretu sanacyjnego rządu wynosiła 1.400—1.500 złotych); że po zapłaceniu tych 2.000 zł z okładem ma płacić nadal przez 61 lat Wileńskiemu Bankowi Ziemskiemu dalsze uciążliwe raty. Płacić mają więc prócz niego jeszcze dwa pokolenia: jego synowie i wnuki. W ciągu tego czasu trzy pokolenia chłopów zapłacić mają ponad dwadzieścia tysięcy złotych, a więc sumę olbrzymią, przekraczającą parokrotnie aktualną wartość tej ziemi... Cena ziemi wynosiła wówczas pod Wołkowyskiem niewiele ponad 1.000 zł za hektar, zatem ziemię swoją, którą nabył za pełną, rynkową cenę, płacąc gotówką — musi nabyć powtórnie, płacąc za nią w czasie 66,5 lat czterokrotną wartość.

Dług wobec Wileńskiego Banku z tego tytułu w wyjątkowych tylko wypadkach sięgał tysiąca złotych na hektar. W większości wypadków wynosił kilkaset złotych, a czasem nawet kilkadziesiąt złotych na 1 ha. Ale nawet, gdy dług był bardzo mały, to naliczone przez bank koszty, kary i odsetki przekraczały możność płatniczą chłopów. Jaskrawo scharakteryzuje stan rzeczy znalezione przeze mnie ogłoszenie w Monitorze Polskim o wystawieniu gospodarstwa chłopskiego na licytację, przy czym należna rata półroczna ob
ślona była na 6 (dokładnie powtarz
bo nie uwierzyłbyś, czytelniku: s
złotych), a ogólna kwota zaległości
kazana na 493 złote. Znaczy to, że
ległości przerastały ratę 82-krotnie,
o 8.200%. Jasne jest, że o ile chłop n
zapłacić 6 zł, gdyby go w porę zaw
domiono, o tyle nie był w stanie
płacić 493 zł, do których zapewne d
czono 75 zł (od raty 6 złotych!) za o
szenie, z którego tę informację c
piemy.

Znalazłem w Pamiętnika
chłopów, wydanych w 1937 r
(tom II, strona 651) taką skargę:

„bardzo trudno zbierać raty ban
we, bo jeden oddaje, drugi mówi,
bank nic nie zrobi... dotychczas nie
staliliśmy, ilu jest nas współwłaścici
Jest około 75, a w majątku zamieszk
tylko 17.

Złożono odpowiednie podanie
Okręgowego Urzędu Ziemskiego w
łymstoku — i nic, sprawa utknęła
martwym punkcie. Kilka razy by
w urzędzie — podanie nabiera m
kancelaryjnej. A tymczasem Wile
Bank Ziemski nie drzemie i co 6
sięcy nadsyła zawiadomienia o licy
doliczając %% za zwłokę i to dość
be. Ciekawe przerachowanie przez b
długu przedwojennego; wynosił 1
rubli. To zadłużenie zmniejszono t
do 33%, pozostało 6.000 rubli, tę s
pomnożono przez 2.66 zł, bo podo
jest takie rozporządzenie, doliczon
tego za jakiś kwit na administr
i teraz suma wynosiła 24.000 zł —
nazywa się zmniejszenie długu do
Nie jestem prawnikiem, ale mam p
ność, że jest to krzywdzące, coś p
czuwam, że jest tam nie wszystko w
rządku."

Jeśli uprzytomnimy sobie, że w
tach 1921—1930 liczne majątki roz
celowano, że właścicielami ziemi w

cie rozpoczęcia egzekucji należno-
yli już chłopi, to grozą przejmie
fakt, że tysiące rodzin chłopskich
awiła Komisja Likwidacyjna
leński Bank Ziemski w warunkach
kraczających wszystko, co bujna
raźnia wymyśleć może.
czyim interesie wyrządzano chło-
tak niezgłębioną krzywdę?
zywiście w interesie tej nielicznej
ziemian, która posiadała pakiety
zastawnych b. rosyjskich ban-
pakiety bezwartościowe, leżące
ytecznie w schowkach dworów.
zła nad światem wojna, przeszły
lucje, zniknęły instytucje kredy-
które te listy wydały, ale zostały
ty ich papierów w posiadaniu
ziemian polskich. W czasie woj-
rewolucji ludzie potracili majątki
me i nieruchome, zniknęły i prze-
skromne wkłady oszczędnościo-
etek tysięcy ludzi pracy — ale pa-
wartościowe b. rosyjskich ban-
czekały cierpliwie w schowkach
ów.
rzyszedł wreszcie dla ziemian czas
ślny po nieświeskiej wizycie Piłu-
iego. Stało się, że ziemianie —
iększości — z zagorzałych ende-
z dnia na dzień zmieniali się w
wych zwolenników BBWR i z roz-
tymi sztandarami przeszli do obo-
nacji, przypuszczając natychmiast
n do wszystkich możliwości finan-
ch i gospodarczych, do wszelkich
pnych przywilejów i korzyści ma-
nych. To wówczas kredyty komu-
ch kas oszczędności stały się ich
łem i łupem, to wówczas właśnie
ziemian wileńskich zamieniła pa-
b. rosyjskich banków na gotówkę
wydanie wyżej opisanego dekretu.
dolą chłopów nie zainteresował
ikt, ani rząd, ani administracja,
ejm, w którym opozycja nie prze-
ała ponurych skutków dekretu,
ani organizacje rolnicze kierowane przez ludzi, uzależnionych od administracji rządowej.

Badanie sprawy przeze mnie trwało czas dłuższy. Wileński Bank robił trudności w udzielaniu informacji i materiałów statystycznych. Trzeba było zbierać te dane drogą ankiet terenowych, wyławiać z ogłoszeń Monitora Polskiego itd. Udało mi się uzyskać ze strony wojewody wniosek o wstrzymanie przez Wileński Bank Ziemski kroków egzekucyjnych w stosunku do chłopów. Gdy Ministerstwo Skarbu, gdzie sprawę przedstawiałem osobiście, zajęło stanowisko, że prawnie w opisanym stanie rzeczy nic zmienić nie można, bo Komisja Likwidacyjna otrzymała od banku listy zastawne, wydała je wierzycielom i teraz na zabezpieczenie i spłatę tych listów bank musi egzekwować długi według ustalonych przepisów — udało mi się uzyskać od wojewody wniosek do rządu o przejęcie i pokrycie przez rząd całego zadłużenia chłopów. Motywowałem, że skoro rząd, wydając dekret, przeoczył bądź zignorował fakt nabycia znacznej części obciążonej ziemi przez chłopów za normalną, rynkową jej cenę — to rząd musi ponieść konsekwencje, a nie może dopuścić do niszczenia egzystencji tysięcy chłopskich rodzin.

Memoriały i wnioski nie dały jednak żadnego rezultatu. Wileński Bank Ziemski złagodził wprawdzie przejściowo postępowanie egzekucyjne w stosunku do chłopów, ale w zasadniczych warunkach nic nie uległo zmianie. Dla administracji ważniejsze były dobre stosunki z wpływowymi przedstawicielami ziemiaństwa, z władzami Wileńskiego Banku Ziemskiego niż los tysięcy rodzin chłopskich.

Świadomość współwiny administracji kazała mi opuścić służbę państwową. Nie ustawałem jednak w zabiegach o zainteresowanie tą sprawą „czynni-

ków decydujących" i podejmowałem osobiste już interwencje. Dotarłem do ministrów—Poniatowskiego, Składkowskiego, marszałka senatu, Prystora — bez rezultatu. Czynnikami naprawdę decydującymi okazali się jednak ziemianie i w opisanej sytuacji nic nie dało się zmienić. Chłopi nadal byli uciskani, obarczeni, pod płaszczykiem prawa, straszliwie krzywdzącymi ich długami i to wszystko w interesie grupy ziemian, aby mogła ona dostać swój „śmierdzący serdelek" (jak wyraził się Matuszewski o ugodzie akcjonariuszy Żyrardowa z Boussakiem), o który zabiegała przy użyciu wszystkich swych wpływów.

Pamiętam z 1938 czy 1939 roku
tatki prasowe o pielgrzymce ziemian
Jasną Górę. Opisy w prasie podaw
jak to — wysiadłszy z wagonów —
mianie maszerowali do klasztoru
śpiewem „My chcemy Boga, święta
ni..." Może byli pomiędzy nimi rów
współautorzy opisanego dekretu
specjalni delegaci Wileńskiego Ba
Ziemskiego do spraw poszczególn
wsi: Święcicy, Ustronia i innych.

Na hektarach ziemi porzuconych p
chłopów, którzy nie mogli spłacić
Wileńskiemu Bankowi Ziemskiemu,
rastały tymczasem kilkuletnie już
mosiewki brzóz...

Antoni Rączas

Zadania literatury węgierskiej

Przemówienie na Kongresie Węgierskich Pisarzy

gres Pisarzy niewątpliwie poru-najważniejsze, najbardziej palące, rdziej współczesne zagadnienia zące twórczej pracy literackiej. nienia te zostały przedyskutowa-sposób swobodny, ostry, ale ogól-orąc — na wysokim poziomie ide-znym. Sądzę, że dyskusja ta po-naprzód rozwój literatury węgier-

omawiamy wyniki Kongresu y również stwierdzić pewne jego ciągnięcia. Pierwsze niedociągnię-pewnego rodzaju zaściankowość, jąca dyskusje na Kongresie. ści przemówień widać było, że zość naszych pisarzy nie śledzi gą lub też nie śledzi z dostatecz-vagą życia literackiego bratnich demokracji ludowych, które czę-ają problemy podobne do naszych. czymy się w dostatecznym stopniu szych przyjaciół. Literatura ra-ca jest przykładem, na którym się my, uczymy i której doskonałość ny się osiągnąć.

gie niedociągnięcie, które dało się żyć podczas dyskusji na Kongre-lega na tym, że nie było prawie zane zagadnienie węgierskiej tra-literackiej. Bez przyswojenia so-ez rzeczywistego pozna-postępowych tradycji literatury rskiej, walka przeciwko kosmopo-owi jest niemożliwa, niemożliwa rawdziwa walka ze schematyz-

Trzecie niedociągnięcie w dyskusjach toczonych na Kongresie polegało na tym, że chociaż wiele mówiono o kwestiach rzemiosła literackiego — co było słuszne — to jednak zagadnienia techniki pisarskiej nie były dostatecznie powiązane z zagadnieniami, dotyczącymi kraju, z wielkimi sprawami ludu, nie były dostatecznie powiązane z wielkimi zagadnieniami twórczymi i wychowawczymi literatury.

Czwarty błąd — w dyskusjach pominięto, że literatura węgierska rozwija się nie w jakiejś próżni, i że tu, na Węgrzech, w pewnych określonych warunkach międzynarodowych, w atmosferze gróźb imperialistycznych podżegaczy — buduje się socjalizm. Idea obrony pokoju nie przeniknęła w dostatecznym stopniu dyskusji na kongresie, a walka o pokój to nie tylko zagadnienie publicystyki pokojowej, to nie tylko zagadnienie tematu wiersza, lub takiego czy innego gatunku literackiego. Nie zamierzamy tworzyć specjalnych gatunków, kiedy wzywamy literaturę węgierską do podjęcia walki o pokój. Ta walka musi przeniknąć całą naszą literaturę, tak jak wysiłek całego naszego ludu przenika twórcza praca nad budową kraju. Im bardziej literatura przyczyni się do przekształcenia świadomości naszego ludu, im bardziej przyczyni się do wzmocnienia ojczyzny, tym bardziej stanie się literaturą pokoju.

Piątym niedociągnięciem w dyskusjach było to, że wprawdzie była krytyka, ale mało było samokrytyki. Samokrytyka nie jest najmocniejszą cechą naszych pisarzy. Jest to poważny błąd.

Jeżeli samokrytyka staje się coraz bardziej decydującą siłą napędową w życiu kraju, to nie może dziać się i niech się nie dzieje inaczej w naszym życiu literackim.

Niedociągnięciem w dyskusjach na Kongresie było jeszcze to, że młodzi — rezerwa węgierskiego życia literackiego — prawie nie doszli do głosu.

Głównym zagadnieniem Kongresu była walka ze schematyzmem w literaturze. I słusznie, że to stanowiło główny problem. Odpowiada to tej polityce kulturalnej, o której mówił II Kongres Węgierskiej Partii Pracujących (MDP).

Gdy w życiu politycznym i gospodarczym zwyciężyliśmy jawnych wrogów naszego ludu, zaczęły się coraz bardziej wysuwać na czoło sprawy związane z wychowaniem naszych mas pracujących, z ich postawą, odwagą i gotowością do ofiar. Stwierdziliśmy, że w tej pracy znajdujemy tylko niewielką pomoc ze strony nowej literatury węgierskiej. Doszliśmy do przekonania, że błąd tkwi w samej literaturze.

Rozwój świadomości mas ludowych, wychowanie ludu w najszerszym tego słowa znaczeniu dokonuje się za pomocą bardzo wielu sposobów: przez szkolenie fachowe, przez szkolenie partyjne, w szkołach i poza ich obrębem. Literatura jest także jednym ze sposobów wychowania ludu. Ale gdy literatura nie zdaje sobie sprawy z tego, że to zadanie musi rozwiązać inaczej, niż to ostatecznie odbywa się w szkołach fachowych i partyjnych, gdy ta literatura nie umie używać właściwych sobie sposobów wychowawczych — to taka literatura nie spełnia swego zadania.

Szkolenie partyjne, kształcenie fachowe i wychowywanie za pomocą prasy — to środki bardzo ważne. Nie ma żadnych powodów, aby literatura lekceważyła te formy wychowywania, całe to wychowanie nie może zast tego, co daje tylko literatura i co dać tylko literatura.

Przez literaturę schematyczną r miemy literaturę, która posługuje w sposób niewystarczający własn chwytami literackimi, zmierzającym przekształcenia człowieka i świata.

Walcząc ze schematyzmem w li turze, nie zapominajmy, że tę walkę przedziła inna walka: walka o pa ność, o bojowość literatury — i śm twierdzić — o jej charakter wychow czy, o jej ideowość.

To jest baza, na której musimy wadzić walkę ze schematyzmem. O nie, gdy występujemy przeciwko s matyzmowi, gdy domagamy się od szych pisarzy podniesienia poziomu głębienia wiedzy fachowej, to walk w odniesieniu do stoczonego przez boju o ideowość, oznacza nie cofn się, lecz rozwój i dalszy krok nap

Nasuwa się pytanie, dlaczego li tura schematyczna, literatura, w k i bohater, i przyjaciel, i wróg są pierowymi figurami, jest złą litera

Literatura taka dlatego jest zła nie wychowuje, a jeżeli próbuje chowywać, to czyni to — przytocz słowa tow. Fiedina — jak zacofany dagog lub stara panna — guwerna

Walka ze schematyzmem jest w przeciwko płytkiej literaturze, w k występują takie postacie, z któ czytelnik nie umie się naprawdę pić w jedno. Nie potrafi z nimi r nienawidzieć, kochać i nie ma razem z nimi walczyć i działać.

Uwagi te odnoszą się zarówn prozy jak i do poezji.

Walczyć przeciw schematyzmo stworzenie literatury prawdziwie chowującej, przekształcającej człow znaczy tworzyć żywy typ o rzony indywidualnością,

nie dlatego jest określonym typem, osiada indywidualność. Obowiąz- pisarza jest uogólnić zjawiska za- ące w życiu, na świecie, w rzeczy- iści. Dalej jego obowiązkiem jest elenie rzeczy istotnych od nie- ych.

literatura węgierska potrafiła już rzyć typy tego rodzaju? Nie. Nie fiła. Pominąwszy bardzo nieliczne ki, jeszcze nie potrafiła. Typ Ko- alinta z powieści Dery Tibora pt. e l e t jest typem zahartowanego życie dziecka proletariatu, nabie- go coraz więcej hartu. Tę postać a kochać. Dodatnim typem jest eż jego chrzestny ojciec, który udział w robotniczym ruchu pod- ym za czasów Horty'ego; nie jest wdzie komunistą, ale stanowi typ ofającego się w walce robotnika. est rzeczą przypadku, że udało się rzyć tego rodzaju dodatnie typy munistów. Postaci robotnika-ko- sty, kierownika-komunisty — nie się jeszcze stworzyć w literaturze rskiej, abyśmy mogli w nim po- siebie, pokochać tę postać i po zytaniu książki — na drugi dzień apomnieć tej postaci. Takiego ty- szcze nie udało się nam stworzyć. wną wadą naszej literatury jest szybko zapominamy zarówno do- siążki, jak i nie zupełnie dobre. literackie nie pozostały w naszej ęci. A ileż jest dobrych, typo- bohaterów w przekształcających Węgrzech. Zwrócę tylko uwagę na órych z nich. Takim jest np. typ rskiej kobiety pracującej, kobie- tóra w świecie kapitalistycznym podwójnie uciskana — nie do- zona ani do twórczej pracy, ani raw publicznych. Dziś kobieta ta równorzędnym towarzyszem mężczy w produkcji i w kierowaniu wem. Dalej typ robotnika, który wczoraj jeszcze walczył przeciwko kapitalistom i władzy państwowej — obecnie zaś krok po kroku buduje kraj i staje się gospodarzem tego kraju. Pracujący chłop, którego życie ulega dziś całkowitemu przeobrażeniu, nie znalazł swego odbicia w naszej literaturze w takiej formie, na jaką zasługuje.

Dalej — robotnik-komunista pracujący na kierowniczym stanowisku, który jeszcze wczoraj nie miał pojęcia o kierowaniu krajem, a dziś uczy się tego w pocie czoła, przy pracy. Czy stworzenie tego rodzaju typów nie jest zadaniem naszych pisarzy? „Językiem klasowym", suchym językiem partyjnym, wyliczyłem tylko te cztery typy. A tych typów mogę wyliczyć nie cztery, a czternaście, albo sto czternaście. Nie o to chodzi, aby pewne klasy czy warstwy musiały być przedstawione przez określony typ, który byłby tylko schematem. Typowy bohater to indywidualny człowiek z jego własnym losem i życiem. My nie musimy stwarzać typów Prometeusza czy Fausta. Nasi bohaterowie to nie tytani ani półbogowie. Nasi bohaterowie to właśnie zwykli ludzie pracy. Nie legendarni bohaterowie, bez wad, lecz tacy ludzie, którzy przychodzą z kapitalizmu i idą do socjalizmu, a tymczasem zmieniają świat — przekształcają się sami.

W związku z tym zagadnieniem chciałbym powiedzieć parę słów o p o z y t y w n y m b o h a t e r z e. Tej sprawy nie można oddzielić od zagadnień walki ze schematyzmem. Partia zwróciła na to uwagę pisarzy. Nigdy jednak nie powiedzieliśmy — i nie wolno wypaczać przyjacielskiej rady, którą partia starała się dać naszym pisarzom — że pozytywni bohaterowie to rycerze bez skazy. Tacy bywają tylko w bajkach, w eposach bohaterskich. Nie we wszystkich jednak. Nawet

Achillesa można było zranić, tak samo i Zygfryda, nie mówiąc już o Toldim Miklosie.

Klasa robotnicza powołana jest do tego, aby zmienić świat i ludzkość wyzwolić z nędzy i wyzysku kapitalizmu. Ale Marks i Engels, Lenin i Stalin nie uczyli, abyśmy idealizowali robotników. Socjalizm trzeba budować przy pomocy tych ludzi, których dostaliśmy w spadku po kapitalizmie. Jest rzeczą niewątpliwą, że klasa robotnicza dostała w spadku również wiele złego. Klasa robotnicza to jak człowiek Goethego, złoto i błoto, klasa robotnicza stworzona została również przez kapitalizm. Ale jest ona nie tylko produktem lecz również grabarzem kapitalizmu. I właśnie zadaniem literatury jest, aby w poszczególnych krajach i w poszczególnych okresach na konkretnych przykładach pokazywać tych bohaterów-robotników we właściwej proporcji, pokazywać to, co nowe, bohaterskie, postępowe, to co tworzy nowy świat.

Inny jest typowy robotnik dziś, inny był wczoraj, inny będzie jutro. Obowiązkiem pisarza tworzącego pozytywnego bohatera jest pokazanie zarodków nowego, dróg rozwojowych prowadzących w przyszłość.

Błędem jest, że socjalistyczna przebudowa wsi, która niesie zmiany sięgające do korzeni — jest przedstawiona nie jako dramatyczne zmaganie, ale prawie jako komedia czy idylla. Porównajcie, co u nas pisano, z tym, co napisał Szołochow w Zoranym ugorze. Pisarz, który nie odczuwa całym sercem zmagań odbywających się wśród chłopstwa w pierwszym rzędzie wśród setek tysięcy średniorolnych, pisarz, który nie rozumie trudności decyzji, nie umie pomóc państwu i partii w tym, aby ta decyzja zapadła na korzyść socjalistycznej przebudowy wsi. Pisarz, który ma odwagę w sposób właściwy odmalować te trudności chłopstwa, duchowe zmagania się, może nie wiać się, że ktoś oskarży go o bur zyjny obiektywizm.

Zagadnienie światopoglądu pisa przeciwstawiać marksistowsko - nowski światopogląd doświadczeniu ciowemu — a są tacy, u których świadomie istnieje taka tendencja oznaczałoby, że zapominają oni marksizm - leninizm jest także świadczeniem życiowym. Podstawo warunkiem twórczości literackiej talent, który musi opierać się na dywidualnym gromadzonym i naby przez pisarza doświadczeniu życiow Bez światopoglądu marksizmu - nizmu talent staje w miejscu, nie wija się, marnują się zdolności. T temu, kto marksizm - leninizm poj je jako zbiór na pamięć wykutych wydaje się on przeszkodą w twórcz Ale nie w ten sposób będzie pojm marksizm - leninizm ten, kto wie postępowy światopogląd staje się pisarza tworzącego typowych boh rów pomocą przy uogólnianiu ży wych doświadczeń.

Teraz kilka słów o stosunku s c matyzmu do nadmier staranności. Zagadnienie poruszał wyczerpująco i z dużą słuszności Dery Tibor. Walczyć ze s matyzmem to znaczy, pracować po nię, z oddaniem, pogłębiać tę p Jest rzeczą pożyteczną ostrzec młod „nie spieszcie się, nie dawajcie szk niewykończonych, niech dojrzeje t macie do powiedzenia, nie rodźcie du przed upływem dziewiątego mi ca". Oczywiście różnica między li turą a biologią polega na tym, że ma żadnego przyrodniczego prawa, re by w literaturze określało „ciężarności". Nie dajemy ogólnej cepty pisarzom, aby tworzyli dzie

sięcy czy w 5 lat. Jeden postę-
w ten sposób, a drugi w inny.
nak my nie mieszamy się do te-
jest jego sprawa. Ale nie jest
słuszną — i tu już musimy
wiedzieć swoje zdanie — jeżeli
y pisarskiej Dery'ego tworzy się
rodzaju Flaubertowskiego pe-
yjnego szlifowania, jeżeli chce
ego zrobić uświęconą metodę pra-
rczej, i dać jako wzór naszym
n pisarzom. Gdybyśmy uświęcili
odę oznaczałoby, że odłączyliśmy
ość literacką od tempa rozwoju
i pisarz nie spełniłby obowiązku
mania kroku swojej epoce. To
t problem ideologiczny, dotyczą-
sunku pisarza do rzeczywistości.
riąc o rzeczywistości, nie chcę
e zrozumiany. Nasi pisarze mo-
kojnie pisać o przeszłości, jeżeli
a to ochotę i materiał; mogą pi-
knie i dobrze. Ale my mówi-
arzom: bądź wyrazicielem i rzecz-
swej epoki, swego ludu, swego
a, swej partii — i niech to bę-
woją główną troską.

dnienie schematyzmu i nad-
go cyzelatorstwa łączy się z za-
niem pseudo-sprzeczno-
między tzw. „wielką li-
turą" a współczesną li-
turą. Samo przeciwstawienie
łszywe.

wa wygląda tak, jak z biblijnym
, który wyszedł szukać osła, a
królestwo. Są tacy pisarze,
h interesuje współczesność, któ-
cą uchwycić ten moment, a two-
zieła trwałe, a są tacy, którzy
po nieśmiertelność, a nawet
dzisiejszy wyślizguje im się

ka ze schematyzmem ozna-
chcemy, aby nasza literatura
epsza, głębsza, bogatsza, wycho-
. Ale nie oznacza to, że ma-

my wrócić do hasła, które w naszym życiu literackim odegrało nie bardzo pozytywną rolę, a które brzmiało „wielka literatura". Pisarze muszą oprzeć się na tradycji narodowej i na największych pisarzach postępowych literatury światowej. Wiadomo jednak, że literatura to nie tylko olbrzymy, nie tylko geniusze. Wiemy, że cierpi ona na dziecięce choroby, ale wiemy też, że z nich wyrośnie.

Mówiąc o aktualności literatury przytoczę sformułowanie Illyes Gyula. Powiedział on: „Nie może być aktualne to, co w teraźniejszości nie dostrzega elementów przyszłości". To jest prawda. Ta definicja w niczym nie odbiega od tego, czego my wymagamy i czego oczekujemy od socjalistyczno-realistycznej literatury, żądając od niej realizmu połączonego z rewolucyjnym romantyzmem. My mówimy „tak" teraźniejszości i na tym „tak" budujemy to „tak", które powiemy w przyszłości. Dla krytycznych realistów aktualność teraźniejszości i aktualność jutra mogły istnieć oddzielnie. Dziś sprawa przedstawia się inaczej. To co jutro będzie aktualne i pozostanie, to tylko dlatego będzie i pozostanie także jutro aktualne, bo dziś jest takie. Wiele mówiono o towarzyszach drogi. Wydaje mi się, że to wyrażenie staje się bezduszną, mechaniczną formułą.

Zapytajmy, czy nasz przyjaciel i współbojownik, Darvas József, jest tylko zwyczajnym „towarzyszem drogi"? Nie, jest kimś o wiele więcej. Jest już naszym współbojownikiem, idzie razem z nami i my maszerujemy razem z nim. Zapytajmy, czy tylko zwykłym „towarzyszem drogi" jest Szabo Pal? Nie, jest kimś znacznie bliższym. Ani Darvas József, ani Szabo Pal nie są członkami partii, ale mimo to twierdzę z całą pewnością, że tak Szabo Pal,

jak i Darvas József są w literaturze naszymi towarzyszami partyjnymi. Szabo Pal przekroczył tę granicę, do której był tylko współtowarzyszem drogi i skutecznie uczy się podstawowych zasad realizmu socjalistycznego. Mógł nauczyć się dlatego, bo w swoim sercu i w swoim światopoglądzie stanął po naszej stronie. Tylko ci, którzy są dotknięci ślepotą lub ograniczeni sekciarze nie wiedzą, że nie tylko w literaturze, ale także w literaturze — oprócz „towarzysza drogi" i sprzymierzeńca — rodzi się typ bezpartyjnego komunisty.

Muszę również wspomnieć o Piotrze Veresie. Nie istnieje w literaturze węgierskiej „problem Piotra Veresa". Ci, którzy chcą taki problem stworzyć, robią to sztucznie. Krytykujemy Piotra Veresa, ale nie zauważyć w jego dziełach — a to jest decydujące w literaturze — że on również zbliża się do granicy, za którą „towarzysz drogi" staje się czymś więcej, byłoby głupotą, sekciarskim ograniczeniem. Dzieło jego Robotnicy kolejowi *(Palyamunkasok)*, a szczególnie pierwszy tom jego trylogii Niewola *(Szolgasag)* — to dzieła, z których może być dumna cała węgierska literatura, cały lud węgierski, komuniści i niekomuniści, może być dumna i jest dumna także nasza partia — Węgierska Partia Pracujących.

Jest wielu ludzi, którzy uważają, że razem z legitymacją partyjną otrzymali kamień filozoficzny. Tego rodzaju ludziom mogę powiedzieć: możecie się uczyć od Piotra Veresa, jak należy oddać w literaturze człowieka pracy, prawdziwie, wiernie, żywo, z uczuciem. To właśnie umiłowanie człowieka pracy i co jest nieodłączne od tego — miłość ojczyzny wiąże nas z Piotrem Veresem.

Kładę na tym szczególny nacisk tego, bo wyżej wymienionych pi — niektórzy komuniści przyjmują z chęcią nawet jako „towarzyszy d Są to sekciarze. Dla takich sekc hegemonia proletariatu w litera oznacza, że trzeba innych usunąć „śmietnik niewielki i nie ma mi dla wielu kogutów" (ludowe słowie węgierskie — przyp. tłum.) takich ograniczonych sekciarzy, monia proletariatu jest tylko fraz szyldem, za którym kryje się r miarstwo, próżność, obrażliwość i cyjna małostkowość. Nie pozwo aby pod szyldem hegemonii proleta rozbijali oni naszą narodową litera jedność naszego demokratycznego cjalistycznego obozu literackiego.

Nie pozwolimy, aby ci ciasno i ograniczeni sekciarze piętnowali szych przyjaciół jako wrogów. N to podkreślić, bo na Kongresie ówdzie można było dostrzec istni w naszym życiu literackim kliko

Drobiazgowa próżność, cynizm, topogląd gwiazdorów i egocentryz to wszystko jest pożywką dla bez wej klikowości. Trafia się to u sarzy komunistów i u niekomuni Musimy wypowiedzieć temu zja walkę.

W związku z tymi wszystkimi stiami nasuwa się raz po raz za nienie prawdziwej je ności naszej literatury.

II Kongres Węgierskiej Partii cujących (MDP) nie tylko porusz kwestię, ale również żądał jej prowadzenia. Jedność w litera jeśli chodzi o stronę organiza oznacza: zjednoczony związek tów, przyjazna współpraca i między komunistami a niekomu mi, między postępującymi na socjalistycznego realizmu i d zbliżającymi się do tej drogi pisa

nierzonymi i „towarzyszami dro-
az literatami-komunistami. Na-
amiętać, aby komunistyczna or-
cja partyjna w związku litera-
e spychała na drugi plan samego
u, nie przywłaszczała sobie jego
aby pomagała i kierowała, ale
stępowała jednolitej organizacji
węgierskich.
ość w literaturze zaznacza się nie
w jedności organizacyjnej. Ozna-
lność ideową, oznacza, że wę-
literatura ma być jednolita,
owa, demokratyczna, socjalisty-
ub przekształcająca się w socjali-
. Pragniemy mieć jednolitą li-
rę narodową, a nie osobną lite-
dla żołnierzy. Jeden bliski
isarz, nasz przyjaciel, poruszył
ngresie to zagadnienie w formie
— nie chcemy specjalnej lite-
dla górników ani literatury o
terze cechowym czy fachowym,
eratury narodowej. Chcemy li-
y narodowej — to znaczy:
w kropli odzwierciedla się mo-
iech się ukazuje samo życie na-
w temacie, w bohaterach i w
Niech będzie przedstawione ży-
ego narodu, również wtedy, gdy
le mowa będzie głównie o tej
nej klasie czy warstwie. Ra-
literatura już to osiągnęła, my
ie osiągnęliśmy jeszcze.
zenia się jednolitej, ogólnonaro-
literatury, nie wolno hamować
sekciarskie, o charakterze mono-
cznym pojmowanie literatury
riackiej i partyjnej. W ogóle
byłoby mniej mówić o hegemonii
riatu, używać mniej oklepanych
w a raczej przez przykłady
orach, w czynach, w postaci pi-
j, służyć hegemonii proletariatu.

Kongres był czynem pozytywnym, posunął nas naprzód. Udało mu się rozwiązać — chociaż niepełnie, niedostatecznie — zadanie stworzenia literackiej opinii publicznej.

Chodzi tu o literacką opinię publiczną w dwu znaczeniach. Pierwsze: aby problemy twórczości nie pozostały sprawą prywatną poszczególnych pisarzy, lecz stały się sprawą ogólną, zagadnieniami, o których można i należy dyskutować. Kongres to osiągnął. Jest to wiele. Prowadźcie tę pracę dalej, toczcie dyskusje na wysokim poziomie ideologicznym, bez osobistych aluzji.

Drugie: niech sprawa literatury stanie się sprawą naszego ludu. Oczywiście i tu mamy osiągnięcia. Nasza literatura nie jest ani kawiarniana, ani cieplarniana. Coraz bardziej staje się literaturą ludową. Również w tym sensie, że lud poświęca uwagę pisarzom, kontroluje ich i zabiera głos. Sprawa literatury zaczyna być u nas sprawą wszystkich. Kongres i pod tym względem był krokiem naprzód. ale na tym polu nie wszystko jest w porządku. Literatura u nas, mimo zwiększenia liczby bibliotek, książek sprzedanych i przeczytanych, jeszcze w niedostatecznym stopniu jest sprawą ludu. Uczyńcie wszystko, aby po Kongresie stała się naprawdę sprawą setek tysięcy, stała się sprawą całego naszego ludu. Naprzód więc z ludem, naprzód z obozem pokoju, naprzód ze Związkiem Radzieckim. Niech nasza węgierska literatura będzie orężem dobrym i ostrym, lepszym i ostrzejszym orężem naszego ludu w jego walce o lepsze życie, o socjalistyczne Węgry i o pokój.

Józef Revai

Nauka Pawłowa o znaczeniu czynności kory mózgow

Działalność naukowa Pawłowa związana jest z trzema działami fizjologii — czyli nauki o funkcjach organizmu — a mianowicie z badaniami nad układem krążenia, nad układem pokarmowym i nad centralnym układem nerwowym. Ta dziwna, zdawałoby się na pierwszy rzut oka, rozbieżność zainteresowań — okaże się zrozumiała na tle wysuniętego przez Pawłowa postulatu o zasadniczym wpływie układu nerwowego na czynność wszystkich narządów organizmu.

Artykuł poniższy zajmuje się głównie osiągnięciami Pawłowa w dziedzinie badań nad czynnościami układu nerwowego. Osiągnięcia te bowiem stworzyły naukową podstawę nie tylko dla neurologii i psychologii, jako dyscyplin medycyny praktycznej — ale stanowią równocześnie istotne argumenty, rozstrzygające głównie zagadnienie filozoficzne — problem pierwotności ducha czy materii.

W celu znalezienia wspólnego języka z czytelnikiem, podam na wstępie najbardziej uproszczony schemat budowy układu nerwowego. Układ nerwowy człowieka i ssaków składa się z trzech zasadniczych części. Są to:

1. Układ nerwowy centralny 2. Układ nerwowy obwodowy i 3. Układ nerwowy wegetatywny.

Układ nerwowy centralny mieści się w jamie czaszki i w kanale kostnym kręgosłupa. W skład jego wchodzi mózgowie, rdzeń przedłużony i rdzeń kręgowy. W mózgowiu wyróżnić należy półkule mózgowe, stanowiące najwyższą i najmłodszą formę ewolucyjną układu nerwowego. Półkule mózgowe — najsilniej rozwinięte u człowieka — posiadają na swej powierzchni warstwę komórek nerwowych, ną korą mózgu.

Drugą częścią centralnego u nerwowego jest rdzeń przedłużon którym znajdują się ośrodki wiel sadniczych funkcyj ustroju. Ośrod pracują automatycznie i nie podl w zasadzie woli człowieka. Są t środek oddechowy, ośrodek nacz -ruchowy i inne.

Do tego wreszcie układu należy kręgowy, mieszczący się w kanale gosłupa. Czynność jego leży ró poza świadomością człowieka. W niu kręgowym przebiegają liczne nerwowe, łączące mózgowie z reszt ganizmu.

Układ nerwowy obwod składa się z nerwów, które przepr dzają podrażnienia nerwowe albo środkowo, to znaczy od narządów słów do centralnego układu nerwo albo odśrodkowo, czyli przewodzą kazy" wysyłane z centralnego u nerwowego na obwód, do tak zw effektorów, na przykład mięśni gruczołów.

Układ nerwowy wegeta ny jest podporządkowany funkcj nie centralnemu układowi nerwow Rola jego w koordynacji rozlic czynności organizmu jest bardzo ale ponieważ leży on na marg tego artykułu, nie będziemy go szc łowo opisywać.

Punktem wyjścia dla badań nad tralnym układem nerwowym był Pawłowa jego doświadczenia, prz wadzane nad czynnością gruc trawiennych układu pokarmo Szczególną rolę odegrały tu ba nad czynnością gruczołów ślino psa. Pawłow badał mianowicie zr

i składu chemicznego wydzielanej
w zależności od rodzaju pokarmu,
podawał psu. Doświadczenie było
truowane w ten sposób, że ujście
odu dużego gruczołu ślinowego,
znajduje się na błonie śluzowej
ka, wypreparowywano i wszcze-
w skórę policzka tak, że ślina
wała na zewnątrz i można ją by-
rać do próbówki, zawieszonej na
rzy szczęce psa. Przy podawaniu
tych pokarmów wydzielało się
lub więcej śliny, o różnym skła-
hemicznym.

oku doświadczeń dało się z cza-
auważyć pewne zjawisko, które
przeszkadzać w doświadczeniach
wać je. Otóż podczas gdy przy
kowej serji doświadczeń wydzie-
śliny pojawiało się normalnie w
wprowadzenia pokarmu do jamy
psa lub przynajmniej wtedy, gdy
węszył pokarm — to po wielo-
m karmieniu Pawłow zauważył,
dzielanie śliny pojawiać się za-
o wiele wcześniej. Pojawiało się
aż w czasie zupełnie obojętnych
towań do karmienia, a nawet z
wejścia woźnego, który dany po-
zazwyczaj przygotowywał. To
czesne pojawienie się śliny, trak-
początkowo jako przypadkowe
anie doświadczenia, stało się z
zjawiskiem tak stałym, że nie-
było przejść nad nim do porząd-
moment ten stał się punktem
ym w zainteresowaniach nauko-
Pawłowa. Poszukiwanie przyczy-
edwczesnego wydzielania śliny,
wadziło do wykrycia ścisłego
u między układem nerwowym, a
ścią wydzielniczą ślinianek.
opis podstawowego w tej dziedzi-
świadczenia Pawłowa. Zoperо-
u w wyżej opisany sposób psu
ano pokarm przez kilka dni, z
e zawsze na kilka sekund przed
niem zapalano czerwoną lampkę.

Po kilku dniach wystarczyło włączyć czerwone światło, by bez podawania jakiegokolwiek pokarmu spowodować wydzielanie śliny. Tyle wykazało doświadczenie. Interpretacja jednak tego zjawiska jest wiekopomną zasługą Pawłowa, a równocześnie fundamentem obiektywnej metodyki badania funkcyj centralnego układu nerwowego.

Wyjaśnienie wyżej opisanego zjawiska jest następujące: podawany pokarm zadrażnia nerwowe zakończenia smakowe i dotykowe znajdujące się w błonie śluzowej języka, podniebienia i policzków. Podrażnienie nerwowe przebiega włóknami nerwowymi do ośrodków smaku, mieszczących się w określonym odcinku kory mózgu. Stąd też wychodzi, jakby w odpowiedzi na podrażnienie, „rozkaz" do gruczołu ślinowego, który zaczyna wydzielać ślinę (schemat ten jak i niżej podane opisy dróg wędrówki podrażnień nerwowych jest znacznie uproszczony).

Przy zapaleniu światła czerwonego mamy natomiast do czynienia z następującym przebiegiem podrażnień nerwowych: światło czerwone drażni zakończenia nerwowe w siatkówce oka, Stąd podrażnienie wędruje szlakami nerwowymi i dochodzi do ośrodka wzroku, znajdującego się w innej części kory mózgowej niż ośrodek smaku. Ośrodek ten w odpowiedzi wysyła podrażnienie nerwowe na przykład do mięśni, powodując zwrócenie się głowy zwierzęcia w kierunku źródła światła.

W równoczesnym stosowaniu obu bodźców — światła i pokarmu, oba ośrodki, to znaczy ośrodek smaku i ośrodek wzroku, znajdują się w stanie pobudzenia. Jeżeli zaś te stany będzie się wywoływać wielokrotnie i równocześnie, względnie w niedużym odstępie czasu — powstanie wpierw słabe, a potem coraz silniejsze połączenie między obu pobudzonymi ośrodkami. Znaczenie tego faktu jest ogromne. Jak się bowiem da-

lej okaże, stanowi on podstawę czynności integracyjnej, syntetycznej kory mózgu, a równocześnie jest podstawą jego funkcji analitycznej.

Na skutek tak powstałego połączenia, droga podrażnienia, wywołanego bodźcem świetlnym, wyglądać będzie następująco:

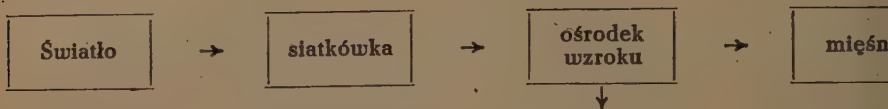

W tym miejscu należałoby nieco rozszerzyć podaną terminologię. Takie zjawiska jak wydzielanie śliny pod wpływem właściwego bodźca (pokarmu) nazywamy odruchem — i to odruchem bezwarunkowym, ponieważ wydzielanie śliny występuje normalnie zawsze przy podawaniu pokarmu. Zjawisko to ma w sobie coś z automatyzmu, występuje zawsze tak, jak zawsze zadzwoni dzwonek przy zamknięciu obwodu elektrycznego. (Oczywiście nie ma tu mowy o takich zaburzeniach, jak np. choroba zwierzęcia). Podstawą anatomiczną odruchu jest receptor (w naszym przykładzie zakończenia smakowe), droga dośrodkowa, ośrodek nerwowy (ośrodek smaku), droga odśrodkowa i effektor (w naszym przykładzie gruczoł ślinowy). Jest to droga tak zwanego łuku odruchowego, składająca się z części dośrodkowej — od receptora do ośrodka, oraz części odśrodkowej — od ośrodka nerwowego do effektora.

Z chwilą uzyskania wydzielania śliny przy zapaleniu światła czerwonego, które przedtem było dla gruczołu ślinowego bodźcem obojętnym, mamy również do czynienia z odruchem posiadającym podobną podstawę anatomiczną, ale o-

Siatkówka → ośrodek wzroku
mięśnie, a równocześnie poc
nienie to przebiega nowopowstałym
łączeniem, to znaczy: siatkówk
ośrodek wzroku → ośrodek sm
→ gruczoł ślinowy. Oto schemat
zjawiska:

druch nazwany został odruch warunkowym, ponieważ na wytworzenie i utrzymanie musi się żyć wiele warunków.

Zapoznajmy się bliżej z mechaniz powstawania i cechami charakterys nymi odruchu warunkowego, zwła zaś z tymi, które go odróżniają od chów bezwarunkowych. Pozwoli pewne ważne uogólnienia.

Odruchy bezwarunkowe są odru mi wrodzonymi. Zasadniczą zaś odruchów warunkowych jest to, one indywidualną własnością da osobnika. Odruchu warunkowego dziedziczy się. By wywołać odruch warunkowy, konieczne jest zastos nie właściwego bodźca. W naszym kładzie jedynie pokarm może na d odruchu bezwarunkowego wywoła dzielanie śliny. Natomiast odruch runkowy nie zna ograniczeń ani rodzajów, ani co do punktu zadrą nia. Możemy bowiem odruch war wy wydzielania śliny wywołać ko na przykład karmienie z dźwięki drażnieniem prądem elektrycznym z dotknięciem określonego odcinka ry. Odruchy warunkowe, w przeci stwie do odruchów bezwarunko są — jak to określił Pawłow — b „delikatne". Na ich wytworzeni

ymanie wpływa ogromnie samo-
cie zwierzęcia, opieka nad nim,
drowia i tp. Innymi słowy — by
warunkowy powstał i działał,
się złożyć wiele warunków. Cechą
odruchów warunkowych jest to,
dstawę każdego z nich stanowi
jakiś odruch bezwarunkowy. Co
jeżeli przez dłuższy czas nie bę-
podsycać odruchu warunkowego
ywaniem odruchu bezwarunko-
— w naszym wypadku, jeżeli
się kilkanaście razy, że po świe-
rwonym pies nie otrzyma pokar-
odruch warunkowy zaniknie.
miernie ważną cechą odruchu
kowego, w przeciwieństwie do
u bezwarunkowego jest fakt, że
druchowy warunkowy powstać
tylko na najwyższym piętrze u-
nerwowego, to znaczy w korze
Natomiast ośrodki nerwowe od-
bezwarunkowego mogą leżeć na
ch piętrach układu nerwowego,
zykład w rdzeniu kręgowym.
ładem takiego odruchu bezwa-
wego, którego ośrodek nerwowy
dolnym odcinku rdzenia kręgo-
jest znany powszechnie odruch
wy: uderzenie okolicy podrzep-
powoduje na drodze odruchu
stowanie się nogi: uderzenie →
k nerwowy w rdzeniu kręgo-
→ mięśnie wyprostowujące nogę.)
hanizm odruchów warunkowych
a zwierzęcia olbrzymie znaczenie
ve. Dzięki temu mechanizmowi
ę może z ogromnej ilości zjawisk,
rymi się styka, wykorzystać te,
są dla niego sygnałem czy to nie-
czeństwa, czy możliwości zdobycia
ienia. Innymi słowy odruchy wy-
e w czasie rozwoju zwierzęcia,
wią o jego przystosowaniu się do
wiska. To, że odruchy warunkowe
zanikać w razie nie podsycania
nów bezwarunkowych, pozwala
żą plastyczność reakcyj organizmu
na zmieniające się warunki zewnętrzne. Dzięki więc odkryciu mechanizmu odruchów warunkowych, Pawłow powiązał ściśle żyjący organizm z otaczającym go światem.

Opisywany w doświadczeniu odruch warunkowy przebiegał według najprostszego schematu. Należy sobie jednak zdawać sprawę, że mechanizm takiego odruchu może być o wiele bardziej złożony. Organizm zwierzęcia może reagować na drodze odruchów warunkowych nie tylko na tak proste bodźce jak czerwone światło, ale także i na zespół bodźców, na całą sytuację, jaka się w danym momencie wytwarza. Co więcej — udało się wytworzyć odruchy warunkowe drugiego, a nawet trzeciego rzędu, polegające na tym, że na przykład na podstawie wytworzonego już odruchu warunkowego na światło czerwone, wprowadzało się inny czynnik, na przykład dźwięk, który zawsze poprzedzał pojawienie się czerwonego światła. Po kilkunastokrotnym powtórzeniu doświadczenia, udało się uzyskać reakcję na sam dźwięk. Pojawienie się więc coraz to nowych połączeń, mniej lub bardziej trwałych, łączących z sobą rozmaite ośrodki kory mózgowej — stwarza coraz to szerszą podstawę dla funkcyj kojarzeniowych mózgu. Odruch warunkowy możemy traktować jako najprymitywniejszą postać pamięci zwierzęcia. Pamięć zaś, to podstawa wszystkich wyższych funkcyj psychicznych.

Metodyka badania odruchów warunkowych stworzyła nowe możliwości badań nad zdolnością różnicowania bodźców zewnętrznych przez zwierzę. Jeżeli na przykład będziemy pokazywali psu elipsę i koło, ale karmić będziemy tylko po pokazaniu koła — wytworzy on odruch warunkowy wydzielania śliny, dla którego bodźcem będzie widok koła. Elipsa zaś stanowić będzie bodziec obojętny. Po ustaleniu tego odruchu można

próbować pokazywać psu elipsy coraz bardziej zbliżone do koła i badać reakcję zwierzęcia. Okaże się, że pies potrafi odróżnić od koła elipsę, w której stosunek osi długiej do krótkiej wynosi 9 : 8.

W podobny sposób można badać zdolność i różnicowanie przez psa wysokości dźwięków, czy też zdolność oceniania częstości bodźców, za pomocą na przykład metronomu. Badanie odruchów warunkowych przyczyniło się więc w ogromnej mierze do badań nad czynnością narządów zmysłowych i zdolnością różnicowania bodźców przez właściwe ośrodki nerwowe kory mózgu.

Do tej pory była mowa o stanach podrażnienia wytwarzanych przez bodźce wywołujące czy to odruchy warunkowe, czy bezwarunkowe. Nie jest to jednak jedyny stan, z jakim mamy do czynienia w układzie nerwowym. Pawłow udowodnił, że prócz stanów podrażnienia występują w ośrodkach nerwowych także i stany zahamowania. Wygasanie odruchu warunkowego, nie podsycanego na przykład żywieniem, nie jest zwykłym procesem, polegającym po prostu na niewytwarzaniu stanu podrażnienia. Mamy tu do czynienia z czymś innym, mianowicie z ujawnieniem się procesu hamowania. Zwierzę, które ongiś reagowało na światło czerwone wydzielaniem śliny, po zaniku tego odruchu okazuje aktywnie swój negatywny stosunek do dodatniego dawniej bodźca, objawiający się na przykład odwracaniem głowy od źródła światła. Proces hamowania jest według Pawłowa również odruchem warunkowym, tylko o przeciwnym znaku algebraicznym. Wyżej opisany proces hamowania nie dotyczy (w opisanym wypadku) jedynie i wyłącznie ośrodka wzroku, ale rozprzestrzenia się niemalże koncentrycznie w korze mózgowej. Po wywołaniu takiego zahamowania można stwierdzić u zwierząt, u których wytworzono szereg odruchów warunkowych, że wszystkie one ulegają b osłabieniu, bądź też wygaszeniu. centryczność rozchodzenia się za wania wyraża się w tym, że naj wygasają odruchy warunkowe, na bodźcach świetlnych, jako że środki leżą najbliżej ośrodka zahan nego, potem zaś fala zahamowani ciera do coraz to dalej położonych ków, na przykład ośrodka słuchu gaszając z kolei odruchy waru oparte na bodźcach akustycznych

Stany zahamowania i podraż istnieją stale w ośrodkach nerwo przy czym to jedne, to drugie górę. Dynamiczna walka tych przeciwieństw objawia się boga i różnorodnością reakcyj zwierzę

Stany zahamowania decydując biórczym reagowaniu na te czy bodźce, posiadają wielkie znacze chronne dla komórek nerwowych zahamowania chroni komórki ne przed przeciążeniem pracą. Wys on zawsze, w wypadku, gdy nat bodźca, nawet dodatniego, jest wielkie lub trwa zbyt długo. P udowodnił, że sen nie jest niczym jak rozlanym stanem zahamowani tyczącym większości ośrodków wych kory mózgowej. Sen stano dlatego ochronę komórek nerw przed przepracowaniem. Taki st hamowania może być głębszy lub szy, stąd też i sen bywa roz Istnieją liczne stopnie snu hypnot go, na których wyraźnie objaw głębokość zahamowania. W ten sen, a zwłaszcza sen hypnotyczny, rym wiązano tak liczne bzdurne i fizyczne teorie, stał się przedm obiektywnych badań nauk Stwierdzenie ochronnego znaczen nów zahamowań dla komórek wych, naprowadziło Pawłowa na zastosowania snu jako środka czego, przede wszystkim w cho umysłowych. Leczenie snem jest

szczegółowo rozpracowane przez
zy Związku Radzieckiego i stoso-
nie tylko w dziedzinie psychia-
nej, ale i w wielu innych klinikach.
stosowanie snu jako środka leczni-
w licznych schorzeniach uspra-
iwione jest potężnym wpływem
łu nerwowego na dosłownie
stkie funkcje ustroju. Do dnia dzi-
ego nie znamy jeszcze i nie zdaje-
obie w pełni sprawy z niezwykle
go powiązania, zdawałoby się od-
ch i samodzielnych objawów, z cen-
ym układem nerwowym. Oto dwa
ady tego zdumiewającego wpły-
kładu nerwowego na organizm:

ez pewien okres wstrzykiwa-
su podskórnie dość dużą dawkę
iny, powodującą sen, drgawki i in-
gólne objawy zatrucia morfiną.
ało się, że po pewnym czasie wy-
yły czynności przygotowawcze do
yknięcia i wbicie pustej igły pod
by wywołać u psa wszystkie
vy wprowadzenia morfiny do u-
, ze snem i drgawkami włącznie.
ugi przykład jest jeszcze bardziej
iewający: świnkom morskim
wadzano przez pewien okres za-
nę bakteryj chorobotwórczych do
otrzewnowej. Normalną reakcją
nizmu na wprowadzenie bakteryj
tak zwany odczyn zapalny, objа-
ący się między innymi wychodze-
specyficznych komórek z krwi
czających tkanek. Komórki te two-
naciek dookoła wprowadzonych
eryj i pożerają je. Zjawisko to
owano jako objaw chemicznego
ania bakteryj na te żercze komórki.
ało się jednakże, że takie same o-
y nacieku komórek żerczych uzyski-
po pewnym czasie przez samo u-
e skóry zwierzęcia, bez wprowa-
ia bakteryj. Świadczy to oczywiście
tworzeniu się odruchu warunko-
czyli o tak nadzwyczajnie głębo-

kim wpływie układu nerwowego na organizm.

Metodyka badań odruchów warunkowych przysłużyła się więc ogromnie do rozszerzenia naszych poglądów na rolę i znaczenie centralnego układu nerwowego. Na tej też podstawie rozbudowano w Związku Radzieckim ogólną teorię zwaną „nerwizmem", która głosi, że wpływ centralnego układu nerwowego jest czynnikiem zasadniczym w powstawaniu i przebiegu wszelkich schorzeń, nawet tych, które są wywołane przez zupełnie zewnętrzne czynniki, jak na przykład zakażenie zarazkami chorobotwórczymi. Ta niezwykle płodna koncepcja jest obecnie szeroko rozpracowywana przez klinicystów.

Wspomniane już dwa antagonistyczne procesy w układzie nerwowym, a mianowicie proces pobudzenia i proces hamowania, występują u różnych osobników tak świata zwierzęcego jak i wśród ludzi w różnym nasileniu. U niektórych procesy te występują łatwiej i dłużej trwają, u innych wytwarzają się powoli, natężenie ich jest słabe, a czas trwania krótki. Wskutek rozmaitych możliwości kombinacji czasu trwania i nasilenia tych stanów oraz skłonności centralnego układu nerwowego danego osobnika do wytwarzania jednego czy drugiego stanu — powstaje duża różnorodność ogólnej cechy centralnego układu nerwowego — zwana usposobieniem. Stworzony jeszcze przez Hipokratesa podział charakterów na cztery grupy znalazł obecnie uzasadnienie w tych dwu zasadniczych procesach, odkrytych przez Pawłowa.

Choleryk — jest skłonny do wytwarzania stanów podrażnienia długo się utrzymujących. Stąd — gwałtowność usposobienia, bezwzględność i konsekwentne dążenie do obranego celu.

Sangwinik — jest również skłonny do wytwarzania stanów podrażnie-

nia, ale stany te szybko mijają. Stąd też wybuchowość charakteru, ale połączona z brakiem konsekwencji i z łatwym rezygnowaniem z zamierzeń.

U flegmatyka — łatwo występują stany zahamowania utrzymujące się długo. Usposobienie jego jest spokojne, równe, cechuje go systematyczność.

Melancholik — jest typem, u którego procesy tak podrażnienia jak i zahamowania są słabe. Jest to osobnik bierny, bez inicjatywy.

Tu jednak należy podkreślić z naciskiem zastrzeżenie, które Pawłow niejednokrotnie czynił. Mianowicie niewłaściwe i niebezpieczne jest bezkrytyczne przenoszenie na ludzi wyników uzyskanych z doświadczeń ze zwierzętami. Centralny układ nerwowy człowieka, jako bardziej skomplikowany i stojący rozwojowo wyżej od układu nerwowego zwierząt, stanowi już nową jakość. I z tym należy się stale liczyć. Pawłow stwierdził, że w dziedzinie czynności nerwowej mózgu człowieka, pojawiła się specyficzna nowość, nie występująca w świecie zwierzęcym. U zwierząt — wszystkie bodźce dochodzące do centralnego układu nerwowego ze świata zewnętrznego czy z organizmu — stanowią pewne sygnały, które wywołują podrażnienia ośrodków nerwowych, powodując połączenia lub przerywając już istniejące. U człowieka pojawił się nowy zespół sygnałów — według nomenklatury Pawłowa — „sygnały sygnałów" lub „sygnały drugiego rzędu", którymi są słowa. Mowa jest wyłącznym atrybutem człowieka. Słowa stanowią sygnały sygnałów dochodzących ze świata zewnętrznego. Pozwalają one na tworzenie skojarzeń i odruchów warunkowych, których łuki przebiegają między ośrodkami nerwowymi kory mózgowej. Istnienie tego skomplikowanego systemu odruchów warunkowych wyższego rzędu, dla których bodźc są słowa, warunkuje myślenie abstr cyjne i zdolność do uogólnień.

Działalność naukowa Pawłowa d cząca badań nad centralnym układ nerwowym przypada na okres po Re lucji Październikowej. Rząd radzie dzięki osobistej interwencji Lenina, pewnił Pawłowowi potrzebne środki życia i pracy w najcięższym gospod czo okresie interwencji. Potem zaś budował we wsi Kołtusze pod Le gradem specjalne laboratorium do dań czynności centralnego układu wowego, według wymogów meto Pawłowa. Laboratorium to, zwane „ żą milczenia", posiada liczne cele, skonale izolowane od wpływu jak kolwiek czynników zewnętrznych. dawanie pokarmu i działanie rozma mi bodźcami odbywa się automatycz sterowane z kabiny badacza, który d ki podłączonej aparaturze i urządze peryskopowemu ma możność bezpoś niej obserwacji doświadczalnego z rzęcia.

Ogromną zasługą Pawłowa dla n i ludzkości jest stwierdzenie zasadni go wpływu, jaki wywiera środow na czynności centralnego układu wowego. Zdołał on powiązać ro funkcyj psychicznych ze światem z nętrznym, rozwój psychiki ze środo skiem. Toteż badania Pawłowa ogromne znaczenie dla naukowej d mentacji zasad materializmu dialekt nego. Badania te przyczyniły się w do rozstrzygnięcia podstawowego za nienia filozoficznego — pierwotn ducha czy materii. O osobistych p dach Pawłowa niech świadczy o wiedź na zadane mu pytanie odno powyższego zagadnienia: „Świadom — moim zdaniem — to działalność wowa określonego odcinka p mózgu".

Stworzona dzięki geniuszowi Pa wa potężna, materialistyczna nau

zej czynności nerwowej nie mogła
ść do niedawna właściwego zasto-
nia w medycynie praktycznej.
zumiałe jest, że stało się tak w
ch, gdzie dualistyczne poglądy u-
rch uważają przejawy psychiki
ologii mózgu za dwie różne dzie-
zjawisk. Czołowy przedstawiciel
dniego świata nauki, laureat na-
Nobla, Sir Charles Sherrington,
sił w 1933 r., a więc w okresie
itu nauki Pawłowa — odczyt, w
m dosłownie powiedział: „Jakie
prawo do łączenia przeżyć psy-
nych ze zjawiskami fizjologiczny-
Na pewno żadnego prawa nauko-
... Przyznaję co prawda, że obser-
, które stają się coraz bardziej do-
ne wskazują, że obie te kategorie
sk występują razem w czasie i w
cu i że w tym zakresie wzajemnie
odpowiadają. A więc chociaż nie
między psychicznymi a mózgowy-
awiskami znaleźć żadnego powią-
, zgadzam się jednak na to, że za-
zą one równolegle w czasie
jscu."
ywiście takie sformułowania i ta-
oglądy z natury rzeczy nie mogły
ąć naprzód nauki o wyższej czyn-
nerwowej.
śmierci Pawłowa praca jego zna-
w Związku Radzieckim kontynua-
wśród jego uczniów. Niestety, mi-
nakomitych warunków pracy nau-
j, centralne instytucje naukowe
ięcone rozwojowi teorii Pawłowa
tanęły na wysokości zadania.
ukowa Sesja Akademii Nauk
kademia Nauk Lekarskich, która
ła się w czerwcu 1950 r. została
ięcona omówieniu zagadnień nauki
owa. Na sesji tej wykazano błędną
, na którą wkroczyli uczniowie
owa — prof. Orbelli i jego szkoła,
emik Sperański, akademik Beri-
vili i niektórzy inni uczeni, kieru-
jący centralnymi placówkami naukowymi. Uczeni ci mianowicie — mimo doniosłych i znakomitych prac dotyczących poszczególnych części układu nerwowego — stracili z oczu istotne założenie i fundamentalne twierdzenie Pawłowa o kierowniczej roli kory półkul mózgowych. Wskutek tego, prace tych uczonych, chociaż niezmiernie cenne jako prace doświadczalne, nie tylko nie przyczyniły się do rozwoju idei Pawłowa, lecz przeciwnie, zniekształciły ją, zacierając właściwą i udowodnioną przez Pawłowa kierowniczą rolę mózgu.

Czerwcowa sesja Akademii Nauk nakreśliła zadania stojące przed nauką radziecką, a zwłaszcza przed naukami medycznymi w dziedzinie rozwoju nauki Pawłowa. Zalecono przede wszystkim intensywne badania nad drugim systemem sygnałów, jakim jest mowa ludzka oraz nad związkiem między tym systemem a warunkami zewnętrznymi. Poza tym zlecono poszczególnym instytutom lekarskim zwrócenie uwagi i przebadanie związku między centralnym układem nerwowym a przebiegiem poszczególnych schorzeń, oraz wpływu centralnego układu nerwowego na przebieg leczenia.

W zakresie higieny pracy podkreślono konieczność zwrócenia uwagi nie tylko na formalnie korzystne warunki pracy, ale też i na czynniki psychiczne, odgrywające ogromną rolę w wydajności pracy i samopoczuciu pracownika.

Szeroka dyskusja, krytyczne i samokrytyczne wypowiedzi uczonych, uczyniły z tej sesji punkt zwrotny w rozwoju medycyny radzieckiej. Powiązanie doniosłych odkryć i twierdzeń Pawłowa z praktyką lekarską — stało się celem a zarazem drogą rozwoju tej genialnej i twórczej materialistycznej teorii.

Kazimierz Ostrowski

WŚRÓD KSIĄŻEK

WITOLD WIRPSZA: *Polemiki i Pieśni*, Czytelnik, Warszawa, 1951; str. 45.

Witold Wirpsza należy do tych poetów debiutujących po wojnie, którzy w swojej twórczości przeszli dużą ewolucję. Pierwsza jego książka Sonata (wyd. w r. 1949) zawierała utwory estetyzujące. Niesprawdzalne próby wyrażenia muzyki środkami literackimi trąciły zwietrzałym impresjonizmem. Rozbita fraza poetycka i wykoncypowane obrazy utrudniały czytelność tych utworów. Pod względem stylistycznym nawiązywały one do rozmaitych wzorów poetyckich tzw. „awangardowych", zaczerpniętych z poezji okresu dwudziestolecia. Równocześnie zauważyć można było w niektórych wierszach próby wyjścia z tej estetyzującej postawy i szukania nowych, jednoznacznych treści. Wyjście poza krąg muzyki i „zaczarowanego świata siebie" oznaczało dostrzeżenie tego wszystkiego, co dzieje się w naszej rzeczywistości społeczno-politycznej. Próby uświadomiania sobie tych nowych dla poety zagadnień i odnalezienia dla nich odpowiedniej formy artystycznej nie zawsze w tym okresie były szczęśliwe, ale były. Robotnik pracujący w porcie był jeszcze dla poety pretekstem do malarsko-opisowego ujęcia krajobrazu. Rozmyślanie i medytacje nad zagadnieniami ekonomiczno-politycznymi przechodziły nierzadko przez filtr niby to grecko-rzymskiej poetyki i chociaż były niezbyt zrozumiałe, niemniej jednak oczyszczały z obcych naleciałości stylistycznych, usuwały odkonkretnione obrazy poetyckie i tworzyły inne środki artystyczne, którymi zaczynał się już posługiwać poeta. Wiersz powoli przestawał być rozchwianą mgłą, nabierał konkretności a tym samym wyraźniejszego sensu ideologiczno - artystycznego. Oczywiście, co trzeba w tym wypadku podkreślić, wiersze te stanowiły próbę wyjścia na inne pozycje i nie świadczyły jeszcze o zdecydowanym przełomie w twórczości Wirpszy. Poza moralizowanie i na ogół zimną retorykę przeważnie nie wychodziły nawet najbardziej ciekawe utwory z tej książki.

Drugi tom Wirpszy Stocznia (wyd. w r. 1949), będący cyklem wierszy refleksyjno-opisowych był już próbą bardziej odważną i w swoim czasie do pewnego stopnia nowatorską. Poeta chciał w tym cyklu opisać stocznię, przeobrażenia, jakie w niej zaszły po wojnie, ukazać nowych ludzi i nowy socjalistyczny stosunek do pracy. Opis budowy nowego statku mógł rzeczywiście dopomóc Wirpszy w pokazaniu nowego człowieka na stoczni. Jednakże zamiast wyjść od środowiska, od ukazywania ludzi w czynie, w ruchu, Wirpsza zwęził zagadnienie, stał się jedynie obserwatorem, który z walizeczką w ręku przyjechał na budowę, ażeby zobaczyć piękno nowego krajobrazu i zastanowić się nad niektórymi zagadnieniami ustrojowo-politycznymi, wypowiadając przy tym cały szereg na ogół słusznych uwag. Powstał utwór napisany dość jednolicie pod względem stylistycznym, zawierający na przemian rozważania i opisy. Na plan pierwszy wysuwa się osoba autora, a nie ludzie pracujący na stoczni, którzy powinni stać się głównymi bohaterami utworu.

W stosunku do poprzedniej książki Stocznia pomimo tych braków była krokiem naprzód. Przynosiła nowy temat, w tym czasie przez nikogo jeszcze w naszej poezji nie podejmowany. Była

próbą wyjścia poza zainteresowania muzyczno-malarsko-estetyczne, próbą dostrzeżenia nowego w naszym życiu. Stoczni a napisana jest wolnym wierszem o bardzo sprozaizowanym toku zdania. Wirpsza wzbogacił swoje słownictwo pojęciami z dziedziny ekonomiczno-politycznej, niekiedy jednakże nadużywa słownictwa fachowego, co nie zawsze wynika z ogólnej koncepcji utworu.

Ostatnia książka Wirpszy nosi tytuł Polemiki i pieśni. Tytuł ten istotnie określa charakter tego zbiorku. Zawiera on Traktat polemiczny oraz kilka utworów politycznych, jak np. Na spadek funta, Koszty łodzi podwodnej, będących jakby polemiką i zarazem oskarżeniem kapitalistycznego ustroju. Do pieśni zalicza autor przekład dłuższego wiersza Bertolda Brechta Pieśń o wrogu klasowym oraz Piosenki żołnierza. Wymieniając ponadto utwory: W Marsylii, Trzy portrety, oraz Pięcioletni tym samym w całości zakończylibyśmy rejestr utworów zawartych w tym tomie.

Jeśli światopogląd Wirpszy w pierwszej jego książce był całkowicie nieokreślony, jeśli w Stoczni nie zdobył się on jeszcze na przełamanie postawy dość biernego, aczkolwiek rozumnego obserwatora, to w ostatniej swej książce stara się pójść dalej. Traktat polemiczny jest ostrą polemiką z postawą obcego mu poety. Wirpsza staje się stroną atakującą. Atakuje wrogie stanowisko pisarza, który pod maską liberała ukrywał swoją reakcyjną postawę. Traktat polemiczny nawiązuje świadomie do wiersza Słowackiego Odpowiedź na psalmy przyszłości Spirydionowi Prawdzickiemu. Nawiązanie do tak znakomitego wzoru w dużej mierze uchroniło Traktat polemiczny przed klęską, ale równocześnie skrępowało temat nie pozwalając na należyte jego rozwinięcie. Wiersz Wirpszy nie ma giętkości. Wirpsza próbuje wprawdzie nawiązać do Słowackiego nie mechanicznie ale dialektycznie, podkreślając przy tym celowo tu i ówdzie swoją zależność od wzoru, ale zabrakło mu pasji polemicznej i ostrego, ciętego dowcipu. Ponadto w części parafrazującej mimo woli wpada również w pewną zależność od formy atakowanego przez siebie pisarza. Chcąc zapewne oderwać się od tego rodzaju „wzoru" literackiego Wirpsza w części pozytywnej jakby prawem kontrastu ucieka do białego, nieregularnego, mocno sprozaizowanego wiersza. Krytykując ostro wrogi mu światopogląd, Wirpsza rozpoczyna wykład marksistowski ekonomiki politycznej.

Mówię z trudem, przez zaciśnięte
gardło
a jednak posłuchaj...

Pozytywne fragmenty zawierają wiele słusznych uwag, argumenty są przekonywające, brak jednak jakiejś szerszej syntezy politycznej i poetyckiej. Poemat urywa się nagle.

Na spadek funta, a zwłaszcza Kosztłodzi podwodnej, są bardziej jednolicie skomponowane. Wirpsza poszukując prostoty wprowadza niemalże całkowicie sprozaizowany tok mowy, niekiedy tylko nielicznymi metaforami odcinający się od tego, co przywykło się nazywać prozą. Jednolity temat, zwarcie, logicznie dobrane obrazy poetyckie przy stosunkowo dużej oszczędności słowa sprawiają, że wiersze te wyróżniają się dodatnio w dorobku tego poety.

Trzy portrety w odróżnieniu od Stoczni stanowią próbę dostrzeżenia konkretnego człowieka. W Stoczni człowiek albo nie istniał

wcale, albo stanowił uzupełnienie opisywanego krajobrazu. W Trzech portretach Wirpsza ograniczył się do stworzenia portretu albo dagerotypu zastygłego w swoim geście.

Stoi ciężko, z głową zbyt dużą,
z ręką wspartą o drewniane łóżko,
którego poręcz z wysiłkiem ugniata;
twarz trudna, kamienna, otwarta
brama czoła, zamknięta powieką
niby granit, ciosany w jedenastym
wieku.

Tak zaczyna się opis Portretu chłopca z Bursy. Dalej następuje bardziej szczegółowy opis:

Na czole żadnej zmarszczki, a jedynie
. . . . . w skroni,
pod skórą, pulsuje rytm.
Tak się rewolucja uczłowiecza,
topornym wierszem średniowiecznym,
rymem wtłoczona w wiek dwudziesty.

Obraz ciekawy, trafnie podpatrzony i prawdziwy. Tylko, że statyczność opisu nie przybliży dostatecznie tego Chłopca do czytelnika. Podobnie namalowany, czy też uchwycony aparatem fotograficznym jest Portret starego robotnika oraz Portret wynalazcy. Zacytujmy początek tego wiersza:

Ustawił się, jak do fotografii,
półprofilem
i patrzy na klucz francuski,
niby w hiacynt
stalowy, mocno przyrosły do dłoni...

Oglądana fotografia rzadko kiedy może wzruszyć. Bardziej przekonywający i wzruszający jest utwór Pięcioletni, który nie jest już portretem, ale próbą uchwycenia sceny sytuacyjnej. Skrótowość w tym wypadku wyszła raczej na korzyść utworowi. Tak więc opisowość dostrzeżona w poprzednich jego książkach, w tym wypadku jak gdyby przeszła na człowieka. W polemikach Wirpsza przekonywał, tu zaś opisuje i maluje. Tak w pierwszym jak i w drugim wypadku stanowczo brak jakiegoś bardziej wyczuwalnego nurtu emocjonalnego. Cykl wierszy Piosenki żołnierskie, opowiada o wspólnym polsko-radzieckim marszu na Berlin. Stanowią one w formie swojej nawiązanie do poezji Heinego, co zapewne dodało im uroku artystycznej prostoty, chroniąc od zbytniego sprozaizowania właściwego innym utworom. W tej książce, ponadto, dodało im lekkości i melodii.

Wirpsza jest poetą, który stawia sobie zadania ideowo-polityczne i stara się je wypełniać. Nawet chropawy, sprozaizowany wiersz jego zaczyna nabierać pewnych cech indywidualnych. Wyczuwa się walkę o formę, borykanie się, chęć dopracowania się własnego artystycznego wyrazu. Trzeba stwierdzić, że Wirpsza nie ulega łatwiznom formy i schematyzmowi, jest poetą, który uczy się wyzbywać swoich błędów.

Jan Śpiewak

ANNA KAMIEŃSKA: „*Wychowanie*". „Książka i Wiedza", Warszawa, 1948, str. 79.

Tomiki nowych poetów wydawane w latach 1947—1949 miały bardzo charakterystyczną cechę: obejmowały bardzo szeroki okres powstawania wierszy. Pierwsze utwory Kamieńskiej drukowane w Wychowaniu mają datę 1940, ostatnie — 1948. Stąd fragmentaryczność, niepełność i przypadkowość doboru utworów zarówno w Wychowaniu jak i wszystkich tomikach „zielonej serii" Książki i Wiedzy. Dlatego pominę 46 początkowych stron tomiku zawierających wiersze bardzo już dawne, a dla samej autorki stanowiące tylko pamiątkę dawno przebytej drogi.

Problematykę drugiej części zbiorku Kamieńskiej można zamknąć w kilku słowach: człowiek i kultura. Ale nie

w jakimś niejasnym, mgławicowym sensie. Ośrodkiem zainteresowania autorki jest rewolucja kulturalna: upowszechnienie oświaty, książki, sztuki budzenie się wsi do samodzielnego życia, lecznictwo wśród mas. Ta część Wychowania jest właśnie cyklem wierszy o upowszechnieniu kultury, notatnikiem aktywisty kulturalnego.

Cechuje te utwory pewien nerw dramatyczny. Scharakteryzować go można w ten sposób: konflikt (a jest w tych wierszach konflikt prawie zawsze, zbudowane są z zasady na antynomii) zawiera się pomiędzy indywidualną krzywdą a ogólnym, koniecznym postępem historii. Wyjaśnię na przykładach: 1) Chata mazurska: zburzony dom chłopski, stary, świadczący o tradycjach architektury ludowej nie będzie już w tej formie odbudowany. Konieczność gospodarcza, ale i strata dla kultury. Czy na pewno? Cto odpowiedź:

> Bronilibyśmy każdej bryłki ludzkiego pomysłu,
> Gdyby nie kierunek historii — sprawiedliwy.

2) Dla Józia: mały kształcący się „inteligent chłopski" przeżywa prawdziwe męki nie mogąc przystosować się do nowych warunków — a jednak tę chwilową, oczywistą krzywdę ogólny sens historyczny naprawia i uwzniośla.

3) Biblioteka: upowszechnienie kultury nie ogarnia już wszystkich, niektórzy ugrzęzną na zawsze w niewiedzy. Żal, ale i nadzieja:

> Kiedy tak myślę, że nie pragniesz mieszkać, żono, w bibliotece z marmuru i że dzieci inny może zbudują dom naszym myślom, cierpię i kocham gorącej.

Oczywiście nie wszystkie wiersze są w ten sposób zbudowane, takie są jednak najcharakterystyczniejsze. Kiedy się uwzględni czas ich powstawania, to nie tylko nie zarzuci się Wychowaniu „formalizmu", jak to zrobił Maciąg w Nowej Kulturze, ale nawet stwierdzi ich pozytywną, twórczą rolę. Nie mają bowiem one nic z tromtadracji, nic z fałszywego hurraoptymizmu. Stanowią jeden z ciekawych przykładów drogi, którą nazwałbym od humanitaryzmu do humanizmu. Od własnej, możliwej, przeżytej troski o człowieka, wąsko jeszcze ujmowanej, do szerszych horyzontów społecznych, których świadectwem są nowe wiersze Kamieńskiej.

Były niewątpliwie w Wychowaniu błędy: roztapianie właściwego sensu w nieściśle dopasowanym obrazowaniu, za słaby związek przemian kulturalnych z ogólnospołecznymi. Obok typu wierszy zanalizowanych powyżej wraca często Kamieńska do formy traktaciku poetyckiego, polemiki z wrogimi jej postawami (W Instytucie Anatomicznym).

Nie będę zatrzymywał się nad wadami wierszy poetki, bo przecież ważniejsze są zalety. One bowiem decydują o pomyślnym rozwoju twórczości Kamieńskiej, którego dowodem są jej nowe, drukowane w Nowej Kulturze poematy. Ich najważniejszą cechą jest rozszerzenie kąta zainteresowań w połączeniu z powolnym wykształcaniem się stylu retorycznego. Ich wadą zbyt wielka ogólność (typowe niebezpieczeństwo retoryki) i nie zawsze ścisły związek obrazowania z treścią wiersza (np. przerosty opisu w udanym zresztą poemacie Na Kongres Pokoju). Należy sobie życzyć szybkiego ukazania się tych nowych wierszy w tomiku — wtedy będzie można wydać o nich dokładniejszy sąd. W każdym razie można stwierdzić żywotność i rozwój poezji Kamieńskiej: poszerzenie oddechu poetyckiego, rozwój właściwych poetce

intelektualno - „krasomówczych" form wyrazu, pogłębienie charakterystycznej aury powagi, rozsądku, godności, jaka dominuje w jej utworach. Jak sama Kamieńska stwierdza, wszystko w nich zostaje sprawdzone przez „urząd szlachetnego rozumu".

Jan Błoński

JERZY MILLER: *Pieśni inwalidzkie.* Książka, Warszawa, 1948; str. 53. *Słowa na pozycji,* Czytelnik, Warszawa, 1951; str. 66.

Nowy tom Jerzego Millera Słowa na pozycji jest w rozwoju tego poety zamknięciem ważnego etapu.

Okres okupacji hitlerowskiej był dla pisarzy o nieukształtowanym światopoglądzie politycznym i społecznym epoką tragicznego bezsensu. Imperializm faszystowski w ich twórczości jest jakąś wielką machiną kosmiczną, której napęd nie jest im znany. Stąd bardzo charakterystyczną metodą twórczą jest mniej lub więcej sugestywne opisywanie zdarzeń, opisywanie niszczenia człowieka, ukazywanie wycinków wojennej rzeczywistości, nie powiązanych świadomością o współzależności zjawisk, o ich nurcie rozwojowym, o niechybnym upadku hitlerowskiego faszyzmu.

Twórczość wojenną Jerzego Millera cechuje to właśnie nierozumienie mechanizmu dziejących się zjawisk i co za tym idzie postawa bierności, zwątpienia i pesymizmu. Wojnę i jej zbrodniczość ukazuje Miller przez wąski pryzmat bardzo specyficznych, osobistych tylko przeżyć i wzruszeń. Mało tego: poeta stara się obserwować i opisywać w sposób jak najbardziej „obiektywny" i beznamiętny, notuje tylko skojarzenia, które dyktuje mu wyobraźnia.

...A potem ostrzelaną ścianę
zatarli lepkim gipsem
i obraz zawisł krzywo,
naczynia zadźwięczały szklane
w toku muzyki fałszywej,
ledwie je ręka z kurzu wytrze,
z obrusu nim wywabi plamy,
było południe zdrady, barman
oglądał wzory linoleum,
kelnerka warg roztarła karmin
i wymiotować szła do zlewu.

— pisze w wierszu Café-Bar. Ten obiektywizm prowadzi do całkowitego zaniechania kontroli obrazu, a w końcu — do naturalizmu. Wiersz staje się zbiorem obrazów i metafor.

Skojarzenia obrazowe nie tylko zaciemniają sens i logikę utworu, ale również — jak to ma miejsce w wielu wierszach — gubią konkretne treści, które poeta zaczerpnął z rzeczywistości okupacyjnej. (Ruchy poza ekranem, Stare Miasto w Warszawie, Pogrom, Nad Wisłą itd.) Potok obrazów, wiele dygresji intelektualnych, nie podporządkowanych linii przewodniej sugerują wrażenie, że często można by utwór bez szkody dla jego artystycznej konstrukcji skrócić o jedną lub dwie strofy i odwrotnie — można by również fragment dopisać. Lektura tych wierszy utwierdza nas w przekonaniu, że bez aktywnej postawy wobec rzeczywistości, bez surowej, dyktowanej przez kryteria światopoglądowe selekcji nie może powstać poezja jednoznaczna, pożyteczna w swej funkcji społecznej. Obraz poetycki Millera rozpływa się, nie spełnia swego społecznego zadania.

Wysunięte powyżej błędy ideowe i artystyczne staną się częściowo zrozumiałe, gdy odczytamy wiersz Poezja. Poeta sam przyznaje, że swej wyobraźni nie kontroluje.

Inteligencka postawa biernego obserwatora rzeczywistości prowadzi w koń-

rcu poetę w sferę zupełnego już zagubienia ideowego, pesymizmu, nawet rozpaczy.

Oto przedmioty tracą realność:

Te drzwi już drzwiami nie są,
zbliżają się do kresu,
dom nie jest domem, jest jak welon
— kiedy go kule przestrzelą.
Ściany przejrzyste, jakby szklane,
lecz nie przenikniesz poza ściany.
(D r z w i)

Nastroje rozpaczy i bezwładu dominują w tym tomiku do tego stopnia, że moment wyzwolenia przeminął dla autora niemal bez echa. Możemy zaledwie przypuszczać, że kilka wierszy zamieszczonych przy końcu zbiorku zostało napisanych po r. 1945, lub że dotyczą spraw związanych z tym okresem. Wiersz P i e ś n i i n w a l i d z k i e, który zapewne miał być próbą zreasumowania i analizy okresu wojennego kończy się pesymistyczną pointą:

Nienawistne pieści kołujące
inwalidzkiej pieśni tony,
kulejące jak kule
odpryśnięte od domu.
W szczypcie popiołu
nie odnajdę człowieka.
Łykam chwile jak piołun
i łzy gorzkie — powieką.

Wiersze, których tematyka wiąże się w pewnym sensie z nową rzeczywistością, cechuje w dalszym ciągu smutek, estetyzm i zagubienie ideowe:

Ufność, którą pogrzebał w kwiecie
czasu mniemając inną na tym
świecie
znaleźć, teraz szuka jej
zniecierpliwiony,
wiary liturgicznej albo politycznej,
lub innych pomniejszych wiar,
chciałby być fanatykiem bez
umiaru jak inni,
bez skrupułów wierzącym ślepo,
wtedy sądzi — widnokrąg się
rozwidni,
kształty nabiorą blasku świeżości
polepą.

Brak skonkretyzowanej postawy ideowo-politycznej, o której sam poeta mówi w przytoczonym powyżej fragmencie, prowadzi go do roli obserwatora. Budownictwo nowej rzeczywistości ujmuje Miller tylko z estetycznego punktu widzenia dając skomplikowane, formalistyczne obrazy widzianych obiektów przemysłowych i gospodarczych (A r t e r i a). Wręcz nierealistyczny charakter ma w jego ujęciu rozprawa z mieszczaństwem (K o m e d i a l u d z k a).

Bardzo łatwo byłoby wykazać związki Millera z poezją francuską, znaleźć utwory, które powstały w klimacie Appolinaire'a, Max Jacoba czy wczesnego Eluarda — ale to nie jest najważniejsze. W tomiku P i e ś n i i n w a l i d z k i e Miller wykazał pewną sprawność środków poetyckich (oczywiście w ramach formalistycznej poetyki), która nie znalazła równoważnika w świadomości ideowo-politycznej. Brak aktywnej postawy wobec rzeczywistości nie pozwolił mu na organizowanie tych środków po linii czytelności i zrozumienia funkcji społecznej wiersza.

Twórczość Millera uległa w krótkim czasie tak poważnym przemianom, że często nosi obecnie cechy pośpiechu i niedopracowania. Przemiany te sięgają tak głęboko, że możemy już dziś oceniać jego utwory jako bliskie nowemu, robotniczemu czytelnikowi i tym samym stawiać im wysokie wymagania. Zerwawszy definitywnie z formalistyczną poetyką, Miller szuka nowego, własnego stylu i wydaje się, że można już zaobserwować pozytywne rezultaty tej pracy.

Niemniej jednak w tomiku znalazło się kilka wierszy, które wiążą się w pewnym stopniu z dawnymi jego obciążeniami. Wymienię tu przede wszystkim utwór Do Andrzeja. W wierszu tym, który ma być wyrazem nowego stosunku do rzeczywistości i ludzi, ulega poeta w dalszym ciągu manierze dygresji skojarzeniowych i estetycznej tylko oceny zjawisk, przez co nie dociera do istoty zagadnień, gubi realizm utworu. Mimo tych wad wiersz jest bardzo znamienny i świadczy, że do osiągnięć — o których za chwilę będziemy mówili — poeta doszedł drogą przełamywania siebie i czujnej samokontroli.

Podjęcie przez Millera nowej, bliskiej nam tematyki jest w stosunku do problematyki jego dawnych wierszy poważnym sukcesem. Strajki dokerów we Francji, walka klasy robotniczej w krajach kapitalistycznych, walka o pokój, wojna na Korei, budownictwo komunizmu w Związku Radzieckim, współzawodnictwo pracy — oto zagadnienia, które Miller odważnie podejmuje. Wydaje się jednak, że zbyt mało uwagi poświęca sprawom naszego kraju, naszym codziennym, twórczym dniom. Utwory o problematyce ogólnoświatowej — solidaryzowanie się z walczącą klasą robotniczą Hiszpanii, Francji, Belgii czy Holandii — cechuje jednak często pewna ogólnikowość.

Wielkie tematy nie zwalniają poety z troski o jakość utworu. Przeciwnie — wymagają większej troskliwości niż tzw. tematy „powszednie". W związku z tym trudno zgodzić się z niektórymi fragmentami utworów Millera obciążonymi sloganowością i ubóstwem poetyckiego wyrazu.

Gdy prawda zwycięża gwałt,
gdy płacz nie jest daremny
i pracy słusznie oceniony wkład
staje się wszystkim na ziemi,
wtedy przybliża się, radosny,
i doradza, jak upiększyć
krainę rozbudzonej wiosny. —
I człowiek staje się lepszy,
szlachetniejszy i prostszy.

(Z pieśni o Stalinie)

W Poemacie o zwycięstwie Miller próbuje przedstawić ideową rolę Związku Radzieckiego w walkach klasy robotniczej całego świata, doniosłość zwycięstwa nad faszystowskimi Niemcami i jego znaczenie dla całej ludzkości. Poemat jest bardzo ogólnikowy, poeta poprzestaje na dość banalnych hasłach i naiwnie sformułowanych „przypowieściach politycznych".

Do tych warsztatowych potknięć Millera należy również czasem bardzo niefortunne łamanie zdania w celu uzyskania regularności rytmicznej strofy. Oto jaskrawy przykład:

Nie żyło. Chłopka podniosła
je z ziemi.

(Bitwa o Pohang)

Wolne od tych niedociągnięć są np. wiersze Szanghaj, Nowe Bałuty, Wiktor Markiewka, Opowieść o powstańcu znad rzeki Buk-Han, które dzięki prostocie i jasnemu obrazowaniu zajmują w tomiku czołowe miejsce.

Jakiekolwiek byłyby błędy i niedociągnięcia formalne nowego tomiku Millera, musimy stwierdzić, że jest on punktem zwrotnym w twórczości poety. Skonkretyzowana, bojowa postawa ideowa musi jeszcze znaleźć równie dosконały i pełny odpowiednik w środkach poetyckich. Oba tomiki Jerzego Millera przypominają mi zdanie Heinego; „każda nowa książka jest debiutem dla poety".

Leszek Herdegen

GUSTAW MORCINEK: *Pokład Joanny*. Gebethner i Wolff, Warszawa, 1950, str. 476.

Na wstępie wypada zaznaczyć, że Pokład Joanny nie jest powieścią w dokładnym znaczeniu tego słowa. Tadeusz Drewnowski słusznie nazwał tę książkę „luźną kroniką" *). Termin „kronika" użyty w stosunku do dzieła literackiego może mieć zabarwienie dodatnie lub ujemne; zazwyczaj jednak kojarzy on się z pewną niepoprawnością pisarską, z mało twórczym notowaniem wydarzeń. Dlatego trzeba dodać, że Morcinek zmodyfikował koncepcję kroniki — jeśli mamy trzymać się tego określenia — szczęśliwie. Nie zgubił za wydarzeniami ludzi. Dokonał prawidłowej selekcji. Uniknął monotonii opisu. Wczuł się w specyficzną psychikę górnika, zdeterminował ją historycznie, przedstawił jej ewolucję na przestrzeni dziesiątków lat.

Ten ostatni fakt zasługuje na szczególnie mocne podkreślenie, bo — jak się okaże — mamy prawo sądzić, że legł on u podstaw utworu, stał się założeniem centralnym. Dzieje kopalni Arnolda, a zwłaszcza leżącego w jej obrębie pokładu Joanny, stają się dziejami górniczego proletariatu polskiego Śląska. *„Es war am 25 August 1858..."* — tymi słowami zaczyna się kronika pokładu, którą Morcinek przemyślał, zbeletryzował, zamknął współczesnymi wydarzeniami, wzbogacił o genealogię górnictwa na Śląsku, która sięga odległych czasów gwarectwa, ożywionych legendą, jaka narosła wokół poszukiwań olkuskiego srebra i pierwszych odkryć złóż węglowych.

Konieczność kronikarskiego ujęcia tak bogatego okresu historycznego i, co za tym idzie, wykluczenie możliwości stworzenia jednolitego wątku powieściowego, domagały się literackiej rekompensaty, jeśli książka nie miała stać się zbiorem luźnych obrazów. Ogniwem łączącym poszczególne wątki jest pokład Joanny, bliski czytelnikowi emocjonalnie przez ożywienie go barwami klechd ludowych i nastrojem pełnym kopalnianej grozy. Pokład nazwany imieniem Joanny, spadkobierczyni nieszczęśliwego Karola Goduli, należącego w połowie do legendy prekursora śląskiego przemysłu węglowego, potem małżonki hrabiego Hansa Ulrycha Schaffgotscha, jest najlepszym pokładem kopalni, dającym wartościowy węgiel koksujący, jest jednak równocześnie miejscem periodycznie nawracających nieszczęść; giną w nim ludzie, zalewa go woda, trawi pożar. Górnicy tłumaczą sobie te nieszczęścia obecnością surowego i bezwzględnego ducha kopalni — Szarleja i ciążącym przekleństwem godulowych talarów. Autor Pokładu Joanny w pewnych fragmentach programowo nie wychodzi poza świat górniczych pojęć i wierzeń, zyskując w ten sposób sugestywny środek emocji artystycznej. Świat ten reprezentuje każdorazowo masa górnicza, a jej poglądy znajdują często swój odpowiednik w narracji, np. „Szarlej był bowiem zawsze mściwy i pamiętliwy. Lecz od chwili, gdy go pognębiła Matka Boska na bytomskim Kopieczku, nikt z ludzi już go nie spotykał". Lub: „Trudno wprawdzie powiedzieć, tak z ręką na sercu, że Szarlej znajduje się w pokładzie Joanny, lecz wszystko by wskazywało, że jest!..." W ten sposób, między innymi, Morcinek odmalowuje klimat opisywanego okresu.

Taki rodzaj ujęcia powieściowego, dosyć — trzeba to przyznać — rzadki w prozie realistycznej, może stać się przedmiotem dyskusji. Czy tak daleko posunięta nierealna symbolika (należałoby raczej mówić o pseudonimach,

*) Tadeusz Drewnowski Ludzie czerwonego zagłębia, „Życie Literackie" nr 7/1951.

kiedy w miejsce bezpośredniej relacji podstawiony jest sam sposób obrazowania, oparty o legendę, która jest formą ujmowania zjawisk) mieści się w kanonach współczesnego realizmu twórczości artystycznej serio? Odpowiedź na to pytanie zależy od stosunku owych „pseudonimów" do materialistycznego tłumaczenia rzeczywistości, czyli do obiektywnego uwarunkowania zjawisk. Legenda ludowa zawsze ma swoje źródła w faktach rzeczywistych, które bywają określane mitologicznie, jeśli wiedza o świecie nie jest pełna. Odejście od realizmu grozi pisarzowi w wypadku nierozszyfrowania faktów legendarnych lub wówczas, kiedy ich rola w utworze przerasta rzeczywiste przyczyny. Natomiast kiedy pisarz uniknie tych niebezpieczeństw, legenda staje się specyficznym ale równouprawnionym sposobem realistycznego odtwarzania rzeczywistości. Sytuacja przedstawia się tu podobnie jak przy mowie pozornie zależnej, która jedynie według teoretyków literatury wulgaryzujących estetykę marksistowską jest nieomylnym probierzem naturalizmu.

„Pseudonimy" Morcinka, które nie są zresztą wcale decydujące dla powieści, bo naiwna wiara górników w nieziemskie siły będące sprawcami nieszczęść ludzkich szybko została zastąpiona świadomością realnych źródeł zła i krzywdy (co nie zawsze jest jednoznaczne z rewolucyjną postawą), zostały odkryte w tekście literackim zarówno przez postacie przodujących górników i działaczy-rewolucjonistów jak i przez cały dalszy rozwój wypadków, prowadzący do dni uświadomionej pracy dla dobra ogółu. Szarleje i przeróżne jaroszki pozostają jedynie dokumentem i środkiem obrazowania artystycznego. Z tych względów nie zgadzam się z poglądem Drewnowskiego, który w cytowanym artykule stwierdza, że Pokładu Joanny „nie można ocenia w perspektywie realizmu powieścio wego".

W tej sytuacji nasuwa się nieodpar cie potrzeba konfrontacji ładunku po znawczego Pokładu Joann z naszym spojrzeniem na historię. Ni podzielam tu zdania recenzenta Trybu ny Ludu, Grzegorza Lasoty, według którego „nad całością (podk moje — A. L.) powieści Morcinka ciąż fatalizm, mistyczna atmosfera cią głych tragedii i nieszczęść, któ niemal nieuchronnie nawiedzają po kład Joanny". Tak nie można osą dzić książki już chociażby po przeczy taniu wywodów Szymiczka: „Ha, ludzi są czasem niemądrzy. Klną na pokła Joanny, nazywają go przeklętym po kładem, a nie wiedzą, że pokład Joan ny jest błogosławiony, a nie przeklęt (...) Nie pokład Joanny jest bowiem w nien, że ludzie w nim giną, że zarywaj się w nim stropy, że wałęsają się w ni ziemskie smrody, że panowie oszukuj że Niemcy ze zwariowanym dyrekto rem Teichmannem zamieniają go wielkie rumowisko przez swoją rabun kową odbudowę, tylko tu jest winie sam człowiek." Krytyk, który przyj muje pryzmat pięknej ludowej mitolo gii za dobrą monetę w sensie filozo ficzno-poznawczym, albo jest niedo kładny, albo nie zrozumiał intencji au tora i wymowy jego dzieła. Odczuc czytelnika jest w tym wypadku na pew no decydujące, a czytelnik w ów fata lizm, jako zjawisko obiektywne, n uwierzy chociażby dlatego, że Morcine pokazuje umiejętnie właściwe przyczy ny zła społecznego.

A zatem realizm bez zastrzeżeń? My ślę, że byłaby to zbyt pochopna ocen powieści. Stoi jej na przeszkodz i konstrukcja książki, nie pozwalają w dostatecznym stopniu zindywidual zować bohaterów i wydarzeń, i ujęc masy górniczej w wymiarach naiwn

anegdoty, trafnie podpatrzonego drobiazgu obyczajowego czy psychologicznego. Książka działa na fantazję, intryguje umiejętnie odtworzoną przez autora aurą kopalni, trafnie wykorzystaną sensacyjnością pracy i niebezpieczeństw, jakie czyhają na górnika, ale w wielu miejscach odbiega od koncepcyjnej, konsekwentnej wizji procesu narastania buntu proletariackiego, chociaż — jak się rzekło — tak istotne szczegóły, jak rozwój wielkiego przemysłu kapitalistycznego, mechanizacja pracy, postępujący wyzysk połączony z brakiem troski o człowieka i rabunkową eksploatacją kopalń, społeczno-narodowy zryw rewolucyjny powstań śląskich, przejawy walki o prawo do życia w kapitalistycznej Polsce — strajk i wstrząsające bieda-szyby, zorganizowany sabotaż w czasie okupacji, rozwój socjalistycznego stylu pracy — zostały odtworzone w historycznym przebiegu barwnie i plastycznie. Morcinek uwzględnia w powieści ogólnie niski poziom świadomości klasowej górników, rysując za to sugestywnie postacie przywódców - rewolucjonistów, im dalej w przeszłość — tym bardziej zasnutych legendą, żyjącą do dziś wśród górników, tym wyraźniej utopijnych; im bliżej współczesności — tym bardziej realnych, świadomych celu i metod walki społecznej. Oddajmy głos autorowi, który z powodzeniem może w tym wypadku wyręczyć pióro krytyka:

„Jakby jakiś ogromny wiosenny wicher przewalił się po zatęchłych przodkach i przeniknął ludzi do głębi. Stało się bowiem na świecie coś, czego w pierwszej chwili nie mogli zrozumieć. Przez tyle lat pracowali w kopalni, pracowali ich ojcowie i dziadowie, a nigdy, nawet w najśmielszych marzeniach nie dopuszczali do siebie myśli, że może być inaczej. Praca w kopalni urastała w ich odczuwaniu jako łaskawa jałmużna nieznanych im bliżej wielmożów, o którą musieli prosić, upokarzać się, wyzbywać często swych przekonań politycznych i narodowych, a poza kopalnią zawsze straszyło widmo bezrobocia i głodu. A tu naraz stało się inaczej!

Tylko najwięksi śmiałkowie mówili o tej dziwnej chwili, która już nadeszła. Był jakiś italski przybuś Strandella, jak opowiadali starzykowie wygrzewający się pod ścianą na słońcu i wspominający dawne czasy, o Goduli, Szarleju, Joannie Gryszczykównie, hrabi Schaffgotschu, Pusteckim i Skarbniku. Ów legendarny już Strandella coś tam majaczył o nowym porządku społecznym, o krzywdzie robotnika, o nadchodzącym czasie, w którym dojrzewa rewolucja. Lecz któż mu tam wierzył?... Duch Szarlej zadusił go na dole, bo zaczął kramarzyć z grefiną. A potem jeszcze ojcowie wspominali o jakimś rektorze Ślimoku-Kepeuszu i jego wychowanku Ignacym Kuliszu. Rektor Ślimok zginął podczas strajku, Ignacy Kulisz skończył marnie w przeklętym bieda-szybie. Ileż to razy tłumaczył on swoim towarzyszom, że powinni walczyć i walczyć, bo sprawiedliwość nie spadnie im sama do rąk jak dojrzałe jabłko z jabłoni!... Temu już ludzie bardziej wierzyli i szli za nim. A teraz Franciszek Kudera, syn górnika, ongiś wozacz w pokładzie Joanny, potem uczeń politechniki, „elwer', a dziś naczelny inżynier... Było źle, było strasznie źle przed wojną i w czasie okupacji. Zdawało się, że już wszystko diabli wzięli. A taki Kudera tłumaczył, że nie a nie!... No i dobrze tłumaczył!..."

Ten długi cytat jest dość wyjątkowym przykładem streszczenia założeń książki przez samego autora językiem dyskursywnym. Przed oczyma czytelnika przesuwają się dzieje kopalni, które mają być dziejami śląskiego proletariatu. Wyżej podana definicja oglądu rzeczywistości historycznej przez Morcinka tłumaczy, dlaczego unika on pro-

blematyki politycznej, obrazu działania klasowego, opierającego się o organizację proletariacką, a kieruje swoje zainteresowania przede wszystkim w stronę żywiołowo narastających procesów psychologicznych, określonych etapem postępu przemysłowego i wzmagających się przeciwieństw klasowych. Tak jest w obrazie powstań śląskich, w opisie ruchu strajkowego, a także w przedstawieniu współczesnej problematyki.

Pokład Joanny jest równocześnie i bilansem, i przełomem w bogatej twórczości Morcinka. Ludzie Zagłębia Śląskiego, którzy zawsze stanowili temat jego powieści, stali się teraz źródłem nowej inspiracji. Tym razem czas, który wyprzedził pisarza, wezwał go ustami śląskich górników do wyrównania kroku. Morcinek posłuchał wezwania, wkraczając, być może, na nową drogę pisarstwa, oddanego już bez reszty sprawie klasy robotniczej.

Wiele szczegółów z życia górników, które składają się na szeroką wiedzę Morcinka o Śląsku, przeniósł autor do Pokładu Joanny ze swych poprzednich powieści, nadając im inny sens dzięki zrozumieniu wydarzeń przeszłości, które z historyczną koniecznością prowadziły do rewolucji. Opis najnowszych czasów, zapoczątkowanych przyjaźnią górników z jeńcami radzieckimi, stanowi piękny finał powieści i zarazem niedwuznaczną deklarację ideową Morcinka, którego nowa książka wyrosła z umiłowania ziemi śląskiej, z serdecznego przywiązania do jej ludzi i jej tradycji: „Uświadamiali sobie, jak to najdawniejsze pokolenia gwarków przekazywały im w dziedzictwie radość i honor pracy w podziemiu. Gdy ich oczy błądziły teraz w zamyśleniu po ociosie, dostrzegały ślady człowieka, który był tu kiedyś przed nimi i poszedł. Oto mnożą się równe szeregi uderzeń kilofa, suną niestrudzenie w głąb chodnika i przepadają w mrokach. Za nimi drugie, trzecie, dziesiąte... Tu wszędzie był człowiek przed nimi, taki sam jak oni, jak ich ojcowie i dziadkowie, i pradziadkowie. Zostawił tu swoje serce i niesposób teraz odejść od niego. Oni również zostawią tu swoje serce, które ich dzieci i wnukowie, i prawnukowie odnajdą". Mimo sentymentalnej ćwierćnutki, która brzmi w tym wyznaniu, stanowi ono uzasadnienie podjęcia tak rozległego tematu historycznego. Śląsk zasłużył na swoją, chociażby niewielką, epopeję.

Uogólniając wnioski: Morcinek stworzył prawdziwy i wartościowy artystycznie obraz przeszłości i teraźniejszości Śląska, dostrzegł perspektywy rozwoju śląskiej klasy robotniczej w nowym ustroju, ale niepotrzebnie odbiegł od przedstawienia taktyki rewolucyjnej proletariatu śląskiego, którą reprezentowały awangardowe organizacje klasy robotniczej. Ten sam zarzut dotyczy partii książki mówiących o współczesności. Obawa naruszenia statystycznej przeciętności nie może być dla pisarza przeszkodą w kreśleniu zjawisk typowych, decydujących o rozwoju historycznym.

Nasi młodzi pisarze mogą brać wzór i z osobistego stosunku do opisywanego środowiska, który cechuje książkę Morcinka i z jego wnikliwej obserwacji, z bezpośredniego, szczerego stosunku do prostego człowieka, który staje się bohaterem literackim. Głęboka znajomość życia i talent literacki Morcinka odniosły w Pokładzie Joanny piękny sukces.

Na uwagę zasługuje jeszcze gwara, bardzo trafnie stosowana (nie wszyscy to potrafią), ale nie będziemy już nadużywali cierpliwości czytelnika podawaniem przykładów i szczegółową analizą.

Andrzej Lam

MARIAN TOPOROWSKI: *Puszkin w Polsce*, zarys bibliograficzno-literacki, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950; str. 319.

Książka Mariana Toporowskiego obejmuje bibliografię przekładów Puszkina w Polsce oraz polskiej publikacji o Puszkinie do r. 1950. Ukazanie się jej było bardzo na czasie, ponieważ przedwojenna publikacja tegoż autora stała się niedostępna i nie obejmowała wielu pozycji, nie tylko z lat ostatnich, ale i z wieku XIX, które obecnie uwzględnione podwoiły objętość bibliografii. Dla slawisty, historyka literatury, nauczyciela, studenta czy literata książka ta jest niezbędną pomocą. Dzięki indeksom, ułatwiającym korzystanie z bibliografii, szczególnie dzięki indeksowi rzeczowemu, może być ona również — w swoim zakresie — przewodnikiem w pracy kulturalno-oświatowej.

Poza swą wagą naukową, jest to bardzo interesująca lektura i dla „laika". Nie jest ona tylko wykazem. Pozycje opatrzone są w komentarz i „próbki". W części obejmującej przekłady powstała z nich swego rodzaju mała antologia. Nie mniej ciekawy materiał przynoszą próbki krytyki polskiej o Puszkinie w części drugiej. Książka Toporowskiego daje obraz zjawiska, jakim był Puszkin w naszym życiu kulturalnym. Zostały tu bowiem podane nie tylko przekłady i polskie prace o poecie, bibliograf informuje również o rękopisach, listach, wspomnieniach, wzmiankach gazetowych, konkursach, imprezach jubileuszowych, wystawach, o tematyce puszkinowskiej w polskiej grafice, w beletrystyce, na scenie i na ekranie — słowem o wszystkich dziedzinach, w których przejawiło się zainteresowanie naszego społeczeństwa postacią wielkiego poety rosyjskiego.

Książka składa się z obszernego syntetycznego wstępu, który porządkuje i naświetla zebrany materiał, szkicuje historię zainteresowań Puszkinem w Polsce, po czym następują dwie części — bibliografia przykładów Puszkina (z ciekawymi informacjami o materiałach rękopiśmiennych), i bibliografia publikacyj polskich autorów o Puszkinie, obcych autorów w języku polskim, polskich autorów w językach obcych (a nawet i zagraniczne recenzje o polskich pracach) — obie części uporządkowane chronologicznie. Bibliografie uzupełniają skorowidze. Tu należy wymienić wykaz tłumaczonych utworów i fragmentów Puszkina (z tytułami w oryginale i datą powstania oryginału, co przy drobnych i fragmentarycznych utworach jest niezmiernie użyteczne ze względu na możliwość zidentyfikowania pozycji), wykaz tłumaczy oraz skorowidz rzeczowy, stanowiący rodzaj przewodnika.

Bibliografia pozwala się zorientować, czy dana pozycja jest przedrukiem, czy przekład jest całkowity czy fragmentaryczny (te dane uwidocznione są od razu w indeksie). Toporowskiemu zawdzięcza czytelnik rozszyfrowanie wielu pseudonimów. Prawie każda pozycja opatrzona jest komentarzem. Autor podaje w nim dodatkowe informacje o wydawnictwie, a czasem taki opis bibliofilski (np. wiadomość o braku dodatku w pewnej części nakładu) jest bardzo istotny dla oceny książki, dla wyjaśnienia nieporozumień (poz. 358, wydany w 1823 r. w Warszawie zarys literatury rosyjskiej z umieszczoną tylko w Dodatkach sylwetką Puszkina, pióra dekabrysty A. Bestużewa).

Fakt, że bibliograf ocenił materiał i jako bibliofil, i jako historyk literatury, jest wielką zaletą książki Toporowskiego. Prócz zbioru danych statystycznych orientują one w sposób właściwy w materiale. Jeśli nie wystarcza podawany przy każdej pozycji spis treści, to komentarz autora informuje

o tym w paru słowach. Fakty i sprostowania zawarte w bibliografii stanowią podstawowy materiał dla historii polskiej puszkinistyki. Odszukanie i ustalenie, kto pierwszy pisał w Polsce o Puszkinie (poz. 358, 360, 381, 392, 400, 430 — przekład z Bestużewa, Mickiewicz, M. Grabowski, plagiat Mecherzyńskiego, Kirkor) i jak pisał, jaką to miało wartość naukową, jaki wpływ na kształtowanie wyobrażenia o Puszkinie w społeczeństwie polskim — to nie jest sprawa wąskiej specjalności, bibliotecznego kolekcjonerstwa, przeciwnie, to rzecz żywa i ciekawa. A tych właśnie rzeczy dowiadujemy się z pięknej pracy Toporowskiego. Dowiadujemy się, że znalazła się wcześniejsza jeszcze od Mickiewiczowskiego nekrologu Puszkina, drukowana w czasopiśmie Rozmaitości w r. 1824, entuzjastyczna wypowiedź Jaszowskiego o poecie rosyjskim (poz. 360); że wśród pierwszych głosów o Puszkinie znajduje się obok Mickiewicza — Lelewel; że jeden z najwcześniejszych głosów krytyki — to bardzo wnikliwe uwagi Grabowskiego o realizmie Oniegina w wydanej w r. 1839 książce Literatura i krytyka (poz. 399); że w r. 1874 na terenie nie podlegającego caratowi Krakowa wygłosił i wydrukował poważne wykłady o Puszkinie A. H. Kirkor (poz. 430) przed pracami Spasowicza i Tretiaka, które na ogół uważa się za początek polskich studiów nad Puszkinem. Takie fakty, wydobyte w bibliografii Toporowskiego, przyczyniają się do stworzenia właściwego obrazu dziejów Puszkina w Polsce.

Książka Toporowskiego zarysowuje przed czytelnikiem rozwój naszej krytyki i nauki o Puszkinie oraz rozwój sztuki przekładowej. Obok wartości tych prac interesująca jest ich liczebność, wczesność ukazania się, a czasem i teren, na którym powstały. Dowie się więc czytelnik, jak wiele przekładów polskich powstało zaraz po ukazaniu się utworów Puszkina, w trzecim i czwartym dziesięcioleciu ubiegłego wieku, współcześnie z twórczością poety. Dowie się, jak żywy oddźwięk budziła ta twórczość i jak wcześnie oceniono u nas wymiary tego zjawiska poetyckiego.

Puszkin w młodzieńczym okresie swojej twórczości, jako autor romantycznych elegii i poematów „południowych" Fontanna Bakczysaraju, Cyganie, Jeniec kaukaski — przyciągał ku sobie bardzo wcześnie zainteresowanie polskich tłumaczy (Rogalski, Odyniec, Żaba, Chodźko, Jucewicz, Witkowski, Janiszewski i inni). A więc nie jako doskonały, skończony mistrz-realista ukazał się Puszkin polskim czytelnikom; wkroczył on do naszej literatury jeszcze jako młody geniusz fantazji, wirtuoz formy i szermierz wolności — i to są pierwsze rysy jego oblicza, utrwalone w polskim społeczeństwie.

Lektura książki Toporowskiego odsłania nam wiele takich stron zjawiska, które rzadko przychodzą na myśl współczesnym miłośnikom poezji Puszkina w Polsce. Tutaj dane bibliograficzne mają swoją wymowę. Nie tylko stosunkowo najbliższe i najżywsze literacko w Mickiewiczowskich czasach Kresy są miejscem ukazania się przekładów poezji Puszkina, ale w równym stopniu Warszawa, a także Kraków. Obrazuje to szeroki zasięg zainteresowań poezją Puszkina u nas. Prowincja jest żyznym gruntem, na którym wyrosło wiele wczesnych przekładów Puszkina. Czytamy u Toporowskiego tytuły pism prowincjonalnych, czytamy naiwne tytuły prowincjonalnych zbiorków poetyckich, gdzie Puszkin znajdował się wśród wierszy autorów, którzy nie doczekali się nieśmiertelności: Ondyna druskiennickich źródeł, Niezapominajki Ukraińca —

oto liczne strumyczki, którymi obficie płynęła do Polski wielka poezja Puszkinowska. Zapewne, znane nazwiska poetów — tłumaczy Puszkina z plejady Mickiewiczowskiej, wzór samego Mickiewicza, szerzy imię rosyjskiego poety w Polsce z większą siłą, niż czynili to mniej znakomici lecz liczni jego wielbiciele — ale i ich publikacje miały pewne znaczenie. Miały one swoją szeroką wymowę społeczną. Pełny, ciekawy obraz zasięgu tych zainteresowań odczytujemy z zapisków bibliografa, który wyłowił pozycje zawieruszone w pamięci, rozsiane w czasie i miejscu.

Jednym z najbardziej wzruszających zjawisk tej „topografii" puszkinianów polskich jest fakt, że najdalej dotarły one na fali rewolucyjnych ruchów polskich. We Wrocławiu w 1841 r. radykalny dziennikarz i żołnierz powstania 1830 r., Piotr Dahlmann, ogłasza swój wiersz do Puszkina — szermierza wolności; w więzieniu szlisselburskim powstały przekłady Szwarcego, członka Centralnego Komitetu Narodowego z 1863 r., na zesłaniu w Tyflisie przekładał Jeńca kaukaskiego. Janiszewski — komentator opowiada nam dramatyczne dzieje tego ściganego przez cenzurę carską przekładu, który ocalał jednak, a został zniszczony dopiero przez hilterowców — razem z Warszawą.

Z przykładów tych widać, jaką rolę odgrywa w książce komentarz, który w zwięzłych słowach informacji, oceny, sprostowania, polemiki, a czasem nawet anegdoty wydobywa najbardziej charakterystyczne i godne uwagi rysy obrazu. Dzięki tym marginesowym na pozór uwagom, w których autor dzieli się z czytelnikiem częścią swojej wiedzy o „skatalogowanych" pozycjach, które są jak najdalsze od „profesorskiej nudy" — książka jest lekturą naprawdę zajmującą, obraz dziejów Puszkina w Polsce ma barwy życia.

Przyczyniają się do tego w ogromnej mierze przytaczane „na próbę" cytaty demonstrujące charakter i wartość danej publikacji. Jeśli idzie o dział polskiej krytyki i puszkinologii — to cytaty zazwyczaj sumują wniosek, ocenę danego autora, w jakim stopniu jego stanowisko wnosi coś istotnego dziś dla nas do poglądów na poetę w naszym społeczeństwie, w jakim stopniu stawia w sposób ciekawy jakiś problem. Znajdziemy tu interesujące cytaty poczynając od prac Kirkora, Brücknera — aż do Żółkiewskiego. Czasami komentarz podejmuje konieczną polemikę z twierdzeniami badaczy (np. prace z okresu międzywojennego).

W dziale przekładów cytaty unaoczniają doskonalenie się techniki przekładu. Czytając książkę Toporowskiego możemy porównywać kolejne przekłady tego samego fragmentu (np. początek Oniegina, Pismo na Sybir, początek Cyganów, Prorok). Czytelnicy Tuwimowskiego i Ważykowskiego Oniegina przeczytają z zainteresowaniem strofy dobrego, dziewiętnastowiecznego przekładu Oniegina z datą 1837 r., tłumaczonego przez B. Dołęgę—Jurkiewicza (poz. 46). Bawią przytoczone jako *curiosum* nieudałe próby A. Sikorskiego (poz. 59), Wł. Stankiewicza (poz. 120), W niejednym zaś z przytoczonych staroświeckich przekładów „czytelnik odkryje swoisty urok zmiennych gustów epoki", jak powiada słusznie we wstępie Toporowski.

Cytując zwraca wreszcie bibliograf uwagę na pozycje cenne a zapomniane, czasem nawet nie drukowane, starsze i nowsze. Przykładem jest dobry tłumacz liryki Puszkinowskiej w XIX w., wydobyty przez Toporowskiego z zapomnienia, I. Zenowicz. Zapoznajemy się z książki Toporowskiego z bardzo ciekawymi przekładami rewolucjonisty Bronisława Szwarcego. Szwarce tłumaczył wiersze polityczne, wolnościowe.

Bije z tych przekładów siła pasji politycznej, nie skruszonej w więzieniu Szlisselburga i na zesłaniu. Mój rodowód w przekładzie Szwarcego godzi się porównać z przekładem Tuwimowskim (uwzględniając oczywiście różnicę czasu powstania). Tłumaczenie Szwarcego jest bardzo interesujące w swojej śmiałej, radykalnie demokratycznej interpretacji tekstu Puszkinowskiego i porywa nawet dziś czytelnika bojową postawą, pointą, sarkazmem:

Ruskich pismaków tłuszcza mściwa
Z kolegi jadowicie drwi,
Arystokratą mię nazywa —
Ach co za bzdurstwo, wierzcie mi!

Jam mało znany rymotwórca,
Puszkin, nie Musin, jam bez win,
Wolny, nie lokaj z carów dworca —
Jam człek piśmienny, ludu syn.
(poz. 348).

Z nowszych rękopisów pokazuje nam Toporowski przekład wiersza Anczar pióra J. K. Weintrauba, napisany w r. 1943. Na podstawie zacytowanej strofy można przypuszczać, że przekład przewyższa drukowane dotąd tłumaczenia:

Pośród pustyni aż do dna
płomieniem skwaru przepalonej,
jak groźny strażnik Anczar trwa,
samotnie w wszechświat wyniesiony...

(poz. 352a).

Czytelnik zapoznaje sie z pozostałym w rękopisie wybitnym przekładem Lieberta Mozarta i Salieriego; przypomina sobie, że i Broniewski przełożył wiersz *W prochładie sładostnoj fontanow* (w przekładzie powieści L. Grossmana o Puszkinie, 1937 r.) Słowem, anatologia próbek przekładów jest zarówno pożyteczna jak ciekawa i stanowi wielką atrakcję książki.

Teoria i problematyka przekładu poetyckiego w Polsce pokazana jest w wypisach bardzo interesująco. Na wstępie drogi rozwojowej naszych przekładów z poezji rosyjskiej w wieku XIX sto wymagająca recenzja Mickiewicza przekładach utworów Dmitrijewa i Puszkina, recenzja, której autorstwo ustalono zaledwie przed paru laty.

Słusznie podkreśla komentator znaczenie nie zaspokajającego dzisiaj, ale przecie ogromnie zasłużonego dla popularyzacji poezji Puszkinowskiej przekładu Oniegina przez Belmonta a słup milowy widzi w Tuwimowskie Lutni Puszkina, której pierwszorzędne znaczenie dostrzega nie w tym, że była nieprześcigniona, lecz w tym, że pobudziła najwybitniejsze piór do rywalizacji o coraz większą doskonałość i nowoczesność przekładu.

Cytata z artykułu Ważyka o strofie Oniegina przypomina czytelnikowi najbardziej nowoczesne sformułowania zagadnień przekładu poezji Puszkinowskiej. Problematyka przekładu staje przed nami w najbardziej frapujących punktach rozwoju.

Warsztat tłumaczy współczesnych został pokazany o tyle, o ile to się dało zrobić w ramach wydawnictwa tego rodzaju: umieszczono co najmniej po jednym przekładzie wybitniejszych, płodniejszych tłumaczy. Nie byłoby słuszne stawiać w tym dziale bibliografii postulaty, jakie można stawiać specjalnym antologiom. Mimo to można żałować, że ten lub ów autor jest zbyt skromnie reprezentowany lub pominięty (np. Słobodnik, Okołów-Podhorski), inny znów nadmiernie wysunięty. Można by żałować, że przytoczywszy nienajlepszy przekład Ważewskiej wiersza D. A. P. Kerz, wyróżniony na przedwojennym konkursie Związku Literatów Polskich nie cytuje Toporowski przekładu tego samego wiersza przez Polaka, choć słusznie kwalifikuje go j

ko najlepszy z dotychczasowych. Że z przekładów Ważyka przytacza tylko Oniegina, a nie pokazuje próbki jego przekładów utworów lirycznych, choć niektóre z nich reprezentują w tej chwili najwyższe osiągnięcia w tej dziedzinie.

Nie można jednak przy tym zapominać, że celem cytowania tych próbek była nie tylko wartość przekładu, lecz przede wszystkim ukazanie, jak wszechstronnie jest reprezentowana twórczość Puszkinowska, jej najważniejsze motywy w polskich przekładach. Otóż ten cel został osiągnięty.

Cytując od najdawniejszych dat przekłady takich utworów, jak Pismo na Sybir, oda Wolność, Sztylet, Prorok, Wieś, Pomnik — wydobywa Toporowski na jaw ciekawy rys kształtowania się stosunku społeczeństwa polskiego do Puszkina. O wspaniałą twórczość rosyjskiego poety toczył się — za jego życia i po śmierci — zajadły spór między reakcją i postępem. U wielu entuzjastów i tłumaczów poezji Puszkina w Polsce znajdziemy trafne przeniknięcie istoty rzeczy: przekonanie, że poezja Puszkina jest poezją wolnościową, głęboko humanistyczną. Polski zesłaniec w Nerczyńsku lepi z chleba popiersie Puszkina, więzień Szlisselburga, Szwarce, przekłada wolnościowe utwory poety rosyjskiego — oto wspaniałe przykłady, jak mimo wszelkich przeszkód realizuje się solidarność ludzi postępu na całym świecie. Ci rozumieli Puszkina i umieli odczytać w nim to, co najlepsze i najprawdziwiej świadczyło o poecie. Umieli to odczytać, tak samo, jak umiał odczytać Mickiewicz w głębokich słowach swego nekrologu o Puszkinie: „Wady jego zdawały się zależeć od okoliczności i od społeczeństwa, w którym żył, ale co było dobrego w nim, z własnego jego pochodziło serca". Dlatego tak wzruszają czytelnika pokazane przez Toporowskiego staroświeckie, naiwne w formie, ale gorące wiersze polskich literatów, którzy czcili Puszkina tak szczerze za humanizm jego twórczości, za jej idee wolnościowe, szczególnie silne w młodzieńczych, rewolucyjnych utworach.

Wiersze Jaszowskiego (390), Dahlmanna (401), Sołtyka-Romańskiego (448), są wyrazem tych uczuć. Podziwiamy trafność przypomnianej przez Toporowskiego świetnej, lapidarnej formułki Słowackiego w Beniowskim o dwóch językach ówczesnej Rosji: języku rosyjskiej reakcji i języku przodującej rosyjskiej poezji. Wspaniały wiersz Lermontowa na śmierć Puszkina, jeden z najbardziej dramatycznych momentów walki sił postępowych o imię wielkiego poety — miał u nas przed 1914 r. aż cztery przekłady. Ten fakt pokazuje, jak wielką rolę odgrywały czynniki świadomości postępowej w stosunku społeczeństwa polskiego do poezji Puszkina.

Obraz drogi Puszkina w Polsce przedstawiony przez Toporowskiego należy uznać za trafny, bardzo ciekawy i wszechstronny. Jakże interesujący jest np. fakt, że bojowy wiersz rosyjskiego rewolucjonisty i poety Bogoraza, wiersz, w którym broni on ostro imienia Puszkina przed przywłaszczaniem go sobie przez reakcjonistów — został natychmiast przetłumaczony na polski. Ze względu na wymowę tego dokumentu zacytuję tu fragment za Toporowskim:

Rozbójnikom pióra

...Kiedy zginął poeta, nie było was jeszcze,
Ale zgon ów sprawiły takie same ręce
I wasi to ojcowie te sieci złowieszcze
Dniem i nocą splatali, w których zginął w męce.

I wasi to ojcowie jako psy go szczuli,
Ze szczekaniem szli wszędy, kędy szedł wygnaniec,
I w mroku ciosem zdradnym na śmierć go zakłuli
Zmęczonego zagnawszy na przepaści kraniec.
...Dla nas drogim jest pieśniarz, co na harfie złotej
Grał ziemi i dźwiękami mógł dusze czarować.
I wiek nasz młodociany uczył swymi wzloty
Wieczne dobro i piękno kochać i pojmować.
(poz. 537)

Tych przykładów starczy, by pokazać, jak interesujący materiał przynosi zarys bibliograficzno-literacki Toporowskiego. Ciekawostki i polonica biograficzne (cytaty ze wspomnień rodziny Puszkina zamieszkałej w Warszawie, szczególiki podawane przez Odyńca, echa śmierci Puszkina w relacji polskich magnatów i reakcjonistów, obraz tragedii poety widziany oczyma plotkarskiego doktora Morawskiego) — stwarzają żywe tło „bibliotecznych" i literackich dziejów Puszkina w Polsce.

Na zakończenie kilka uwag co do metody i szczegółów wykonania bibliografii.

Komentarz bardzo żywy i atrakcyjny, bogaty informacyjnie, nie został jednak w tym samym stopniu zastosowany do wszystkich pozycji, które by tego wymagały. Daje się to odczuć również dlatego, że komentarz ten w zwięzłej i rzeczowej formie umiał dobrze zmieścić właściwe naświetlenie i ocenę wymienianych dzieł. Dlatego też jako lukę odczuwa się brak komentarza przy takich pozycjach jak Tretiak i Spasowicz. Tyle co do komentarza w dziele krytyki i puszkinologii. Jeśli mowa o komentarzu do pozycyj przekładowych, to sprowadza się o w książce Toporowskiego do ocen wartości przekładu. Jeżeli ocenę popier cytata, taki komentarz jest wystarcza jący. Tam, gdzie cytaty nie ma — są może się wydać gołosłowny (np. ujemn ocena przekładów Chylińskiego zawar ta w dwóch słowach). Może lepiej wię było unikać takich nie motywowanyc ocen, skoro i tak nie wszędzie ocen te zamieszczono. Jasne zresztą, że roz miar i funkcja książki nie pozwalał na ocenianie i motywowanie oce wszystkich przekładów. Nie bu dzi zastrzeżeń zasada, że bibliogra komentuje pozycje wybitniejsze lu charakterystyczne, ewentualnie odnoto wuje *curiosa*. Powstaje jednak pewn niekonsekwencja: brak komentarza ni zawsze oznacza, że przekładowi bra zalet (np. Odyniec i inni). Komentar więc nie pretenduje do wyczerpani sprawy czy ustalenia hierarchii.

Janina Preger

DYMITR FURMANOW: *Czapajew*. Mi nisterstwo Obrony Narodowej, War szawa, 1951; str. 276.

Zarówno dzieje nauki jak i dziej sztuki, dzieje literatury nie znają ar jednego wypadku powstania utwor prawdziwie wielkiego i niepowtarzal nego, utworu o wartościach nie prze mijających, który nie stanowiłby owoc długiej, żmudnej i wytężonej pracy Czas nie jest tu czynnikiem jedynym A już na pewno nie jest czynnikier decydującym czas bezpośrednio poświę cony pracy nad określonym dziełem Istotą rzeczy jest ciągłość wysiłku i je go napięcie, stałe, najwyższe natężeni pracy, skoncentrowanie się na nie bez reszty. W tym znaczeniu każd wielkie dzieło jest dziełem całego ży cia artysty, jest wynikiem wszystkic jego doświadczeń i doznań, wszystkic jego przemyśleń.

„Słowo — to ubiór wszystkich faktów i wszystkich myśli" — mówił Gorki i domagał się od pisarzy, by stawiali sobie wymagania najwyższe, nieubłagane, by nie ustawali w samokrytyce i nieprzerwanie sprawdzali i poprawiali wydane już utwory. A takie postępowanie uważał za najistotniejszą różnicę, dzielącą „prawdziwego artystę słowa od zadowolonych z siebie miernot".

„Kiedy forma jest wyrazem treści — pisał Bieliński — wiąże się z nią tak ściśle, że oddzielenie jej od treści jest równoznaczne z treści tej unicestwieniem; i odwrotnie — oddzielenie treści od formy jest równoznaczne z unicestwieniem formy". Teza ta — o nierozerwalności treści i formy i niezmiernej doniosłości ich wzajemnego oddziaływania na siebie — stanowi, wraz z postulatem nieustannej pracy, podstawową przesłankę i założenie w walce podjętej przez pisarzy radzieckich o poziom języka, o poziom twórczości artystycznej.

* * *

Dla zilustrowania tezy o doniosłości roli pracy, poświęćmy — w ślad za krytyką radziecką — chwilę uwagi metodyce powstawania jednego z klasycznych dziś już dzieł literatury ZSRR — C z a p a j e w a D. Furmanowa *). Przykład ten jest o tyle dogodny, że powieść Furmanowa była pisana w zaraniu tworzenia się realizmu socjalistycznego i autor szedł drogą jeszcze nie utorowaną, że jest dziełem wielkiego, prawdziwego talentu, a wreszcie dlatego, że Furmanow pozostawił po sobie dziennik, stanowiący znakomite źródło badań nad powstawaniem dzieła literackiego.

Tym, co rzuca się w oczy przede wszystkim przy studiowaniu tych zapisków i co wyjaśnia, w jaki sposób Furmanow osiągnął w swym utworze niemal skończoną doskonałość, jest ogrom włożonej przez autora pracy.

Wiadomo, że Furmanow tworzył postać swego bohatera z autopsji, z bezpośredniej obserwacji. Przez pół roku z górą Furmanow przebywał w dywizji, którą dowodził Czapajew, brał udział we wszystkich bitwach i pozyskał sobie przyjaźń i zaufanie legendarnego dowódcy. Ale bezpośrednie swoje spostrzeżenia Furmanow przetworzył w świetle wniosków, jakich dostarczyło mu przyjrzenie się z bliska wydarzeniom wojny domowej, i obraz Czapajewa, jaki widzimy w książce, nic nie tracąc ze swej prawdy i konkretności — jest obrazem zbiorowym, utypizowanym i upoetycznionym, obrazem nowego człowieka, człowieka rewolucji.

Jest regułą niemal powszechną, że pisarz, a zwłaszcza pisarz realistyczny, tworząc swe postacie opiera się na pierwowzorach. Ale tylko w utworach niechlujnie i naprędce pisanych pierwowzór jest widoczny i łatwy do odcyfrowania. W utworach pogłębionych pracą twórczą prototyp ulega przeistoczeniu i zanikowi. Sytuacja jest inna, gdy pierwowzorem jest postać historyczna, trudności odmienne, ale z pewnością nie mniejsze. Tradycja narzuca romantyzowanie bohatera takiego, jakim był Czapajew. „Czy mam dać Czapajewa rzeczywistego — notował Furmanow — z grzeszkami i drobiazgami, z trzewiami? Czy też, jak to przyjęto czynić, dać postać fantastyczną, czyli barwną, ale pod wieloma względami skastrowaną?"

Pisarz przychylił się do koncepcji pierwszej. Ale realizm tej koncepcji daleki jest od fotograficznego naturalizmu. Stąd olbrzymia praca myśli

---

*) W r. b. przypada 25-lecie śmierci pisarza.

i wysiłku artystycznego, jaka zalega między doznaniami artysty, skrzętnie notowanymi w jego dzienniku, a ostatecznym ujęciem powieści.

„W postaci Czapajewa — pisze Furmanow — odbiły się jak w zwierciadle podstawowe cechy żołnierzy-partyzantów, ich bezgraniczna odwaga, gotowość bojowa i wytrwałość, a zarazem i nieuchronne okrucieństwo i surowość obyczajów". Czapajew to „nieodrodny syn ludu, który przy tym zadziwiająco łączy w sobie właściwości rozproszone w usposobieniu, charakterze i indywidualności jego podkomendnych". W ten sposób powstał bohater zachowujący wszystkie rysy swej własnej osobowości, a zarazem taki, w którym każdy żołnierz widział to wszystko, z czego był dumny, czym się szczycił. Po raz pierwszy bodaj w literaturze rewolucyjne masy ludu znalazły swe wcielenie w postaci głównego bohatera, wysunęły się na plan pierwszy.

Furmanow stale ukazuje Czapajewa w najściślejszym związku ze środowiskiem, wśród którego działa. Podwładni dowódcy i żołnierze, napotykani chłopi, słowem — masy ludowe, nie są tylko odległym, malowniczym tłem, ale stanowią wszechobecny współczynnik eposu wojny rewolucyjnej, żywy, widzialny, dotykalny niejako organizm społeczny. Ta metoda pisarska jest prawdziwie realistyczna i prawdziwie socjalistyczna, jej zastosowanie stanowi wielki wkład Furmanowa w budowę podwalin realizmu socjalistycznego.

Ale urzeczywistnienie tej metody nie przyszło pisarzowi łatwo. Wymagało głębokich namysłów nad każdym aspektem dzieła, wymagało olbrzymiej pracy, dokonywanej na długo przed przystąpieniem do ostatecznej fazy aktu twórczego — właściwego pisania powieści.

Furmanow notuje: „Chwieję się jak źdźbło trawy. Wsłuchuję się chciwie we wszystko... O wielu rzeczach nie wiem jeszcze, co z nich wyniknie. Wciąż jeszcze nie przystąpiłem do pisania. Ogarnął mnie zbożny strach, poczucie czegoś uroczystego. Przygotowuję się. Tak w odległym dzieciństwie długimi postami, biciem pokłonów o ziemię, pokorą i skupieniem, podczas nocy bezsennych i we łzach przygotowywałem się na przyjęcie „świętych tajemnic".

Furmanow, bezpośredni uczestnik opisywanych przez siebie wydarzeń, mimo to pilnie studiuje wszelki materiał dotyczący tych czasów i wypadków. Bada i analizuje wszystkie, najdrobniejsze nawet rysy charakterystyczne epoki, przesiaduje w redakcji Izwiestii wertując numery gazet i czasopism, by nie pominąć niczego. „Nuż bowiem natrafię na coś, o czym jeszcze nie pomyślałem, czego istnienia nawet nie podejrzewałem".

Pisarz grupuje i segreguje zebrany materiał, kompozycja powieści kształtuje się w jego umyśle stopniowo, partiami; coraz bardziej wyraziste stają się zarysy poszczególnych postaci, coraz głębiej wczuwa się autor w głównego bohatera. „Spędzam z nim całe długie, bezsenne noce, rozmyślam dużo, często, nieprzerwanie: chodząc, siedząc przy stole, a nawet podczas pracy. Umiłowany Czapajew nie opuszcza mnie ani na chwilę".

To wżywanie się pisarza w postać bohatera, zespalanie się z nim, doprowadzanie do tego, że bohater staje się częścią własnego „ja" pisarza, że twórca przeżywa swego bohatera — to właśnie jest ów proces twórczy, dzięki któremu, później, czytelnik doznaje tych samych uczuć, dochodzi do tych samych myśli i idei, przeżywa i poznaje tę samą rzeczywistość, jaka nurtowała duszę artysty wówczas, kiedy rodził się w niej utwór. Więcej nawet. Czytelnik poznaje nie tylko zewnętrz-

ny kształt, nie tylko mechaniczne zestawienie wielorakiej treści wewnętrznej tej rzeczywistości, ale i jej istotę, jej najgłębszy ogólny sens, wydobyty przez twórcę, poznaje prawdę życia, prześwietloną i uwydatnioną przez wyobraźnię poetycką autora.

Teraz dopiero następuje akt drugi — nadawanie dziełu formy literackiej, wykuwanie go w materiale języka, dobywanie z ton rudy słownej owych gramów radu, o których pisał Majakowski. Każdy wyraz, każde określenie, każde porównanie Furmanow dobiera z dokładnością niezwykłą, jak szlifierz precyzyjnych instrumentów, jak mozaikarz najdoskonalszy. I migawkowe zdjęcia, utrwalone w notatkach, nabierają głębi i perspektywy, przekształcają się w obrazy batalistyczne. Ze szkiców powstają portrety; więcej niż portrety — powstają żywi ludzie, w których pulsuje krew i wrą namiętności. Dynamika akcji oddaje dramatyczność wydarzeń, ukazuje ich patos, patos Rewolucji.

Bohaterem Czapajewa jest lud, łącznie z postacią naczelną, która jest wcieleniem najznamienniejszych cech zrewoltowanego ludu. Toteż utwór swój Furmanow przesyca epiką ludową. Nie tylko poszczególne postacie posługują się mową taką, jaką posługuje się lud. Ludowość tętni także w opisach i krajobrazach, w których brzmi śpiewna i rozlewna, liryczna tonacja pieśni ludowej: „A wiatr chodzi po stepie i wzdycha, leci i pachnie i zimnem obmywa, chodzi nad białymi śniegami, chodzi nad śnieżystą pustacią, przepada w modrym niebie marcowego poranka".

Nadaje to całemu utworowi barwę swoistą i jest pośrednim, ale istotnym środkiem uwypuklenia charakteru zarówno samego Czapajewa, jak i całej epopei. W liście do Gorkiego Furmanow pisał: „nie uważam tych książek (Czapajew i Bunt) za utwory czysto literackie w dawnym, potocznym znaczeniu tego terminu, za powieść czy opowiadanie. Stąd też i niezwyczajna ich forma, gdyż zawarte są tam dokumenty, depesze, odezwy itd. Pisałem rzecz historyczną, przepracowaną naukowo, a podałem ją w formie literackiej".

Już po wydaniu swych dzieł Furmanow nadal pracował nad ich językiem cyzelując go i doskonaląc. Zdołał poprawić sto stron Czapajewa, gdy dalszą pracę przerwała przedwczesna śmierć pisarza.

* * *

Metoda pisarska Furmanowa jest w całokształcie swym nowa. Ale niektóre ważkie jej elementy, a w szczególności ogrom wysiłku, ogrom włożonej pracy i dbałość o język mają swą tradycję w sposobie powstawania wszystkich wielkich pomników literatury. Przypomniał o tym niedawno Aleksander Fadiejew, gdy na wielkim zebraniu publicznym pisarzy moskiewskich przytoczył szereg fragmentów z notatek Lwa Tołstoja, wskazujących na bezmiar nieustannej pracy, dokonywanej przez tytana i arcygeniusza prozy, na jego ciągłe wprawianie się we władaniu językiem — narzędziem tak posłusznym temu, kto życie swe na to poświęciwszy, zbadał wszystkie jego tajniki, a tak opornym wobec dyletanta, tak boleśnie nieraz kaleczącym rękę, która targnie się nań niedbałym i świętokradczo wzgardliwym gestem.

Rozważając przyczyny braków językowych, jakie wciąż jeszcze dostrzec można w utworach literatów radzieckich, Fadiejew domaga się od nich bezbłędnej i doskonałej znajomości gramatyki, domaga się rozległej i gruntownej znajomości literatury klasycznej, domaga się źródłowej i dokładnej zna-

jomości mowy ludu, a przede wszystkim — zawsze i stale — pracy. Bo literatura to praca — mówi Fadiejew — a przy tym praca trudna i zawiła. Nie można do niej przystąpić nie mając za sobą bogatych zasobów nagromadzonych doświadczeń. Długotrwałą pracą autor musi osiągnąć mistrzostwo, zanim przystąpi do samego pisania utworu. Zdanie trzeba budować. Zdanie napisane od ręki jest rzadko kiedy udane. Trzeba je przebudowywać, trzeba szukać słów, szukać ich właściwego miejsca, aby uzyskać zdanie godne tej nazwy. Na tym polega praca. Wszystko jest dobre, gdy znajdzie się na swoim miejscu. Lecz znalezienie tego miejsca — to trudność największa. A chcąc je znaleźć należy pamiętać, że mowa nasza — Fadiejew ma na myśli mowę pisarza — jest mową doborową, mową organizowaną. Oto istota rzeczy.

Julian Stawiński

MIKOŁAJ OSTROWSKI: *Zrodzeni z burzy*, powieść, przełożył z rosyjskiego Jan Kret, Prasa Wojskowa, Warszawa, str. 240.

Któż z czytelników Jak hartowała się stal nie pamięta zakończenia tej powieści, kiedy to Korczagin-Ostrowski odcięty od świata ślepotą, storturowany wielokrotnymi operacjami, uznany za całkowicie niezdolnego do jakiejkolwiek pracy — niezgięcie postanawia „wrócić do szeregów budowniczych nowego życia". Tym razem jako pisarz. „Jutro — wyjaśnia jednemu z przyjaciół — przyniosą mi szablon wykrojony z tektury. Bez niego nie byłbym w stanie pisać: linie wchodziłyby jedna na drugą. Długo szukałem wyjścia i znalazłem — wycięte z tektury pasy nie pozwolą memu ołówkowi wysuwać się z ramek prostej linii. Pisać nie widząc, co się pisze, to rzecz trudna, lecz nie niemożliwa. Przekonałem się o tym. Długo nic z tego nie wychodziło, lecz obecnie zacząłem pisać powoli, starannie wodząc każdą literę — i wychodzi dość dobrze". W takich warunkach powstawała pierwsza powieść Ostrowskiego Zrodzeni z burzy (tytuł oryginału: *Rozdennyje burej)* — wydana ostatnio w przekładzie polskim.

„Począwszy od tego dnia całe jego życie (tj. Ostrowskiego) było nastawione na pisanie powieści. Powoli, linia po linii rodziły się stronice. Zapomniał o wszystkim pochłonięty swoją wizją i po raz pierwszy przeżywał męki tworzenia, nadaremnie usiłując przelać na papier jaskrawe, niezapomniane obrazy, które tak wyraźnie odczuwał, gdy tymczasem napisane słowa wychodziły blade, pozbawione ognia i żaru. Wszystko, co pisał, musiał pamiętać słowo w słowo. Utrata wątku hamowała pracę. W procesie pisania z pamięci musiał recytować całe stronice, a niekiedy nawet całe rozdziały..." Po sześciu miesiącach codziennego, ośmiogodzinnego wysiłku, trzy pierwsze rozdziały zamierzonej powieści były ukończone. Ostrowski posyła je do Odessy aby starzy towarzysze z dywizji Kotowskiego ocenili jego pracę. Wkrótce otrzymuje list z oceną pozytywną, lecz sam rękopis w powrotnej drodze ginie na poczcie. Jest to jedyny egzemplarz i olbrzymi trud pisarza idzie na marne. Ale Ostrowski-Korczagin nie załamuje się: zabiera się do odtworzenia zaginionych fragmentów i po upływie półtora miesiąca ma już z powrotem w teczce pierwszy rozdział. Wykończony rękopis wysyła do wydziału kulturalno-propagandowego okręgowego komitetu partii w Leningradzie do oceny i — w razie uzyskania „prawa do życia" — przekazania wydawnictwu. Rozpoczynają się długie tygodnie wyczekiwania na „wyrok".

„Po wielu dniach, gdy oczekiwanie stawało się już nie do zniesienia, matka zdenerwowana nie mniej od syna zawołała wchodząc do pokoju: — Poczta z Leningradu!!! — Był to telegram z okręgowego komitetu partii. Kilka urywanych zdań na blankiecie: „Powieść spotkała się z gorącą aprobatą. Przystępujemy do druku. Winszujemy zwycięstwa". Korczagin czuł przyśpieszone bicie serca. Nareszcie marzenie stało się rzeczywistością! Żelazny pierścień został rozerwany, i oto znów — uzbrojony w nowy oręż — wraca do życia i walczących szeregów". Tymi słowami kończy się Jak hartowała się stal — powieść, której znaczenie dla rozwoju literatury radzieckiej polega na tym, że stworzyła ona urzekający i realistyczny wizerunek bohatera — bolszewika o cechach typowych, pełnych obiektywnej prawdy. Była to głęboko prawdziwa ideowo i artystycznie opowieść o narodzinach nowego człowieka, człowieka ustroju socjalistycznego, ilustracja tezy Lenina o dojrzewaniu nowego typu człowieka w ogniu rewolucji. Oportuniści z II Międzynarodówki jako jeden z dogmatów teoretycznych wysuwali i wysuwają nadal twierdzenie, że proletariat nie może utrzymać władzy, jeśli nie rozporządza dostateczną ilością gotowych kadr kulturalnych oraz administratorów, zdolnych do zorganizowania zarządu krajem — należy najpierw wyszkolić te kadry w warunkach kapitalistycznych, a potem dopiero sięgać po władzę. „Przypuśćmy, że tak — odpowiadał Lenin — ale dlaczego nie można pokierować sprawą w ten sposób, żeby najpierw wziąć władzę, stworzyć warunki sprzyjające rozwojowi proletariatu, a potem — ruszyć naprzód siedmiomilowymi krokami, aby podnieść poziom kulturalny mas pracujących, wyszkolić liczne kadry kierowników i administratorów spośród robotników?" Stalin przytaczając te słowa Lenina dodawał w r. 1924: „Czyż praktyka Rosji nie wykazała, że w warunkach władzy proletariackiej kadry kierowników spośród klasy robotniczej rosną stokroć prędzej i gruntowniej aniżeli pod władzą kapitału? Czyż nie jest rzeczą jasną, że praktyka rewolucyjnej walki mas niemiłosiernie obala i ten teoretyczny dogmat oportunistów?" (Zagadnienia leninizmu, 1947, str. 17).

Warto czytać Jak hartowała się stal mając w pamięci powyższe słowa — całe życie Pawki Korczagina i jego pokolenia staje się wtedy wspaniałą ilustracją słuszności genialnych twierdzeń Lenina. Kiedy poznajemy małego Pawkę, na pierwszych kartach powieści, jest on uczniem szkoły powszechnej. Ale dla proletariackiego chłopca, którego brat, Artiem, jest ślusarzem w warsztatach kolejowych w Szepietówce, dalsza nauka w szkole w warunkach carskiego ustroju była niemożliwa. Mały Korczagin rychło musi opuścić mury szkolne i dalszy etap swej drogi życiowej przebywa jako chłopak palący pod kotłem w zmywalni w bufecie dworcowym. Instynkt klasowy pcha go wszelako w stronę klasy robotniczej, na wzór brata pragnie zostać wykwalifikowanym robotnikiem. I czyż nie można zaryzykować stwierdzenia, że gdyby nie Rewolucja Październikowa, osiągnięcie stanowiska palacza w elektrowni byłoby dla Pawki Korczagina szczytem jego życiowej kariery? Dopiero lata wojny domowej i interwencji zbrojnej państw imperialistycznych, lata objęcia władzy przez partię bolszewicką — otwierają przed tysiącami młodych Korczaginów drogi awansu społecznego. Z nieznanych dotąd nikomu młodych proletariuszy wyrastają aktywni członkowie Komsomołu, tacy jak Żarki, Okuniew, Akim, Pankra-

tow. Kończy się wojna, przychodzi okres budownictwa pokojowego. Byli żołnierze frontowi zasiadają nad książkami. Kiedy Korczagin wraca po dłuższym czasie do swego okręgu jeden z przyjaciół tymi słowy informuje go o zaszłych zmianach: „Tak, Pawłusza, mnóstwo ludzi pchnęła ostatnio partia do nauki. W gubernialnej szkole partyjnej cały stary aktyw ślęczy nad książkami". Oto droga, którą szedł do światowej literatury pisarz wychowany przez partię bolszewicką i Komsomoł — Mikołaj Ostrowski.

W Zrodzonych z burzy wraca Ostrowski pamięcią do swych lat młodzieńczych, by przekazać czytelnikom wizję pamiętnego końca roku 1918 na Ukrainie. Kaizerowskie Niemcy i cesarsko-królewskie Austro-Węgry wycieńczone długą wojną i zagrożone wewnętrzną rewolucją skapitulowały przed państwami Ententy, tym samym dotąd przez nie okupowane zachodnie tereny byłej carskiej Rosji znalazły się chwilowo bez władzy. Sprawa wyglądała tak: albo elementy nacjonalistyczno-burżuazyjne poparte przez interwentów lądujących tymczasem na Zakaukaziu i w Odessie obejmą rządy, żelazną ręką tłumiąc wszelki ruch rewolucyjny, albo też masy robotnicze i biedno-chłopskie kierowane przez partię bolszewicką, poparte przez istniejącą na terenach centralnej Rosji Władzę Radziecką, wystąpią do walki, do zbrojnego powstania, by nie dopuścić do władzy obrońców starego porządku społecznego kryjących swe prawdziwe dążenia pod płaszczykiem „patriotycznych" frazesów. Ostrowski ukazuje obie walczące strony. Oto hrabia Edward Mogilnicki, były pułkownik rosyjski a potem francuski, wraca podczas trwającej jeszcze wojny potajemnie z Francji do swych majątków leżących na Wołyniu, na granicy b. Austro-Węgier i carskiej Rosji, by w porozumieniu z działającą na tych terenach piłsudczykowską Polską Organizacją Wojskową w odpowiednim momencie przechwycić władzę z rąk Niemców. Wokół niego skupiają się wszyscy, których przerażają perspektywy objęcia władzy przez lud: właściciele okolicznych majątków ziemskich, fabrykanci, duchowieństwo katolickie oraz przedstawiciele socjalistów z PPS. „Program" ich najlepiej ilustrują słowa hrabiego Potockiego: „My, Potoccy, a z nami Sanguszkowie, Radziwiłłowie, Zamoyscy, Tyszkiewicze, Braniccy — wszyscy, którzy są bogaci i znaczą coś w Polsce, a których majątki znajdują się tutaj na Ukrainie, my nie złożymy broni, dopóki nie zniszczymy wszystkich, co wyciągnęli chamskie ręce po nasze dobra! Tak, odetniemy te ręce razem z głowami!"

Tym wszystkim przeciwstawia Ostrowski robotników - rewolucjonistów, Polaków, Ukraińców, Żydów, Czechów i Rosjan. Na czele miejscowego Komitetu Rewolucyjnego stoi polski komunista, długoletni więzień carskiej Ochrany — Zygmunt Rajewski, jego najbliższym współpracownikiem jest Grzegorz Kowałło — robotnik ukraiński. W ogniu walki ze wspólnym wrogiem hartuje się jedność mas proletariackich. Robotnicy powstają do walki z legionistami Piłsudskiego i osiągają chwilowe sukcesy. Ale dzięki sprytnie zaaranżowanej prowokacji, magnaterii polskiej udaje się wciągnąć do walki żołnierzy niemieckich, którymi dowodzi junkierska kasta oficerska. Komuniści zostają rozbici, muszą opuścić miasto i wycofać się w lasy, nękani na domiar wszystkiego przez oddziały nacjonalistów ukraińskich spod znaku Petlury. Reakcji udaje się zatriumfować, ale młode pokolenie „zrodzonych z burzy" nie spocznie mimo klęski. Dwóch członków Komunistycznego Związku Młodzieży, Ukrainiec — Pta-

cha i Polak — Rajmund Rajewski, syn Zygmunta, odprowadzeni do więzienia przez żandarmerię, nie ugięli się pod razami kolb ani ciężarem klęski. Ptacha analizując błędy popełnione podczas walki mówi: „Przespaliśmy swój honor, Rajmundzie! A zęby wybili mi słusznie, żebym wiedział, z kim potańcować!...“

I właśnie na tym pełnym prawdy i artyzmu ukazaniu ludzi zrodzonych przez burzę polega nie przemijające znaczenie pierwszej książki Ostrowskiego. Można zauważyć i wytknąć autorowi pewną naiwność i schematyzm w opisywaniu polskiej magnaterii, ale sylwetki młodego Rajewskiego czy Ptachy, prawdziwe i żywe, pozwalają zapomnieć o tych niedociągnięciach. Dla nas Polaków Zrodzeni z burzy posiadają jeszcze szczególną wymowę — w powieści tej bowiem — jak słusznie pisze w przedmowie Roman Karst — „opada zasłona z wielkiego kłamstwa, jakim burżuazja karmiła za sanacji społeczeństwo polskie, i wyłania się prawda walki robotniczej o wolność i prawo do życia“. Przez dwadzieścia lat oglądaliśmy obraz lat 1918—20 przez zafałszowane okulary. Kazano nam wierzyć w kurzą krótkowzroczność i histeryczne biadolenie wołyńskiej szlachcianki, Zofii Kossak, zawarte w grubym tomisku wspomnień zatytułowanych patetycznie Pożoga. Prócz obłędnej nienawiści za wywłaszczenie i żalu po minionych bezpowrotnie „szczenięcych latach“ niczego więcej w tej książce i jej podobnych znaleźć nie można było. Ostrowski patrzy na ową walkę od drugiej strony barykady, od strony tych, którzy wypędzali ciemiężycieli, by potem na własnej ziemi zbudować ustrój sprawiedliwości społecznej.

Ludwik Grzeniewski

TEATR

PRAPREMIERA „GRZECHU“ ŻEROMSKIEGO

Grzech — 5-aktowa sztuka o tematyce „współczesnej“ (1897) — to pierwsza dramaturgiczna próba Żeromskiego. Za życia autor drukował tylko akt I (1899); aż do zeszłego roku nasze wiadomości o Grzechu ograniczały się do kilku wzmianek bibliograficzno - sprawozdawczych. Utwór, którego pierwodruk ukazał się ostatnio w t. XXII Pism, nie dochował się niestety w całości. Zginęła w rękopisie znaczna część piątego, ostatniego aktu. Sztuce brak jest końca — zresztą i większość zachowanego tekstu nie była przez Żeromskiego „autoryzowana“ w postaci książkowej, stąd pewne luki w motywacji i charakterystyce postaci, stąd chociażby epizodyczność całego aktu IV. Toteż wydobyty z zapomnienia Grzech stanowi zaledwie materiał dramaturgiczny.

Wprowadzenie „nowej“ sztuki Żeromskiego na scenę równało się konieczności krytycznego opracowania i uzupełnienia zachowanego tekstu. „Grać czy nie grać? — to pytanie w stosunku do Grzechu znaczyło właściwie: dopisywać, czy nie dopisywać?“ — stwierdza Leon Kruczkowski, inicjator pomysłu teatralnej realizacji utworu. Znakomity pisarz podjął się trudu dramaturgicznego opracowania Grzechu. Niecodzienność tej autorskiej „współpracy“ powiększa jeszcze fakt, iż, jak pisze Kruczkowski, „ostateczne ustalenie tekstu egzemplarza teatralnego dokonało się już w trakcie prób, we współpracy z reżyserem i zespołem ak-

torskim, na kolektywnym niejako warsztacie". Oceniając prapremierę Grzechu w warszawskim Teatrze Kameralnym trzeba stale pamiętać, jak dalece współtwórcza inwencja reżysera i inscenizatora widowiska, Bohdana Korzeniowskiego, wpłynęła na jego kształt ostateczny. Indywidualność reżysera zaważyła w wypadku Grzechu poważniej i w bardziej widoczny sposób na interpretacji utworu, niż to ma zwykle miejsce przy pracy nad sztukami posiadającymi tradycję inscenizacyjną, no i ustalony, ukanonizowany tekst.

Jeszcze jeden moment wpłynął na „niezwykłość zdarzenia teatralnego", jakim była prapremiera Grzechu. Widowisko pokazał nam Teatr Kameralny w dwóch obsadach aktorskich. Dwie całkowicie różne obsady przy jednakowej linii inscenizacyjnej, w ramach takiej samej oprawy plastycznej — to stwarza bardzo ciekawą i rzadko spotykaną okazję do zestawienia, wręcz eksperymentalnego, równoległych kreacji aktorskich.

Niedokończony i skazany przez Żeromskiego na zapomnienie Grzech — nie zasługiwał na zapomnienie. „W konstrukcji ludzkiego losu jest zawarta zawsze obiektywna ideologia powieści" — te słowa Kotta można w znacznym stopniu odnieść do losów Anny Jaskrowicz, bohaterki naszego dramatu. Pierwsze trzy akty to dzieje krzywdy Anny — dzieje jej domniemanego „grzechu". Żeromski z demaskatorską, głęboko humanistyczną pasją pokazuje istotne przyczyny wielkiej krzywdy, jakiej doznaje bohaterka, porzucona przez kochanka, wypędzona przez rodzinę z domu, spodziewająca się nieślubnego dziecka, pozbawiona najbardziej elementarnego zaopatrzenia materialnego. Krzywda Anny nie wynika ze złośliwości przypadku, nie jest to bynajmniej problem „wiecznego zła" tkwiącego w naturze ludzkiej; krzywdę Anny powoduje otoczenie: egoistyczne, moralnie gnijące otoczenie mieszczańskie. Większość sytuacji dramatycznych ma wyraźną motywację społeczną — Żeromski porusza się w pierwszych trzech aktach w granicach postawy realisty krytycznego. A nie zapominajmy, że Grzech powstał już w dekadenckim okresie upadku realizmu mieszczańskiego, gdy nawet u mistrzów realizmu, jak Ibsen, motywacja realistyczna załamuje się na rzecz symboliki. Należy stwierdzić, że Żeromski w Grzechu nie mitologizuje losu i motywów postępowania osób działających. Jeżeli pewnych śladów takiej postawy możemy się w Grzechu dopatrzyć, to raczej na peryferiach problematyki utworu, przede wszystkim w przejaskrawieniu erotycznego demonizmu postaci Zofii Parmen, demonizmu nie zawsze „rymującego" z jej drobnomieszczańskimi wymiarami. Fakt, że odepchnięta przez burżuazyjne środowisko Anna nie odchodzi z domu jako złamana, bezradna ofiara, lecz że rodzi się w niej bunt, świadczy również, że autor, mimo obecności w utworze pewnych elementów naturalistycznego pesymizmu, potrafił zachować postawę realisty. Żeromskiemu nie wystarczyło demaskatorskie pokazanie społecznego faktu krzywdy Anny, lecz zapytał też, co się z nią stanie dalej. O tym mówi zakończenie utworu, a raczej mówiło, bo brak właśnie części ostatniego aktu. Z tego, co się zachowało wiemy, że Anna nie poddała się, że „idzie w świat", że chce w tym świecie znaleźć miejsce dla siebie i dziecka. Stoi przed nią problem, jaki kilkanaście lat przedtem stanął przed podobnie skrzywdzoną przez otoczenie Otradiną z Grzeszników bez winy Ostrowskiego — ale Anna nie została znakomitą aktorką, chociaż snuła plany podobne do dalszych losów heroiny rosyjskiego realisty — jej spotka-

nie ze zdeklasowanym aktorzyną, Niemińskim, zarysowało perspektywy nie tyle kariery scenicznej, ile prostytucji i smętnego cynizmu, rozgrzeszającego wszystko stwierdzeniem, że „przecie jeść trza". Anna nie idzie drogą Ewy Pobratymskiej; w końcu sztuki widzimy ją na warszawskiej budowie, pracującą przy murarzach. Ojciec Anny przychodzi na budowę wraz z bezpośrednim sprawcą jej nieszczęść, adwokatem Bukowiczem, by ją wyciągnąć ze środowiska robotniczego, „ostatniej klasy ludzi", jak mówi stary Jaskrowicz. Na tym urywa się tekst Żeromskiego.

Ciekawe jest właśnie to, że późniejszy autor Sułkowskiego i Turonia nie zatrzymał się na konflikcie i rozwiązaniu zawartym w materiale, który stanowi obecne trzy akty, że napisał ciąg dalszy. Nie ma mowy o przypadku, gdy Żeromski kontrastowo zestawia Annę „wśród swoich", Annę krzywdzoną i poniewieraną — z Anną we współczującym jej środowisku proletariackim. Tu chodzi o celowe przeciwstawienie i dwóch środowisk, i dwóch moralności — należy pamiętać, że Anna życzliwie przyjmuje nie tylko półchłopskie środowisko sezonowych robotników murarskich, ale już przedtem pomagają jej i jej dziecku chłopi na wsi. Odwołanie się do moralności ludzi pracy po bardzo ostrym potępieniu mentalności burżuazyjnej, jakie znajdujemy w Grzechu, jest znamienne dla drogi rozwojowej Żeromskiego. To nowy dowód, że wielki pisarz, tragicznie zmagający się z zaduchą atmosferą imperialistycznej dekadencji, próbował niejednokrotnie przekraczać ciasne ramy mieszczańskiego protestu. Odwołanie się do ludzi pracy i do ich pojęć o świecie, będące akordem końcowym Grzechu, znajdziemy i w innych utworach Żeromskiego — prób tego rodzaju nie brak w Ludziach bezdomnych, w Przedwiośniu, w nowelach.

Pierwsze trzy akty Grzechu, „kameralna", mieszczańska tragedia Anny, to w pewien sposób zamknięta, posiadająca własne zakończenie część dramatu. Tę pierwszą część bardzo łatwo można by opracować scenicznie jako całość samą dla siebie. Inscenizacja warszawska nie poszła tą drogą, prostszą, ale też wydatnie zubożającą problematykę ideową utworu. Opracowanie końca sztuki rozszerzyło horyzonty utworu, dało możliwość wydobycia z tekstu Żeromskiego wszystkich wartości. A więc, konieczne były uzupełnienia tekstowe i co najważniejsze, znalezienie właściwego rozwiązania.

Czy „delegacja rodzinna" skłoni Annę do powrotu, do zerwania z nowym środowiskiem, środowiskiem, które ją życzliwie przyjęło? Analiza tekstu doprowadziła Leona Kruczkowskiego do wniosku, że Anna nie wróci do rodziny, że zostanie wśród robotników. Myślę, że wniosek ten jest najzupełniej słuszny. Wskazuje na to cały przebieg akcji w zachowanym tekście, świadczy o tym postawa autora wobec świata Parmenek i Bukowiczów. Zwięzła relacja osoby, która znała rękopis dramatu w całości mówi nam, że pod koniec sztuki solidaryzujące się z Anną robotnice obrzucają Bukowicza drwinami a nawet kawałkami cegieł. Należy wnosić, że „misja" sprowadzenia Anny na cywilizowane łono rodzinki i „przyjaciół" spaliła na panewce.

Oceny — jeśli to prawidłowe stwierdzenie słusznie zostało przeprowadzone — nie można oddzielić od zagadnień inscenizacyjnych. Warto tu wyróżnić przede wszystkim takie sprawy: po pierwsze, opracowanie pierwszych trzech aktów; po drugie, skreślenie w inscenizacji warszawskiej aktu IV;

po trzecie, uzupełnienie tekstowe i inscenizacyjne końca sztuki.

W tekście pierwszych trzech aktów mamy wiele luk treściowych, sytuacji nie dopracowanych przez autora do końca. Znamienne, że najbardziej wykończony i zwarty jest akt pierwszy, jedyny ogłoszony przez Żeromskiego drukiem. I autor opracowania, i inscenizator starali się te braki usunąć, wprowadzić brakujące elementy motywacji postępowania osób działających. Chodziło tu przede wszystkim o motywację postępowania pary Parmenka — Bukowicz. W tekście pierwotnym nie jest zupełnie wyraźnie powiedziane, dlaczego Bukowicz, któremu przede wszystkim idzie o duży posag, nie żeni się z Parmenką, a postępowanie tej ostatniej chwilami zakrawa na melodramatyczny nieco i dość abstrakcyjny tragizm. Kruczkowski pokazał Parmenkę w bardziej realnych wymiarach.

I ona, i Bukowicz najdobitniej reprezentują w sztuce zgniłą i głęboko egoistyczną moralność burżuazyjną. Moralność ta zasadza się tylko na pozorach — poza Anną całe towarzystwo, jakie widzimy w pensjonacie Wandy Ogrodzkiej, żyje takimi właśnie pozorami, za którymi kryje się brudny interes osobisty. Gdy stary Jaskrowicz odezwie się nie jak manekin „taty-emeryta", gdy zaprotestuje przeciw wypędzeniu Anny, starsza córka bardzo brutalnie przywoła go do zakłamanego porządku jej domu. Pozorna moralność pensjonatu Ogrodzkiej objawia się również w stosunku do spraw erotycznych — inscenizator i autor opracowania mają rację, że wyzyskują i ten rodzaj zakłamania obyczajowego dla demaskacji środowiska, z którym zrywa Anna. Ale widowisko warszawskie poszło w tym kierunku może za daleko. Przykładem niech będzie początek aktu trzeciego. Dla rozbudowania przejrzystego symbolu erotycznego usuwa się podaną w tekście maszynę do szycia, przy której pracuje Anna i każe jej się przekładać na macie jabłka. Inscenizator mógłby mi odpowiedzieć, że jabłka są funkcjonalne nie tylko w scenie Bukowicz — Parmenka, że przecież informują o zmianie pory roku itp. Ale właśnie i funkcje jabłka w tej scenie, i potraktowanie tej sceny na płaszczyźnie wyłącznie erotycznej uważam za błąd. Szkoda mi tej maszyny do szycia, mimo że byłaby ona pewnie mniej „sceniczna" — tragedia Anny na tle jej codziennej, nieefektownej pracy miałaby wtedy bardziej ludzkie, a mniej koturnowo-sceniczne wymiary. Oczywiście, tekst Żeromskiego może dawać sugestie takiej hyperbolizacji elementu erotycznego — ale tym ostrożniej należało go potraktować.

Centralne zadanie, jakie należy rozwiązać w pierwszych trzech aktach G r z e c h u, to pokazanie realnej, społecznej motywacji losów Anny, pokazanie rozwoju tej postaci, który doprowadzi ją do zerwania z jej własną klasą. Potrzebna tu niewątpliwie demaskacja burżuazyjnej moralności i w dziedzinie erotycznej, zupełnie tak samo jak demaskacja stosunków rodzinnych, stosunków pieniężnych, warunków, w jakich młody i zapewne zdolny adwokat musi się starać o środki na pracę zawodową itp. Widowisko warszawskie zbyt jednostronnie zwróciło uwagę na ukazywanie miłosno-seksualnych motywów postępowania osób działających, co nota bene zostało bardzo konsekwentnie i z wielką precyzją pokazane poprzez drobne nawet elementy gry aktorskiej. Takie potraktowanie pierwszej części utworu ostrzej i dobitniej naświetliło postacie Bukowicza i Parmenki, lecz jednocześnie musiało siłą rzeczy usunąć sprawę krzywdy Anny i jej rozwoju na plan nieco dalszy — na rzecz sensacyjnych zabiegów Parmenki.

A przecież centralną postacią Grzechu jest przez cały czas Anna. Od początku sztuki różni się wyraźnie od otoczenia, jej postawa wobec świata ma coś z naiwnej świeżości, ale nie jest to w żadnym wypadku wypieszczone dziewczę. Nie zapominajmy, że Anna pracuje i to dużo. Tak właśnie potraktowała tę sympatyczną rolę Hanna Skarżanka, bardzo słusznie usamodzielniając Annę i tworząc postać wyraźnie odcinającą się od reszty osób intrygujących w pensjonacie Ogrodzkiej. Halina Mikołajska, wykonawczyni roli Anny w drugiej obsadzie, potraktowała ją bardziej lirycznie — szczególnie dużo uroku, szczerego i przekonywającego, miała w akcie pierwszym. Potem, wraz z rozwojem postaci Anny panowała nad rolą coraz słabiej; z wdziękiem traktowała partie uczuciowe, silniejsze natomiast momenty dramatyczne wypadały raczej ckliwie.

Postać Anny zestawiona jest w Grzechu kontrastowo z otoczeniem. Ten kontrast starannie wydobyły dwie odtwórczynie roli siostry Anny, Wandy Ogrodzkiej. Leokadia Pancewicz-Leszczyńska (obsada I) była bardziej melancholijnie zadumana nad dawną świetnością rodu, Maria Żabczyńska (obsada II) była bardziej przyziemna, bardziej bezpośrednio ujawniająca swe reakcje na stosunki domowe.

Dawna świetność rodu Jaskrowiczów pokutuje w pensjonacie Ogrodzkiej w postaci jej ojca, eks-właściciela ziemskiego. W roli starego Jaskrowicza zobaczyliśmy Aleksandra Zelwerowicza. Zasłużony mistrz sztuki aktorskiej stworzył w tej roli kreację wielkiej miary. Jaskrowicz Zelwerowicza nie jest śmiesznym staruszkiem, to smutny, stary człowiek, dożywający swych dni na łasce córki-egoistki, człowiek bezsilny, ze zmarnowaną przeszłością i bez żadnej przyszłości. Nic też dziwnego, że robi on chwilami tragiczne zupełnie wrażenie, mimo iż wiemy, jak ograniczone są jego horyzonty życiowe, mimo że całą jego wartością w przeszłości były folwarki. Teraz, gdy folwarków nie ma, stary Jaskrowicz jest tylko „starym, pustym pniem", nie ma do niczego prawa, nawet do poczucia własnej godności. Drugi wykonawca tej samej roli, Konstanty Pągowski, dowiódł, w bardzo interesujący sposób, jak różnie można w ramach tej samej inscenizacji traktować tę samą postać, jak różne można z niej wydobywać momenty wzruszeniowe. Jeżeli Zelwerowicz był wzruszający i aż chwilami tragiczny, to Pągowski pokazał przede wszystkim śmieszność starego, trochę zdziecinniałego szlagona. Rzecz zrozumiała, że to odpowiednio zmniejszyło sceniczne wymiary postaci Jaskrowicza.

Podobna dwoistość w potraktowaniu równoległych ról da się zauważyć w postaci Zofii Parmen granej z wielkim mistrzostwem przez obie wykonawczynie: Zofię Małynicz (Parmenka I) i Barbarę Ludwiżankę (Parmenka II). Postać Parmenki w tekście Żeromskiego, przerysowana w stronę modernistycznego demonizmu, była przez Zofię Małynicz odtworzona zbyt „kulturalnie": uparte i mściwe, a w gruncie rzeczy dość małe i przyziemne namiętności Parmenki zostały przez nią zbyt „pogłębione psychologicznie", graniczące aż z pornografią pasje erotyczne (np. ręce na stoliku w rozmowie z Bukowiczem), „tajemnicze" opanowanie — wszystko to każe trochę zapominać mimo woli o jej społecznej szkodliwości. A przecież nic w niej tajemniczego — to mieszczka z pewnym zasobem gotówki, osoba bez skrupułów, zdolna do drobnych świństw (a przy okazji i do dużych). Znacznie bliższa takiego właśnie rozumienia roli była Parmenka II: znacznie mniej tajemnicza, posiadająca więcej, mówiąc za Dulską, „złodziejskiego sprytu" — stworzyła postać w

bardziej ludzkich wymiarach, bardziej zrozumiałą w swej złośliwości i wybuchach pasji.

Młody adwokat bez kancelarii, wesoły i bez charakteru „ulubieniec dam" prowincjonalnych, Bukowicz, grany był przez Janusza Bylczyńskiego lekko, bez niepotrzebnych u takiego Don Juana w miniaturze komplikacji. Ale z kreacji Bylczyńskiego nie wynikało, że nieuczciwość i brak skrupułów Bukowicza — to nie tylko jego indywidualna cecha charakteru, że to w bardzo znacznym stopniu wina ówczesnej sytuacji społecznej — sytuacji bardzo typowej dla młodych ludzi kończących studia, a nie mających pieniędzy „z domu". To, że Bukowicz swój upadek też jakoś przeżywa, że to nie triumf jego łotrostwa, ale smutna dla oportunisty konieczność — znacznie ciekawiej zobrazował Władysław Sheybal (Bukowicz II).

Postać nauczycielki Kwadrowskiej (Ryszarda Hanin, Izabella Wilczyńska) w obu wypadkach — zbyt może „uproszczono", jeżeli chodzi o wynik ogólny. Kwadrowska to przecież osoba, której życie nie ściele róż pod nogami — jest zakochana, a nie ma pieniędzy, jest więc zakochana (w owym świecie) beznadziejnie. Posag i mąż z łaski Parmenki wprowadza ją, ubogą i źle traktowaną nauczycielkę, do środowiska burżuazyjnego. Że od razu przejmuje cechy tego burżuazyjnego środowiska — to trzeba starannie pokazać. Zamiast tego — widowisko warszawskie pokazało nam w trzecim akcie tylko szczebiotliwe dziewczątko, szokujące widzów swymi przeżyciami małżeńskimi.

Józef, głupawy sługa (Konrad Morawski i Kazimierz Dejunowicz) — to postać poprawnie zagrana, ale zupełnie fałszywie postawiona. W obu wypadkach była to raczej karykatura „głupawego sługi" — stąd złośliwa stylizacja tej roli. Józefa jego państwo nazywają nieraz głupim — to stary przywilej „chlebodawców" — ale czy my mamy widzieć Józefa oczyma mieszkańców pensjonatu Ogrodzkiej? Przecież należało znaleźć w nim ludzkie cechy a nie tylko dawać parodię.

Dalsze losy Anny poza domem rodzinnym Żeromski przedstawił w akcie IV i V. Opracowanie dramaturgiczne i inscenizacja warszawska usunęły akt IV w całości. Akt ten jest właściwie epizodem, wyraźnie możemy tu obserwować, jak Żeromski szukał drogi do dalszego rozwiązania problemu „zbuntowanej" Anny, jak chwilami aż z naturalistycznym okrucieństwem pokazywał, co się mogło z nią stać. Czy ten epizod nie podkreśla tym silniej, że Anna wybrała inną drogę, że pod koniec utworu widzimy ją nie w kabarecie czy na rogu ulicy, ale przy pracy w środowisku robotniczym? Z drugiej strony epizod stanowiący akt IV dramaturgicznie słabo jest związany z resztą utworu, jest to właściwie rozwlekły monolog jednej w tym tylko akcie występującej osoby. Jakiego braku tego usuniętego aktu w inscenizacji warszawskiej się nie czuło — trzeba przyznać. Myślę jednak, że przy dalszych realizacjach scenicznych Grzechu na naszych scenach warto by tę sprawę poddać od nowa dyskusji. Może znalazłoby się możliwość skróconego chociażby „przemycenia" tego epizodu, który rzuca ciekawe światło na rozwój postaci Anny.

Inscenizacja warszawska uzupełnia i rozbudowuje niezachowany w tekście Żeromskiego koniec sztuki. Anna zostaje wśród robotników, Bukowicz i ojciec odchodzą z kwitkiem, murarze nie rzucają wprawdzie na nich cegłami, ale postawa ich wobec burżujów jest zupełnie jednoznaczna, tak samo jak poczucie solidarności wobec nowej towarzyszki. Rozwiązanie, jak już pisałem

jedynie słuszne i wynikające konsekwentnie z reszty utworu Zastrzeżenia należy wysunąć jednak z innych względów.

Przede wszystkim, postawa samej Anny. Oczywiście, Anna nie może być wtopiona bez reszty w tłum robotników. W tym środowisku nie czuje się jeszcze zupełnie jak u siebie. A jednak została w inscenizacji warszawskiej potraktowana zbyt monolitycznie, trochę jak „pozytywna bohaterka", co to „poszła w lud". A trzeba bardzo starannie pokazać, dlaczego Anna się znalazła w nowym środowisku, i to pokazać poprzez rozwój postaci samej Anny. Jej sytuacja społeczna zmieniła się przecież radykalnie: Anna stała się dorosłą, pracującą kobietą, osobą najzupełniej samodzielną, matką, zerwała ze swą klasą i ze swą rodziną. To powinien być inny człowiek — i tę zmianę Anny, głęboko ludzką i usprawiedliwioną trzeba wyraźniej zaakcentować. Inaczej będzie to sentymentalny, dickensowski obrazek biednej panienki, która musi nosić wapno. I naturalnie słabo wypadnie motywacja pozostania Anny wśród robotników.

W widowisku warszawskim jest efektownie podmalowane i rozbudowane społeczno-polityczne tło okresu, pokazany jest fragment akcji rewolucyjno-spiskowej proletariatu. Pozwoliło to wprowadzić nową zupełnie postać, działacza robotniczego, ślusarza „Bezrękiego". W tej roli zobaczyliśmy dwie odrębne, obie bardzo starannie opracowane kreacje: Jacka Woszczerowicza oraz Leona Pietraszkiewicza. Czy starając się zarysować społeczno-polityczne tło epoki twórcy warszawskiej inscenizacji popełnili błąd? Nie — tylko poszli w niezupełnie właściwym kierunku.

Akcja „Bezrękiego" jest nie powiązana z zasadniczym wątkiem — w toku utworu sprawia wrażenie wstawki. Jak widział Żeromski proletariat miejski i jak to można powiązać z postacią Anny? Żeromski dostrzegłby przede wszystkim złe warunki materialne, nędzę i wyzysk mas pracujących (a w inscenizacji akcentowano „koloryt lokalny" między innymi trochę łobuzerskim zachowaniem się robotników, wreszcie malowniczą scenę końcową, bardzo niestety podobną do żywego obrazu). Pokazując warunki życia proletariatu, oczywiście trzeba było podkreślić polityczną wymowę takiego stanu rzeczy, a więc rewolucyjną dynamikę mas pracujących, już wówczas zorganizowanych. Ale to przecież w języku teatralnym można by pokazać celniejszymi środkami, łącząc problem świadomości politycznej proletariatu z centralnym zagadnieniem utworu. Anna nie jest działaczem politycznym, to jasne, Anna dopiero uczy się od proletariatu patrzeć na świat, a więc uczy się mimo woli i rewolucjonizmu, w akcji wyraża się to chociażby odrzuceniem „pomocy" Bukowicza. Zakończenie warszawskiej inscenizacji całe zagadnienie uprościło, nie związało go z utworem, nie wniknęło w tym jedynym wypadku należycie w problematykę twórczości Żeromskiego.

Interesujące i bardzo pouczające widowisko, jakim jest G r z e c h w Teatrze Kameralnym, w obu obsadach otrzymało wykonawców ról na nieprzeciętnie dobrym poziomie. Obsada pierwsza jest bezwzględnie bardziej interesująca, chociażby przez wspaniałą kreację Zelwerowicza czy przez aktorów tej miary co Skarżanka, Małynicz, Pancewicz - Leszczyńska, Woszczerowicz. W sumie jednak zespół drugi dał widowisko bardziej wyrównane, bliższe problematyce utworu — a na pewno lepszy niż w obsadzie pierwszej był początek (akt I, kilka fragmentów drugiego).

O oprawie plastycznej G r z e c h u nie można napisać z takimi superlaty-

wami jak o zespole aktorskim. Salonik pensjonatu był bez wyrazu, kolorystycznie dekoracja nie mówi nic, a w zestawieniu z kostiumami chwilami razi. Dobrze pokazana została jedynie zmiana pór roku między aktem drugim a trzecim. Kostiumy stosunkowo lepsze, szczególnie w wersji drugiej.

Należy jeszcze podkreślić z uznaniem, że zespół techniczny Teatru Kameralnego, który wystąpił w omawianej inscenizacji podwójnie: jako zespół techniczny i jako robotnicy i robotnice na budowie w IV akcie, w obu wypadkach dobrze wywiązał się ze swego zadania.

Stefan Treugutt

NA WIDNOKRĘGU

AKTUALNE ZAGADNIENIA RADZIECKIEJ KRYTYKI LITERACKIEJ

Sprawy krytyki literackiej są w ZSRR przedmiotem szczególnej troski i opieki ze strony organizacji partyjno-społecznych i literackich oraz prasy partyjnej i literackiej. Zagadnienia krytyki literackiej są stale omawiane na posiedzeniach plenarnych, na konferencjach i zebraniach poszczególnych oddziałów Związku Pisarzy Radzieckich.

Na V Plenum Zarządu Związku Pisarzy Radzieckich Ukrainy, które odbyło się w końcu grudnia ubiegłego roku referat: O stanie i zadaniach krytyki literackiej na Ukkrainie wygłosił Nowiczenko, przewodniczący ukraińskiej komisji do spraw teorii i krytyki literackiej (komisje takie istnieją przy zarządach związków poszczególnych republik; Wszechzwiązkowa Komisja do spraw teorii i krytyki literackiej pracuje przy Zarządzie Głównym Związku Pisarzy Radzieckich ZSRR). Referent zanalizował obecny stan ukraińskiej krytyki literackiej, która — obok wielu poważnych osiągnięć — wykazuje jeszcze pewne słabe strony. Krytycy i recenzenci po prostu nie nadążają z recenzowaniem i krytycznym opracowywaniem napływających utworów literackich. O rozmiarach ukraińskiego ruchu wydawniczego świadczyć mogą dwie cyfry: plan wydawniczy oryginalnej twórczości ukraińskiej na rok 1951 tylko jednego wydawnictwa (*Goslitizdat* w Kijowie) przewiduje nakład pół miliona egzemplarzy*); wydawnictwo kijowskie *Radianskij Pismiennik* wydaje rocznie przeszło sto nowych oryginalnych pozycji ukraińskich; mimo to jednak w ukraińskich czasopismach literackich — stwierdza Nowiczenko — ukazuje się rocznie zaledwie 20 do 30 recenzji. Omawiając poziom tych recenzji Nowiczenko wytknął ich autorom tzw. „opływowość" — ogólnikowe i powierzchowne omówienie utworów bez ich głębokiej analizy. Referent omówił szereg konkretnych zadań, stojących przed ukraińską krytyką literacką, między innymi sprawę opracowania wpływu twórczości Gorkiego i Majakowskiego na rozwój ukraińskiej literatury radzieckiej.

Na II Wszechzwiązkowej Konferencji Młodych Pisarzy (w marcu br) obradowała nieliczna lecz pracowita sekcja krytyki. Przeprowadzono tu także ogromną pracę krytyczno-literacką na seminariach twórczych we wszystkich sekcjach. Na seminariach tych wyczerpująco zanalizowano wiele utworów

*) Cyfrę tę ogłoszono w związku z dekadą ukraińskiej sztuki i literatury w Moskwie (w czerwcu br.).

młodych pisarzy — delegatów. Przy ocenie ich utworów zastosowano wysokie i surowe kryteria. Uczestnicy Konferencji Młodszych Pisarzy, Trifonow i Jewdokimow w artykule pt. Po Konferencji (*Litieraturnaja Gazieta* Nr 38 z 29/3 br.) piszą:

„Wielu z nas musiało wysłuchać bardzo surowych, twardych słów, wypowiedzianych szczerze i bez ogródek. Nie zawsze było to przyjemne. Ten kto oświadcza, że lubi surową krytykę, jest nieszczery. Nie chodzi o „lubienie" czy „nielubienie" krytyki, lecz po prostu o uświadomienie sobie jej niezbędności..."

Z tych słów wyczuwa się ożywczą i twórczą atmosferę bolszewickiej krytyki i samokrytyki, jaka panowała na II Wszechzwiązkowej Konferencji Młodych Pisarzy, jaka dominuje w życiu literackim Kraju Rad. Mimo woli przychodzi na myśl opis objawów zgnilizny amerykańskich zwyczajów i „metod" pracy teoretycznej i krytyczno-literackiej, który znajdujemy w artykule Tarasienkowa Szkoła literackiego bussinessu (*Litieraturnaja Gazieta* Nr 49 z 24/4 br.). W jednym z zeszłorocznych numerów amerykańskiego czasopisma literackiego *Writer* ukazało się ogłoszenie reklamujące książkę E. Feete'a Uproszczona technika budowy wątku — w ten sposób: „Autorzy krótkich opowiadań, powieści, utworów dramatycznych, sztuk radiowych i scenariuszy filmowych znajdą w tej książce nadzwyczaj łatwy do zrealizowania schemat oryginalnych wątków"... Tarasienkow przytacza szereg znamiennych tytułów amerykańskich książek z dziedziny teorii i krytyki literackiej: Jak pisać krótkie opowiadania dla zysku, Podręczna książka pisarza pióra niejakiego Burcke'a (zawiera „rady" — co pisać, jak pisać, gdzie można sprzedać napisane utwory!) Siedem zasad poezji, Sekrety wyobraźni, Sto jeden zwykłych i niezwykłych wątków itp. itp.

„Żałosne jest — kończy Tarasienkow — współczesne życie kulturalne kapitalistycznej Ameryki. Żałosna jest też sytuacja młodych pisarzy w tym kraju, który znalazł się w ślepym zaułku duchowego marazmu i dolarowego bałwochwalstwa".

Zatrzymałem się nieco nad artykułem Tarasienkowa nie tylko dla przeciwstawienia prawdziwie twórczej, radzieckiej teorii i krytyki literackiej — zgniliźnie amerykańskiego życia literackiego, lecz również w celu zilustrowania ważnego zadania krytyki radzieckiej: stałego demaskowania schyłkowych przejawów rozkładu literatury burżuazyjnej epoki imperialistycznej. Równolegle z tymi artykułami i publikacjami demaskującymi kulturę dolarową — w literackiej prasie radzieckiej często ukazują się artykuły o postępowej literaturze w państwach kapitalistycznych; czasopisma literackie prowadzą specjalne działy i kolumny informujące czytelnika radzieckiego o najciekawszych pozycjach postępowej literatury krajów kapitalistycznych. Bardzo wiele uwagi poświęca krytyka literacka literaturom krajów demokracji ludowej. Prócz recenzji ukazują się artykuły syntetyczno-krytyczne, obejmujące przegląd najciekawszych i symptomatycznych przejawów rozwojowych literatur narodów budujących socjalizm.*)

---

*) Np. w marcowym numerze czasopisma *Nowyj Mir* ukazał się ciekawy artykuł Tematyka nowego życia (Uwagi o książkach pisarzy Polski i Czechosłowacji) pióra Motylewej, autorki artykułu „Literatura demokratycznych Niemiec (*Nowyj Mir* 11/1950). Takich artykułów i prac — także w wydaniach książkowych — ukazuje się w ZSRR coraz więcej.

Z innych aktualnych zadań stojących przed radziecką krytyką literacką wymienię z kolei sprawę udostępnienia ogółowi pisarzy arkanów kunsztu pisarskiego najwybitniejszych pisarzy i poetów — zarówno przedrewolucyjnych jak radzieckich. *Litieraturnaja Gazieta* w artykule wstępnym z dnia 11/I. br. pod tytułem Szkoła kunsztu pisze, że konkretne, krytyczne naświetlenie drogi twórczej mistrzów literatury radzieckiej — uzbroi każdego literata w środki najlepszego opanowania kunsztu pisarskiego. W tej dziedzinie konieczna jest współpraca pisarzy i krytyków: pisarze powinni jak najwięcej, jak najszczerzej pisać o swojej drodze twórczej, krytycy zaś muszą w większym niż dotychczas stopniu zająć się monografiami i portretami literackimi.

„Nasze literaturoznawstwo i krytyka literacka — czytamy w omawianym artykule — muszą ostatecznie zlikwidować nieuzasadniony podział na teoretyków zatopionych w przeszłości oraz „lekką kawalerię" operującą w granicach nowowydanej książki, muszą skierować swoje połączone wysiłki dla żywego przestudiowania literatury realizmu socjalistycznego. Radziecki krytyk i znawca literatury — to nie beznamiętny sędzia, surowo oceniający pracę pisarza: jest on takim samym jak pisarz budowniczym wspaniałego gmachu literatury zbliżającego się komunizmu."

Zagadnieniu monografii poświęca *Litieraturnaja Gazieta* artykuł wstępny Naglące zadania krytyki literackiej (Nr 8 z 20/I br.).

„Książka prawdziwego krytyka, badacza literatury — czytamy w artykule — to samodzielny utwór literacki, mający znaczenie naukowe i artystyczne. Naukowe dlatego, że autor stosuje metodę marksistowsko-leninowskiej analizy naukowej. Artystyczne dlatego, że w rezultacie książka uczestniczy w artystycznym poznaniu świata, odtwarzając obraz utworu i jego twórcy w ścisłej zgodności z rzeczywistością."

Ten rodzaj twórczości krytycznej ma swoje tradycje w literaturze rosyjskiej: wystarczy przypomnieć znakomite prace monograficzne Bielińskiego, Czernyszewskiego, Dobrolubowa. Bogate źródło naukowe dla prac monograficznych stanowią: prace Lenina o klasykach rosyjskich: Czernyszewskim, Hercenie i Lwie Tołstoju, wypowiedzi i listy Lenina i Stalina do literatów, prace Stalina o językoznawstwie, uchwały KC WKP(b) w sprawach literatury itd.

W ostatnich latach wyszło dość dużo dobrych monografii i portretów literackich: Elsberga o Hercenie, Jermiłowa o Czechowie, Makaszyna o Sałtykowie-Szczedrinie, Białego o Korolence. W roku bieżącym Nagrodą Stalinowską wyróżniono dwie monografie: Błagoja Droga twórcza Puszkina oraz Orłowa Rosyjscy działacze oświatowi w latach 1790—1800. Ukazały się również monografie o pisarzach radzieckich: Kurilenkowa o Serafimowiczu, Leżniewa o Szołochowie, Wekslera o Aleksym Tołstoju, Trieguba o Ostrowskim, Mozolkowa o Kupale, Skorino o Bażowie, Brajninej o Fiedinie, Aleksandrowa o Isakowskim, Rylenkowa również o Isakowskim, Tarasienkowa o Bażanie i inne. Krytyka radziecka uważa jednak, że takich monografii i portretów literackich wychodzi za mało. Szczególnie dotkliwie odczuwa się brak wyczerpującej pracy monograficznej o Maksymie Gorkim. Opracowanie spuścizny literackiej i krytyczno-literackiej wielkiego pisarza i teoretyka literatury realizmu socjalistycznego ułatwiłoby systematyczne przeanalizowanie najistotniejszych zagadnień literatury całego półwiecza oraz twórcze przyswojenie samej metody realizmu socjalistycznego.

Z kolei przechodzę do ciągle aktualnej i pasjonującej społeczeństwo radzieckie sprawy znaczenia twórczości Włodzimierza Majakowskiego i jego olbrzymiego wpływu na poezję radziecką i światową. Zagadnienie to nie schodzi ze szpalt radzieckiej prasy literackiej, co pewien czas ukazują się artykuły o Majakowskim. Jak wiadomo, w roku 1949 na łamach *Litieraturnej Gazety* toczyła się dyskusja pt. Czy mamy się uczyć od Majakowskiego? Wiadomo również, że dyskusja ta, ciągnąca się w związku z dwudziestą rocznicą śmierci poety przez cały niemal rok 1950, była nieudana, rezultaty jej były dość mizerne, mimo że brali w niej udział wybitni poeci i krytycy. O dyskusji tej — właśnie z punktu widzenia krytyki literackiej — mówił Fadiejew w swoim referacie na XIII Plenum Zarządu Głównego Związku Pisarzy Radzieckich w roku ubiegłym, powrócił do tej sprawy Aleksy Surkow na II Wszechzwiązkowej Konferencji Młodych Pisarzy w referacie pt. Młoda poezja radziecka.

Zdaniem Surkowa do dyskusji raczej wniesiono namiętność sporów będących dalekim echem walk grupek literackich w latach dwudziestych, niż poczyniono poważne, obiektywne próby pełnego naświetlenia zagadnienia. Jedna ze stron w sporze — wywodzi Surkow — położyła głównie nacisk na formalną stronę nowatorstwa Majakowskiego. Uważając go za „Puszkina dnia dzisiejszego" grupa tych dyskutantów „chcąc nie chcąc poczyniła próbę zasłonięcia Majakowskim olbrzymiego, bynajmniej nie wyczerpanego jeszcze przez nas do dnia dzisiejszego życiodajnego dorobku rosyjskiej poezji klasycznej — począwszy od Puszkina". Przyjmując punkt widzenia tych dyskutantów — twierdzi Surkow — dojdziemy do absurdalnego wniosku, że tylko poezja oparta na poetyce Majakowskiego jest prawdziwie radziecka.

Strona przeciwna w dyskusji zlekceważyła istnienie nierozerwalnego związku między formą a treścią; usiłowała naświetlić znaczenie nowatorstwa Majakowskiego tylko w dziedzinie tematyki i problematyki — w oderwaniu od wpływu Majakowskiego na formę poetycką. Wychodząc z tego założenia niektórzy krytycy zaliczyli do kontynuatorów Majakowskiego nawet takich poetów, których twórczość pod względem formalnym nie wywodzi się z jego poetyki.

W wyniku tej analizy Surkow dochodzi do wniosku, że:

> „Twórczość Majakowskiego wywarła wpływ — i za jego życia, i po jego śmierci — na rozwój poezji radzieckiej w ogóle, a więc także na tych poetów, których na podstawie podobieństwa zewnętrznego trudno zaliczyć do przedstawicieli „szkoły Majakowskiego".

Następna teza Surkowa, twierdzenie o istnieniu w poezji radzieckiej „szkoły Majakowskiego", którą mają stanowić poeci rosyjscy oraz innych narodów ZSRR, a także poeci zagraniczni jak Aragon, Neruda, Hikmet i inni kontynuujący tradycje Majakowskiego tak w treści jak i w formie, wywołała sprzeciwy już na samej Konferencji, w dyskusji nad referatem Surkowa.

Do dyskusji o wpływie i znaczeniu Majakowskiego wiele jasności wniósł artykuł Szczerbinej O prawdziwe naświetlenie twórczości Włodzimierza Majakowskiego zamieszczony w Prawdzie (Nr 84 z 25. III br.) Stwierdziwszy, że poezja Majakowskiego stanowi i dziś oręż walki o komunizm, o pokój, walki przeciw ciemnym siłom imperialistycznym i przeżytkom przeszłości, Szczerbina omawia pokrótce drogę twórczą Majakowskiego. Autorka porusza sprawę

związków Majakowskiego z futurystami w pierwszych latach twórczości, przestrzega jednak przed przecenianiem tego zjawiska, pisząc:

„Z futuryzmem są właśnie powiązane chwilowe, przemijające rysy wczesnej twórczości Majakowskiego, pewne jego błędne wypowiedzi o sztuce. Nigdy futuryzm nie określał zasadniczego kierunku rozwoju jego poezji".

To, co najtrwalsze, najlepsze w przedrewolucyjnej poezji Majakowskiego — wywodzi Szczerbina — powstało pod wpływem ruchu rewolucyjnego, rosyjskiej literatury klasycznej oraz twórczości Gorkiego. Rewolucja Październikowa i życie radzieckie uskrzydliły wielki talent poetycki Majakowskiego. Tak więc dla zrozumienia twórczości Majakowskiego najważniejsze jest naświetlenie zagadnienia rozwoju poety pod wpływem Rewolucji i ideologii Partii Komunistycznej.

Wychodząc z tych założeń, Szczerbina ostro krytykuje niemarksistowskie zamazywanie schyłkowej istoty futuryzmu, przecenianie przez niektórych badaczy wpływu kubofuturyzmu na wczesną twórczość Majakowskiego. Szczerbina poddała surowej krytyce błędne wypowiedzi Trieguba zawarte w jego książce o Majakowskim: Żywy wśród żywych (1949). Triegub — wywodzi Szczerbina — dostrzega tylko burzycielską rolę Majakowskiego w stosunku do form poezji klasycznej, nie docenia natomiast jego twórczej roli kontynuatorskiej jako poety narodowego, który w oparciu o najlepsze osiągnięcia i tradycje rosyjskiej poezji klasycznej stworzył nowe, radzieckie tradycje poetyckie. Z tej fałszywej pozycji Triegub ocenia błędnie również linię rozwoju twórczego poety oraz istotę jego wpływu na poezję radziecką. Triegub stworzone przez siebie pojęcie „szkoły Majakowskiego" zwęża do grupy poetów kontynuujących formalne tradycje Majakowskiego (Kirsanow, Asiejew, Gornostajew i inni), niejako przeciwstawiając ich plejadzie znakomitych poetów radzieckich, których twórczość odbiega w formie od poetyki Majakowskiego (Twardowski, Isakowski, Surkow, Szczipaczew). Takie dzielenie poetów radzieckich na grupki i szkoły Szczerbina uważa za wulgaryzatorskie i szkodliwe.

„W rzeczywistości — konkluduje Szczerbina — nie ma ani jednego wybitnego poety radzieckiego, który by nie odczuł w swoim ideowo-artystycznym rozwoju, w opracowaniu tematów i kreśleniu postaci, w swoim słownictwie i rytmice, w wypracowaniu swojego własnego stylu — olbrzymiego wpływu najlepszego, najbardziej utalentowanego poety naszej epoki radzieckiej."

W tym znaczeniu wszyscy poeci radzieccy należą do szkoły Majakowskiego (bez cudzysłowów). To właśnie Majakowski był przeciwnikiem „szkół", gdy wysunął hasło: „Więcej poetów dobrych i różnych!" — zgodnie z zasadami realizmu socjalistycznego stwarzającego nieograniczone możliwości dla bogatej, zindywidualizowanej różnorodności form, stylów i rodzajów twórczych.

Monografia Trieguba jest jedną z kilkunastu prac o Majakowskim, które wydano w ostatnich dwóch latach; książki o Majakowskim napisali: Maslin, Usijewicz, Gutorow, Piercow, Naumow i inni. Dwie ostatnie książki — Włodzimierz Majakowski Piercowa oraz Majakowski w pierwszych latach władzy radzieckiej Naumowa — uzyskały zgodnie najlepszą ocenę krytyki. Sprawa naświetlenia znaczenia i wpływu twórczości Majakowskiego na poezję radziecką i światową jest jednak wciąż aktualna.

Interesującą sprawę metod recenzowania i aspektów moralno-społecznych

krytyki literackiej poruszył Simonow w artykule O życzliwości (*Litieraturnaja Gazieta* z 14/IV rb.), omawiając samokrytycznie — jako naczelny redaktor gazety — dwie recenzje zamieszczone w tym piśmie w roku ubiegłym. W recenzjach tych*) — wywodzi Simonow — wymagana od krytyka surowość oceny przechodzi w zjadliwość, natomiast faktycznie istniejące w recenzowanych książkach braki autorzy artykułów wyśmiali tylko, lecz ich nie zanalizowali. W stosunku do autorów recenzowanych utworów i ich pracy — Simonow stwierdza w obu recenzjach brak życzliwości. Co rozumie Simonow przez „życzliwość w krytyce"?

„Życzliwość — to pragnienie okazania pomocy, wyraźnie wyczuwalne nawet wtedy, gdy pomoc ta z konieczności jest szorstka. Zadaniem krytyka nie jest wyśmianie literata, lecz udowodnienie mu popełnionych błędów, wskazanie, jak należy w przyszłej pracy błędy te poprawić względnie uniknąć nowych."

Jak więc należy pisać recenzje? Zdaniem Simonowa — po pierwsze pracę tę musi poprzedzić szczegółowa, wnikliwa analiza recenzowanego utworu, poparta znajomością całokształtu twórczości danego pisarza oraz opisywanej przez niego rzeczywistości. Po drugie: wobec recenzowanych utworów — i literatury w ogóle — krytyk powinien przybrać postawę „dobrego gospodarza" odpowiedzialnego za stan tej literatury. Z tego tytułu wyrasta zobowiązanie krytyka do surowej oceny wszystkich zauważonych błędów dla dobra literatury i pisarza.

Obowiązkiem krytyka jest wydobycie w ocenie wszystkich walorów recenzowanego utworu, bez ograniczania się do wytknięcia błędów, które oczywiście muszą być poprawione. Na zakończenie Simonow zacytował wypowiedź rewolucyjnego demokraty i krytyka, Czernyszewskiego, na temat zadań krytyki:

„Krytykę — godną tej nazwy — pisze się nie po to, by pan krytyk pysznił się dowcipem, nie po to, by przysporzyć krytykowi sławy wodewilowego kuplecisty zabawiającego publiczność swoimi kalamburzyskami. Dowcip, zjadliwość, zgryźliwość — jeśli krytyk nimi włada — mają służyć jako oręż do osiągnięcia poważnego celu krytyki: — rozwinięcia oraz oczyszczenia smaku większości jego czytelników, powinny mu jedynie dostarczyć środka do wyrażenia w sposób właściwy opinii lepszej części społeczeństwa."

Gdy Czernyszewski pisał o znaczeniu recenzji dla wyrobienia smaku artystycznego czytelników, zapewne nawet nie marzył o tym, że w jego Ojczyźnie czytelnictwo stanie w przyszłości na poziomie umożliwiającym czytelnikom pisanie recenzji, publiczne wypowiadanie się o utworach literackich. W Kraju Rad, gdzie literatura ściśle zespolona jest z narodem, a naród — z literaturą, recenzje czytelnicze stały się zjawiskiem powszechnym. Czasopisma *Nowyj Mir*, *Oktiabr* i inne prowadzą specjalny dział: Trybuna czytelnika, w którym w sposób prosty, szczery i bezkompromisowy wypowiadają się ludzie ze wszystkich środowisk i zawodów. Wypowiedzi te najczęściej dotyczą realiów: czytelnicy, znający dobrze swoje środowisko, wytykają nieścisłości, niedokładności, a nawet brak znajomości opisywanych przez autorów środowisk. Śmiało i wnikliwie omawia się w tych recenzjach sprawy charakterystyki postaci powieściowych, poruszone przez

*) Rozanowa o książce W. Iwanowa Spotkania z Maksymem Gorkim oraz recenzja trzech młodych krytyków: Lilinej, Babajana i Kuzesa o powieści Lidina Dwa życia.

autora zagadnienia ideologiczne, moralne, psychologiczne, nasuwające się przy lekturze zastrzeżenia w sprawie kompozycji, stylu i języka utworów.

Recenzje czytelnicze — na równi z konferencjami czytelniczymi, dyskusjami publicznymi, wieczorami autorskimi i spotkaniami autorów z czytelnikami — stanowią bardzo ważny na wskroś socjalistyczny czynnik kształtowania twórczości literackiej. Wiele stawianych tam wnikliwych zarzutów i trafnych argumentów krytyczno-literackich staje się przedmiotem analizy ze strony zawodowych krytyków oraz źródłem twórczych rozmyślań pisarzy.

Józef Spinc

GRABARZE IV REPUBLIKI

IV Republika Francuska narodziła się z tego układu sił politycznych, które nazajutrz po wyzwoleniu reprezentowały ideę Ruchu Oporu. Powołane przez Rząd Tymczasowy w 1944 r. Zgromadzenie Doradcze *(Asemblée Constultative)* było podniesioną do rangi parlamentarnej Radą Ruchu Oporu *(Conseil National de la Résistance)*. W wyborach do Konstytuanty (1945 i czerwiec 1946), jak również w wyborach do Zgromadzenia Narodowego (listopad 1946) naród francuski przytłaczającą większością głosów zatwierdził ten wyłoniony z walki z faszyzmem skład ideologiczny parlamentu i program Ruchu Oporu. Politycznym wyrazem woli francuskiego narodu był system polegający na współudziale w rządzie tylko tych sił politycznych, które w okresie pétainowskiej nocy w oczach świata reprezentowały wolną Francję, a w oczach Francji ideę walki z faszyzmem. W referendum z 13 października 1946 r. postępowa większość francuskiego narodu wypowiedziała się za opracowaną zgodnie z ideałami Ruchu Oporu konstytucją IV Republiki (9 126 000 przeciw 8 043 000). W listopadzie tegoż roku głosami tej samej większości do pierwszego francuskiego Zgromadzenia Narodowego (którego kadencja kończyła się na jesieni br.) wybrani zostali deputowani Komunistycznej Partii Francji (186), SFIO *(Section Française de l'Internationale Ouvrière* — prawicowi socjaliści: 99) i lewego skrzydła MRP *(Mouvement Républicain Populaire* — chrześcijańska demokracja). Powstał nowy nie istniejący nigdy w okresie III Republiki układ sił politycznych we francuskim parlamencie. Wyrazem tego układu jest system rządów trójpartyjnych (KPF, SFIO i MRP) polegający na współpracy lewicy i chrześcijańskiego centrum. System ten możliwy był do utrzymania dzięki temu, że wszystkie trzy jego trzony mimo różnic ideologicznych przyjęły program społeczno - polityczny wypracowany przez Radę Ruchu Oporu. Na straży tego programu stała Francuska Partia Komunistyczna. Udział Francuskiej Partii Komunistycznej w systemie trójpartyjnym był gwarancją jego nie sfałszowanej realizacji.

SFIO dzięki temu tylko, że w terenie była uważana za „umiarkowane skrzydło" Francuskiej Partii Komunistycznej mogła osiągnąć wyborczy sukces w postaci 3 480 000 głosów (99 mandatów). Powstałe z inicjatywy Francuskiej Partii Komunistycznej jeszcze w 1944 r. Komitety Porozumiewawcze mimo bojkotu ich przez Centralny Komitet Wykonawczy SFIO utrzymywały w terenie poczucie solidarności robotniczej. Doły urzędnicze i drobnomieszczańskie oddając, ze względu na przywiązanie do organizacji syndykalnych, firmowanych przez SFIO, swoje głosy na SFIO, głosowały na taką SFIO, która była sprzymierzeńcem Francuskiej Partii Komunistycznej. Charakterystyczny pod tym względem jest stały spadek głosów oddawanych na SFIO po zajęciu przez nią antykomunistycznego stano-

wiska. W ostatnich wyborach (17 czerwiec 1951) liczba głosów oddanych na SFIO wynosi już tylko 2 700 000, a więc o 780 000 mniej niż w roku 1946.

Przywódcy socjalistów, gracze parlamentarni, pragnęli w IV Republice odegrać tę rolę, jaką w III Republice odgrywali radykałowie: — rolę stronnictwa kluczowego wygrywającego dla siebie na terenie parlamentarnym szanse całej lewicy. Pamiętamy, jak partia radykalna dla siebie wygrała zwycięstwo Kartelu Lewicy w 1924 r. i Frontu Ludowego w 1936 r. Radykałowie wówczas właśnie do urn wyborczych szli z całą lewicą po to, aby w parlamencie przeciwko swoim wyborczym partnerom sprzymierzyć się z prawicą. Stronnictwo Herriota w 1926 r. popiera rząd tzw. Frontu Narodowego (Poincaré) a w 1938 r. rękami Daladiera kopie w Monachium grób dla Francji. Opustoszałe w IV Republice miejsce po skompromitowanych w 1939 r. i okresie Vichy radykałach, pragnie zająć SFIO. To staje się jej jedyną ambicją. Pięć lat życia IV Republiki, to blaski i nędza tej ambicji.

Przywódcy SFIO z wyniku wyborów w listopadzie 1946 r. taki dla siebie wyciągnęli wniosek: — Jeśli od czerwca do listopada (w czerwcu 1946 r. w wyborach do II Konstytuanty SFIO otrzymała 4 220 000 głosów a w listopadzie tegoż roku 3 480 000) przy boku Partii Komunistycznej straciliśmy 740 000 głosów, to grozi nam w przyszłości całkowity odpływ głosów na rzecz KPF. Programem SFIO powinno więc być dążenie do zerwania z Partią Komunistyczną i zbliżenie się do dawnych sprzymierzeńców z okresu III Republiki. Radykałowie są zbyt słabi, by mogli być niebezpieczni. A poza tym istnienie silnej KPF będzie ważkim argumentem w rozgrywce z partią radykalną.

Taką taktykę — góry SFIO realizują z żelazną wolą karierowiczów. Jest rzeczą bardzo charakterystyczną, że partia ta najbardziej ze wszystkich partii francuskich operująca frazeologią demokratyczną ma wewnętrzny ustrój organizacyjny jak najbardziej dyktatorski. W SFIO góra polityczna trzyma po prostu za mordę swoje doły. Decyzje kongresów partyjnych nigdy nie są brane pod uwagę. I tak, mimo że kongres SFIO z sierpnia 1947 r. na żądanie dołów partyjnych, na żądanie t e r e n u wyraził sprzeciw wobec polityki Bluma (krytyka linii politycznej *Populaire'a*, centralnego organu partii) i na sekretarza generalnego powołał Guy Molleta, reprezentującego wówczas tendencje umiarkowane w stosunku do programu kariery parlamentarnej, taktyka pokongresowa SFIO nie ulega żadnej zmianie. To samo zjawisko obserwujemy w maju 1951 roku, kiedy Jules Moch, mimo że przez aktywistów partyjnych został na kongresie wykluczony z Komitetu Wykonawczego, nadal w imieniu SFIO realizuje we Francji wojenny program Trumana. W żadnym innym ugrupowaniu politycznym we Francji nie istnieje taka samowola i niezależność reprezentacji parlamentarnej w stosunku do decyzji partyjnych władz naczelnych. SFIO ma o sobie samej mniemanie, że jest partią intelektualistów. W rzeczywistości jest koterią awanturniczych adwokatów.

Ambicja polityków z SFIO, aby *per fas et nefas* po trupie klasy robotniczej zająć miejsce radykałów, była ambicją zbrodniczą. Nie tylko. Była to także ambicja nierealna. Siła partii radykalnej w okresie III Republiki polegała na tym, że partia ta miała naturalną wówczas pozycję kluczową pomiędzy lewicą a prawicą. Lewe skrzydło radykałów mogło się opierać na SFIO, a prawe zachodziło zawsze na tzw. „lewicę republikańską", którą łączyły powinowactwa z klasyczną prawicą czyli tzw. „umiarkowanymi" czy „niezależnymi"

(Unia Demokratyczna). Uformowane pod egidą radykałów „Zjednoczenie lewicy republikańskiej" (R. G. R. — *Rassemblement des Gauches Républicaines*), w którego skład wchodziło szereg drobnych ugrupowań z powiązaniami prawicowymi, umożliwiało partii radykalnej poszukiwanie w razie potrzeby oparcia na prawicy. Taktyka radykałów polegała w III Republice na opieraniu się zależnie od okoliczności to na swoim lewym skrzydle (SFIO w okresie kartelu lewicy w 1924 i Frontu Ludowego w 1936), to na prawym (np. monachijski gabinet Daladiera z udziałem Reynauda).

SFIO ma jedynie ambicję radykałów, lecz nie ma żadnych możliwości, aby zająć w układzie politycznym „pozycję kluczową". Zerwawszy z Partią Komunistyczną, włączywszy się do antykomunistycznego frontu, SFIO jest całkowicie izolowane od lewicy. Na prawicy zaś tylko wtedy może znaleźć sprzymierzeńców, gdy zobowiąże się do realizowania politycznych celów prawicy. SFIO, jeśli mogła sobie cokolwiek wywalczyć, to nie kluczowe stanowisko, ale jedynie posadę lokaja. Tę, owszem, otrzymała.

Wystarczy pobieżny rzut oka na główne wydarzenia polityczne IV Republiki, aby dostrzec, że wszystkie niemal akty państwowe, które dla egoistycznych interesów reakcji podkopują niezależność Francji, są bezpośrednim dziełem „socjalistów".

W 1946 r. sławetnym układem handlowym Blum uzależnia ekonomikę francuską od Stanów Zjednoczonych stwarzając podstawy pod przyszłe zmarshallizowanie. W 1947 r. Ramadier na rozkaz Ameryki wyklucza komunistów z rządu, aby stworzyć przesłanki do sfaszyzowania Francji. Dziełem socjalistów jest odrodzenie... francuskiego imperializmu. Moutet, socjalistyczny minister kolonii, zrywa rokowania z przedstawicielami Vietnamu w Fontainebleau i rozpętuje wojnę imperialistyczną w Indochinach. Ten sam Moutet finguje powstanie na Madagaskarze, aby upozorować krwawe represje pacyfikacyjne (w 1947 roku w dwa lata po zakończeniu ery Oświęcimia i Dachau, na oczach całego świata ginie z rąk policjantów francuskich 92 000 Malgaszów!), które posłużyły mu do zlikwidowania ruchów postępowych. Jego przyjaciel partyjny, Naegelen, gubernator Algeru, zaprowadza ustrój terrorystyczny w Północnej Afryce. Jules Moch... niewyczerpana jest jeszcze lista łajdactw z podpisem tego francuskiego Quislinga na żołdzie Ameryki.

Rządy SFIO podkopały niepodległość Francji. IV Republika przywiązana została rękami socjalistów do atlantyckiego rydwanu. Francja pozbawiona została głosu w swoich najbardziej własnych sprawach. Musi się godzić na remilitaryzację Niemiec, na powstającą hegemonię niemieckiego przemysłu, nawet kursu swojej waluty nie może samodzielnie ustanawiać. Bazy amerykańskie w sercu Francji strzegą interesów Wall Streetu. W sprawach francuskich więcej mają do powiedzenia Mac Cloy, amerykański komisarz w Niemczech zachodnich, generałowie Bradley i Eisenhoower niż premier IV Republiki.

Czy chociaż za cenę oddania swego kraju pod amerykańską okupację SFIO zrealizowała ambicję swoich przywódców? Czy zdobyła widmową pozycję radykałów? Czy zabezpieczyła sobie na stałe kluczową posadę lokaja? I to nawet nie. Grzebiąc system trójpartyjny SFIO przygotowała i wypracowała powrót (na terenie parlamentarnym) stosunków i układu politycznego III Republiki. Po wyborach 17 czerwca br z IV Republiki tylko cień konstytucyjny pozostał. Nie same wybory, rzecz prosta, to sprawiły. Targi o złożenie d

grobu IV Republiki i wywleczenie z rupieciarni — Trzeciej, trwały od lutego do maja br. Na trybunie parlamentarnej z ołówkiem w ręku przez cztery miesiące układano nowy parlament. Nie wybory bowiem miały zdecydować o układzie sił politycznych we Francji. Ordynacja wyborcza miała pożądany układ zagwarantować.

Odrzucenie systemu proporcjonalnego i odebranie Partii Komunistycznej sprawiedliwej i należnej jej reprezentacji w parlamencie, to była dopiero połowa roboty, na którą wszyscy grabarze się zgodzili. Druga połowa polegała na wprowadzeniu takiego systemu, który by zaspokoił apetyty wszystkich ugrupowań. A to nie było najłatwiejsze. Radykałowie i „Niezależni" (prawica klasyczna) dążyli do przeforsowania takiej ordynacji wyborczej, która by opierała się na jednomandatowych okręgach z dwustopniową obieralnością. (Gdy w pierwszym głosowaniu żaden z kandydatów nie uzyska większości, drugie głosowanie, po wyeliminowaniu najsłabszych, jest decydujące. Kandydat, który otrzymał nawet względną większość głosów, zostaje wybrany). Partie radykałów i „Niezależnych" są w tym systemie uprzywilejowane, gdyż daje on przewagę kandydatom posiadającym popularność w okręgu bez względu na reprezentowany przez nich program polityczny. SFIO gwałtownie zwalczała ten system obawiając się uprzywilejowania radykałów, którzy mimo potępienia przez kongres radykałów (kwiecień 1951) tzw. bigamii czyli podwójnej przynależności politycznej (do partii radykałów i do partii de Gaulle'a) nie spalili wszystkich mostów łączących ich z RPF *(Rassemblement du Peuple Français* — partia de Gaulle'a). Kongres potępił bigamię w parlamencie, lecz nie zerwał powiązań istniejących między RPF a radykałami w terenie. W ten sposób radykałowie korzystaliby z poparcia SFIO przeciwko Partii Komunistycznej w tych okręgach, w których kandydaci SFIO nie mają żadnych szans wyborczych, a gdzie indziej z poparcia gaullistów przeciwko SFIO. Dlatego walka o ordynację wyborczą była ostra. Padł w niej gabinet Plevena, niewiele brakowało, by padł również gabinet Queuille'a. Ostateczny wynik walki o ordynację wyborczą przyniósł zwycięstwo tezom SFIO. Blokowanie list wyborczych z zachowaniem ich odrębności (suma głosów złożonych na poszczególne listy odgrywa w uchwalonej ordynacji rolę decydującą wtedy, gdy osiąga większość bezwzględną; blok otrzymuje wówczas wszystkie mandaty okręgu dzieląc je między zblokowane listy proporcjonalnie do złożonych na nie głosów. W wypadku, kiedy blok większości nie osiąga, (zastosowanie ma system proporcjonalny) daje SFIO równe szanse przy podziale zrabowanych łupów. 17 czerwca rabunek był istotnie obfity. Niech zaświadczy przykład (bynajmniej nie krańcowy) Departamentu Indres: lista komunistyczna otrzymała 40 752 głosy nie otrzymując żadnego mandatu, SFIO natomiast (dzięki zblokowaniu swojej listy z listą radykałów) za 15 702 głosy otrzymała mandat. Dość powiedzieć, że w ostatnich wyborach na jeden mandat komunistyczny trzeba było 50 000 głosów, gaullistowski — 37 000, MRP — 28 500, SFIO — 26 000, radykalny 23 000, prawicowy — 19 000.

Czegóż się jednak po tych sfałszowanych wyborach spodziewała SFIO? Zwycięstwa? Z pewnością tak. W naiwności i głupocie polityczni macherzy socjalistyczni liczyli na swoją atrakcyjność. Nie darmo przecież zerwali stosunki z Francuską Partią Komunistyczną. Liczyli na te 780 000 głosów, które utracili od czerwca do listopada 1946 r. Liczyli na więcej. Na trzykrotnie 780 000. Do wyborów stanęli bez pro-

gramu politycznego, społecznego i ekonomicznego. Posiadali natomiast taktykę. Hasłem wyborczym SFIO było „odrodzenie francuskiej lewicy". SFIO wyobrażała sobie, że izolując Francuską Partię Komunistyczną w parlamencie, wyizoluje ją jednocześnie w narodzie. — Lewica, to my — woła tuba propagandowa SFIO — Partia Komunistyczna się nie liczy i każdy głos oddany na nią wzmacnia siły prawicy, bo osłabia nas. — Rezultat tych złudzeń jest wiadomy. SFIO traci dalsze 780 000 głosów (w stosunku do 1946 r.). Polityczna izolacja tej partii pogłębia się jeszcze bardziej ze względu na odrodzenie się partii radykalnej, która na rabunku wyborczym dorobiła się niemal tej pozycji, jaką miała w III Republice.

SFIO pogrzebała nawet pozory IV Republiki. „Zjednoczenie Lewicy Republikańskiej" (RGR), której trzon stanowią radykałowie, ma znów podobnie kluczową pozycję jak w okresie III Republiki. Nie ma kombinacji parlamentarnej, która by była możliwa bez udziału radykałów. Mogą stanowić centrum układu: „Niezależni" — MRP — RGR — SFIO. Mogą stanowić lewe skrzydło układu: RPF (de Gaulle) — „Niezależni" — MRP — RGR. W nowym sfałszowanym parlamencie francuskim możliwa jest nawet większość bez socjalistów, co dotychczas nawet teoretycznie było wykluczone.

De Gaulle mimo całego zawodu, jaki go w wyborach spotkał (w wyborach komunalnych 1947 r. listy RPF-u uzyskały 35% głosów, obecnie—20,4%), mimo zawiedzionych nadziei i straconych złudzeń, mimo klęski w Paryżu, w Lotaryngii i departamencie Izery, posiada jeszcze atuty do parlamentarnych rozgrywek. W kampanii wyborczej starannie unikał zrywania wszystkich mostów i pomostów łączących go z blokiem centrowoprawicowym. W dwunastu departamentach zblokował nawet swoje listy, reprezentujące reakcję awanturniczą z listami „Niezależnych" reprezentującymi reakcję czarną, z listami RGR, reprezentującymi reakcję umiarkowaną i z listami MRP, reprezentującymi reakcję chrześcijańską. Widoczne są więc dalekie, ale w każdym razie istniejące perspektywy przyszłego kiedyś porozumienia. Porozumienia przeciwko SFIO. Do aktualnego parlamentu dzięki głosom gaullistów weszło 20 „łodzi podwodnych" de Gaulle'a, rozrzuconych wśród MRP, RGR i „Niezależnych". „Łodzie podwodne" umożliwią mu praktykę frontu reakcyjnego, tak jak ideologiczne pokrewieństwa uprawdopodobniają teorię tego frontu.

Praktyka gaullistowskiego frontu reakcyjnego zależy jednak od Ameryki. De Gaulle ma dobrą opinię w Białym Domu i znakomitą prasę w Nowym Jorku. Zwrócono tam oficjalnie uwagę na podobieństwo między hasłami de Gaulle'a a postulatami Trumana dla Francji i Europy. Między de Gaullem a Trumanem nie ma różnicy zdań. W Waszyngtonie jej nie dostrzeżono, nie dostrzeżono jej także w Nowym Jorku. Tę zbieżność politycznych programów spostrzegli jednak francuscy wyborcy. I właśnie wynik wyborów powinien być dla Ameryki ostrzeżeniem. Poprzepadali bowiem ci wszyscy przedstawiciele de Gaulle'a, którzy do wyborów szli bez kamuflażu, którzy prosto z mostu głosili program awantury politycznej. W jednym z najbardziej pewnych dla RPF departamentów przepadł jeden z najbardziej bliskich de Gaulle'owi ludzi — generał Koenig w Lotaryngii. Przepadł, gdyż kampanię wyborczą prowadził pod nacjonalistycznym hasłem zwiększenia zbrojeń, przedłużenia do dwóch i trzech lat okresu służby wojskowej i kontynuacji wojny w Indochinach. Powinno to dać do myślenia Waszyngtonowi.

A SFIO oczywiście, zgodnie ze swoją tradycją, będzie się rękami i nogami trzymać rządzącej większości. Chociaż główny ideolog koryta, Ramadier, przepadł w wyborach, to przepadł także André Philipp, przedstawiciel izolacjonizmu i tzw. „kuracji przez opozycję". W tej sytuacji, która na skutek machinacji SFIO wytworzyła się we Francji, partia socjalistyczna nie ma wyboru. Musi iść drogą zdrady do swojej ostatecznej klęski. 2 700 000 głosów, które na partię bankrutów i grabarzy padły w tych wyborach, to najprawdopodobniej ostatni kredyt, który zdołano wydusić z mas urzędniczych i drobnomieszczańskich. Klasa robotnicza odeszła już od nich bezpowrotnie.

Cała klasa robotnicza Francji stoi twardo i niezłomnie przy swojej partii, przy Francuskiej Partii Komunistycznej. KPF mimo szykan wyborczych w metropolii, mimo terroru i najzwyklejszych oszustw w krajach Unii Francuskiej (oto drobny przykład uczciwości wyborczej w Afryce: w jednym z okręgów na 1 240 uprawnionych do głosowania oddano 1 240 głosów i akurat wszystkie padły na kandydata administracyjnego) wyszła z wyborów zwycięsko. Partia Komunistyczna jest dzisiaj, jak była wczoraj, pierwszą partią Francji. W niej leży nadzieja i siła ludu francuskiego. Grabarze socjalistyczni dla zaspokojenia swoich ambicji chcieli zniszczyć jedność francuskiej klasy robotniczej, aby na jej gruzach poustawiać swoje stragany. Lecz o Francję nie można grać w parlamentarne trzy karty. Lud francuski skupiony wokół Komunistycznej Partii Francji potrafi, gdy tego zajdzie potrzeba, odrąbać łapy, które po jego wolność sięgają.

Zbigniew Bieńkowski

ZMARŁ TADEUSZ BOROWSKI

W dniu 3 lipca zmarł tragicznie Tadeusz Borowski, jeden z najwybitniejszych pisarzy młodego pokolenia, laureat Państwowej Nagrody Literackiej, członek Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, gorący i żarliwy bojownik Polski Ludowej, bezgranicznie oddany sprawie wyzwolenia człowieka. Były więzień Oświęcimia, Dautmergen i Dachau od wczesnych chwil młodości zetknął się z bestialstwem faszyzmu i z tego okrutnego doświadczenia wysnuł wszystkie konsekwencje jako pisarz i działacz rewolucyjny. W zmarłym Ludowa Ojczyzna traci wiernego syna, młodzież polska — jednego z najofiarniejszych przodowników ideowych w walce o socjalizm, literatura — oryginalny i wspaniale rozwijający się talent pisarski.

Jerzy Andrzejewski
Lesław Bartelski
Flora Bieńkowska
Zbigniew Bieńkowski
Helena Bobińska
Jacek Bocheński
Helena Boguszewska
Kazimierz Brandys
Marian Brandys
Roman Bratny
Andrzej Braun
Tadeusz Breza
Janina Broniewska
Władysław Broniewski
Jerzy Broszkiewicz
Jan Brzechwa
Jan Brzoza
Bohdan Czeszko
Maria Dąbrowska
Stanisław Ryszard Dobrowolski
Tadeusz Drewnowski
Stanisław Dygat
Ewa Fiszer
Julian Gałaj
Konstanty Gałczyński
Pola Gojawiczyńska
Krzysztof Gruszczyński
Paweł Hertz
Paweł Hoffman
Jarosław Iwaszkiewicz
Aleksander Jackiewicz
Maria Jarochowska
Mieczysław Jastrun
Anna Kamieńska
Ryszard Kapuściński
Roman Karst
Melania Kierczyńska
Tadeusz Konwicki
Jerzy Kornacki
Jan Kott
Kazimierz Koźniewski
Leon Kruczkowski
Tadeusz Kubiak
Grzegorz Lasota
Wanda Leopold
Leopold Lewin
Jerzy Litwiniuk
Wilhelm Mach
Aleksander Maliszewski
Andrzej Mandalian
Stanisław Marczak-Oborski
Antoni Marianowicz
Henryk Markiewicz
Ryszard Matuszewski
Jerzy Miller
Janusz Minkiewicz
Gustaw Morcinek
Zofia Nałkowska

Ignacy Narbut
Igor Neverly
Edmund Osmańczyk
Stefan Otwinowski
Leon Pasternak
Stanisław Piętak
Jerzy Piórkowski
Seweryn Pollak
Jerzy Pomianowski
Jerzy Putrament
Barbara Rafałowska
Adolf Rudnicki
Lucjan Rudnicki
Artur Sandauer
Włodzimierz Słobodnik
Antoni Słonimski
Arnold Słucki
Adolf Sowiński
Leopold Staff
Wilhelm Szewczyk
Aleksander Ścibor-Rylski
Jan Śpiewak
Adam Tarn
Julian Tuwim
Andrzej Wasilewski
Adam Ważyk
Jan Wilczek
Witold Wirpsza
Wiktor Woroszylski
Andrzej Wydrzyński
Stanisław Wygodzki
Kazimierz Wyka
Witold Zalewski
Ewa Szelburg-Zarembina
Stefan Żółkiewski
Wanda Żółkiewska
Wojciech Żukrowski
Juliusz Żuławski

KSIĄŻKI NADESŁANE

PROZA

JORGE AMADO — Zamarłe morze. Przekł. autoryz. z portug. Małgorzaty Hołyńskiej i Eugeniusza Grudy. Spółdz. Wyd.-Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 260 + 2 nlb.

LOUIS ARAGON — Komuniści. Wrzesień-listopad 1939. Przekł. Julii Hartwig i Ireny Krzywickiej. Klub odrodzenia VI. 1950. Spółdz. Wyd. - Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1950. Str. 308 + 2 nlb.

EIWIND BOLSTAD — Spekulant. Powieść. Przekł. autoryz. z norwesk. Tadeusza Powidzkiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 230 + 1 nlb.

MIKOŁAJ GOGOL—Utwory wybrane. Tom II. Złota Seria Literatury Rosyjskiej. Przekł. z ros. Władysława Broniewskiego, Jerzego Brzęczkowskiego, Juliana Tuwima i Jerzego Wyszomirskiego, pod red. Ziemowita Fedeckiego. Spółdz. Wyd. - Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 513 + 3 nlb.

ALEKSANDER JACKIEWICZ — Jan bez ziemi. Powieść. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 395 + 1 nlb.

JURIJ JANOWSKI — Nowe opowiadania kijowskie. Przekł. z ros. Józefa Bielickiego i Karoliny Morskiej. Spółdz. Wyd. - Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 93 + 3 nlb.

TEODOR TOMASZ JEŻ — O byt. Powieść historyczna na tle dziejów Albanii XV w. Tekst przygotował do druku prof. dr Witold Doroszewski. Spółdz. Wyd. - Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Część I — Za wysługę — str. 367 + 2 nlb. część II — Gwoli racji stanu — str. 369 + 2 nlb., część III — Rycerz chrześcijański — str. 390 + 4 nlb.

G. KARASŁAWOW — Historie wiejskie. Przekł. z bułg. Heleny Bychowskiej. Spółdz. Wyd. - Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 315 + 2 nlb.

WALENTYN KOSTYLEW — Iwan Groźny. Powieść. Przekł. Czesława Jastrzębiec Kozłowskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Księga I — Wyprawa — str. 574 + 1 nlb., księga II — Morze — str. 597 + 1nlb.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI — Macocha. Powieść z podań XVIII wieku. Tekst wg wydania z 1883 r. Spółdz. Wyd. - Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Tom I i II — str. 267 + 3 nlb., tom III i IV — str. 241 + 1 nlb.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI — Herod baba. Opowiadanie dziadka. Tekst wg wydania z 1880 r., oprac. prof. dr Wiktor Hahn. Spółdz. Wyd. - Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 282 + 2 nlb.

BORYS ŁAWRIENIEW — Opowiadania. Przekł. z ros. Tadeusza J. Everta. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 382 + 2 nlb.

ROMAIN ROLLAND — Colas Breugnon. Przekł. autoryz. Franciszka Mirandoli. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 278 + 3 nlb.

ALEKSANDER SAXTON — Stacja Greet Midland. Powieść. Przekł. autoryz. z ang. Ewy Fiszer. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 468 + 1 nlb.

ANNA SEGHERS — Wesele na Haiti. Przekł. z niem. Adolfa Sowińskiego. Spółdz. Wyd. - Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 121 + 3 nlb.

A. WOŁOSZYN — Ziemia kuźnicka. Powieść. Przekład zbiorowy. Redaktor: Ewa Dmowska. Klub Dobrej Książki. VI 1950. Spółdz. Wyd. - Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 357 + 2 nlb.

STIEPAN ZŁOBIN — Wyspa szczęścia. Powieść. Przekł. autoryz. Nadziei Druckiej i Karola Koźmińskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Część I — str. 386, część II — str. 435 + 1 nlb.

POEZJA I DRAMAT

JAN BRZECHWA — Strofy o Planie Sześcioletnim. Redaktor: Helena Wilczkowa. Spółdz. Wyd. -Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 23 + 1 nlb.

J. W. GOETHE — Lis przechera. Przekł. Leopolda Staffa. Posłowie A. M. Swinarskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa,, 1951. Str. 154 + 1 nlb.

MAKSYM GORKI — Letnicy. Przekł. Stanisława Brucza. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 222 + 1 nlb.

MAKSYM GORKI — Mieszczanie. Sztuka w 4 aktach. Przekł. Pawła Hertza i Seweryna Pollaka. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 208 + 1 nlb.

JAN KOTT i ADAM WAŻYK — Wiersze, które lubimy. Antologia. Redaktor: Dr Daniela Gromska. Spółdz. Wyd. - Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. XIV + 340 + 3 nlb.

LEOPOLD LEWIN — Odpowiedź poety. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 63 + 2 nlb.

JERZY LUTOWSKI — Próba sił. Sztuka w 3 aktach. Spółdz. Wyd. - Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1950. Str. 115 + 1 nlb.

JERZY MILLER — Słowa na pozycji. Spółdz. Wyd. - Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 65 + 3 nlb.

ALEKSANDER OSTROWSKI — Las. Komedia w 5 aktach. Przekł. Jerzego Jędrzejewicza. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 212 + 1 nlb.

ALEKSANDER OSTROWSKI — Burza. Dramat w 5 aktach. Przekł. Jerzego Jędrzejewicza. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 135 + 1 nlb.

ALEKSANDER OSTROWSKI — Niewinni winowajcy. Dramat w 4 aktach. Przekład Czesława Jastrzębiec-Kozłowskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 165

ALEKSANDER OSTROWSKI — Wilki i owce. Komedia w 5 aktach. Przekł. Czesława Jastrzębiec - Kozłowskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 233 + 1 nlb.

TADEUSZ RÓŻEWICZ — Czas, który idzie. Spółdz. Wyd. - Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 34 + 3 nlb.

ALEKSANDER RYMKIEWICZ — Warszawskie cegły. Redaktor: Helena Wilczkowa. Spółdz. Wyd. - Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 83 + 3 nlb.

BRACIA TUR — Pałacyk w zaułku. Sztuka w 9 odsłonach. Przekł. z ros. Seweryna Pollaka. Spółdz. Wyd. - Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 105 + 2 nlb.

WITOLD WIRPSZA — Polemiki i pieśni. Spółdz. Wyd. - Oświat. Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 44 + 3 nlb.

ESSAY I KRYTYKA

O SYTUACJI W HISTORII LITERATURY POLSKIEJ. Wybór referatów wygłoszonych na Zjeździe Polonistów w dniach od 8 do 12 maja 1950 r. Pod red. Jana Baculewskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 319 + 3 nlb.

ALFABETYCZNY SPIS TREŚCI
OD Nr VI (CZERWIEC) 1950 DO Nr V (MAJ) 1951

Spis treści ułożono alfabetycznie według nazwisk autorów. Gwiazdka (*) przed tytułem oznacza pozycję recenzyjną o danym autorze. Cyfry rzymskie oznaczają numer Twórczości, w którym pozycja się ukazała, arabskie — rok wydania.

ZNAKI I SKRÓTY UŻYWANE W SPISIE TREŚCI:

art. — artykuł
dram. — dramat
fragm. — fragment
koresp. — korespondencja
kron. — kronika
kryt. lit. — krytyka literacka
nauk. — naukowy
om. — omówienie
pol. — polemika
proza art. — proza artystyczna
pow. — powieść
publ. — publicystyka
ref. — referat
rep. — reportaż
scen. film. — scenariusz filmowy
tłum. — tłumaczenie
w. — wiersz
wspom. — wspomnienie

A

ab.
O literaturze koreańskiej kron. IX/50. Literatura nowych Chin. kron. XII/50. Literatura Albanii, kron. II/51.

Ai — Czing
Inwokacja do świtu. w. IX/50.

Amado Jorge
* (Pytlakowski Jerzy: Jorge Amado) kryt. lit. V/51.

Andrzejewski Jerzy
Człowiek radziecki: „świadomość samego siebie" (rozdz. pracy „O człowieku radzieckim") publ. IV/51.

arm.
* „Sztafeta Pokoju". Antologia poezji walczącej o pokój. om. IV/51.

Autor nieznany XVIII w.
Pieśń Murzynki nad kolebką swego syna. w.; Moda kobiet. w. III/51.

Ażajew
* Daleko od Moskwy (Rafałowska Barbara: Powieść Ażajewa). kryt. lit. VII/50.

awk
zob. Po-Czü-J: W imieniu pierwiosnka zapraszam Lü Jü Si. w.; Córka sąsiada w. XII/50.

B

Babajewski
* Kawaler Złotej Gwiazdy (Rafałowska Barbara: Powieść Babajewskiego) kryt. lit. IX/50.

Bartel Kurt
Z poematu: „Uśmiech Lenina" w Z poematu: „Ludzkości, pomóż", w IX/50.

Baumgarten Aleksander
Ludzie na torach. reportaż I/51.

Bibrowski Mieczysław
„Syn ludu" Maurice'a Thoreza. om IX/50.

Bieńkowski Zbigniew
Tęsknota za bohaterem. kryt. li VI/50.; „Początek edukacji" Bohdan Czeszki. om.; Literatura w walce o po

kój. publ. VII/50; Po II Światowym Kongresie Pokoju. publ. XII/50; Po I sesji rozszerzonego Plenum Zarządu Głównego ZLP. art. II/51; Poetyka francuska na nowych drogach. kryt. lit. III/51; Aby pokój zwyciężył. publ. IV/51; Narodowy plebiscyt pokoju. publ.; zob. Szefner Wadim: Nad pustynią. tłum. V/51.

Bierut Bolesław
Plany imperialistycznych podżegaczy wojennych a Polska. ref. IV/51.

Błoński Jan
„Doświadczenia" Ewy Fiszer. om. XII/50.

Boguszewska Helena
Przyjazd Walerii. proza art. II/51.

Borejsza Jerzy
Galina (fragm. pow. „Na progu") proza art. VI/50; W walce o pokój. publ. IX/50.

Borowski Tadeusz
Muzyka w Herzenburgu. proza art. VI/50.

Brandys Kazimierz
Białe Rudy (fragm. pow.) proza art. XII/50; Akcja w Kaleniu. (fragm. pow.) proza art. V/51.

Brandys Marian
Wiosenny zaciąg. rep. III/51.

Braun Andrzej
Jutro jest dzisiaj. w. X/50.

Bredel Willi
* Spotkanie nad Ebro (Szleyen Mieczysław). om. IX/50.

Breza Tadeusz
Krok w tył (fragm. pow. „Uczta Baltazara") proza art. III/51.

Broniewski Władysław
* Poeta walki i pracy (Stanisław Ryszard Dobrowolski) kryt. lit. X/50.
* 25 lat poezji Władysława Broniewskiego (Matuszewski Ryszard) kryt. lit. XI/50.

Broszkiewicz Jerzy
Powrót ojca (fragm. pow.). Proza art. IV/51.

Brudziński W. L.
* Zatrute strzały (Śpiewak Jan) om. I/51.

Brzechwa Jan
Machtumkuli (Fragi) not. zob. Machtumkuli (Fragi). Niezniszczalne. Na obczyźnie. Odpowiedz — odpowiadamy. A braci nie ma. tłum. V/51.

Brzoza Jan
Blok Nr 14. rep. X/50.

Bujnicki Teodor
* Wybór wierszy (Herdegen Leszek). om. V/51.

Burtan Halina
Elementarz. w. VI/50.

C

Cachin Marcel
* Balzac (Grzeniewski Ludwik). om. IV/51.

Caci Aleks
Muzekie. w. II/51.

Chwalewik Witold
Zob. Szekspir William: Feniks i gołąb. tłum. X/50.

Ciopa Edward
Wczoraj i dzisiaj. w., Wiersz dla znajomej dziewczynki. w. III/51.

Cyrankiewicz Józef
Przemówienie na otwarcie Zjazdu Literatów. VIII/50.

Czara-Stec Dusza
Ludowa poezja rumuńska w walce o pokój. kron. XII/50.

Czeszko Bohdan
* Początek edukacji. Opowiadania. (Bieńkowski Zbigniew). om. VII/50; Pokolenie. proza art. V/51.

D

Dobrowolski Stanisław Ryszard
Warszawscy murarze. w.; O co się

niepokoję. w. IX/50; Poeta walki i pracy. Przemówienie wygłoszone na akademii poświęconej 25-leciu twórczości Władysława Broniewskiego. kryt. lit.; Rzućmy dziwne wrażenia (fragm. pow.) proza art. X/50; * Notatnik warszawski (Maciąg Włodzimierz). om. IV/51.

Domeradzki Włodzimierz
* Wiersze twardych rąk (Kamieńska Anna). om. VII/50.

Dyskusja V Zjazdu Literatów Polskich. VIII/50.

Dzierżawin Gabriel
Polihymnia. w. X/50.

Dzierżyński Feliks
Z pamiętników więźnia. Ucieczka. III/51.

E

Eluard Paul
* Wybór wierszy (Międzyrzecki Artur). om. II/51.

F

Fadiejew Aleksander
* Klęska (Grzeniewski Ludwik). om. V/51.

Fedecki Ziemowit
zob. Prokofiew Aleksander: Śpiew; Pierwsze przymrozki; Kocham brzozę rosyjską... tłum. XII/50.

Fenikowski Franciszek
Fuga. w. IX/50.

Ficowski Jerzy
Twórczość. w.; Piorunochrony. w.; Wielki Tydzień. w.; Piosenka, którą śpiewam tobie. w. V/51.

Fiszer Ewa
zob. Hikmet Nazim: O śmierci. tłum. VI/50; * Doświadczenia (Błoński Jan). om. XII/50.

Flukowski Stefan
Popołudnie w Trigorskoje. dram. III/51.

G

Gałaj Julian
* W rodzinie Lebiodów (Koliba Maciej). om. X/50; Jesienna orka (fragm. pow. „Przedpole"). proza art. IV/51.

Gałczyński Konstanty Ildefons
Spotkanie z matką. w., zob. Prokofiew Aleksander: Śpiew; Pierwsze przymrozki; Kocham brzozę rosyjską... tłum. XII/50; * Ślubne obrączki (Maciąg Włodzimierz). om. II/51.

Gaworski Henryk
Poemat o pierwszym wieku. w. I/51.

Gisges Jan Maria
Drogi terenowców. kron. XI/50.

Gribojedow Aleksander
Mądremu biada. dram. IX/50.

Grzeniewski Ludwik
„Wybrańcy bogów..." Leopolda Infelda, om. III/51; „Balzac" Marcela Cachina, om. IV/51; „Klęska" Aleksandra Fadiejewa, om. V/51.

H

Hahn Wiktor
Słowacki czy Pietrzycki? pol. V/51.

Hamera Bogdan
* Na przykład Plewa (Wroński Antoni). om. X/50.

Hemingway
* Przez rzekę i między drzewa (Żagarysta: Powieść Hemingway'a). om. II/51.

Herdegen Leszek
Wybór wierszy Teodora Bujnickiego. om. V/51.

Hikmet Nazim
O śmierci. w. VI/50. * O Nazimie Hikmecie (Grzegorz Lasota) kryt. lit. II/51.

Hollender Tadeusz
* Wiersze, Satyry, Fraszki (Śpiewak Jan). om. VII/50.

Hussarski Roman
Rzeka. w.; Wiersz o trzech mostach

w. VI/50; Krajobraz podwarszawski. w. X/50; Próba. proza art. XI/50.

Huszcza Jan

Gdy pokój: w trawach szeleści kosa... w. Tam, gdzie traktorów pracowite... w. I/51.

I

Inber Wiera

* (Jackiewicz Aleksander: Wiery Inber — droga do Leningradu). kryt. lit. VI/50.

Infeld Leopold

* Wybrańcy bogów... (Grzeniewski Ludwik). om. III/51; List do Redakcji. koresp. IV/51; Drogi i bezdroża nauki. publ. V/51.

Isakowski Michał

Przed Mauzoleum Lenina. w. II/51.

Iwaszkiewicz Jarosław

Po koncercie (fragm. pow.). proza art. VI/50.

J

Jackiewicz Aleksander

Wiery Inber — droga do Leningradu. kryt. lit. VI/50.

Jakova Kol

O trzech bohaterach. w. II/51.

Jastrun Mieczysław

List do przyjaciół. w.; W ruinach zamku Dziewin. w.; Stary chłop. w.; Pamięci Walentyny Chocimskiej. w. VI/50; Własność. w.; List Anny Żywioł. w. VIII/50; * Rok urodzaju (Putrament Jerzy). om. XII/50; W Nowy Rok. w.; W pracowni świata. w. II/51; O moim kraju. w.; Do Ibrahima Gadżijewa. w. V/51.

K

Kamieńska Anna

„Nowe wiersze" Stanisława Jerzego Leca. om. VI/50; „Wiersze twardych rąk" Włodzimierza Domeradzkiego. om. VII/50; „Pięć poematów" Tadeusza Różewicza. om. X/50; „Ziemia jaśnieje" Arnolda Słuckiego. om. XII/50.

Kapuściński Ryszard

Droga prowadzi naprzód! w. XI/50.

Karczewska Wanda

Śpiew starego drzewa. w.; Nie ma rozstania. w. I/51.

Kaufman Mieczysław

O Wacławie Nałkowskim. not. III/51.

Kierst Jerzy

Ładoga. w.; Więzień. w. VII/50.

Kirło-Nowaczyk Adam Franciszek

Wschód nad Pegeerem. w. II/51.

Koliba Maciej

„Traktory zdobędą wiosnę" Witolda Zalewskiego om. VII/50; „W rodzinie Lebiodów" Juliana Gałaja. om. X/50; „Na głodnym zagonie" Józefa Pogana. om. XII/50; „Niedziela na Wydartej" Marianny Kościńskiej. om. II/51.

Komunikaty Związku Literatów Polskich

Pisarze w obronie pokoju. VI/50; W obronie Nazima Hikmeta. VI/50; Do Prezydium Zjazdu Pisarzy brazylijskich. VI/50. Do Prezydenta Republiki Argentyńskiej. VI/50. Przejęcie miesięcznika „Twórczość" przez Związek Literatów Polskich. VI/50; V Zjazd Literatów Polskich. VII/50; List pisarzy radzieckich do pisarzy polskich. VIII/50; List uczestników Zjazdu Literatów Polskich do Zarządu Związku Pisarzy Radzieckich. VIII/50; Rezolucja w sprawie Apelu Sztokholmskiego. VIII/50; Telegramy do prof. Joliot-Curie, Louis Aragona i Paul Eluarda. VIII/50; List do Prezydenta Trumana. VIII/50; Telegram do Howarda Fasta. VIII/50; List do Prezydenta Turcji. VIII/50; Telegram do Pablo Nerudy. VIII/50; Telegram do „Kongresu Obrony Praw Człowie-

ka" w Nowym Jorku. VIII/50; Państwowe Nagrody w Dziale Literatury. IX/50.

Konwicki Tadeusz
* Przy budowie (Lasota Grzegorz). om. X/50.

Kornacki Jerzy
Kręgle i kule. proza art. IV/51.

K. J.
Po konferencji krakowskiej. art. II/51.

Kott Jan
Wrocławski sezon teatralny. VII/50; Miara postępowości w historii literatury. studium hist.-lit. X/50; Nieznane wiersze Stanisława Trembeckiego. kryt. lit. XI/50; Nieznane wiersze polskiego Oświecenia. kryt. lit. III/51; O nową syntezę polskiego Oświecenia. studium hist.-lit. IV/51.

Kościńska Marianna
* Niedziela na Wydartej (Koliba Maciej). om. II/51.

Kowalewski Mirosław
„Kampania znaczy walka" (fragm. pow.) proza art. VI/50; * „Kampania znaczy walka" (Lam Andrzej). om. XII/50.

Kowalewski Stanisław
* Odzyskany świat; Prosta droga. (Preger Janina). om. VI/50.

Kruczkowski Leon
O roli i zadaniach Związku Literatów Polskich. ref. VIII/50.

Książki nadesłane — VI/50, VII/50, VIII/50, IX/50, X/50, XI/50, XII/50, I/51, II/51, III/51, V/51.

Kubiak Tadeusz
* Słowo pod żaglem (Śpiewak Jan). om. VI/50; Rozmowa z poetą. w.; Nie utraciłem jej nigdy. w. IV/51.

Kurdybacha Łukasz
Upadek kodeksu Andrzeja Zamoyskiego. studium hist. III/51.

Kurowski Edward
Sprawa Felisiaka. proza art. III/51.

Kuśmierek Józef
Sprawa jednego konia. proza art. I/51.

L

Lam Andrzej
„Kampania znaczy walka" Mirosława Kowalewskiego. om. XII/50; „Most nad urwiskiem" Antoniego Olchy. om. II/51; „Ludzie z węgla" Niny Rydzewskiej. om. IV/51.

Lasota Grzegorz
„Przy budowie" Tadeusza Konwickiego. om. X/50; O Nazimie Hikmecie. kryt. lit. II/51; O wierszach Wiktora Woroszylskiego. kryt. lit. IV/51.

Lec Stanisław Jerzy
* Nowe wiersze (Anna Kamieńska). om. VI/50.

Lem Stanisław
Kocioł (fragm. pow.). proza art. IX/50.

Lermontow Michał
Borodino. w.; Żagiel. w. X/50.

Lenin Włodzimierz Iljicz
Z listów Lenina do rodziny. II/51.

Lesage Alain-René
* Przypadki Idziego Blasa (Parvi Jerzy). om. V/51.

Lewin Leopold
Do Władysława Broniewskiego. w; Kocham kwiaty. w. X/50; zob. Niekrasow Mikołaj: Pieśń. Las się dopalił...; Wczoraj o szóstej... tłum. X/50; zob. Wurgun Samed: Murzyn przemawia. tłum. XI/50; zob. Niekrasow Mikołaj: Poeta i obywatel. tłum. I/51; zob. Isakowski Michał: Przed Mauzoleum Lenina. tłum. II/51; Tam, gdzie z pustyni... w. V/51.

Lipski Jan Józef
„Broń" Witolda Zalewskiego. om. IX/50.

Litwiniuk Jerzy
zob. Majakowski Włodzimierz: Włodzimierz Iljicz Lenin. fragm. poematu, tłum. XI/50.

Lorca Federico Garcia
* „Wybór wierszy" i „Romance cygańskie". (Sandauer Artur) om. VII/50.

M

Machtumkuli (Fragi)
Niezniszczalne. w.; Na obczyźnie. w.; Odpowiedz — odpowiadamy. w.; A braci nie ma. w. V/51.

Maciąg Włodzimierz
„Wiersze zebrane" Włodzimierza Słobodnika. om. XII/50; „Ślubne obrączki" K. I. Gałczyńskiego. om. II/51; „Notatnik warszawski" St. R. Dobrowolskiego. om. IV/51.

Majakowski Włodzimierz
Włodzimierz Iljicz Lenin. fragm. poematu. XI/50; II/51.

Manifest do Narodów świata. XII/50.

Mao Tse-tung
Śnieg. w. IX/50; W sprawie praktyki. studium filozoficzne. II/51.

Marianowicz Antoni
* Przejrzyste aluzje (Śpiewak Jan). om. I/51.

Matuszewski Ryszard
„Przed świtem" i „Dno miski" Stanisława Zielińskiego. om. VI/50; 25 lat poezji Władysława Broniewskiego. kryt. lit. XI/50; Na Śląsku rosną nowi ludzie. om. V/51.

Mauersberger Adam
Władysław Mickiewicz, Andrzej Towiański i inni. studium hist.-lit. I/51.

Mietkowski Jan
„Kierowcy" Anatola Rybakowa. om. IV/51.

Międzyrzecki Artur
Wiersz. w.; Pisane w Paryżu 1950 r. w. IX/50; Władysławowi Broniewskiemu. w. X/50; „Wybór wierszy" Paul Eluarda. om. II/51; Pieśń o Rejsie. w. III/51.

Mikulski Zygmunt
Pieśń o budowie nocą. w. XI/50.

Morozow M.
* Szekspir (Sowiński Adolf). om. I/51.

Mortkowicz—Olczakowa Hanna
Niezwykły wydawca (O Marchlewskim). IX/50.

N

Nałkowska Zofia
Krzysztof Kolumb (Z książki o Wacławie Nałkowskim). X/50; Młodość udręczona (Z książki o Wacławie Nałkowskim). XI/50.

Nałkowski Wacław
Filozofia praktyczna czyli etyka pastorska. stadium filozoficzne. III/51.

Narbutt Ignacy
Mrukliwość brumbasów. rep. XII/50.

Natanson Wojciech
Alcest przyjaciel ludzi. art. teatr. V/51.

Niekrasow Mikołaj
Pieśń. w.; Las się dopalił... w.; Wczoraj o szóstej... w. X/50; Poeta i obywatel. w. I/51; Komu na Rusi dobrze się żyje? Prolog. Jarmark wiejski. poemat IV/51.

Nowak Tadeusz
Wiersz o Partii. w.; Witam nowy dzień. w. X/50.

O

Olcha Antoni
* Most nad urwiskiem (Lam Andrzej). om. II/51.

Osmańczyk Edmund
Niemiecka kronika kulturalna. kron. VI/50; Przyjaźń i nienawiść. rep. VII/50; Tematy do powieści. proza art.; Za amerykańskim kordonem. kron. I/51; „Nacja Europy". kron. IV/51.

Ostromęcki Bogdan
Trzewiczek. w. XI/50.

Ostrowski Kazimierz
Materia żywa i jej rozwój w świetle współczesnych badań naukowych. art. nauk. III/51

P

Pankowski Marian
Tygodnik filmowy widziany w Brukseli w. I/51.

Panowa Wiera
* (Rafałowska Barbara: Twórczość Panowej). kryt. lit. X/50.

Pański Jerzy
W służbie wojny i w służbie pokoju. publ. X/50; W 33 rocznicę, publ. XI/50; Uwagi o współczesnej twórczości dramatycznej. art. II/51.

Parvi Jerzy
„Przypadki Idziego Blasa" A. R. Lesage'a. om. V/51.

Pasternak Leon
* Strofy gniewu (Śpiewak Jan). om. IX/50.

Pawlenko Piotr
* „Szczęście" i „Stepowe słońce" (Rafałowska Barbara: Proza Pawlenki). kryt. lit. I/51.

Petöfi Sandor
Jedna zima w Debreczynie. w.; Nieudany plan. w. I/51.

Piętak Stanisław
Do syna. w.; Hymn o pokoju. w. VI/50; Współczesne dzieje. w.; Powstawszy z choroby. w.; Pracowity dzień. w.; Rozprawa. w. VII/50; Zanim wieś zaśnie. w. II/51.

Pijanowski Lech
zob. Po-Czü-I: Kupujemy kwiaty. Stary węglarz. W cienkiej odzieży na sytych koniach. Smok z czarnego odmętu. tłum. XII/50.

Piórkowski Jerzy
Nasze życie. Akt I dram. V/51.

Po-Czü-I
Kupujemy kwiaty. w.; Stary węglarz. w.; W cienkiej odzieży na sytych koniach. w.; Smok z czarnego odmętu. w.; W imieniu pierwiosnka zapraszam Lü-Jü-Si. w.; Córka sąsiada. w. XII/50.

Podhorski-Okołów Leonard
zob. Lermontow Michał: Borodino. tłum. X/50.

Pogan Józef
* Na głodnym zagonie (Koliba Maciej). om. XII/50.

Pollak Seweryn
zob. Radiszczew Aleksander: Wolność. tłum. zob. Dierżawin Gabriel: Polihymnia. tłum.; zob. Puszkin Aleksander: Fale, kto was...; Kaukaz. tłum. X/50; Antyelegia. w. XII/50; Drzewo rewolucji. w. II/51.

Preger Janina
„Odzyskany świat" i „Prosta droga" Stanisława Kowalewskiego. om. VI/50; „Śmierci nie ma!" Wiktora Woroszylskiego. om. VII/50.

Prokofiew Aleksander
Śpiew. w. Przymrozki. w.; Kocham brzozę rosyjską... w. XII/50.

Przemówienia powitalne pisarzy zagranicznych przybyłych na Zjazd Literatów Polskich. VIII/50.

Przemski Leon
Lelewel. proza art. III/51.

Przyboś Julian
Na wczasach. w. X/50; Tęcza na burzy. w.; Czarodziejska góra. w. I/51

Puszkin Aleksander
Eugeniusz Oniegin. Poemat, rozdział drugi. VI/50; rozdział trzeci. XI/50 fragmenty rozdziałów IV i V, II/51 Fale, kto was... w.; Kaukaz. w.; Droga zimowa. w. X/50.

Putrament Jerzy
Wrześniowe manewry (fragm. pow.) proza art. IX/50. „Pole urodzaju" Mieczysław Jastruna. om. XII/50. Zadania literatury w okresie Planu 6-letniego i walki o pokój, ref. II/51; Kamień. w. IV/51.

Pytlakowski Jerzy
Pierwsze starcie. proza art. X/50; Jorge Amado. kryt. lit. V/51.

R

Radiszczew Aleksander
Wolność. w. X/50.

Rafałowska Barbara
„Pałeczka" Adolfa Rudnickiego czyli o pięknej sztuce pisania. kryt. lit. VI/50; Powieść Ażajewa. kryt. lit. VII/50; Powieść Babajewskiego. kryt. lit. IX/50; Twórczość Panowej. kryt. lit. X/50; Proza Pawlenki. kryt. lit. I/51; „Widzenie" Stanisława Wygodzkiego. om. III/51; Klangor żurawi nad brzegiem Oceanu Spokojnego. kryt. lit. IV/51.

Reval Józef
Uwagi na marginesie niektórych zagadnień naszej literatury. kryt. lit. XI/50.

Rojewski Jan
Załoga. scen. film. VII/50. VIII/50.

Różewicz Tadeusz
Odwróćmy od przeszłości... w.; Pejzaż. w.; Powrót z lasu. w.; * Pięć poematów (Kamieńska Anna). om. X/50; Przystań w Dunaföldvar. w. XII/50.

Rudnicki Adolf
* Pałeczka (Rafałowska Barbara: „Pałeczka" Adolfa Rudnickiego czyli o pięknej sztuce pisania). kryt. lit. VI/50; Ignaś Łęk. proza art. II/51.

Rybakow Anatol
* Kierowcy (Mietkowski Jan). om. IV/51.

Rydzewska Nina
* Ludzie z węgla (Lam Andrzej). om. IV/51.

Rymkiewicz Aleksander
zob. Petöfi Sandor: Jedna zima w Debreczynie. Nieudany plan. tłum. I/51.

S

Sandauer Artur
„Wybór wierszy" i „Romance cygańskie" Federico Garcia Lorca. om. VII/50; „Wybór poezji" Juliana Tuwima. om. III/51.

Shaw George Bernard
* (Żuławski Juliusz) om. XII/50.

Sienkiewicz Henryk
Z „Listów z podróży do Ameryki". proza art. IV/51.

Simonow Konstanty
Niemiec. w.; Dzikusy. w. IX/50

Słobodnik Włodzimierz
Do Mickiewicza. w. XI/50; * Wiersze zebrane (Maciąg Włodzimierz). om. XII/50.

Słucki Arnold
* Ziemia jaśnieje (Kamieńska Anna). om. XII/50; Towarzyszom. w. III/51.

Sowiński Adolf
zob. Bartel Kurt: Z poematu „Uśmiech Lenina". Z poematu „Ludzkości, pomóż". tłum. IX/50; Dom w Ciekotach (fragm. pow. o Stefanie Żeromskim). proza art. XII/50; „Szekspir" M. Morozowa. om. I/51.

Spinc Józef
Nagrody Stalinowskie w dziedzinie literatury za rok 1949. kron. VI/50; Zagadnienie radzieckiej krytyki literackiej. kron. VII/50. Radziecka literatura dla dzieci i młodzieży. kron. IX/50; Literatura Narodów ZSRR. kron. X/50; Zagadnienia radzieckiej teorii literatury. kron. XI/50; Pierwsze echa dyskusji językoznawczej

w radzieckiej teorii i krytyce literackiej. kron. XII/50; Zwalczanie wpływów naturalistycznych w literaturze radzieckiej. kron. I/51; Z radzieckich rozważań o poetyce. kron. II/51; Dyskusja pedagogiczna w radzieckiej prasie literackiej. kron. III/51; Z dyskusji językoznawczej. kron. IV/51; Tegoroczne Nagrody Stalinowskie w dziedzinie literatury. kron. V/51.

Staff Leopold
Pokój. w. VIII/50.

Stalin Józef
W sprawie marksizmu w językoznawstwie. VII/50; Przyczynek do niektórych zagadnień językoznawstwa. VIII/50; Odpowiedź towarzyszom (zob. Stalin J. „W sprawie marksizmu w językoznawstwie"). IX/50; Rozmowa Józefa Stalina z korespondentem „Prawdy". IV/51.

Strumph Wojtkiewicz Stanisław
Powrót. w. VIII/50; Wolny Paryż (fragm. pow. „Niech żyje Komuna!") proza art.; zob. Niekrasow Mikołaj: Komu na Rusi dobrze się żyje? Prolog. tłum. IV/51.

Stryjkowski Julian
Bieg do Fregala (fragm. pow.). proza art. IX/50.

Szczepański Jan Alfred
Teatr. kron. VI/50; X/50.

Szefner Wadim
Nad pustynią. w. V/51.

Szekspir William
Otello. dram. VII/50; Feniks i Gołąb. w.; X/50.

Szeląg Jan
Wyprawy w przeszłość. kryt. lit. III/51.

Szleyen Mieczysław
„Spotkanie nad Ebro" Willi Bredla. om. IX/50.

Szymański Zygmunt
Pisarze niemieccy w walce o pokój. kron. X/50.

Ś

Ścibor-Rylski Aleksander
* Węgiel (Matuszewski Ryszard: Na Śląsku rosną nowi ludzie). om V/51.

Śpiewak Jan
„Słowo pod żaglem" Tadeusza Kubiaka. om. VI/50; „Wiersze, Satyry, Fraszki" Tadeusza Hollendra. om. VII/50; „Strofy gniewu" Leona Pasternaka. om. IX/50; Oda do Warszawy. w. XII/50; Warszawa, wstęp do poematu. w.; „Zatrute strzały" W. L. Brudzińskiego i „Przejrzyste aluzje" Antoniego Marianowicza. om. I/51.

Świętochowski Aleksander
O Wacławie Nałkowskim. not. III/51.

T

Thorez Maurice
Syn ludu (Bibrowski Mieczysław). om. IX/50.

Tien Czien
Morze. w.; Gwiazda bez imienia. w.; Odpoczynek w południe. w.; Łzy, krople potu i perły. w.; Cisza. w; Kary koń, rewolwer i pieśń. w.; Mam tylko skrawek papieru i kilka krwawych plam. w.; Pieśń w górach. w. IX/50.

Trembecki Stanisław
Daniel Kalwiński na zniesienie Jezuitów. w.; Sto wierszów. w.; XI/50. Widok teraźniejszy Rzymu. w.; III/51.

Tseng K'O-Szia
Powrót. w. IX/50.

Tuwim Julian
zob. Gribojedow Aleksander: Mądremu biada. tłum. IX/50; * Wybór

poezji (Sandauer Artur). om. III/51; zob. Niekrasow Mikołaj: Komu się na Rusi dobrze dzieje? Prolog. Jarmark wiejski. tłum. IV/51.

U

Uhse Bodo

Do polskiego czytelnika mojej powieści „Synowie". publ. XI/50.

W

W. A. B.

zob. Caci Aleks: Muzekie. tłum.; zob. Jakova Kol: O trzech bohaterach. tłum. II/51.

Warmiński Janusz

Zwycięstwo. dram. XI/50; XII/50; I/51.

Wazow Iwan

* Realizm Iwana Wazowa (Zarew Pantielej) om. X/50.

Ważyk Adam

zob. Puszkin Aleksander: Eugeniusz Oniegin. rozdział drugi, tłum. VI/50 rozdział trzeci, tłum. XI/50; fragmenty, rozdz. IV i V, tłum. II/51; Perspektywy rozwojowe literatury polskiej. ref. VIII/50; zob. Puszkin Aleksander: Droga zimowa. tłum. X/50

Węgierski Kajetan

Obrona Wirgiliusza rzymskiego. w. III/51.

Wirpsza Witold

Czyżby nad Engelsem? om. I/51.

Woroszylski Wiktor

* Śmierci nie ma! (Preger Janina). om. VII/50; zob. Simonow Konstanty: Niemiec. Dzikusy. tłum. IX/50; * (Lasota Grzegorz: O wierszach Wiktora Woroszylskiego). kryt. lit. IV/51; W walce o literaturę Polski Ludowej. ref. V/51.

Wroński Antoni

„Na przykład Plewa" Bogdana Hamery. om. X/50.

Wurgun Samed

Murzyn przemawia. poemat XI/50.

Wygodzki Stanisław

Aby żyć. proza art. VI/50; Pięć zdań o intelektualistach. w. VII/50; Bocznica. proza art. XI/50; Na południowym stoku. w.; Podróżując. w. I/51; * Nad Engelsem (Wirpsza Witold: Czyżby nad Engelsem?) om. I/51; Jeszcze raz nad Engelsem. pol. II/51; Z „Pamiętnika więźnia". w.; * Widzenie (Rafałowska Barbara). om. III/51.

Wyka Kazimierz

Zjazd Polonistów. art. spr. VI/50; Stan badań nad romantyzmem. ref. VII/50; Stefan Żeromski. kryt. lit. I/51.

V

Vogler Henryk

Teatr. Na scenach krakowskich. kron. IX/50; Krakowski przegląd teatralny. kron. IV/51.

Z

Zabłudowski Tadeusz

Po V Zjeździe Literatów Polskich. W walce o postawę twórczą pisarza. art. VIII/50.

Zagórski Jerzy

zob. Lermontow Michał: Żagiel. tłum. X/50.

Zalewski Witold

* Traktory zdobędą wiosnę (Koliba Maciej). VII/50; * Broń (Lipski Jan Józef). om. IX/50.

Zarew Pantielej

Realizm Iwana Wazowa. kryt. lit. X/50.

Zawadzki Wacław
Giordano Bruno — wyznawca Kopernika. studium hist. XII/50.

Zieliński Stanisław
* Przed świtem (Matuszewski Ryszard). om. VI/50; Początek drogi (fragm. pow. „Ostatnie ognie"). proza art. VII/50; VIII/50.

Ż

Żagarysta
Powieść Hemingway'a. om. II/51.

Żeromski Stefan
* (Wyka Kazimierz) kryt. lit. Wyjątki z pamiętnika. I/51.

Żółkiewski Stefan
Aktualny etap walki o marksistowskie literaturoznawstwo w Polsce. ref. VI/50; Aktualne zadania i stan nauki o literaturze w Polsce. ref. VIII/50.

Żuławski Juliusz
Teatr: Na scenach warszawskich. kron. XI/50; XII/50; III/51; V/51. George Bernard Shaw. not. XII/50.

SPIS TREŚCI

Str.

Feliks Dzierżyński: Z pism wybranych 3

Dolores Ibarruri (Passionaria): Hiszpania w walce . . . 14

Gorki we wspomnieniach współczesnych 19

Włodzimierz Słobodnik: Mauzoleum Dymitrowa w Sofii, Płowdiw 28

Bohdan Czeszko: Pokolenie 30

Maria Jarochowska: Biała róża 67

GRECKA POEZJA WOLNOŚCI: Wybrał, wstępem poprzedził i przeł. Stefan Flukowski

Urywek z dziennika skazanego na śmierć: Trwamy w walce . . . 82

C. Jannopolus: Epigramat, W celi śmierci, Noce, Ostatnia pieśń 84

F. Asteris: dwa Epigramaty, Tryptyk poległym bojownikom, Święto majowe 88

Leon Przemski: Edward Dembowski jako krytyk i historyk literatury 91

Artur Marya Swinarski: Z poezji satyrycznej Heinego . . . 111

Henryk Heine: Anno 1829 — przeł. Magdalena Samozwaniec 114

Poeta Firdusi, Łątka — przeł. Artur Marya Swinarski . 115

Adam Pierwszy — przeł. Robert Stiller 121

Do politycznego poety — przeł. Antoni Marianowicz i Tadeusz Polanowski 122

Niemcy — opowieść zimowa, fragment I — przeł. Antoni Marianowicz 122

Fragment II — przeł. Artur Marya Swinarski . . . 123

Antoni Rączaszek: Żyrardów ziemski 126

Józef Revai: Zadania literatury węgierskiej 135

Z ŻYCIA NAUKI: Kazimierz Ostrowski: Nauka Pawłowa o znaczeniu czynności kory mózgowej 142

WŚRÓD KSIĄŻEK: Jan Śpiewak — Witold Wirpsza „Polemiki i pieśni; Jan Błoński — Anna Kamieńska „Wychowanie"; Leszek Herdegen — Jerzy Miller „Pieśni inwalidzkie", „Słowa na pozycji"; Andrzej Lam — Gustaw Morcinek „Pokład Joanny"; Janina Preger — Marian Toporowski „Puszkin w Polsce"; Julian Stawiński — Dymitr Furmanow „Czapajew"; Ludwik Grzeniewski — Mikołaj Ostrowski „Zrodzeni z burzy" 150

TEATR: Stefan Treugutt — prapremiera „Grzechu" Żeromskiego . 173
NA WIDNOKRĘGU: Józef Spinc. Zbigniew Bieńkowski . 180
Zmarł Tadeusz Borowski 192
Książki nadesłana 194
Alfabetyczny spis treści 196

Wydawca: RSW „Prasa"
Redaktor Naczelny: Adam Ważyk
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 734-65 centr. 401-80/90, wewnętrzny 2
Administracja: Wiejska 12
Prenumerata i kolportaż: PPK „Ruch" Oddz. w W-wie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Pl. 3 Krzyży 16. Chmielna 25.
Cena zeszytu zł 360. Prenumerata kwartalna zł 10.80, półroczna — zł 21.60.
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

CENA ZŁ 3.60